

MARIANNE CURLEY
STRAŻNICY
VERIDIANU



TOM TRZECI

KLU CZ

CURLEY MARIANNE

STRAŻNICY VERIDIANU 03

Klucz

Nic nie zostało rozstrzygnięte.

Niczego nie da się rozstrzygnąć bez wojny.

W ten sposób zbudowano Wszechświat.

Zakon Chaosu wzrósł w siłę. Lathenia, wciąż wściekła z powodu śmierci ukochanego Marduka, nie chce dłużej czekać i wypowiada Straży ostatnią bitwę. Stawką jest kontrola nad wszystkimi światami... Oszałała bogini nie cofnie się przed niczym, by zrealizować swój cel. Członkowie Straży są w poważnych kłopotach – muszą odnaleźć zaginiony klucz, który pozwoli otworzyć zbrojownię w mitycznym Veridianie. Ale to nie jedyny problem. W ich szeregach ukrywa się zdrajca. Narastająca niepewność i podejrzliwość utrudniają Strażnikom skuteczne działanie. Zbliża się czas wypełnienia proroctwa, czas ostatecznego starcia z Lathenią... Kto ze Strażników okaże się akolitą Chaosu? Kto zdradzi w godzinie najwyższej próby?



Dla mojej siostry Therese, z miłością i podziwem.

*Nim świat wolny stanie się, Niewinny kwiat zgładzony
będzie, W starożytnego Veridianu lesie Dziewięciu twarze
ujawnią się.*

*Gdy prawy przywódca przestanie śnić, Królewskiej
władzy nadejdą dni, Odwieczny wojownik o pradawnej duszy Z
opatrności łaską poprowadzi ich.*

*Ostrożnie dziewięciu, zdrajca nadciągnie Z wojną
goryczy pełną. Wezwani się jednością staną, Zaś nieufność
zrodzi dysharmonię.*

*Błazen obroni, wąpiący cienie rzuci, Młody śmiałek
śmierci serce odda swe, A nikt nie zwycięży w walce Aż
zaginiony wojownik powróci.*

*Odważny światłem i mocą wiedziony Z wędrówki końca
będzie zawrócony, A ostatnich wojowników dwóch Przysporzy
radości, ale i koszmarów.*

*Ze środka intrygi jedno się wynurzy, A drugie z nasion zła
utworzy. Dwójka triumfu zasmakuje, Lecz jedno w swej śmierci
go poczuje¹.*

Przeł. Anna Wilk.

Prolog

Spotkanie miało się odbyć w opuszczonym klasztorze, na szczycie starożytnego skalnego monolitu na górze Athos, zewsząd otoczonego urwiskami. Jako pierwsza na miejscu zjawiała się Lathenia, którą, odkąd rozpoczęła walkę o władzę, zwano Boginią Chaosu. Towarzyszyli jej wierny wojownik Marduk i zaufany mag Keziah. Umowa była prosta: żadnej broni i tylko dwóch sprzymierzeńców po każdej ze stron. To spotkanie, zorganizowane z inicjatywy Lorian, miało na celu zawarcie pokoju, osiągnięcie przez brata i siostrę porozumienia, które pozwoliłoby zapobiec przepowiadanej finałowej bitwie, która zniszczyłaby życie na Ziemi w obecnym kształcie.

Noc była czarna, wichura wyła w wąwozach. Lorian pojawił się u stóp monolitu w obstawie członków Try-

bunału, lorda Penbarina i lady Arabelli. Był z nimi ktoś jeszcze.

Owinięci w grube i ciepłe peleryny, nieśmiertelny i jego towarzysze wspinali się mozolnie, krok po kroku, po dwustu siedemdziesięciu dwóch śliskich stopniach z oblodzonego kamienia.

Lord Penbarin przyspieszył, ostrożnie stawiając kroki, i zrównał się z Lorianem.

- Nie mogę się oprzeć podejrzeniom, panie, że w tym spotkaniu kryje się więcej, niż twoja siostra pozwala nam przypuszczać. - Jego spojrzenie pobiegło do trzeciego towarzysza tej wyprawy.

Lorian zatrzymał się, a pozostała trójka poszła w jego ślady i spojrzała w górę.

- A ty, lordzie Penbarinie, jak zwykle jesteś przesadnie cyniczny.

Lord Penbarin skrzywił się lekko, wiedząc, że Lorian powiedział prawdę.

Wiatr jeszcze mocniej zaciął śniegiem, a oczy Lorian na moment spoczęły na trzecim towarzyszu. Uśmiechnął się sucho i skinął mu głową.

-Jak długo potrwa to spotkanie, milordzie? — zapytała lady Arabella.

Lorian przeniósł na nią spojrzenie, a chociaż jej twarz była niemal całkowicie ukryta w cieniu nasuniętego głęboko kaptura, nieśmiertelny z trudem oderwał od niej wzrok. Uniosła głowę i odwzajemniła spojrzenie, a Lorian po raz milionowy w ciągu tysiąca lat pomy-

ślał, jak jeszcze znajduje siłę i determinację, aby pozostać istotą bezpłciową. Był tym już znużony - musiał poświęcić tak wiele na rzecz bycia sprawiedliwym i bezstronnym władcą.

W końcu stanęli przed wykonaną z drewna cyprysowego bramą klasztorną. Wieki zaniedbania sprawiły, że deski były poczerniałe i przegniłe. Wrota otworzyły się ze skrzypnięciem. Zaaferowana służba, zatrudniona specjalnie na tę okazję, zaprosiła szacownych gości do środka. Wewnątrz owionęło ich ciepłe powietrze. Tylko Lorian, niewrażliwy na mróz i gorąco, pozostał obojętny na tę zmianę.

Kręte kamienne schody po lewej stronie skierowały spojrzenia nowo przybyłych na wyższe piętro, skąd obserwowała ich Lathenia. Lorian skinął głową w jej kierunku. Ich umysły spotkały się i starły w szorstkim powitaniu. Bogini zeszła na dół. Biała suknia rozwiewała się za nią, purpurowa szarfa w pasie podkreślała szczupłą figurę, a długie palce prześlizgiwały się elegancko po poręczy.

Marduk i Keziah trzymali się w odpowiedniej odległości za nią. To ich pani znajdowała się w centrum uwagi, to ona była przyczyną tego spotkania. Oni, mimo wszystko, pozostawali tylko jej unizonymi sługami, o czym nie omieszkała im przypominać.

- Bracie... — odezwała się, kiedy stanęła przed Lorianem.
— Czy może... Skoro nie jesteś ani mężczyzną, ani kobietą, być może powinnam cię nazywać

jakimś innym słowem? - W tym momencie spojrzała przelotnie na lady Arabellę, tak szybko, że nikt inny w komnacie tego nie zauważył.

Lorian machnął lekceważąco ręką, a w jego głosie zabrzmiały irytacja i lekkie znużenie.

- Jako że najwyraźniej trudno ci pojąć koncepcję bezstronności w odniesieniu do płci, możesz zwracać się do mnie w rodzaju męskim, tak jak zezwoliłem na to innym dla ich wygody.

- Cóż za szkoda - prychnęła. - Z wielką przyjemnością mówiłabym do ciebie „ono”.

Lorian popatrzył jej głęboko w oczy. Lathenia jako pierwsza odwróciła spojrzenie, przenosząc wzrok na lorda Penbarina, a potem, na krótko, na lady Arabellę. Chociaż nie mogła nie zauważyć, że jej brat przyprowadził jeszcze jedną osobę, postanowiła zignorować nieproszonego gościa - przynajmniej na razie.

— Dawno się nie widzieliśmy, milordzie, milady.

— Cóż za pech, że w ogóle musimy się spotykać — odparł drwiącym tonem lord Penbarin.

Lekkie uniesienie ramion Lathenii było jedyną oznaką, że zniewaga do niej dotarła. Jej twarz pozostawała obojętną maską. Celowo zatrzymała wzrok na trzecim sprzymierzeńcu brata. Jak na rozkaz zakapturzona postać wystąpiła naprzód. Pierwszą rzeczą, jaką zauważyła Bogini, były przenikliwe błękitne oczy. Dreszcz przebiegł jej po kręgosłupie, poruszając każdą kostkę, kiedy dotarło do niej wrażenie dostojeństwa bijące

od stojącego przed nią mężczyzny. Bez wątpienia był członkiem Trybunału, ale nie potrafiła go rozpoznać. Przyszpiliła zimnym spojrzeniem brata i bezskutecznie spróbowała ukryć zaskoczenie i zaciekawienie.

— Umawialiśmy się na dwoje sprzymierzeńców! Kim jest ten intruz?

Lorian zauważył reakcję siostry, ale ukrył ogarniającą go satysfakcję. Dokładnie na to liczył. Skinął ręką, przywołując zakapturzonego mężczyznę.

— Pozwól, że przedstawię ci byłego króla Anglii, Ryszarda II. — Lorian poczekał, aż jego słowa dotrą do siostry. — Obecnie można go nazywać Ryszardem, królem... Veridianu.

Cofnęła się o krok.

— Veridian ma króla? - Uniosła smukłą dłoń na wysokość obojczyka.

Lorian nie powiedział ani słowa. Nie musiał. Wszyscy obecni wiedzieli, że teraz, gdy Veridian miał swojego władcę, Trybunał był w pełnym składzie, a Straż miała stać się silniejsza niż kiedykolwiek wcześniej.

— Pani... — Król Ryszard skłonił się głęboko przed oszołomioną Boginią. — Jestem... zaintrygowany, mogąc cię poznać. Z niecierpliwością będę oczekiwał kolejnych spotkań.

Ich oczy spotkały się na moment, podczas którego Lathenia zdołała zebrać myśli. Król Ryszard zrobił na niej wrażenie pod wieloma względami. Lorian cieszył się tym w skrytości ducha, podczas gdy Marduk,

doskonale świadomy nagłego zainteresowania jego pani tym nieznanym, chrząknął przez nos przypominający świński ryj. Zmieniony fizycznie po wcześniejszym pobycie w międzyświecie, Marduk wypadł z łask Bogini.

Ten wyraz niezadowolenia wystarczył, żeby obudzić czujność Lathenii, chociaż z wysiłkiem zdołała stłumić swoje emocje, zanim zostały publicznie przeanalizowane. Westchnęła, wyraźnie tracąc zainteresowanie.

- Zobaczmy, milordzie. - Gwałtownie podniosła wzrok i ruszyła w kierunku schodów, ignorując gęstą, duszną atmosferę.

Służący zaprowadzili członków Trybunału do obszernej komnaty o kamiennych ścianach, oświetlonej setkami świec. Na jej środku stał stół zrobiony w całości z kryształu i siedem dopasowanych do niego krzeseł, sprowadzonych z pałacu Lathenii specjalnie na tę okazję.

Lorian zauważył siedem siedzisk, ale nie powiedział ani słowa. Z pewnością nie mogła się spodziewać króla Ryszarda! Inna rzecz, że obecnie nie zaskoczyłoby go już nic, co mogłaby zrobić jego siostra.

Cała siódemka zajęła miejsca przy stole, Lathenia i Lorian zasiedli naprzeciwko siebie. Na dłuższą chwilę zapadła cisza, a król Ryszard, najmłodszy stażem członek Trybunału, zaczął się zastanawiać, czy nie rozmawiają bez jego wiedzy - niedawno przekonał się, że jest to możliwe. Miał nadzieję, że tak nie będzie, to

byłaby z ich strony niesłychana arogancja. Ostatecznie po co właściwie mieli tu być pozostali, jeśli nie po to, aby stać się świadkami spotkania?

Lorian spojrział w jego stronę, a król Ryszard momentalnie pożałował niewypowiedzianych na głos myśli. Ale wzrok Loriana szybko złagodniał, nieśmiertelny niemal niedostrzegalnie skinął głową.

- Masz całkowitą rację, mój panie.

Król Ryszard mruknął cicho na potwierdzenie, przysięgając sobie, że od tej pory będzie lepiej kontrolował własne myśli. Musiał się jeszcze wiele nauczyć.

— Myślałem o tym — ciągnął Lorian, zwracając się do króla Ryszarda — co powiedzieliby moi rodzice, gdyby jeszcze żyli.

— Też coś! — Lathenia machnęła ręką. — Natomiast ja rozmyślałam o tym, że mój brat ostatnio sprawia wrażenie niezwykle melancholijnego. Zabawna oznaka słabości.

- Tak się składa, Lathenio, że nieśmiertelny może zginąć tylko z rąk innego nieśmiertelnego.

Srebrne oczy Lathenii na moment przybrały barwę obsydianu, a jej długie palce uderzyły o blat stołu.

— Grozisz mi, bracie?

Lorian sprawiał wrażenie rozbawionego dramatycznym gestem siostry. Ich rodzice kochali się i walczyli ze sobą tak żąrcie, że ostatecznie zabili się nawzajem w chwili gniewu.

- Uważasz, że bawi mnie śmierć naszych rodziców?

Lathenia milczała, ale jej milczenie z jakiegoś powodu zaniepokoiło Lorianą.

— Czy wiesz o śmierci rodziców coś, czego nie wiem?

— Nie. Byłeś przy tym.

- Tak, widziałem, jak trzymają ostrza przy swoich gardłach. Ale kiedy zjawiłem się po wszystkim, byłaś tam przede mną.

- Przyszłam kilka sekund wcześniej.

— Wiele może się zdarzyć w ciągu kilku sekund odmierzanych przez nieśmiertelnego — rzucił oskarżycielsko.

Lathenia przybrała postawę obronną i szybko zmieniła temat.

- Posłuchaj sam siebie! To ja powinnam zadawać pytania. Pytania o naszego brata. Jesteś bardziej przebiegły niż pozwalasz sądzić swoim poplecznikom. — Popatrzyła kolejno na członków Trybunału. - W ogóle go nie znacie. To nie jest ten szlachetny Lorian, któremu ufacie. To on zamordował naszego brata! — Zwróciła wzrok na Lorianę. - Dartemis nie stanowił dla ciebie zagrożenia. Ja je stanowiłam! Dlaczego więc zgładziłeś niewinne dziecko?

Lorian przypominał sobie, że Dartemis nigdy nie był „niewinnym dzieckiem”, lecz najmłodszym i najpotężniejszym z trójki rodzeństwa. Musiał go przenieść do innego świata, dla jego własnego dobra. Do świata, gdzie do dzisiaj pozostawał żywy i zdrowy, w którym nawet jego chciwa siostra nie potrafiła wyczuć życia.

I tam właśnie miał pozostać, wykorzystując swoje moce - jako władca, mag i wiele, wiele więcej.

Lorian przywołał w pamięci dzień, w którym zobaczył brata używającego magii - niezwykle potężnej i niespotykanej magii. Zrozumiał wtedy, że mając talent Dartemisa na wyciągnięcie ręki, Lathenia stanie się zbyt potężna.

Ale teraz były pilniejsze sprawy: trzeba było zażegnać ten konflikt bez uciekania się do wojny.

Pozwolił, żeby ta ostatnia myśl dotarła do wszystkich w komnacie, szybko przykuwając z powrotem ich uwagę. Lathenia skrzywiła się.

- Co się z tobą dzieje? Jesteś bardziej melancholijny niż przypuszczałam. Gdybym nie znała cię tak dobrze, powiedziałabym, że się zakochałeś.

Jej słowa rozgniewały Lorianą.

- Nie jestem takim głupcem, by pozwolić, aby choćby cień miłości wpłynął na mój osąd!

Zapadła cisza, a Lathenia zmagala się z chęcią spojrzenia na lady Arabellę.

Splątane emocje wypełniały komnatę. Lady Arabella nie ośmielała się podnieść głowy i lustrowała wzrokiem lodowato błękitne żyłki przeświecające przez bladą skórę jej dłoni, podczas gdy lord Penbarin gapił się przez stół, jakby pierwszy raz w życiu widział pozostałych członków Trybunału.

Gardłowy, chropowaty głos Marduka przerwał milczenie i rozładował atmosferę.

- To spotkanie jest stratą czasu. Nie rozwiążemy tu żadnego problemu. Niczego nie da się rozstrzygnąć bez wojny, takie są prawa wszechświata.

- Czy słowa Marduka są prawdziwe, siostrze? - zapytał Lorian. - Czy nie ma nadziei na pokój między nami?

Lathenia popatrzyła znacząco na brata.

- Pokój może być tylko tam, gdzie panuje sprawiedliwość, a ty uzurpujesz sobie władzę.

- Czy muszę ci przypominać, że spośród naszej trójki to ja przyszedłem na świat jako pierwszy?

- Tak twierdzisz — sprzeciwiła się Lathenia. — Ale to powinnam była być ja!

Zerwała się z miejsca wyprostowana i sztywna z wściekłości, z oczyma płonącymi jak węgle.

- Marduk ma rację. To spotkanie jest bezcelowe. Tylko siłą będę mogła dojść sprawiedliwości. To ja powinnam władać wszystkimi światami i zdobędę je!

- Siostrze, żadne z nas nie włada światami — odparł spokojnie Lorian. - Ludzie rządzą się sami. Mają wolną wolę i sami wybierają swoje przeznaczenie. Dopóty, dopóki istnieją śmiertelnicy, jesteśmy tylko ich opiekunami.

- To się zmieni.

Ramiona Loriany zeszywniały, on także podniósł się z miejsca. Spojrzenia zebranych w komnacie biegły od jednego rozgniewanego bóstwa do drugiego.

- Nie możesz zmienić tego, co być powinno - syknął Lorian. - Marduk mówił o prawach wszechświata, ale ja mówię o prawach życia.

— Moim celem jest połączenie światów - oznajmiła Lathenia. — I osiągnę to.

— Ależ to by była katastrofa! - W głosie Lorian brzmiała zgroza. - Ludzie by się... zmienili. Samo ich istnienie zostałoby zagrożone dominacją istot pozbawionych duszy. To, co niepojęte, stałoby się rzeczywistością, a z czasem zatarłaby się granica między śmiertelnością a śmiercią.

Milczenie Lathenii sprawiło, że Lorian zrozumiał pokłady determinacji drzemiące w jego siostrze. Po raz pierwszy w swym długim życiu poczuł ukłucie autentycznego strachu, który szybko przemienił się w gniew.

— Nie możesz tego zrobić — wyszeptał głosem, który sprawił, że włoski na szyi lorda Penbarina zjeżyły się.

— Nie pouczaj mnie, Lorianie - Lathenia uniosła rękę, wskazując długim palcem wąską szczelinę w suficie. - Oto co myślę o twoich mediacjach pokojowych.

Sklepienie zaczęło się kruszyć. Ogromne bryły kamienia i cegły wystrzeliły w niebo, a za kolejnym skinieniem dłoni Lathenii sufit zniknął całkowicie w gwałtownej zamieci śnieżnej.

— Co ty wyprawiasz? — w fioletowych oczach Lorian zalśnił niepokój.

Lathenia nie odpowiedziała, unosząc wzrok ku zadymce. W blasku błyskawicy i huku gromów grube chmury zawirowały i zaczęły się rozpraszać. W kilka chwil zawierucha ucichła, odsłaniając nocne niebo, na którym migotały miliony gwiazd.

Ale Lathenia jeszcze nie skończyła, Lorian o tym wiedział. Nie odrywał wzroku od wspaniałego nocnego nieba. Świetlnemu wybuchowi towarzyszył syk, który szybko przemienił się w raniący uszy świst. Sprawił, że śmiertelnicy padli na ziemię na ułamek sekundy przedtem, nim spadający kawał skały eksplodował nad ich głowami.

Lady Arabella wrzasnęła i idąc za przykładem króla Ryszarda ukryła się głębiej pod stołem.

Lorian nie poruszył się, ale emanująca od niego moc była niemal namacalną siłą w odsłoniętej komnacie na szczycie urwiska. Nieśmiertelny uniósł wzrok, koncentrując się na intensywnie błękitnej gwiazdzie migoczącej na odległym niebie.

- Oho - zauważył lord Penbarin. - Siedzicie w bezpiecznym miejscu i nie wchodźcie im w drogę. To może być cieką...

Zanim zdążył skończyć, oślepiające światło pomknęło w ich kierunku, a wysoki, jękliwy dźwięk niemal ogłuszył członków Trybunału. Gwiazda rozprysła się w atmosferze, a na komnatę spadł deszcz żaru, światła i płonących odłamków.

Służący wysypali się z klasztoru, zatykając uszy i lamentując, że niebo spada na Ziemię. Uciekali w dół zbocza jak mrówki, tak szybko i tak daleko, jak to było możliwe.

W ciągu kilku minut na Ziemię spadł najbardziej olśniewający deszcz meteorów, jaki kiedykolwiek mo-

gli obserwować ludzie. Jeden z meteorytów eksplodował tak blisko, że cały skalny monolit zadrżał, a ściany klasztoru zaczęły pękać po jednej stronie. Lorian popatrzył na siostrę z obrzydzeniem.

- Czy nie szanujesz żadnego życia poza swoim własnym?
Wzruszyła ramionami.

Inny meteoryt przemknął niemal poziomo po niebie, aby rozbić się na odległym lądzie.

-To było Angel Falls! - Lorian z wściekłością spojrzał na siostrę.

- Doprawdy? Boisz się utraty kilku żołnierzy?

- Nie pomyślałaś o własnych żołnierzach, którzy tam mieszkają?

- Mogę zaryzykować życie kilku z nich, aby oglądać śmierć twojej elity.

Lorian patrzył na nią przez chwilę i z odrazą.

- Posuwasz się za daleko.

- Pamiętaj, bracie, że zawsze jestem gotowa posunąć się o krok dalej niż ty.

Nie odpowiedział, a ci, którzy ukryli się pod stołem, podnieśli się na tyle, żeby zobaczyć, co planuje. Lorian nie poruszył się, zamknął tylko oczy. Lady Arabella popatrzyła na lorda Penbarina. Nigdy nie widziała ich władcy tak skoncentrowanego i rozwścieczonego. Lord Penbarin wzruszył nieznacznie ramionami i obserwował, jak jego pan i mistrz zaczyna emanować wewnętrznym światłem i lekko drżeć.

Oczy Lathenii spoczęły na Keziahu, starym, zaufanym magu. Ale nawet Keziah, który żył na tym świecie od tak dawna, nigdy nie widział niczego podobnego. Potrząsnął głową.

- Nie wiem, wasza wysokość.

- Bracie? — spytała. — Co zamierzasz?

W końcu światło emanujące z ciała Lorianana osłabło, drżenie uspokoiło się, a on opadł na miejsce. Było oczywiste, że cokolwiek robił, dokonało się. Inni patrzyli w niebo, ale lord Penbarin nie odrywał wzroku od swojego pana. W końcu Lorian uświadomił sobie, gdzie się znajduje. Otworzył oczy i napotkał spojrzenie lorda Penbarina. Pokazał mu w myślach, czego dokonał, a lord Penbarin odetchnął gwałtownie. Przez moment zastanowił się, ile to będzie kosztować jego władcę, ale już się stało - pozostawało tylko czekać na konsekwencje.

Lady Arabella popatrzyła na lorda Penbarina w poszukiwaniu odpowiedzi. Obawiając się, że usłyszy go Bogini, przesłał jej tylko pojedynczy strzęp myśli. ... *Wezwani*.

Rozdział 1

Rochelle

Szkoła zmieniła się. Przy bramie stali ochroniarze, nie nosiliśmy mundurków, a na ziemi leżało pełno śmieci. Zupełnie jakby nikomu już nie zależało - na szkole, na klasach ani nawet na sobie samym. Wiedziałam o tym, ponieważ słyszałam myśli kolegów. Zanim nauczyłam się to kontrolować, docierały do mnie wszystkie myśli i omal nie oszalałam. Pewnego dnia w mojej głowie ni stąd, ni zowąd zaczęły bezustannie rozbrzmiewać głosy. Byłam naprawdę zmęczona i nie dawałam sobie z tym rady. Byliśmy zebrani w sali gimnastycznej, ja stałam na samym środku i poczułam, że muszę natychmiast stąd wyjść. Wybiegłam z sali. Nie zatrzymałam się, dopóki nie wpadłam do graniczącego ze szkołą lasu. Tak naprawdę chciałam zacząć krzyczeć i powiedzieć im

wszystkim, żeby stulili pyski. Nawet teraz myśli, które przypadkowo słyszałam, potrafiły mnie zaszokować. Ludziom zdarzało się myśleć okropne rzeczy nawet o swoich najlepszych przyjaciółach.

Autobus podjechał pod bramę szkoły, ale ja czekałam, aż pozostali wysiądą, wyglądając przez okno. Z pulsującą w uszach muzyką nie zauważyłam, kiedy autobus opustoszał. Spostrzegłam, że kierowca obserwuje mnie w tylnym lusterku. Kiedy zobaczył, że patrzę na niego, uniósł brwi. Spieszył się. Prawdopodobnie skończył już zmianę i nie mógł się doczekać, aż pójdzie do pubu. Jasne, było dopiero wpół do dziewiątej rano, ale życie bardzo się zmieniło. Wiele z dawnych zasad już nie obowiązywało.

- Hej, mała, wysiadasz?

Wyciągnęłam słuchawki z uszu i schowałam odtwarzacz CD. Kiedy wkładałam go do plecaka, pozwoliłam, żeby myśli kierowcy dotarły do mojego umysłu. *Hm, to chyba córka Thallimarów? Jej ojciec siedzi za morderstwo. Lepiej jej nie drażnić... Chociaż w sumie ma niezłe...*

- Znajdź sobie jakieś hobby — przerwałam jego myśli i szybko wysiadłam z autobusu.

Pozostali byli już w szkole: Ethan, Matt i Isabel. Od czasu powrotu ze świata podziemnego stali się sobie naprawdę bliscy. Zupełnie jakby to, czego tam doświadczyli, stworzyło między nimi więź. Naprawdę silną więź. Teraz, kiedy nie spotykałam się już z Mat-

tem, a mój kumpel Dillon zniknął, nie miałam żadnego towarzystwa. Nawet ta nowa dziewczyna, Neria, ostatnio spędzała większość czasu z nimi.

Zeszłam po schodach i zaczekałam, aż jeden z dwóch ochroniarzy sprawdzi mój plecak. Poprosił, żebym opróżniła kieszenie džinsów. Kiedy byłam tym zajęta, Matt popatrzył w moją stronę. Poczułam falę skłębionych emocji. Nie mógł przecież być nadal wściekły o to, co mu zrobiłam? Kochał mnie, podczas gdy ja udawałam, że go kocham, bo była to część planu zemsty Marduka. Gdyby przeproszenie go tysiąc razy mogło cokolwiek zmienić, zrobiłabym to.

Ethan spojrział w tę samą stronę, co Matt, i zauważył mnie. Na moment nasze oczy się spotkały, a obezwładniające uczucie sprawiło, że zdekoncentrowałam się — to się działo często, gdy w pobliżu był Ethan. Jego myśli napłynęły do mojej głowy. Przypominał sobie nasze pierwsze spotkanie, zanim zaczęłam chodzić z Mattem, kiedy to poczuliśmy niesamowitą nić porozumienia. Nić, którą musiałam zerwać. Przynajmniej teraz, kiedy byłam w Straży, nie musiałam już robić takich rzeczy. Najtrudniejszym czekającym mnie zadaniem było zdobycie zaufania pozostałych. Wiedziałam, co myśleli - jak można zaufać zdrajcy? Tylko Arkarian we mnie wierzył. Nigdy nie znałam nikogo tak życzliwego i wyrozumiałego jak on. Isabel miała mnóstwo szczęścia.

Przez chwilę myślałam o tym, żeby do nich podejść i usiąść z nimi. W sumie jak mieli zacząć mi ułać, sko-

ro znali mnie tylko z najgorszej strony? Powiedziałam sobie, że to proste: wystarczy podejść.

Ale coś mnie zatrzymało. Czy dostrzegłam ulgę w ich oczach? Może powinnam podsłuchać ich myśli? Nie! To byłoby naruszenie prywatności, nie zamierzałam tego robić - przynajmniej nie celowo. No naprawdę, przecież nie byli dla mnie obcy. Chodziłam z Mattem. Dlaczego więc musiałam się tak długo namyślać, zanim zrobiłam najmniejszy gest? Wystarczyła odwaga. Rozejrzałam się. Nikt nie patrzył, nawet Isabel, która siedziała z głową w notatkach, pokazując coś Ethanowi. Zrobiłam krok w ich kierunku. Dobra, to nie było takie trudne. Jeszcze jeden i jeszcze jeden. Powiedziałam sobie, że powinnam sprawiać naturalne wrażenie, po czym zbliżyłam się na tyle, żeby słyszeć ich rozmowę.

- Hej. - Isabel podniosła głowę i przywitała się.

- Cześć - odparłam.

Matt zauważył mnie, ale odwrócił wzrok. Przełknęłam ślinę, czując, że słowa grzęzną mi w gardle.

Ethan wstał i podszedł, odprowadzając mnie na stronę. Moje serce dziwnie podskoczyło, jakby próbowało niezgrabnie wepchnąć się do gardła.

- Wiesz, to chyba nie najlepszy pomysł, żebyś tu przychodziła - powiedział.

-Co?

- Jak będziemy się trzymać razem, możemy wzbudzić czyjeś podejrzenia.

-Tak? No tak. Nie zamierzałam z wami siadać. Ja... szukałam Dillona.

Ethan zeszywniał. Dziwna reakcja. Instyktownie otworzyłam umysł na jego myśli. Zauważył, co robię, a jego oczy zwężyły się, zimne i twarde. No świetnie! Miałam ochotę się kopnąć. Jak mieli zacząć mi ufać, skoro uważali, że grzebię im w głowach, kiedy tylko chcę zdobyć informacje?

- Przepraszam, nie chciałam...

- Czytać moich myśli? Czy robić to tak ostentacyjnie?

- To nie fair.

- Prawda? - potrząsnął głową i odwrócił się. Próbowałam się tłumaczyć.

- Sam wiesz, jak czasem trudno jest wyłączyć swoje moce.

Powoli odwrócił się do mnie.

- Słuchaj, nie wiem, jak długo nie będzie Dillona. Przeszedł na stronę Straży, tak jak ty. Jest teraz w trakcie szkolenia, ale słyszałem, że szybko robi postępy, więc jestem pewien, że niedługo dostaniesz w swoje szpony kogoś nowego.

O czym on mówił? Zupełnie jakby interesował mnie Dillon! Nie miał pojęcia, co plecie. Z drugiej strony słowa Ethana były interesujące. Podejrzywałam, że Dillon może być członkiem Zakonu, ale przez cały ten czas, kiedy służyłam Mardukowi, nasze tożsamości były trzymane w tajemnicy.

Profesor Carter pojawił się niespodziewanie i coś powiedział, ale jego słowa przepłynęły koło mnie i rozwiały się w powietrzu.

Ethan także ich nie dosłyszał.

— Mówił pan coś, profesorze?

Nauczyciel uśmiechnął się krzywo i o ile się nie myliłam, ten uśmiech był skierowany do mnie. Ethan uważał dawniej, że profesor Carter go nienawidzi, ale w rzeczywistości nie miał pojęcia, jak to jest czuć przepelnione nienawiścią myśli profesora Cartera wysyłane prosto do swojej głowy. Nie próbował nawet zachowywać się życzliwie i najwyraźniej nie obchodziło go, kto to zauważy. Pracowałam dla wroga, a w oczach profesora Cartera znaczyło to, że nie można mi ufać. Nigdy.

- Co ja wam mówiłem dziś rano? Czy nikt mnie nie słuchał?

Popatrzyłam na niego, nie rozumiejąc.

- Nie, nie ty, Thallimar - powiedział. - Nie było cię tu, prawda?

Neria podeszła i usiadła koło Isabel. Na jej widok profesor Carter praktycznie się rozplynął.

— Może powtórzę ze względu na tych, którzy właśnie dołączyli. Ze względu na... dyskrecję nie zachowujcie się w tak oczywisty sposób jak pięcioosobowa grupa. Jeśli tożsamość jednego z was zostanie odkryta, reszta będzie aż zbyt łatwa dla drugiej strony. - Urwał i spojrzał prosto na mnie. — Będą mogli wyłapać was

jedno po drugim. - Nadal wpatrywał się we mnie. - Czy to jasne?

- Całkowicie - odwarknęłam. Poprawiłam plecak i ruszyłam w swoją stronę, ucieszona jego słowami bardziej niż mógłby to sobie wyobrazić. Wcześniejsza uwaga Ethana nie była próbą obrażenia mnie, ale tą samą przestrogą, którą właśnie powtórzył profesor Carter.

Nie odeszłam daleko, kiedy świszczący dźwięk sprawił, że wszyscy popatrzyli w niebo. Zabrzmiał poranny dzwonek, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi, ponieważ świst zmienił się w upiorny gwizd. Ethan złapał mnie za ramię i popchnął.

- Kryć się!

W polu widzenia znikąd pojawiła się ognista kula, rozpędzona i wirująca. Wszyscy zaczęli wrzeszczeć i biegać w różnych kierunkach. Płomienna kula czy meteor, cokolwiek to, u diabła, było, eksplodowało nagle. Płonący skalny gruz rozsypał się nad szkołą. Niektóre odłamki utkwily w ziemi, wypalając dziury, podczas gdy inne potoczyły się, zostawiając za sobą płomienny ślad.

Ethan zasłonił mnie, kiedy płonący odłamek rozbił się tak blisko, że poczułam, jak żar przypieka mi skórę i przypala włosy. Zanim się zorientowałam, co się dzieje, moje włosy zajęły się ogniem. Ethan spróbował go ugasić gołymi rękami. Złapałam go za nadgarstki, żeby go powstrzymać, ale był silniejszy i nie przerwał,

dopóki nie stłumił całkowicie płomieni. Usiedliśmy. Chciałam obejrzeć jego ręce, ale szybko je schował. Były paskudnie poparzone, czułam zapach spalonego mięsa zmieszany z zapachem moich przypalonych włosów.

- Nic wam nie jest? - Isabel podbiegła do nas z Mattem.

- Ethan ma poparzone ręce - powiedziałam do niej.

Złapała go za ręce i obróciła je. Zamierzała go uzdrowić od razu, na oczach wszystkich! Jak zwykle uczucia Isabel brały górę nad rozsądkiem. Niektórzy nazywali to odwagą. Kiedyś wpakuje się przez to w kłopoty.

- Nie tak ostentacyjnie - rzuciłam.

- Wolałabyś, żebym go zostawiła, żeby cierpiał? - warknęła. Popatrzyła na moje włosy, przypalone z jednej strony. — Przecież zrobił to dla ciebie.

Gdybym tylko nie była tak doskonale świadoma spojrzenia Ethana... Nie odważyłam się zastanawiać, o czym myśli. Mój umysł czasem uruchamiał się automatycznie i bezwiednie zaczynałam podsłuchiwać. W tym momencie nie chciałam wiedzieć. Prawdopodobnie myślał, że jestem zimna, bez serca i cieszę się z tego, że on cierpi.

Kilka sekund dotyku Isabel wystarczyło, żeby czerwona i pokryta pęcherzami skóra na rękach chłopaka zaczęła się goić i wygładzać. Potrząsnął lekko dłońmi i podziękował jej, co przypomniało mi, że ja nie podziękowałam mu jeszcze za ugaszenie moich włosów

ani za wypchnięcie mnie z toru lotu tego płonącego kosmicznego śmiecia.

To dziwne, ale - zupełnie jakby usłyszał moje myśli - odezwał się, kiedy podniosłam głowę.

- W porządku. Po prostu byłaś w tym momencie najbliżej. Zrobiłbym to samo dla Cartera, gdyby stał na twoim miejscu.

Rozejrzałam się wokół. Szkolny dziedziniec był w okropnym stanie, tu i ówdzie coś się jeszcze paliło, ale o dziwo tylko jedna sala została uszkodzona - ta w budynku D. Mimo wszystko ludzie nadal wrzeszczeli. Dwóch ochroniarzy i pół tuzina nauczycieli biegało od jednego ucznia do drugiego, sprawdzając, czy nikt nie został poważnie ranny. W oddali słychać było syreny, co oznaczało, że ktoś w pokoju nauczycielskim musiał już zadzwonić po pomoc.

- Popatrzcie tylko - odezwała się Isabel oszołomionym głosem.

Całe niebo od jednego do drugiego krańca horyzontu rozjaśniały płonące smugi spadających gwiazd. To był deszcz meteorów, oślepiająco jasny nawet w ostrym porannym słońcu. Widok był po prostu niesamowity, wszyscy patrzyli w górę jak urzeczeni.

A potem jeden z meteorytów poleciał w naszą stronę i znowu rzuciliśmy się w poszukiwaniu schronienia. Eksplodował wystarczająco wysoko w atmosferze, żeby spłonąć, zanim uderzył w Ziemię, ale spowodował jaskrawy rozbłysk światła wprost nad naszymi głowami.

Nauczyciele zaczęli organizować powrót uczniów do domu. Niektórzy czekali przed pokojem nauczycielskim, żeby zadzwonić do rodziców, inni wyciągnęli komórki. Dało się słyszeć pierwszą syrenę wozu strażackiego. W tym momencie uświadomiłam sobie, że część budynku D zdążyła się spalić do fundamentów!

Kolejny błysk i świst nad głowami sprawił, że wszyscy wrzasnęli. Tym razem towarzyszyła mu seria gwałtownych wybuchów gorącego gazu. Profesor Carter podbiegł, łapiąc nas za ręce i popychając przed sobą.

- Biegnijcie w góry. Powiedzcie Arkarianowi, co się wydarzyło. Może będzie coś o tym wiedział.

- Muszę zostać - odezwała się Isabel. - Mogę pomóc, jeśli ktoś został ciężiej ranny.

- Nie! - wrzasnął profesor Carter. - Nie możesz ryzykować ujawnienia swoich mocy, Isabel. Poza tym pomoc lekarska jest już w drodze. Karetki pogotowia niedługo tu będą.

- Profesorze, nie mogę zostawić kogoś rannego, jeśli jestem w stanie mu pomóc. Trybunał zrozumie. Obiecuję, że będę uważać i nie zdradzę swojej tożsamości.

Profesor Carter popatrzył na Matta, a potem na Ethana.

- Zabierzcie stąd Isabel, nawet gdybyście musieli ją związać i wlec za sobą.

Ethan i Matt wymienili rozbawione spojrzenia.

- A co z Nerią? - zapytał Matt. — Ile ona wie? Czy powinniśmy ją z nami zabrać?

Profesor Carter zmarszczył brwi.

- Powinna wrócić do domu. Zanim zadzwonię po jej ochronę, żeby po nią przyjechali...

- Ja się nią zajmę - zaproponowałam. - Dopilnuje, żeby wróciła bezpiecznie do domu.

Profesor Carter patrzył na mnie nieco zbyt długo. Nie próbowałam nawet czytać jego myśli. Emanowała z niego widoczna dla wszystkich wrogość.

- No dobrze - zgodził się niechętnie. Mieliśmy właśnie ruszać, kiedy kolejny świszczący

dźwięk sprawił, że znowu spojrzeliśmy w niebo.

- Patrzcie! — krzyknął Matt. Tym razem meteoryt przemknął gwałtownie, zostawiając za sobą smugę ognia. - Leci na nas!

- Jazda stąd! — wrzasnął profesor Carter. - Wszyscy uciekać!

Meteoryt w ciągu zaledwie kilku sekund obniżył wysokość lotu o kilka tysięcy metrów. Wydawał się nieprawdopodobnie blisko, kiedy eksplodował, rozpryskując się nad naszymi głowami. Płonące kawałki skały spadały jak kule armatnie, zmiatając wszystko, co znalazło się na ich drodze. Drzewa przewracały się, ogrodzenie upadło, kilka samochodów na parkingu po prostu wyparowało. Rozglądałam się w poszukiwaniu bezpiecznego miejsca, kiedy usłyszałam niedaleko potworny wrzask. Obróciłam się i zobaczyłam

profesora Cartera do połowy zagrzebanego w ziemi, z nogami przygniecionymi bryłą zniekształconej, dymiącej skały.

Podbiegłam, żeby zobaczyć, czy mogę coś zrobić. Skała nie paliła się, ale promieniujący z niej żar trzymał mnie na dystans. Przybiegli Matt i Ethan, ale temperatura także ich zatrzymała w miejscu. Obaj wyglądali na zszokowanych. Profesor Carter był w okropnej sytuacji.

Ethan i Matt zdjęli kurtki. Owinęli nimi ręce i razem spróbowali zepchnąć głaz, ale był zbyt ciężki, a gorąco zbyt silne. Jak profesor Carter mógł to wytrzymać?

- Potrzebny nam dźwig! - krzyknął Ethan. Pomyślałam, że zanim dotrze tutaj tego rodzaju sprzęt, będzie już za późno.

Zbliżyły się Isabel i Neria, obie oszołomione.

- Sprowadzę strażaków - zaproponowała Neria. -Będą wiedzieli, co robić.

Ciężko ranny nauczyciel próbował mimo wszystko odpedzić Ethana i Matta. Umierał i musiał o tym wiedzieć.

- Nie zostawimy pana! - Isabel uklękła przy nim. Zamierzała spróbować go uzdrowić, ale jak mogła to zrobić, skoro głaz wciąż przygniatał mu nogi? Wymieniła spojrzenia z Ethanem. - Zdejmij to z niego! Szybko!

Profesor Carter złapał ją za ramię.

- Przestań, Isabel - zdołał wyszeptać, tłumiąc jęk. -Zapomnij o tym, co tu widziałaś. Musicie uciekać. Wy-

dostańcie się stąd! - Odwrócił głowę do Matta i Ethana, błagając ich wzrokiem. - Zabierzcie Isabel i uciekajcie!

Neria wróciła z dwoma strażakami, którzy szybko ocenili sytuację. Jeden z nich pobiegł do wozu po jakiś sprzęt. Drugi zaczął coś mówić przez przyłączone do kołnierza radio, domagając się natychmiastowego wsparcia i ciężkiego sprzętu. Potem kazał się wszystkim odsunąć, wliczając w to inną nauczycielkę, potwornie przerażoną profesora Burgess. - Wszystko będzie dobrze, Marcusie! - zawołała. Isabel nie ruszyła się z miejsca. Strażak nalegał, więc Ethan i Matt musieli ją odciągnąć. Dwóch sanitariuszy starało się pomóc profesorowi-Carterowi, ale w milczeniu wymieniali między sobą spojrzenia pozbawione nadziei.

W końcu przyjechał sprzęt i drużyna ratowników zabrała się do roboty. Niebawem odłamek meteorytu został zabezpieczony i przygotowany do podniesienia. Dźwig naprężył się, ale nic nie drgnęło. Głaz był zbyt ciężki.

Isabel chciała podbiec, ale profesor Carter, osłabiony utratą krwi, szokiem i ciężkimi oparzeniami, przeszył ją ostrzegawczym spojrzeniem, a Ethan odciągnął ją z powrotem. Matt przypomniał jej, że musi nad sobą panować.

- Matt, on jeszcze żyje! Jak tylko ten głaz zostanie podniesiony, będę mogła go uzdrowić - syknęła. - Ale muszę być dostatecznie blisko, żeby go dotknąć.

Zupełnie jakby cen dzień nie dał nam jeszcze dostatecznie w kość, na niebie pojawiło się złote światło. Rosło i lśniło, spływając w naszym kierunku. W ciągu kilku sekund ogarnęło mnie, ogrzewając i drażniąc, przeniknęło każdą komórkę mojego ciała. Zadrzałam, niezdolna wypowiedzieć choćby słowa, i zastanowiłam się nad sytuacją. Co to mogło być?

- Co tam się dzieje? - zawołała profesor Burgess na widok otaczającego nas światła.

Drżenie trwało jeszcze kilka sekund, a potem światło nagle znikło, a ja opadłam na kolana. Usiłowałam złapać oddech i odzyskać panowanie nad sobą. Uświadomiłam sobie, że coś unosi się w powietrzu.

Kiedy wstawałam, bezwiednie poczułam trawę pod palcami. W moich dłoniach krył się szczególny talent: miałam zdolność analizowania przedmiotów za pomocą dotyku. Potrafiłam określić strukturę substancji chemicznych, skał, metalu i gleby. Ale w tym momencie moje dłonie wyczuwały znacznie więcej. Poczułam, że mogę w jakiś sposób „zobaczyć” strukturę ziemi na głębokość kilku kilometrów. Zupełnie jakby w moim mózgu działało automatyczne nastawianie ostrości, przybliżające obraz wideo poprzez warstwy skał.

Potem usłyszałam głosy. Miałam wrażenie, że są ich setki! Rozejrzałam się po szkolnym dziedzińcu, ale w pobliżu było najwyżej dwadzieścia osób. Starłam się odizolować, ale bezskutecznie. Jakaś dziewczyna krzyczała w moich myślach. Miała poparzoną nogę,

a ból sprawiał, że myślała, iż zaraz umrze. Zasłoniłam uszy rękami, ale głosy nie cichły. Słyszałam nawet myśli strażaków wciąż usiłujących ugasić ogień w klasie na drugim końcu szkoły.

Usiadłam na piętach i zastanowiłam się, co się ze mną stało. Zupełnie jakby moje moce stały się silniejsze. Jak miałam sobie z tym poradzić? Spróbowałam się skoncentrować i uspokoić własne myśli na tyle, żeby zacząć kontrolować te głosy.

W tym momencie zobaczyłam Isabel. Z nią także działo się coś dziwnego. Promienie wokół niej dopiero teraz zaczęły się rozpraszać. Ratownicy i profesor Burgess, niedotknięci przez to światło, patrzyli na nas, jakby wyrosły nam po trzy głowy.

— Nic wam nie jest? Cała wasza piątka uniosła się w powietrze — zawołał jeden ze strażaków. Potrząsnął głową. - Co za koszmarny dzień.

Ethan skinął głową, żeby ich uspokoić, chociaż nadal wyglądał na oszołomionego. Ale to Isabel wyglądała najdziwniej, jej spojrzenie było dalekie i nieobecne. Spróbowałam wyłowić jej myśli spośród innych bombardujących mój umysł. Na moment mi się to udało, ale w jej głowie było w tym momencie zbyt dużo mocy. Poczułam dziwne brzęczenie, jakby szok elektryczny, i wycofałam się.

Nagle głaz przygniatający nogi profesora Cartera uniósł się. Kiedy ratownicy medyczni podeszli, żeby przenieść go na nosze, zrozumiałam, co się dzieje.

Pierwszą oznaką były okrzyki zdumienia sanitariuszy. Mówili, że ziemia wokół nóg profesora Cartera musiała się zapaść przy uderzeniu, tworząc rodzaj poduszki. Inny sanitariusz dodał, że to cud i że powinien już nie żyć albo przynajmniej zostać sparaliżowany. Ale profesor Carter nie był ani martwy, ani sparaliżowany. Nie był nawet poparzony, chociaż jego spodnie zmieniły się w spopielone strzępy. Był tylko wstrząśnięty i gdyby to nie zwróciło nadmiernej uwagi otoczenia, mógłby po prostu wstać i pójść do domu. Wiedział jednak, że nie może tego zrobić. Isabel go uzdrowiła. Cokolwiek to złote światło zrobiło ze mną, miało wpływ także na nią, a sądząc po spojrzeniu Ethana, na niego również. Nawet Neria wyglądała dziwnie, trochę niepewnie.

Profesor Burgess podbiegła do profesora Cartera. Zanim się przy nim znalazła, skinął głową Isabel, a w jego spojrzeniu były podziw i wdzięczność.

Uśmiechnęła się do niego, chociaż miała szkliste oczy.

— Nic panu nie będzie - powiedziała bezgłośnie. Isabel uzdrowiła profesora Cartera, nie dotykając go

nawet palcem. Uleczyła go na odległość! Niewielką, ale jednak.

Ethan podszedł i wziął mnie za rękę, odwracając je delikatnie. Spuściłam wzrok i zobaczyłam je po raz pierwszy. Odetchnęłam gwałtownie.

— Czy to boli? — zapytał.

Odebrało mi mowę, nie mogłam oderwać wzroku od własnych rąk. Różnobarwne błyski przebiegały po nich jak małe wyładowania elektryczne.

- Czuję mrowienie. Co się z nimi stało? Myślisz, że takie zostaną?

Wzruszył ramionami.

-Jedno jest pewne: będą przyciągać uwagę. Miał rację. Wyrwałam mu ręce i schowałam je do kieszeni płaszcza.

- Co się z nami stało?

- Nie mam pojęcia.

- Co się u ciebie zmieniło?

- Ci ratownicy nie mieli szans podnieść tego głazu nawet z pomocą całego swojego sprzętu - powiedział cicho Ethan. - Nie wiem, z czego jest zrobiony, ale jest cięższy niż jakakolwiek skała czy minerał na Ziemi.

- Ty go podniosłeś? Skinął głową.

- Kiedy to światło nas otoczyło, poczułem... nie wiem, poczułem, jakby wlała się we mnie fala mocy. Poczułem się silniejszy. Spróbowałem użyć mojej mocy poruszania przedmiotów i zadziało.

- Na szczęście dla profesora Cartera.

Matt słuchał naszej rozmowy z otwartymi ustami.

- A z tobą coś się stało? - zapytał go z nadzieją Ethan. Wszyscy wiedzieli, jak desperacko Matt stara się zdobyć jakieś moce. Zgodnie z Proroctwem, Matt powinien poprowadzić Wezwanych do ostatecznej bi-

twy z Lathenią i jej Zakonem Chaosu. *Gdy prawy przywódca przestanie śnić, królewskiej władzy nadejdą dni.* Ale na razie Matt nie był w stanie zapanować nawet nad własnym życiem, a wątpliwości podkopywały jego pewność siebie.

Matt obrzucił spojrzeniem niebo, gdzie deszcz meteorów przemienił się w pojedyncze gwiazdy spadające w oddali. Wzruszył ramionami.

- Jasne, że nic.

Rozdział 2

Matt

Proroctwo myliło się. To nie ja powinienem prowadzić Wezwanych. Wątpiłem, czy w ogóle sam zostałem wezwany. Trybunał, czy kto tam decydował o tych sprawach, musiał się pomylić.

Szliśmy właśnie do siedziby Arkariana, który powinien znać odpowiedzi na kilka pytań, przynajmniej dotyczących tego, co wydarzyło się w szkole. Ethan mówił, że Arkarian wie wszystko, ale ten nieśmiertelny uważał przecież, że jestem jednym z Wezwanych. Czyli teoria Ethana nie mogła być prawdziwa.

Profesor Carter został zabrany do szpitala, ale nie znajdują u niego żadnych obrażeń. Udało mu się jakimś sposobem uniknąć przyciągnięcia niepożądanego uwagi. Chaos spowodowany tym dziwnym deszczem

meteorów był wystarczająco duży, by wszyscy szybko zapomnieli o jego wypadku.

Rochelle miała się zająć Nerią. Gdyby nie zależało mi tak bardzo na spotkaniu z Arkarianem, sam zgłosiłbym się na ochotnika. W tej nowej dziewczynie było po prostu coś, co budziło we mnie najsilniejsze instynkty opiekuńcze. Nie takie, jakie odczuwałem wobec mojej siostry, Isabel. To była odpowiedzialność, od której nigdy bym się nie uchylił. Ale w przypadku Nerii było tak, jakby została zrobiona ze wszystkiego, co miękkie, piękne i... dziwnie prawdziwe. Nie miałem pojęcia, dlaczego tak czuję, ani jak to może być możliwe. Nie chciałem się angażować w związek, a poza tym, no cóż, Neria była córką Marduka. On zaś był przeciwieństwem wszystkiego, co dobre.

Idący obok mnie Ethan i Isabel milczeli, a moje myśli powędrowały z powrotem do Nerii. Zacząłem się zastanawiać, jak by to było, gdybyśmy byli parą. Ale kogo ja chciałem szukać? To było niemożliwe. Żadna dziewczyna już nigdy nie będzie miała wstępu do mojego serca.

Dotarliśmy do tajemnego wejścia do siedziby Arkariana, w połowie drogi na szczyt góry. Wiedział, że tu jesteśmy — przed nami pojawił się otwór wielkości niedużych drzwi. Ethan i Isabel weszli szybko, ale skoro byliśmy na miejscu, przestało mi się spieszyć. Może wcale nie chciałem usłyszeć odpowiedzi na moje pytania? Jeśli został popełniony błąd i tak naprawdę

nie jestem Wezwanym, czy chciałbym, żeby zostało to potwierdzone? Już od ponad roku byłem członkiem Straży. Widziałem rzeczy, o jakich nie śniło się innym ludziom, szczególnie podczas wyprawy do świata podziemnego. A chociaż jeszcze nie wysłano mnie na żadną prawdziwą misję, myśl o tym, że to może nigdy nie nastąpić, napełniała mnie przerażeniem.

Odetchnąłem głęboko i wszedłem do środka. Skalna ściana natychmiast zmaterializowała się za moimi plecami, a mnie znowu ogarnęło to nieprzyjemne uczucie, które zawsze towarzyszyło mi w siedzibie Arkaria-na. Nie byłem pewien, skąd się ono brało. Nie miałem klaustrofobii ani niczego podobnego. Może to dlatego, że te wszystkie rzeczy z innego świata nagle stawały się prawdziwe i musiałem się z tym pogodzić? Jednym z przykładów mogła być technologia wykorzystywana przez Arkariana do monitorowania przeszłości.

Isabel podeszła do mnie w oświetlonym świecami korytarzu.

-Wszystko OK? Rozejrzałam się, a ciebie nie było. To, co się stało rano, chyba aż tak cię nie przeraziło, prawda?

- Pewnie, że przeraziło - odparłem uczciwie, ale z uśmiechem.

Pociągnęła mnie za rękaw.

- No chodź.

Spieszyło jej się. Spieszyło jej się, żeby zobaczyć Arkariana, rzecz jasna. Czekał na nas w ośmiokątnej kom-

nacie, otoczony bezgłośnie, zaawansowaną maszyną. Komnatę oświetlała znajdująca się na środku holograficzna sfera, szumiąca w rytmie bijącego powoli serca.

Arkarian rozmawiał z Ethanem, ale sprawiał wrażenie zajętego czymś innym i spoglądał w stronę korytarza. Kiedy zobaczył Isabel, cała jego twarz rozjaśniła się w szerokim uśmiechu, a fiołkowe oczy złagodniały.

Isabel podbiegła i rzuciła mu się w ramiona, a siła jej uścisku popchnęła oboje do tyłu. Niezgrabnie usiłowali znaleźć schronienie za srebrzystym ekranem. Niewiele im to dało. Lepszą zasłonę stanowiły intensywnie szafirowe włosy Arkariana, opadające na twarz Isabel. Pocałowali się, a potem, cóż, całowali się dalej. Ethan spojrzał na mnie, uśmiechnął się i potrząsnął głową. Nie mogłem powstrzymać jęku, kiedy odwracałem wzrok. Związek mojej siostry i Arkariana sprawiał, że czułem się nieswojo. Jak na mój gust nabierał rumieńców trochę zbyt szybko. Wszyscy wiedzieli, że oni są sobie przeznaczeni. Mieli dla siebie całą resztę życia, więc po co tak się spieszyć?

W końcu odsunęli się od siebie i mieli dość przyzwoitości, żeby przybrać wyraz zawstydzonych. Ale powaga wydarzeń, które rozegrały się tego ranka, szybko przywróciła nas do rzeczywistości.

Arkarian na powitanie ścisnął moje ramię. Wyczuł napięcie i powoli cofnął rękę. Popatrzył na mnie jeszcze raz i zaprosił nas, żebyśmy usiedli na drewnianych taboretach, które właśnie się pojawiły.

- Co tam się stało? - Ethan jako pierwszy zadał pytanie.

- Odbyło się spotkanie - wyjaśnił Arkarian. - Pomiędzy nieśmiertelnymi. Nie poszło najlepiej. Nie mam jeszcze pełnej relacji, ale najwyraźniej oboje stracili panowanie nad sobą.

Ethan prychnął.

- I co zrobili? Zagrali w ping-ponga wszechświatem? Arkarian zmusił się do bladego uśmiechu.

- Coś w tym rodzaju.

- A co z Angel Falls? - zapytała Isabel. - Szkoła nieźle oberwała dziś rano. Widziałeś? Profesor Carter został zabrany do szpitala.

- Tak, ale dzięki wam - Arkarian przelotnym spojrzeniem uwzględnił także Ethana - Marcusowi nic nie będzie. Są doniesienia o zniszczeniach na wschód aż do linii wybrzeża i na zachód do granicy Australii Południowej, ale jeśli chodzi o szkołę, masz rację, Isabel. To uderzenie koncentrowało się dokładnie na Angel Falls.

Nie trzeba było geniusza, żeby zrozumieć, co to znaczy.

- Lathenia próbowała nas zabić! Omal nie wykończyła profesora Cartera!

Isabel zmarszczyła brwi.

- A co z jej własnymi ludźmi, którzy tu mieszkają? Ethan znał odpowiedź.

- Była skłonna poświęcić życie swoich żołnierzy w zamian za szansę zabicia kogos z nas.

- Nie wątpię, że Lathenia byłaby zachwycona, mogąc się was wszystkich pozbyć - wyjaśnił Arkarian. - Ale jest bardzo przebiegłą przeciwniczką. Straciła panowanie nad sobą, tak jak to się czasem zdarza w kłótniach między rodzeństwem...

Ta uwaga sprawiła, że moje myśli odpłynęły w inne rejony. Coś takiego mogłem zrozumieć. Ja i Isabel czasem się kłóciliśmy, głównie z powodu mojej nadopiekunczości czy też „duszenia jej”, jak to często nazywała. Ale ostatnio bardzo się uspokoiła. Nie dawała się nawet sprowokować. Musiało ją dręczyć coś, o czym na razie nie chciała rozmawiać lub bała się powiedzieć. Wiedziałem tylko, że coś się zdarzyło, kiedy byliśmy w świecie podziemnym, i od tamtego czasu zachowywała się wobec mnie inaczej.

Arkarian wpatrywał się we mnie uważnie. Słyszał moje myśli dotyczące Isabel i wyglądał na zaniepokojonego, jednak uświadomił sobie, że Isabel obserwuje nas obu, więc szybko pozbierał się, udając, że nic się nie stało. Przeniósł uwagę z powrotem na Ethana.

- Lathenia od dawna ciężko pracuje nad osiągnięciem swoich ostatecznych celów. Nie jest tak głupia, by pozwolić, żeby przeszkodziły jej w tym emocje. To, co się wydarzyło na górze Athos, było jednorazowym wyskokiem.

- Podczas tego kosmicznego deszczu wydarzyło się coś jeszcze — powiedziała cicho Isabel.

Arkarian wziął ją za rękę.

-Wiem.

- Ty też to poczułeś? - zapytała.

-To dotyczyło nas wszystkich. Moce całej dziewiątki Wezwanych zostały spotęgowane.

- Wiedziałem! - Po Ethanie widać było ekscytację. Wbrew woli skrzywiłem się na samą myśl o tym.

Nie poczułem żadnej różnicy, co tylko dodatkowo potwierdziło moje obawy. Arkarian odwrócił się do mnie.

- Mam dla ciebie wieści.

Byłem przygotowany na to, że usłyszę, iż jestem zwolniony ze służby albo że Arkarian przyzna, iż od początku miałem rację, a Trybunał popełnił błąd.

Potrząsnął głową i uśmiechnął się.

- Cóż za brak wiary! Posłuchaj mnie. Nie będziesz już dłużej Uczniem Ethana.

Zobaczyłem, że pozostała dwójka wyglądała na tak samo zdezorientowaną, jak ja się czułem.

- Ale... Jak mam obudzić w sobie jakiegokolwiek moce bez wsparcia mentora?

- Cóż, dostaniesz nowego.

- Ty nim będziesz, Arkarianie? - spytała Isabel.

- Nie. I nie mogę powiedzieć wam nic więcej o nowym Nauczycielu Matta. Najpierw musi się dowiedzieć czegoś jeszcze.

- Zawiodłem - wtrącił Ethan. - Nie potrafiłem wyszkolić Matta, a teraz Trybunał jest mną rozczarowany. Nigdy nie dostanę następnego Ucznia.

- Nawet tak nie myśl! - odparł Arkarian. - Jesteś świetnym Nauczycielem, Ethanie. Popatrz tylko, ile udało ci się osiągnąć z Isabel, i to zaledwie w ciągu kilku krótkich tygodni, jakimi dysponowałeś.

-No tak, ale ona od początku była utalentowana.

- Musiała nauczyć się także rzeczy innych niż fizyczne umiejętności.

-Ale tylko tyle udało mi się z dziećmi z Mattem. A teraz Trybunał zamienił mnie na kogoś innego.

- Nowy Nauczyciel Matta może mu przekazać rzeczy, których ty nie zdołałbyś mu przekazać przez całe swoje życie - Arkarian uniósł rękę. - Rzeczy, których nikt nie zdołałby go nauczyć. Nikt z tego świata.

Wyjaśnienia Arkariana niewiele mi pomogły, chociaż Isabel i Ethan przyjęli je do wiadomości. Arkarian spojrział na mnie.

- Musisz się nauczyć innych rzeczy, nie tylko władania swoimi mocami. Twój nowy Nauczyciel jest mistrzem, mistrzem ponad wszystkim innymi. Przez całe swoje życie czekał na taką szansę.

- Czekał całe życie, żeby mnie wyszkolić?

- Tak mi powiedziano. Pomówimy o tym ponownie, kiedy zbliży się czas twojego treningu, a ja otrzymam więcej informacji.

- Ale Arkarianie... Przerwał mi.

- Na razie wystarczy. Chociaż możemy zakładać, że w tej siedzibie jesteśmy bezpieczni, nie wolno nam

zapominać, że pomiędzy nami kryje się zdrajca. Powiedziałem wam tyle, ile mogłem. - Arkarian odwrócił się do Ethana. - Jeśli chodzi o ciebie, Ethanie, zostanie ci przydzielony nowy Uczeń.

Głowa Isabel drgnęła, jakby już wiedziała.

- To będzie Neria, tak?

- Naprawdę? — Ethan nie potrafił ukryć uśmiechu.

- Tak, ale Neria jest osobą pod szczególną ochroną. Jej życiu może zagrażać niebezpieczeństwo ze strony Marduka. Ta dziewczyna znajduje się pod opieką Straży. Dlatego nie wolno wam trenować samotnie. Zostanie do was przydzielona asystentka, ktoś, kto będzie zachowywać czujność przez cały czas.

- Chcesz, żebym ja się tym zajęła? - zapytała Isabel.

- Wyznaczam do tego Rochelle.

- Rochelle! - Entuzjazm Ethana wyraźnie opadł.

-Arkarianie, myślisz, że to jest rozsądne?

Arkarian przyjrzał się każdemu po kolei. Żadne z nas nie wytrzymało jego spojrzenia dłużej niż przez ułamek sekundy.

- Nie nauczyliście się jeszcze ufać Rochelle? Jest Wezwaną, tak jak każde z was. To oznacza, że zaufali jej wasi przełożeni. Gdzie się podziała wasza wiara?

Skoro tak to ujmował, może rzeczywiście powinniśmy przestać mieć się na baczności przed Rochelle. Ale mój brak zaufania wobec niej wynikał nie tylko z tego, że była kiedyś szpiegiem Marduka, ale także z tych wszystkich rzeczy, które robiła dla niego.

- Rochelle będzie twoją asystentką, Ethanie - potwierdził Arkarian. - Jej talent myślowidzenia, teraz wzmocniony oznacza, że może usłyszeć myśli osób, które znajdują się poza zwykłym zasięgiem głosu. Może nawet usłyszeć myśli ludzi znajdujących się za barierą, taką jak ceglany mur albo grube szkło.

Ethan skinął głową i nic nie powiedział, ale jasne było, że nadal jest nieszczęśliwy z powodu konieczności pracy z Rochelle. Tak czy inaczej lepiej dla niego, żeby nie angażował się w nic emocjonalnie.

- Muszę wam powiedzieć jeszcze jedną rzecz. — Słowa Arkariana błyskawicznie przykuły naszą uwagę. -Planowana jest niezwykła misja.

- Tak? - rzucił Ethan.

- Kiedy wyruszamy? - zapytała Isabel i dodała z nadzieją: — Ty też tam będziesz?

Arkarian nie spieszył się z odpowiedzią.

- Mam wziąć udział w tej misji, Isabel, ale to nie będzie tak, jak myślisz.

Zwróciła uwagę na poważny ton Arkariana i od razu zaczęła się martwić. Znałem moją siostrę — nie potrafiła ukryć przede mną swoich uczuć, które malowały się wyraźnie na jej twarzy, kiedy patrzyła w oczekiwaniu na Arkariana. Wokół jej oczu pojawiły się zmarszczki oznaczające zaniepokojenie.

- Musimy wrócić do świata podziemnego — wyjaśnił.

- Nie ma mowy! — wrzasnęła Isabel. - Dlaczego mieliby znowu nas tam wysyłać?

Arkarian dotknął jej ramienia.

- Nie robią tego. W każdym razie nie wysyłają tam ciebie, Isabel. - Przeniósł spojrzenie na Ethana. - Ani ciebie, Ethanie.

Odwrócił głowę w moją stronę i tym razem w jego oczach nie było zaprzeczenia. - Ale wysyłają ciebie, Matt. Ciebie, mnie i Rochelle.

- Co takiego?! - krzyknął Ethan.

Isabel zerwała się na równe nogi i popatrzyła z góry na Arkariana, opierając ręce na biodrach.

- Jeśli ty i Matt tam będziecie, to ja także!

Arkarian dotknął jej ręki i zaczął się tłumaczyć. Przestałem słuchać, kiedy opowiadał coś o dotyku Rochelle i o tym, że może teraz dostrzegać różne składniki lub warstwy w ziemi pod jej dłońmi, a on jest potrzebny, żeby otworzyć szczelinę między światami.

Potrafiłem myśleć tylko o tym, że Trybunał mnie wybrał. Mnie!

- Ale ja nie mam żadnych mocy. Wszyscy umilkli.

- Bez twojej obecności, Matt, ta misja będzie pozbawiona sensu - odezwał się Arkarian. - Nawet bez mocy jesteś jedyną osobą, która może dotknąć klucza do skarbcza z bronią i nie stracić przy tym życia. Zrobiłeś to już raz, kiedy uciekaliśmy ze świątyni. Myślałeś, że to panel sterowania, który ma otworzyć tajemne przejście między naszymi światami. W pewnym sensie tak było, ale ten przedmiot miał także znacznie waż-

niejsze zastosowanie. Dlatego musimy teraz wrócić do świątyni i znaleźć klucz w gruzach, które pozostały, gdy Lathenia i Marduk ją zniszczyli. Musimy się też spieszyć i zdobyć klucz, zanim Lathenia się tam dostanie. Przy szczelinie został wykryty ruch. Dlatego powinniśmy udać się tam od razu.

Isabel wciąż stała z rękami na biodrach, a rysy jej twarzy były ściągnięte i twarde. Widywałem ją już wcześniej wściekłą, ale w tym momencie sprawiała wrażenie, jakby miała zaraz eksplodować.

- Czekać no chwilę!

Arkarian popatrzył na nią i przez moment poczułem przypływ współczucia dla niego. Na mojej twarzy pojawił się powściągany uśmiech, musiałem od-kaszlnąć, zasłaniając usta ręką. Kiedy moja siostra się na coś uprze, niebiosie niech mają w opiece każdego, kto spróbuje stanąć jej na drodze.

Wstał i dotknął jej policzka otwartą dłonią. Przytrzymał rękę, jakby przekazywał jej falę spokoju i pewności siebie.

- Poradzimy sobie bez ciebie. Zaufaj mi tak, jak ja ufam tobie.

Odetchnęła głęboko i oparła mu głowę na piersi. Objął ją ramionami, stali przytuleni do siebie. Arkarian popatrzył ponad głową Isabel na Ethana.

- Chciałbym, żebyście ty i Isabel monitorowali sferę podczas mojej nieobecności.

Ethan zapytał rzeczowo:

— Czego mamy wypatrywać i w jakim okresie historycznym?

— W tej chwili mamy pod obserwacją dwa okresy, ale na razie nie został otwarty żaden portal. Kiedy to się stanie, musimy zadziałać szybko. Nie możemy pozwolić, żeby portal się zamknął, zanim wyślemy tam własny zespół.

Isabel podniosła głowę i spojrzała na Arkariana.

— Co tym razem planuje Bogini?

— Z tego, czego zdołałem się dowiedzieć, wynika, że ma oko na odkrywców.

Ethan był wyraźnie podekscytowany. -Tak? Na kogo?

Arkarian milczał przez chwilę, zanim odpowiedział.

— Cooka. Albo Kolumba.

Rozdział 3

Rochelle

Nie mogłam uwierzyć, że wysyłają mnie do świata podziemnego. Arkarian wybrał mnie ze względu na moje moce, ale tak naprawdę to nie miało znaczenia. Cieszyłam się, że tak się stało! Będę miała kolejną okazję, żeby udowodnić lojalność wobec Straży.

Matt i Arkarian mieli się tam wybrać ze mną, a ta misja w niczym nie przypominała dotychczasowych. Naszym celem nie była przeszłość, ale inny świat. To oznaczało, że będziemy przebywać we własnych ciałach, nie w przebraniach.

Spotkaliśmy się w jednym z gabinetów w siedzibie Arkariana. Matt już tam czekał, z rękami wepchniętymi głęboko w kieszenie spodni. Gdy mnie zobaczył, jego spojrzenie zatrzymało się na mnie dłuższą chwilę,

a potem uciekło w bok. Jego myśli rozbrzmiały głośnym echem w mojej głowie i napływały dalej, chociaż próbowałam je ze wszystkich sił powstrzymać. Nadal był wściekły! Żałowałam, że zostałam obdarzona talentem myślowidzenia. Od chwili jego wzmocnienia straciłam kontrolę nad tym, co słyszę, a od czego mogę się odciąć. Potrząsnęłam głową, żeby pozbyć się tych myśli.

- Dość tego!

Matt popatrzył na mnie, marszcząc brwi.

- O co ci chodzi?

Z przyzwyczajenia wetknęłam kosmyki włosów za uszy, ale wysunęły się - zostały tak bardzo przypalone, że musiałam się ostrzec. Były teraz wycieniowane krótko wokół mojej twarzy.

- O nic mi nie chodzi! — warknęłam z czystej frustracji. Cudownie. Na pewno znajdę mnóstwo przyjaciół, wydzierając się na ludzi. — Nic mi nie jest, OK?

Spróbowałam czymś się zająć i zaczęłam się rozglądać, ale w komnacie nie było niczego, co mogłoby przykuć moją uwagę. Tylko kilka taboretów i stare drewniane biurko.

- Ciekawe, gdzie jest Arkarian?

Matt wzruszył ramionami i zaczął się kołysać na piętach, nie wyjmując rąk z kieszeni.

- Pewnie udziela ostatnich instrukcji Ethanowi i Isabel.

Było wprawdzie oczywiste, że wolałby być w dowolnym innym miejscu na świecie niż sterczeć w tej kom-

nacie sam na sam ze mną, ale w jego myślach widziałam także ekscytację. Zupełnie jak mały chłopiec w sklepie z zabawkami, z kieszeniami pełnymi drobniaków. Mnóstwa drobniaków.

Arkarian pojawił się nagle przed nami, a zaskoczony Matt szarpnął się do tyłu. Nie był oswojony z umiejętnością Arkariana polegającą na materializowaniu się wedle woli. Ethan także to potrafił, a ja żałowałam, że też tak nie mogę, ale musiałam najpierw zasłużyć na skrzydła, tak jak oni to zrobili. Kiedy pracowałam dla Marduka, nie chciał, żebym miała taką moc. To by osłabiało jego władzę nade mną.

Nie tracąc czasu, Arkarian przeniósł nas do komnaty w Cytadeli, której nigdy wcześniej nie widziałam. Była ogromna, spokojnie zmieściłoby się w niej z tysiąc osób. Spojrzałam w górę i nie mogłam oderwać wzroku od sklepienia. Składało się z ośmiu paneli w niesamowitych kolorach, ozdobionych tysiącami zawiłych wzorów. Pomyślałam, że są zrobione ze szkła albo może z kryształu. Instynktownie uniosłam rękę. Chciałam dotknąć ich, poczuć ich fakturę, zobaczyć głębiej. Ale panele znajdowały się zbyt wysoko, a punkt, w którym się zbiegały, był ledwie widoczny.

Arkarian uśmiechnął się do mnie.

— Cudowne, nieprawdaż? Skinęłam głową.

— To sklepienie jest identyczne z tym w świątyni, którą właśnie mamy odwiedzić w świecie podziem-

nym - dodał. - Chociaż teraz został tam tylko gruz i pył. Cieszę się, że idziesz z nami, Rochelle. Twoje ręce będą warte tyle złota, ile ważą.

To były przemile słowa, a mój nastrój poprawił się po raz pierwszy od miesiąca. Arkarian spojrzał w dół i zauważył moje dłonie. Nadal przebiegały po nich wyładowania elektryczne. Wziął mnie za rękę i podniósł ją.

- Wyczuwasz tę energię?

- Czuję mrowienie. Kiedy to się skończy?

- Mrowienie?

-Tak, i te wyładowania, czy cokolwiek to jest.

Milczał przez chwilę, patrząc na mnie tylko tymi swoimi wszyskwiedzącymi oczami. Zupełnie jakby się zastanawiał, jak przyjmę złe nowiny. Mimo że mój dar został wzmocniony, nie mogłam usłyszeć jego myśli i nie przyszłoby mi nawet do głowy próbować. Był specjalistą w ukrywaniu myśli przed myślowidzącymi. Nie mogłam go usłyszeć, chyba że sam by tego chciał.

Ale nie musiał niczego mówić ani myśleć na głos -widziałam to w jego oczach.

- Nie przejdzie mi, prawda? Tak ma być. Moje ręce zawsze takie będą.

- Nie byłoby źle, gdybyś nosiła rękawiczki. Znajdę coś, co imituje skórę, żeby nikt nie podejrzewał, że coś się w tobie zmieniło.

Potrząsnęłam głową. Nie do wiary. U Marduka musiałam nosić maskę ukrywającą oczy, jedyną łatwą do zidentyfikowania cechę. A tym razem moje ręce...

- Powinnaś o czymś wiedzieć.

Słowa Arkariana przejęły mnie dreszczem.

- O co chodzi?

Mart podszedł bliżej, żeby nas *słyszeć*, ale nie odzywał się.

- Twoje dłonie są teraz potężniejsze niż przypuszczasz.

- Chodzi o coś więcej niż obecny dotyk i wizualizowanie struktury rzeczy?

- Bądź ostrożna, Rochelle, do czasu, aż poznasz swoje możliwości i nauczysz się kontrolować te moce. Prawdopodobnie mogłabyś zranić nimi niewielkie zwierzę.

Wyrwałam mu dłonie.

- Zranić zwierzę?

- Albo dziecko.

- O czym ty mówisz, Arkarianie? Nie chcę krzywdzić zwierząt ani dzieci!

Cichy świst za nami sprawił, że obróciłam się w miejscu. Moje nerwy stały się nagle napięte jak postronki.

- Zapewniam cię, moja miła, że nikogo nie skrzywdzisz. - To była lady Arabeła, otulona złocistym płaszczem. Wyglądała bardzo dostojnie, nawet ze swoją delikatną skórą i oszronionymi rzęsami.

Po raz pierwszy spotkałam tę kobietę w bezpiecznej komnacie w Cytadeli. Wraz z Arkarianem szkolila mnie i pomogła podczas mojego transferu do Straży.

Uśmiechnęła się, a jej otoczone kryształkami lodu oczy zmiękły.

- Nie wpadaj w panikę, Rochelle. Nauczę cię kontroli nad tymi nowymi mocami, tak że twoje dłonie będą całkowicie bezpieczne. - Jej słowa przyniosły mi ulgę. Podziękowałam jej, a ona spojrzała na Arkariana, unosząc brwi. - Niestety nadal staramy się pozbierać po tamtym niefortunnym spotkaniu.

- Jak się czuje mój ojciec? - zapytał Arkarian.

- Jest zmęczony. Pytał o ciebie. Ostrzegął, żebyś się pilnował i starał nie rzucać się w oczy. Prosił, żeby ci przekazać, że na obrzeżach tej krainy dzieje się ostatnio coś niepokojącego. Chciał też, żebym ci to dała - wyjęła spod płaszcza i podała Arkarianowi coś w rodzaju trzech niewielkich kryształów. - Zapewnię wam światło.

Arkarian wziął od niej kryształ i schował w kieszeni spodni. W tym czasie spojrzenie lady Arabelli powędrowało do Matta. Przywitała go uśmiechem i skłoniła głowę. Skłoniła głowę! Co tu się działo? Zachowywała się jak nieśmiała uczennica.

W końcu opanowała się i zaczęła wyjaśniać, że musimy stanąć w wewnętrznym ośmiokącie. Rozejrzałam się, ale nie zobaczyłam niczego, dopóki Arkarian nie wskazał na posadzkę, na której wzorzyste płytki rzeczywiście tworzyły zarys ośmiokąta.

- Bez trudu opuścicie ten świat, ale wasze lądowanie w ruinach świątyni stanowi wielką niewiadomą. - Lady Arabella z powietrza wyciągnęła trzy grube i długie płaszcze. - Załóżcie je i owińcie się nimi ciasno. Zła-

godzą wasz upadek i ochronią przed obrażeniami. Pamiętajcie, że nie będzie z wami Isabel, która mogłaby was leczyć na tej wyprawie, a chociaż świeżo wzmocniony dar pozwala jej uzdrawiać na odległość, wciąż jest to możliwe tylko na ograniczony dystans. Nie mówiąc o tym, że nie może pomóc, jeśli nie wie, co komuś dolega.

Lady Arabella udzieliła jeszcze Arkarianowi kilku instrukcji dotyczących powrotu i zaprowadziła nas do wewnętrznego ośmiokąta. Kiedy upewniła się, że stoimy we właściwym miejscu, cofnęła się. Niemal natychmiast brzęczący dźwięk sprawił, że popatrzyliśmy na centralny punkt sklepienia. Panele zaczęły się poruszać, początkowo powoli, a ze względu na ich rozmiary był to niesamowity widok. Kiedy ich ruch przyspieszył, kolory i wzory zaczęły się zlewać, przemieniając się w barwny wir. Był męczący dla oczu, więc podniosłam rękę, żeby je osłonić. Nagle najwyższy punkt sklepienia otworzył się i wypełnił światłem tak jasnym, jakby spadało na nas słońce.

Moje ciało, otoczone światłem, uniosło się i zaczęło obracać. Byłam kompletnie zdezorientowana. Światło zmieniło się, blask przygasł, a na jego miejsce napłynęła ciemność. Arkarian zawołał mnie, dając znać, że jest niedaleko. Ale nie widziałam już ani jego, ani Matta. Czulałam teraz gwałtowny wiatr, szarpiący moimi rękami i nogami w różnych kierunkach. Nasilał się poza granice wytrzymałości i zaczęłam się zastana-

wiać, czy w ogóle przetrwam tę podróż, kiedy wiatr nieoczekiwanie ucichł, a ja zaczęłam spadać. Przypomniałam sobie ostrzeżenie lady Arabelli i owinęłam się peleryną najciaśniej jak mogłam.

W samą porę, ponieważ zaraz potem uderzyłam o ziemię. Bardzo mocno. Impet sprawił, że straciłam oddech. Przez moment pomyślałam, że mnie zamroczyło, ale tu po prostu panowała ciemność — kompletna i obezwładniająca. Nagle nie byłam w stanie myśleć o niczym innym. Wyciągnęłam przed siebie ręce, ale nie widziałam nawet zarysów moich palców. Czy tak właśnie czuli się Matt, Ethan i Isabel, kiedy tu trafili? Jak dali sobie z tym radę?

- Wszystko w porządku? — usłyszałam głos Arkariana.

Oparłam się na jego ramieniu i podniosłam na nogi.

- Chyba wszystko dobrze.

- To świetnie — odparł. Przesunął dłonią po moim ramieniu i włożył mi w rękę coś małego i zimnego. To był jeden z kryształów, które dała mu lady Arabella.

- Jak to działa?

- Właśnie tak. - Nieoczekiwanie kryształ w jego ręku rozjaśnił się delikatnym blaskiem, który oświetlił mu twarz. Arkarian sprawił, że światło stawało się coraz silniejsze, aż w końcu był zadowolony ze lśniącej kuli.

- Jak to zrobiłeś? Uśmiechnął się.

- Po prostu poprosiłem.

- Serio? — Popatrzyłam na trzymany w dłoni kryształ, bezwiednie unosząc go do ust. - Zapal się!

Rzeczywiście się zapalił. Momentalnie. Ale płynące z niego światło było tak intensywne, że omal nas nie oślepiło i wysłało lśniący promień w czarne niebo nad nami. Wylądowaliśmy w świątyni, ale ściany leżały w gruzach, a sklepienie się zawaliło.

- Przygaś to szybko - wyszeptał Arkarian, osłaniając ręką oczy. - Nie chcemy uprzedzać nikogo ani niczego o naszej obecności.

Znowu podniosłam kryształ, tym razem prosząc, żeby przygaś. Światło zmieniło się w łagodniejszy blask.

- Przydałoby nam się coś takiego, kiedy szukaliśmy tu ciebie, Arkarianie. - Matt podszedł do nas.

Arkarian rzucił mu ostatni kryształ. Kiedy tylko dotknął dłoni Matta, zaczął lekko świecić.

- Doskonale.

- Prawda? — Nie mogłam ukryć ulgi w głosie, kiedy przypominałam sobie wrażenie absolutnej ciemności kilka chwil wcześniej. — Nienawidzę ciemności! — mruknęłam nerwowo. Przypominała mi o czasach, kiedy mój ojciec bił matkę, a ja chowałam się w niedużej szafie przy drzwiach frontowych, pod płaszczem mamy. Siedziałam tam, dopóki krzyki nie ucichły, i pragnęłam stać się niewidzialna.

Arkarian popatrzył na mnie ze współczuciem. Usłyszał moje myśli, ale na szczęście nie próbował do nich w żaden sposób nawiązywać.

- Powinniśmy się pospieszyć - powiedział. - Lady Arabella nie wspominała nic o tym, jak długo te kryształy będą świecić.

Cała nasza trójka zaczęła przeszukiwać teren, systematycznie dzieląc ruiny świątyni na sektory. Arkarian przydzielił mi środkowy sektor, ostrzegając, bym nie dotykała klucza gołymi rękami. Miałam wykorzystać mój nowy dar, żeby „zobaczyć”, co się znajduje pod moimi palcami. Arkarian sprawił, że pojawiły się grabie, którymi zaczął rozgarniać gruzy. Musiałam ostrożnie przesuwac dłońmi po powierzchni - ostatecznie to wystarczyło, żebym mogła „zajrzeć” pod spód.

Opadłam na kolana i zaczęłam szukać. W mojej głowie natychmiast pojawił się wyraźny obraz osmalonych odłamków drewna, szkła, kamienia i innych materiałów. Po chwili ręce zaczęły mi sztywnieć z zimna. Wpychałam je co jakiś czas pod płaszcz, żeby przywrócić w nich krążenie.

Po kolejnej godzinie bezowocnych poszukiwań w mojej głowie pojawiła się niepokojąca myśl: a jeśli ten „klucz” został zniszczony wraz z resztą świątyni? Wzięłam garść przypominającego piasek pyłu i pozwoliłam, żeby przesypał się między moimi palcami.

- Klucz został zrobiony z najtwardszej materii we wszechświecie - wyjaśnił Arkarian. - Jest niezniszczalny. Niemożliwe, żeby obrócił się w pył.

Szukaliśmy dalej, a kiedy skończyliśmy z własnymi sektorami, wymieniliśmy się, aż w końcu każdy centy-

metr kwadratowy został przeszukany trzykrotnie. Kiedy skończyłam, wstałam i wyszłam na zewnątrz. Arkarian spojrzał na mnie, ale nie powiedział ani słowa, przesłał tylko myśl, że niedaleko jest jezioro, ale nie powinnam dotykać wody, ponieważ nie jest tym, czym się wydaje. Skinęłam głową, dając mu znak, że zrozumiałam, a on wrócił do przeczesywania gruzów.

Nad brzegiem jeziora znalazłam głąz, na którym mogłam usiąść i zastanowić się nad konsekwencjami tej wyprawy. Nie mogliśmy znaleźć klucza, z pewnością nie było go w tej zburzonej świątyni. Lathenia musiała go dorwać przed nami. Jej mag, Keziali, prawdopodobnie użył jakiejś sztuczki, żeby znaleźć go bez konieczności zginania swojego starczego karku.

Nagle usłyszałam w głowie głos. Zastygłam bez ruchu, ale uświadomiłam sobie, że to tylko Matt. Rozejrzałam się, jednak nie dostrzegłam go. Zgasił swój kryształ, ale ponieważ mój nadal świecił słabo, powinien mnie widzieć. Najwyraźniej czuł się dobrze w ciemności, siedząc tak samotnie. Może nawet to lubił. Niektórzy ludzie tacy byli — nietrapieni przez koszmary, potrafili zadowolić się własnym towarzystwem, bez obaw przed mrokiem.

Jego myśli docierały do mnie i ze zdumieniem uświadomiłam sobie, że myśli o mnie. Zauważył moją nową fryzurę. Uważał, że dobrze w niej wyglądam i że dodaje mojej twarzy ciepła, którego mi wcześniej brakowało. Zauważył, jak ciemne pasma lśnią w promieniach światła i jak moje złożone jedna na drugiej dłonie przy-

pominają płatki kwiatu. Gwałtownie wciągnęłam oddech, kiedy jego myśli przeskoczyły do naszych wspólnych wspomnień. Przypominał sobie dotyk mojej dłoni na twarzy, czasy, kiedy leżeliśmy godzinami bez słowa. I jak w tych spokojnych chwilach czuł, że jego dusza jest jednością z moją.

Spróbowałam odciąć się od jego dalszych myśli, ale były wypełnione takim żarem, że okazało się to niemożliwe. A potem stanął koło mnie.

- Rochelle...

Moje dłonie zaczęły drżeć. Zacisnęłam splecione palce i powoli odwróciłam się do niego. Zauważył mnie i cofnął się o krok, a jego myśli nagle ogarnął chaos.

- Dlaczego płaczesz? - zapytał.

Trudno mi było znaleźć słowa, ale wiedziałam, że muszę spróbować.

- Płaczę, ponieważ zraniłam cię i nadal cię ranię, po prostu będąc blisko ciebie.

Prychnął.

- Nie myśl tylko, że chciałbym cię odzyskać!

- Wiem o tym. Po prostu chciałam ci powiedzieć, że jest mi przykro. Nigdy nie kochałam cię tak, jak na to zasługiwałeś.

Popatrzył ponad moją głowę i odetchnął głęboko.

- To było bardzo okrutne: udawać, że mnie kochasz. Zacisnęłam kryształ tak mocno, że dłoń zaczęła mnie boleć.

- Potrzebujesz czasu, żeby o tym zapomnieć.

Machnął lekceważąco ręką.

- Czasu? Powiedziałaś czasu? Tak, na pewno tego właśnie potrzebuję. Czas leczy wszystkie rany. Tak to szło, no nie?

Ironia w jego głosie sprawiała, że trudno mi było go słuchać.

- Matt, proszę, nie rób tego...

- Czego mam nie robić, Rochelle? Otwierać przed tobą serca? Nie ma obawy, nie zawstydzę cię w ten sposób.

- Nie mów tak!

- Byłem skończonym idiotą. Zabawiłaś się moimi uczuciami.

- Zabawiono się uczuciami nas obojga.

- Ale ty od początku wiedziałaś, że nasz związek jest kłamstwem. Słuchałaś, kiedy mówiłem, że cię kocham. - Roześmiał się okropnym, sarkastycznym śmiechem i potrząsnął głową. - Mówisz, że potrzebuje czasu. Powiem ci, czego naprawdę potrzebuję. Potrzebuję cofnąć czas.

-Co?

- Właśnie rym się zajmujemy, prawda?

- Nie rozumiem.

- Chciałbym, żeby Arkarian wysłał mnie w przeszłość, tak żebym mógł zdecydować, że nigdy cię nie spotkam!

Odwrócił się, żeby odejść, a ja chciałam za nim pobic, ale nagle pojawił się Arkarian. Jego oczy były

pełne współczucia - zrozumiałam, że wszystko słyszał. Położył rękę na ramieniu Matta.

- Spokojnie, Matt. Wyluzuj.

Chłopak uspokoił się, a ja byłam wdzięczna losowi za kojący dotyk Arkariana.

Mistrz upewnił się, że z Mattem wszystko w porządku, a potem popatrzył na nas.

- Klucza tu nie ma. Nie ma sensu dłużej go szukać. Zgaś swoje światło, Rochelle, musimy się stąd wydostać. Po drugiej stronie jeziora coś się dzieje.

Jego słowa podziały jak lodowato zimna woda spływająca po moim kręgosłupie. Nie tracąc czasu wróciliśmy do ruin świątyni. Kiedy weszliśmy wyżej, w polu naszego widzenia pojawił się czerwony blask na horyzoncie. Skuliliśmy się, a Arkarian poprowadził nas do sterty kamieni, żebyśmy mogli się przyjrzeć sytuacji.

- Co to jest? Czy ktoś coś widzi?

Arkarian położył palec na ustach, a w mój umysł wsączyły się cudze myśli, powodując, że zastygłam jak sparaliżowana. Wspomnienie władzy, jaką miał nade mną Marduk, było nadal zbyt żywe.

Matt wychylił się i spojrzał ponad kamieniami. Milczał przez chwilę, ale jego oczy otworzyły się szeroko.

- Co oni tam robią?

Podniosłam się, żeby zobaczyć, co wprawilo Matta w taki szok, ale nawet jego reakcja nie była dostatecznym ostrzeżeniem. Po drugiej stronie jeziora setki po-

chodni oświetlały obszar tak wielki, że musiał rozciągać się na całe kilometry w głąb. W blasku płomieni widać było tysiące dziwnych istot z ludzkimi kończynami, przypominającymi świńskie łby głowami i niezgrabnymi skrzydłami. Ale to nie wygląd tych stworów sprawił, że włoski na moim karku zjeżyły się jak naelektryzowane. To sposób, w jaki stały na baczność, szereg za szeregiem, w równej formacji.

W końcu odzyskałam głos, ale zdołałam z siebie wydobyć tylko szept.

- Co to jest?

- Nazywają się wrenami - odparł Mart. - Słuchają twojego dawnego mistrza. Zupełnie jak ty.

Postarałam się zignorować sarkazm zawarty w tym stwierdzeniu.

— Co one robią, Arkarianie?

Chwilę potrwało, zanim Arkarian oderwał od nich wzrok. W końcu odwrócił się do mnie.

— Szykują się na wojnę.

Rozdział 4

Matt

Zaraz po powrocie do Cytadeli Arkarian pouczył nas, żebyśmy nie mówili nikomu, co widzieliśmy.

- Przynajmniej do czasu, aż poinformuje Trybunał. Trzeba podjąć decyzje, przyspieszyć aktualne plany i wprowadzić w życie nowe.

- Czy „nikomu” obejmuje także Isabel? Arkarian zawahał się, a ja się zastanowiłem przez moment, czy nabrał zwyczaju ukrywania różnych rzeczy przed moją siostrą. Właściwie jak duży miał teraz na nią wpływ, kiedy byli tak blisko? I czy, biorąc pod uwagę ostatnie działania Lathenii, związek z Isabel nie będzie rzutował na ocenę sytuacji przez Arkariana? Zabiłbym go, gdyby ją skrzywdził z powodu przedkładania obowiązków wobec Straży ponad nią.

Jego oczy spotkały się z moimi i miałem wrażenie, że przewiercają się na wylot przez moje ciało, krew i duszę.

- Pamiętaj o tym, Matt: prędeziej wbiłbym sobie nóż w serce niż skrzywdził Isabel.

Skinąłem głową, tylko tyle byłem w stanie zrobić. Język jakby przykleił mi się do podniebienia.

- Ale - ciągnął - nie oczekuj, że ograniczę jej działania do „bezpiecznych” zadań.

Te słowa rozładowały napięcie, a ja się roześmiałem.

- Życzyłbym szczęścia w tego rodzaju próbach!

- Nigdy nie znieważylbym jej w ten sposób. Straż jest jej życiem, ma to we krwi, a jej moce są kluczowe dla naszej sprawy. Jednakże musisz mi zaufać, ponieważ czasem rzeczy nie są takie, jakimi się wydają. Prowadzimy dziwne, podwójne życie. Ale jeśli ma cię to uspokoić, jutro do południa wszyscy Wezwani dowiedzą się o tym, co tu zobaczyliśmy. Wszyscy muszą być przygotowani, szczególnie ci z nas, którzy widzieli już wcześniej te stwory i będą w stanie rozpoznać je, gdy tylko zaczną się pojawiać w naszym świecie.

- Jak bardzo są niebezpieczne, Arkarianie? - zapytała Rochelle.

- Sama ich obecność w naszym świecie będzie stanowić ogromne zagrożenie.

- Nie rozumiem.

- Równowaga między dobrem a złem zostanie zachwiana.

— Co się może zdarzyć?

— To samo, co stało się w świecie podziemnym. Fale mroku zaleją nasze ziemie, a świat zacznie się stawać coraz ciemniejszy. W końcu Księżyc, a po nim Słońce, znikną całkowicie. Nie będą rosły żadne rośliny, na morzach i oceanach ustaną przypiływy, a świat pograży się w chaosie. W końcu cała natura wymrze i zwycięży zło.

Trudno było uwierzyć, by komukolwiek zależało na czymś takim.

— Jak Lathenia może tego pragnąć?

— Jest Boginią Chaosu. Zimno, mrok, strach, chciwość i wszystko to, co złe, czynią ją silniejszą. To rzeczy, które ją cieszą.

Milczeliśmy przez chwilę, zastanawiając się nad niepokojącymi słowami Arkariana. W końcu Rochelle zapytała:

— Ile czasu pozostało do ich ataku? Arkarian odetchnął głęboko.

— Sądząc po wyglądzie tamtej armii, powiedziałbym, że bardzo niewiele.

Mistrz w milczeniu przeniósł nas z powrotem do swojej siedziby. Wylądowaliśmy bezpośrednio w głównej komnacie. Kiedy się pojawiliśmy, Isabel i Ethan nie mogli ukryć ulgi.

— Co się stało? — zapytał natychmiast Arkarian. Ethan wskazał sferę.

— Otworzył się portal.

Arkarian popatrzył w sferę, zmieniając kilka razy powiększenie i studiując przeszłość.

- Plymouth, 24 sierpnia 1768 roku. - Podniósł głowę. - Dzień przed tym, kiedy kapitan James Cook wyruszył statkiem „Endeavour” na poszukiwania wielkiego południowego kontynentu.

- Czy to on tam jest, w tym tłumie? - Nie mogłem się powstrzymać przed zadaniem tego pytania.

- Tak - potwierdził Arkarian. - Licząca dziewięćdziesięciu czterech mężczyzn załoga szykuje się na przygodę swojego życia. Ta podróż potrwa niemal trzy lata.

- Skąd ma nadciągnąć niebezpieczeństwo, Arkarianie? — zapytała Isabel.

Popatrzył na nią i jak zwykle jego spojrzenie zmiękło, kiedy ich oczy się spotkały.

- Potrzebuję więcej czasu, żeby się temu przyjrzeć, ale sądząc po wyglądzie tego wąskiego portalu, nie został otwarty na długo. To oznacza, że Zakon planuje szybką i zdecydowaną akcję. Przypuszczam, że zostaną wysłane dwie osoby: jedna ma nas zająć, podczas gdy druga postara się zabić Cooka.

-Więc na co czekamy? - rzuciła Isabel. Arkarian odszedł od sfery i popatrzył na nas kolejno.

- Wysłałbym Jimmy'ego, ale jego talenty będą potrzebne dzisiaj podczas innej misji.

- Arkarianie - odezwała się Isabel tonem, który musiał zwrócić jego uwagę. - Ja się tym zajmę.

Mistrz nie odpowiedział jej bezpośrednio, popatrzył tylko na Ethana, a potem na mnie.

- Wysyłam Ethana i Matta.

Ogarnęła mnie fala ekscytacji i ulgi - ulgi, że Isabel nie zostanie wysłana na tę misję. W odróżnieniu od Arkariana nie dbałem o to, czy poczuje się urażona. Ekscytacja zaś brała się z perspektywy pierwszej misji w przeszłości. A przecież nawet nie miałem jeszcze mocy! Nagle ta sama fala ekscytacji zamieniła się w grudę w żołądku, kiedy zaprotestowały moje nerwy.

Isabel wierciła się niespokojnie obok mnie, a potem skubnęła rękaw Arkariana, odciągając go na bok.

- Co ty wyprawiasz?

-Wykonuję tylko swoją pracę, Isabel. To, do czego zostałem wyszkolony. Oceniam sytuację i dokonuję wyboru, bazując na tej ocenie.

- Ale dlaczego wysyłasz Matta? -Ej!

Spojrzała na mnie ze złością.

- Zamknij się, Matt. Muszę tylko wiedzieć dlaczego. Najwyraźniej tych dwoje musiało się jeszcze lepiej dograć. Wspólna praca i wspólne życie stanowiły wyzwanie dla każdego związku. Rzuciłem okiem na Rochelle. Cóż, przynajmniej ja nie musiałem się o to martwić.

- Isabel - odezwał się cierpliwie Arkarian, wskazując sferę. - Tam jest dziewięćdziesięciu czterech mężczyzn.

Zaczęła łapać.

- Mhm.

- Gdybym wysłał ciebie, albo dowolną inną dziewczynę, przyciągnęłybyś ich uwagę. Oczy wszystkich byłyby zwrócone na ciebie. Popatrz na nich. — Skinął głową w kierunku sfery. - Nie muszę ci mówić, dlaczego mogłoby to narazić na niebezpieczeństwo całą misję.

Ethan nie zdołał się pohamować i wybuchnął śmiechem.

Isabel palnęła go z całej siły. Potarł ramię.

- Nie zdawałam sobie sprawy, że tam będą tylko faceci - mruknęła. - Nie chciałabym tylko, żebyś był wobec mnie nadopiekuńczy, to wszystko. — Spojrzała na mnie. — Do szczęścia pod tym względem całkowicie wystarczy mi mój brat.

Arkarian objął Isabel i trzymał przy sobie, kiedy prosił Rochelle, żeby poinformowała profesora Cartera, Jimmy'ego i ojca Ethana, Shauna, że z samego rana, kiedy tylko wrócą ze swoich misji, odbędzie się tu spotkanie.

- I nie korzystaj z telefonu. Zbyt łatwo można przechwycić sygnał.

Rochelle wyszła, a Arkarian zwrócił się do Ethana i do mnie.

- Wy dwaj wracajcie lepiej do domu i odpocznijcie trochę. Spotkam się z wami w Cytadeli przed skokiem, żeby udzielić ostatnich instrukcji. Pamiętaj, Matt, że

przeniesienie następuje we śnie, więc po prostu odpręż się i połóż do łóżka tak jak zwykle. Kiedy przybędziesz do Cytadeli, twoja dusza i twoje oczy będą znajdować się w ciele przypominającym twoje własne aż do chwili, kiedy dostaniesz tymczasową tożsamość. Czy to jasne? Skinąłem głową.

- Ethan wyjaśniał mi szczegóły podróży podczas treningów. Tylko ta komnata, w której dzisiaj byliśmy, nie przypominała żadnej z tych, które opisywał.

-To dlatego, że dzisiaj znaleźliśmy się w innej części Cytadeli. Cytadela jest podzielona na dwa główne sektory. Podróże odbywają się poprzez labirynt składający się z bezustannie zmieniających się komnat i schodów, które mają odpowiadać potrzebom podróżników i zachowywać ich tożsamość w sekrecie. Miejsce, w którym dzisiaj byliśmy, służy wielu innym celom, ale przede wszystkim mieści pracownie i kwatery mieszkalne. Labirynt nie mógłby działać bez pomocy maszyn i koordynacji przeprowadzanej z tej drugiej części. Czy chcesz wiedzieć coś jeszcze?

Nic nie przychodziło mi do głowy.

- No dobrze, idźcie już. Na zewnątrz jest już prawie wieczór. Twoja matka będzie się zastanawiać, co was tak długo zatrzymuje.

Ethan pociągnął mnie za ramię, więc ruszyłem do wyjścia, ale zauważyłem, że Isabel nadal jest przyklejona do Arkariana.

- A ty nie idziesz? - zapytałem.

Uniosła głowę do ukochanego, przez chwilę patrzyli na siebie.

- Za chwilę - odezwał się Arkarian. - Idźcie przodem.

Ethan znowu mnie szturchnął. Ruszyłem za nim powoli, rzucając długie spojrzenie mojej siostrze. Chciałbym się przyzwyczaić do widoku tych dwojga razem.

Na zewnątrz wieczorne powietrze było chłodne, więc otuliłem się mocniej kurtką.

- Po prostu nie umiesz przestać się niepokoić, prawda? - powiedział Ethan.

- Co?

- O Isabel.

- Obiecałem naszemu tacie, że będę się nią opiekował. Staram się to robić i tyle.

- Isabel jest moją najlepszą przyjaciółką. Zaufaj mi, nie wyszedłbym, gdybym uważał, że może ją spotkać cokolwiek złego. - Klepnął mnie w ramię. - Chodźmy już. Musisz się skoncentrować na dzisiejszej misji. Nie chciałbyś jej zawalić, nie?

- No jasne, że nie!

Ethan zaczął opowiadać o Cytadeli. Mówił mi to już wcześniej, ale moje pytania do Arkariana musiały sprawić, że postanowił to powtórzyć.

- Tam się nauczysz języka, akcentu i innych szczegółów, o których musimy wiedzieć, żeby się nie wyróżniać...

Słuchałem uważnie, kiedy schodziliśmy razem z góry. Nie zaszliśmy daleko, kiedy usłyszeliśmy głos za nami.

- Hej, czekajcie!

To była Isabel, a ja na jej widok nie potrafiłem powstrzymać uśmiechu. Prawidłowo odczytała wyraz głębokiej ulgi na mojej twarzy.

- Palant. Kiedy w końcu zrozumiesz, że nie musisz się już o mnie troszczyć? Chcieliśmy po prostu mieć chwilę dla siebie. Nie ma w tym nic złego!

Nie potrafiłbym uniknąć powątpiewającego tonu, dlatego nie odezwałem się ani słowem.

- Hmm - mruknąłem tylko.

Ethan przekazał mi jeszcze kilka wskazówek i zostawił nas pod drzwiami domu. Potrafiłem myśleć tylko o tym, żeby wziąć jak najszybciej prysznic i położyć się spać. Ale mama czekała na nas tuż za drzwiami.

- Gdzie wyście byli?

W jej głosie brzmiały niepokój i napięcie - nic dziwnego po tym, co wydarzyło się rano w szkole. Zadzwoiłem do niej wcześniej, żeby zapytać, czy wszystko w porządku i powiedzieć, że Isabel i mnie nic się nie stało. Uprzedziłem też, że ponieważ lekcje zostały odwołane na resztę dnia, wybierzemy się do parku narodowego na wycieczkę.

- Jesteś pewien, że nic wam nie jest? Dlaczego uparliście się dzisiaj na tę wycieczkę? Dobrze, że Jimmy was spotkał i mógł mnie zapewnić, że nic się wam nie stało. Wiecie, że nie jestem teraz zachwycona, kiedy

wybieracie się do parku narodowego. To niebezpieczne. Chcecie się znowu zgubić? Było jasne, że się niepokoiła.

- Przepraszam, mamó. Nie chcieliśmy cię martwić. Zapomniałem już o tym... jak się wtedy zgubiliśmy. Nie chodziliśmy nigdzie daleko, słowo.

Jimmy był w kuchni, słyszałem stąd, jak śpiewa. On też był członkiem Straży i jednym z Wezwanych. A także facetem mojej mamy. Często zastanawiałem się, czy jego uczucie do niej było prawdziwe, czy też był w naszym domu i udawał, że mu na niej zależy, tylko po to, żeby pilnować mnie i Isabel. To była nieprzyjemna myśl, ale nie do końca irracjonalna. Ostatecznie Rochelle udawała, że mnie kocha, bo taki dostała rozkaz.

Jimmy wyłonił się z kuchni w fartuchu, o który wytarł rękę.

- Mówiłem ci, skarbie, że nic im nie będzie. - Popatrzył na mnie i Isabel z uśmiechem. - Możecie wziąć prysznic, jeśli chcecie, ale nie traćcie za dużo czasu, obiad jest prawie gotowy.

- Nie jestem...

Nie zdążyłem skończyć zdania, bo Isabel kopnęła mnie w łydkę.

- Dzięki, Jimmy, umieram z głodu. Matt właśnie mówił mi, że po tej wycieczce mógłby zjeść konia z kopytami.

Uściskała uspokajająco mamę i pobiegła na górę. Zrozumiałem, o co jej chodziło, Ethan także wyrażał

się bardzo jasno. Musiałem się zachowywać normalnie, żeby mama nie zaczęła się martwić, że jestem chory albo coś mi dolega, i nie przyszła zajrzeć do mnie w nocy. Chociaż moje ciało znajdowałoby się w łóżku, gdyby spróbowała mnie obudzić, sprawiałbym wrażenie pogrążonego w śpiączce i przeraził ją na śmierć. W dodatku próby budzenia są bardzo niebezpieczne dla osoby podróżującej w czasie, która zaczyna wówczas źle się czuć, może nawet umrzeć.

Wziąłem prysznic i zszedłem na obiad - był kurczak panierowany i zapiekany z ziemniakami i śmietaną, jedno z moich ulubionych dań. Dzisiaj wieczorem smakował jak karton. Wmusiłem go w siebie do ostatniego kęsa, uśmiechając się, żeby pokazać mamie, że nic mi nie jest. Jimmy sprawiał wrażenie rozbawionego, ale on był facetem, który potrafi się śmiać z cudzego nieszczęścia. Isabel nie zgodziłaby się ze mną co do tego, ale z drugiej strony ona nigdy nie przyznawała mi racji.

Zupełnie jakby chciał mnie torturować, Jimmy zaproponował, że we dwóch pozmywamy po obiedzie.

- Damy dzisiaj dziewczynom wolne, co?

Jego dobry humor irtował mnie bardziej niż zwykle, ale nie było sensu się sprzeczać. Nie chciałem przeciągać tego wieczoru - zależało mi tylko na tym, żeby położyć się do łóżka, zasnąć i udać się na misję.

W kuchni Jimmy podał mi ścierkę do naczyń.

- Ja będę zmywał - powiedział. Kiedy mama znikła razem z Isabel, zabrał mi ścierkę. - Chciałem tylko

życzyć ci powodzenia tak, żeby twoja matka nie usłyszała.

Żartobliwy ton zniknął, nawet jego oczy sprawiały wrażenie, bo ja wiem - bardziej poważnych? -OK.

— Chciałem też poprosić cię, żebyś' na siebie uważał. Ostatnio wszystko robimy w pośpiechu, a to nas czasem zmusza do podejmowania decyzji pod wpływem chwili albo pod naciskiem okoliczności. — Najwyraźniej mówił z własnego doświadczenia. A chociaż zazwyczaj drażnił mnie do tego stopnia, że celowo nie słuchałem ani słowa z tego, co mówił, tym razem chłonałem jego słowa w całkowitym skupieniu. — Bardzo trudno jest w ułamku sekundy zdecydować, co będzie najlepszym wyborem.

Skinałem głową, rozumiejąc, co ma na myśli.

— Wiem, że nie masz jeszcze mocy, ale jesteś dobrze wyszkolony. Ethan odwalił kawał świetnej roboty. I cóż, najlepszą radą, jakiej mogę ci udzielić, jest to, żebyś zdał się na swój instynkt. Jeśli masz wrażenie, że coś jest nie tak, przyjrzyj się temu. Jeśli coś w środku podpowiada ci, że powinieneś uciekać, wynoś się stamtąd tak szybko, jak tylko możesz. Jasne?

- Jasne.

- No to leć już do łóżka. - Popatrzył na zlew pełen naczyń i mrugnął do mnie. - Ja się tym zajmę. Zwykle za pierwszym razem trudno jest zasnąć.

Na górze, w pokoju, rzuciłem się na łóżko i ode-

tchnąłem głęboko. Wszystkie usłyszane ostrzeżenia kłębiły mi się w głowie. Spróbowałem się od nich odciąć, ale przedzierały się do świadomości, rywalizując o moją uwagę. Zacząłem się zastanawiać, jak to jest - podróżować w czasie. Czy będzie jakiś znak? Czy może jakieś uczucie, które powie mi, że to się zaraz stanie? A jeśli obudzę się w trakcie podróży?

W końcu zmusiłem się do zamknięcia oczu. Byłem pewien, że zauważę, kiedy się zacznie moja przygoda.

Rozdział 5

Rochelle

Po wyjściu z siedziby Arkariana skierowałam się do szkoły. Musiałam znaleźć profesora Cartera i przekazać mu wiadomość o jutrzejszym porannym spotkaniu. Prawdopodobnie był jeszcze w szpitalu, ale postanowiłam najpierw poszukać go w szkole — to mogło mi oszczędzić wyprawy do miasta. Powinnam była zapytać Arkariana przed wyjściem, ale cóż, nie pomyślałam o tym w porę.

W szkole nadal panował bałagan, a z powodu zniszczeń tymczasowe klasy zostały zorganizowane w szatniach przy boisku. Miały być używane do czasu odbudowy budynku D. Tę ostatnią informację podsłuchałam, kiedy jedna z sekretarek, pani Walters, rozmawiała z kimś przez telefon.

Okazało się, że sekretariat jest jedynym pomieszczeniem w szkole, które nie zostało zagrodzone.

- Są wszędzie - nawijała pani Walters. - Rządowi naukowcy cały dzień pchają się do naszego miasteczka! A dziennikarze...

Postukałam palcem w biurko, żeby zwrócić jej uwagę. Spojrzała na mnie z lekką irytacją, a potem zakryła dłonią słuchawkę.

- Szkoła będzie nieczynna do końca tygodnia. Aż tyle czasu potrzeba, żeby sprawdzić, czy budynki są bezpieczne.

- Ale ja nie...

- Skarbie, powiadomimy was przez lokalne wiadomości. - Odprawiła mnie machnięciem ręki i wróciła do przerwanej rozmowy.

- Chciałam się tylko dowiedzieć, czy profesor Carter wyszedł już ze szpitala - odezwałam się głośno.

W końcu zrozumiała, że nie interesuje mnie, kiedy zostaną wznowione lekcje. Zupełnie jakbym była taką pilną uczennicą!

- Aha - mruknęła. - Trzeba było tak mówić od razu. Wydaje mi się, że zatrzymali go w szpitalu na obserwacji.

Po prostu świetnie.

- Na jak długo?

- Przepraszam, skarbie, mówiłaś coś? - Rozejrzała się, jakby widziała mnie po raz pierwszy, a potem popatrzyła na trzymaną w rękę słuchawkę, marszcząc

brwi. Nagle odłożyła ją, nawet się nie zegnając. - Wiesz, oni chcą, żebyśmy opuścili sekretariat. Znaczący, inżynierowie. Ale uczniowie muszą dzwonić do rodziców. Telefony się urywają. Reporterzy zjeżdżają się z całego kraju, mówią, że to niezwykle zjawisko.

Odezwałam się powoli, wymawiając z naciskiem każde słowo, żeby ta kobieta skoncentrowała się na moim pytaniu.

- Jak długo profesor Carter będzie w szpitalu?

- O Boże. Chyba kilka dni. Chcą przeprowadzić badania. On się upiera, że nic mu nie jest, ale wiesz, jacy oni są.

Potrząsnęłam głową. -Kto?

- Lekarze. Pielęgniarki. Naukowcy. Mówią, że to cud, że on żyje. Nie ma nawet żadnego zadrapania. Bóg musiał się nad nim zlitować.

Hmm. Niezupełnie. Miał dużo szczęścia, że Isabel i Ethan byli w pobliżu. Do sekretariatu wszedł dziennikarz i chciał podsunąć mi mikrofon, ale zrobiłam unik i szybko wyszłam. Okazało się, że reporterzy są wszędzie i samo dotarcie do bramy stanowiło wyzwanie.

Zaczął się właśnie zmierzchać, kiedy złapałam autobus do szpitala. Musiałam jeszcze powiedzieć o spotkaniu Shaunowi i Jimmyemu. W tym tempie zajmie mi to całą noc.

Jakieś dwadzieścia minut później wysiadłam z autobusu w centrum miasta i poszłam do znajdującego

się niedaleko szpitala. W recepcji dowiedziałam się szybko, że profesor Carter jest w sali na trzecim piętrze, a kiedy tam dotarłam, ochrzaniał właśnie lekarza za to, że go tak długo przetrzymują.

Zapukałam, przerywając ich rozmowę.

Lekarz zobaczył mnie i spróbował się uśmiechnąć, ale nie bardzo mu to wyszło. Profesor Carter był trudnym pacjentem i nadwyręzał cierpliwość personelu, ale jego cudowne ocalenie było z pewnością warte bliższego zbadania.

Lekarz gestem ręki zaprosił mnie do środka.

- Wrócimy do tej rozmowy, kiedy pański gość pójdzie. -
Minął mnie wychodząc i mruknął: - Życzę powodzenia.

Kiedy wyszedł, profesor Carter skinął, żebym zamknęła drzwi. Nagle znaleźliśmy się sami, a ja nie wiedziałam, gdzie mam się podziać. Nie byliśmy, łagodnie mówiąc, w przyjacielskich stosunkach. Dokładniej rzecz ujmując, byliśmy wrogami.

Podeszłam bliżej i zobaczyłam kable i rurki przymocowane do ciała profesora Cartera.

- Co oni panu zrobili?

Kardiomonitor pulsował miarowo w tle, podczas gdy inne maszyny wyświetlały faliste lub zygzakowate linie, przebiegające po zielonych ekranach.

- Czy to konieczne? - Wskazałam sprzęt medyczny.

- Oczywiście, że nie! Ale spróbuj im to powiedzieć.
-Potrząsnął głową, rzucił okiem na zamknięte drzwi i za-

czał odczepiać plastry i rurki od swojej głowy, klatki piersiowej, ramion i nóg.

- Co chce pan zrobić?

- Wynieść się stąd.

- Ale panie profesorze, nie boi się pan, że oni to zauważą? Znaczący, cały czas się nam powtarza, że nie powinniśmy zwracać na siebie uwagi.

- Zwracam na siebie uwagę, przebywając tutaj. Już mi zadają pytania o moje cudowne ozdrowienie. Jeśli stąd zniknę, nie będą mogli przeprowadzać dalszych badań. Właściwie zjawiałaś się w samą porę, Rochelle. Chciałbym, żebyś mnie podwiozła.

- Przyjechałam autobusem.

Znieruchomiał na chwilę, a potem szybkim ruchem wyrwał ostatnią rurkę.

- Masz już chyba dość lat, żeby zrobić prawo jazdy? Uśmiechnęłam się krzywo.

- Na wypadek gdyby pan nie zauważył: ostatnio mnie tutaj tak jakby nie było, a poza tym kiedy miałam znaleźć czas na naukę jazdy? Nie uwierzy pan, co się dzisiaj działo.

Uniósł brew, ale nie ciągnęłam tematu. Zrozumiał, wyciągnął ubranie z szafki obok i machnął na mnie, żebym się odwróciła. Zrobiłam to natychmiast. Kiedy skończył się ubierać, klepnął mnie w ramię.

- Znikajmy stąd.

- Jak chce pan uciec? Pielęgniarki lada moment się zorientują, że te maszyny przestały działać.

Okazało się, że jednym z talentów profesora Cartera był superczuły słuch. Cóż, można się było domyślić! W szkole zawsze dokładnie wiedział, co uczniowie szeptali, nawet w najodleglejszym kącie klasy. Nic dziwnego, że Ethan miał przechłapano na jego lekcjach.

- Drugie drzwi na prawo prowadzą na schody. Słyszałem przez cały dzień kroki w dół i w górę. Na parter prowadzi czterdzieści siedem stopni.

Wyjrzelśmy na korytarz, żeby upewnić się, że nikt nie patrzy w naszą stronę, a potem wyszliśmy i skierowaliśmy się w prawo. Ale dyżurka pielęgniarek znajdowała się niemal naprzeciwko klatki schodowej i właśnie uruchomił się w niej alarm, prawdopodobnie z powodu odłączonych maszyn monitorujących stan profesora Cartera. Pielęgniarki sprawiały wrażenie spanikowanych.

Jedna zauważyła nas i rozpoznała swojego pacjenta.

- Zaraz! Dokąd pan się wybiera? Proszę wracać! Ruszyliśmy szybciej i wypadliśmy na klatkę schodową.

- Szybko!

Zbiegłam za profesorem Carterem przez trzy piętra schodów, a potem jeszcze jedno, prowadzące do podziemnego garażu.

- Przy wejściu będzie czekać ochrona - wyjaśnił.

Kilka minut później znajdowaliśmy się już na zewnątrz, ale nie zatrzymywaliśmy się, dopóki nie przebiegliśmy całej przecznicy.

W końcu stanęliśmy, a ja podparłam boki dłońmi.

- Dziękuję za okazję do ćwiczeń, ale chciałam tylko powiedzieć panu, że jutro rano odbędzie się spotkanie w siedzibie Arkariana. Proszę się na nim pojawić.

Rozejrzałam się za najbliższym przystankiem autobusowym, odwracając się do profesora Cartera plecami. Podszedł bliżej.

- Co się stało?

Nadal rozglądając się za autobusem, wzruszyłam lekko ramionami.

- Jestem pewna, że jutro usłyszysz pan pełne wyjaśnienia.

Podjechał autobus - zamachałam ręką, ale nie stałam na przystanku, więc minął mnie, nie zatrzymawszy się.

- Szlag.

Profesor Carter podniósł rękę i żółta taksówka jadąca w przeciwną stronę zawróciła, omal nie powodując wypadku. Otworzył tylne drzwi i zaprosił mnie do środka.

- Następny autobus będzie za pół godziny. Wsiadłam do taksówki.

- Muszę jeszcze zawiadomić Shauna i Jimmyego - wyjaśniłam.

- Będę się widział z Jimmym dzisiaj w nocy - odparł profesor Carter. - Mamy wspólną misję. Powtórzę mu.

Nauczyciel wytłumaczył mi, jak dotrzeć do domu Ediana, ale poprosił kierowcę, żeby najpierw podrzucił

go do liceum Angel Falls. Kiedy dojechaliśmy na miejsce, profesor Carter wysiadł z taksówki.

— Zostawiłem tutaj samochód. Masz - zwrócił się do mnie.

Wyciągnął rękę, a kiedy wyjęłam własną z kieszeni, wepchnął mi w garść kilka banknotów. Gdy jego palce zetknęły się z moimi, ogarnęło mnie dziwnie znajome wrażenie. Ale nie miałam czasu się nad tym zastanowić, bo profesor Carter zareagował gwałtownie. Skoczył do tyłu z cichym okrzykiem - dotyk moich dłoni sprawił mu ból, poczuł coś jakby ukłucie lub oparzenie. Szybko wsadziłam ręce z powrotem do kieszeni, tak jak trzymałam je przez większość popołudnia. Nic nie powiedział, ale przez dłuższą chwilę przyglądał mi się badawczo. W końcu zwrócił się do taksówkarza.

- Proszę ją zawieźć tam, gdzie będzie chciała.

Podjechaliśmy w stronę parku narodowego, a taksówkarz zaczął czekać, kiedy podbiegłam, żeby powiedzieć Shaunowi o spotkaniu. Na szczęście był w domu. Przywitałam się w przelocie z panią Roberts, która ostatnio wyglądała lepiej niż kiedykolwiek wcześniej.

Wróciłam do taksówki i podałam kierowcy adres mojego domu. W połowie drogi poprosiłam go jednak, żeby zawrócił w kierunku parku narodowego.

- Proszę wjechać w taką zwirową aleję, dawną drogę pożarową — powiedziałam mu.

Spojrzał na mnie w tylnym lusterku.

— Chcesz tam jechać?

- Tak — mruknęłam, zastanawiając się, co właściwie wyprawiam. Arkarian nie powiedział mi, że mam się spotkać z Nerią, ale coś w środku podpowiadało mi, że powinnam to zrobić. Była wprawdzie jedną z Wezwanych, ostatnią odnalezioną, ale jeszcze o tym nie wiedziała. Zadaniem Ethana, jako jej Nauczyciela, było wtajemniczyć ją we wszystko. Opowiedzieć o nas. Dlatego nie byłam pewna, dlaczego to robię, ale miałam poczucie, że tak będzie właściwie.

Było już kompletnie ciemno, a kiedy taksówka skręciła w wąską żwirową drogę, moje ciało przeszedł dreszcz. Kierowca rzucał mi pytające spojrzenia. Zastanawiał się, kiedy każę mu się zatrzymać.

- Proszę jechać.

W końcu dojechaliśmy do końca drogi i taksówkarz zaparkował samochód przed wysoką żelazną bramą.

- Proszę na mnie poczekać, zaraz wrócę.

- Najpierw mi zapłać - uparł się.

Zamierzał stąd uciec. Widziałam to w jego myślach. Spróbowałam go przekonać, że to nie potrwa długo.

- Najpierw zapłać, potem poczekam. - Kłamał, ale nie miałam wyboru.

Zapłaciłam i jeszcze raz poprosiłam, żeby poczekał.

Wysiadłam z samochodu, a kiedy tylko zamknęłam drzwi, ruszył z miejsca. Świetnie. Jak teraz miałam dostać się do domu? Patrzyłam, jak tylne światła znikają w ciemnościach. Przez chwilę nie odrywałam od nich spojrzenia - zmrok nie był moją ulubioną porą.

W końcu taksówka zniknęła mi z oczu całkowicie, a ja zauważyłam inne światła po drugiej stronie bramy. Były przyćmione. Podeszłam do żelaznych prętów i zajrzałam do środka, ale miałam wrażenie, że patrzę przez szkło albo pleksiglas. Była tu jakaś bariera.

Nagle w ciszy nocnej rozległ się czyjś głos, pytając, kim jestem. Omal nie wyskoczyłam ze skóry. Spojrzałam na małe białe pudełko, z którego dobiegał dźwięk.

- Nazywam się Rochelle Thallimar i chciałabym się zobaczyć z Nerią. Byłam tu już dzisiaj, kiedy odprowadzałam ją do domu.

Trwało to jakąś minutę, ale w końcu brama szczęknęła i uchyliła się na szerokość mojego ciała. Ale brama była tylko zasłoną dla znajdującej się za nią bariery. Przede mną pojawił się otwór, który powiększył się tak, że mogłam się w nim zmieścić. To było dziwne, zupełnie jakby szkło, czy z czego ta bariera była zrobiona, stało się miękkie. Wyciągnęłam rękę, żeby dotknąć krawędzi otworu, kiedy po raz kolejny usłyszałam ten głos.

- Wchodź już do środka!

Znowu podskoczyłam. Weszłam przez otwór, a bariera zamknęła się za mną - dziura zniknęła całkowicie z cichym mlaśnięciem. Spojrzałam w górę, a chociaż było ciemno, zobaczyłam barierę wysoko nad drzewami, zniekształcała widok nocnego nieba. Cały ogród wokół posiadłości znajdował się wewnątrz tej kopuły ochronnej. Zastanowiwszy się chwilę, przypomniałam

sobie, że Neria była przywożona i odwożona ze szkoły przez szofera w czarnym mercedesie. Zawsze jechały z nią dwa białe psy. Najwyraźniej potrzebowała ochrony przed Mardukiem.

Ruszyłam szeroką brukowaną aleją, a światła przede mną rozjaśniły dom Nerii. Przez moment stanęłam i po prostu patrzyłam.

- Rany - oznajmiłam zimnemu powietrzu wokół. Dom przypominał pałac. Miał małe wykusze na najwyższym poziomie i ozdobione pięknymi skrzynkami kwiatów balkony, schowane pod krytym gontem dachem. — Widać, że ktoś o to wszystko dba.

Kiedy wymawiałam te słowa, myśli kogoś znajdującego się w ogrodzie przemknęły przez moją głowę. To było króciutkie muśnięcie. Może mi się zdawało? Włoski na mojej szyi zjeżyły się i ciarki przeszły mi po kręgosłupie. Rozejrzałam się, ale poza latarniami oświetlającymi aleję rozciągała się ciemność.

Zmusiłam się do zrobienia kolejnego kroku, ponieważ moje nogi postanowiły odmówić posłuszeństwa. Ten przebłysk myśli mógł dochodzić skądkolwiek. Teraz słyszałam myśli ze znacznie większej odległości niż dawniej. Może w lesie ktoś obozował na dziko. Ludzie robili to bardzo często.

Ale wtedy to się powtórzyło — w tym samym momencie, gdy z konaru zwieszającego się niemal dokładnie nad moją głową spadła gałązka. Popatrzyłam w górę, ale księżyc jeszcze nie wzeszedł, a bariera ochronna

przesłaniała nocne niebo, było więc zbyt ciemno, żeby zobaczyć cokolwiek poza cienistymi konturami gałęzi.

Dobra, spróbowałam sobie powiedzieć, że muszę po prostu iść naprzód. To może nie być nic nadzwyczajnego. Może mam jakieś omamy. Popatrzyłam przed siebie, ale do domu nadal był jeszcze spory kawałek. Za daleko, jak na mój gust. Dlaczego uparłam się, żeby odwiedzić Nerię? I dlaczego przyszło mi do głowy robić to nocą?

Dźwięk po prawej sprawił, że zamarłam. Powoli odwróciłam głowę. Tym razem coś zobaczyłam - dwa lśniące światła, owalne i na tyle małe, że przypominały parę oczu. W tym momencie usłyszałam wyraźne warknięcie. W ogrodzie było jakieś zwierzę!

Poruszyło się, zobaczyłam cień, który przemknął przez trawnik za drzewami. Zaszło mi w ustach. *Ruszaj!* Wykrzyczałam to słowo w myślach tak głośno, jak tylko mogłam. *Po prostu ruszaj!*

Dotarłam do domu, a Neria otworzyła mi drzwi. Za nią dwa białe psy sprawiały wrażenie niespokojnych, skomlać i skacząc dokoła.

- Cześć, Rochelle - powiedziała, przywołując czworonogi do porządku. - Wejdz. - Popatrzyła na psy, które nadal były zdenerwowane. - Nie mam pojęcia, co w nie wstąpiło.

- W ogrodzie coś jest.

Jej oczy napotkały moje spojrzenie.

- Jesteś pewna? Co widziałaś?

- Jakieś zwierzę. - Nie miałam ochoty jej mówić, że to „zwierzę” myślało jak człowiek. W każdym razie w sposób wystarczająco przypominający człowieka, żebym mogła te myśli na moment pochwycić. Nie słyszałam myśli zwierząt, nie miałam takiego talentu.

Za Nerią pojawiła się jakaś kobieta. Byłam ciekawa, czy to jej matka - miały takie same duże owalne oczy, nieskazitelną cerę i jedwabiste ciemne włosy.

- Wypuść psy - powiedziała.

Neria uniosła rękę i wskazała otwarte drzwi. Psy szczeknęły krótko i skoczyły). To był wysoki i długi skok, a ku mojemu zdumieniu w jego trakcie zmieniły kształt. Przemieniły się w lamparty! Lamparty śnieżne, z grubym, prawie białym futrem ozdobionym czarnymi plamkami zebranyymi w rozetki. Gapiłam się na nie z otwartymi ustami.

Matka Nerii zamknęła drzwi.

- Jestem Aneliese. Witamy w naszym domu, Rochelle.

- Miło, że wpadłaś - odezwała się Neria. - Rzadko ktokolwiek mnie tu odwiedza.

- Cóż... - Nie dokończyłam tego, co chciałam powiedzieć. Ta dziewczyna mieszkała głęboko w lesie, na końcu starej drogi pożarowej, w domu jak z baśni, otoczonym dwumetrowym ceglany murem i grubą barierą, z dwoma psami, które zamieniały się w lamparty i dziwacznym zwierzęciem w ogrodzie. Co w tym dziwnego? - Mieszkasz trochę na uboczu.

- To miejsce jest wyjątkowo chronione, ale to konieczne - zauważyła miękko Aneliese.

Nadal próbowałam uspokoić serce, łomoczące po spotkaniu z tym stworem w ogrodzie, a potem po zobaczeniu psów przemieniających się w lamparty, więc z trudem znajdowałam słowa.

Neria zauważyła, że drzę.

- Najadłaś się strachu. Chodź do salonu, ogrzejemy się przy ogniu.

Poszłam za nią do obszernego pokoju umeblowanego zabytkowymi stolikami i szafkami, na którego ścianach wisiały klasyczne obrazy. Sprawiały wrażenie oryginalnych. Aneliese zostawiła nas same, ale niebawem wróciła z dwoma kubkami gorącej czekolady.

Rozmawiałyśmy przez chwilę o tym, jak Neria przyzwyczaja się do szkolnego życia. Zauważyłam, że Aneliese bardzo ostrożnie zadaje pytania. A potem dotarło do mnie, co jeszcze było w tym miejscu dziwnego. Cisza. To znaczy cisza w mojej głowie. Podobnie jak Arkarian, Neria i jej matka potrafiły ukrywać swoje myśli. Obie były wyszkolone. A to sprawiło, że przeszły mnie ciarki.

- Mieszkacie tu same? - Zadrżałam na samą myśl o tym.

- Mamy pięć osób służby - odpowiedziała Aneliese. Hmm, w takim razie dlaczego nie słyszałam ich myśli?

- A, ten głos w bramofonie.

-Tak, to był William. Obawiam się, że czasem jest zbyt obcesowy. Mam nadzieję, że cię nie wystraszył. Ozy widziała moją reakcję?

— Był w porządku, po prostu nie spodziewałam się tego. Aneliese wstała.

— Miło było cię poznać, Rochelle. Kiedy będziesz chciała wracać, nasz szofer odwiezie cię do domu.

Poczułam ulgę. Nie miałam ochoty jeszcze raz iść sama przez ten ogród.

— Dziękuję, to cudownie.

— Nie spiesz się. - A do Nerii dodała: - Powiem Williamowi o tym, co zauważyła Rochelle, i poproszę, żeby sprawdził, co z psami. Na monitorach nie było widać nic podejrzanego.

Wyszła, a Neria zamknęła za nią drzwi. Przez ten czas mój wzrok prześlizgnął się po pokoju. Te meble nie były po prostu zabytkowe - to były prawdziwe antyki. Każdy z nich musiał pochodzić sprzed czasów kolonizacji tego kraju! Złocisty zegar na kominku przykuł moją uwagę. Podeszłam i przesunęłam po nim ręką - był z okresu późnego renesansu, z początków siedemnastego wieku, z Augsburga. Ale mój dotyk wykrył coś jeszcze - coś, co sprawiło, że moje płuca zacisnęły się, jakby ktoś je zmiażdżył. Neria podeszła, żeby podnieść zegar, a jej palce musnęły moje. Znowu pojawiło się to dziwne, znajome uczucie. Cofnęła rękę i popatrzyła na mnie, marszcząc brwi. Nie mówcie mi, że ją też zabolalo?

- Nic ci nie jest? - zapytałam, gotowa ją przeproszać.

- Wszystko w porządku. Twój dotyk ukłuł mnie i zaskoczył. Co się stało z twoimi dłońmi?

Nie byłam pewna, ile ona wie.

- Mały wypadek - odparłam lekko i skoncentrowałam się z powrotem na zegarze.

- Należał do mojego ojca - powiedziała.

Jej słowa mnie zaskoczyły. O ile wiedziałam, żyła w odosobnieniu i w ukryciu przed ojcem, od kiedy była małym dzieckiem.

- Czyli go znasz. Znaczący, swojego ojca?

- Oczywiście - odparła, patrząc wprost na mnie. - Jest najgorszym człowiekiem, jakiego nosiły wszystkie światy.

Wiedziała więcej niż ktokolwiek z nas przypuszczał. Byłam ciekawa, o czym jeszcze została poinformowana.

- Jesteś myślowidząca?

- Nie. Ale ty jesteś. Mogę to poznać po twojej ostrożności. Uważam, że myślowidzący wiedzą zbyt wiele. Serca i umysły ludzi muszą czasem stanowić niewygodny ciężar.

Nie myliła się! Szczególnie ostatnio, kiedy miałam problemy z odcinaniem się od innych.

- Od małości byłam uczona osłaniania myśli - ciągnęła. - To konieczne, ponieważ mój ojciec jest myślowidzącym, a my nie wiedziałyśmy, kiedy zdoła nas

odszukać albo znajdzie się dostatecznie blisko, żeby usłyszeć nasze myśli i odkryć naszą tożsamość. Postanowiłam odpowiedzieć szczerością na szczerłość.

— Wydawało mi się, że nic o nas nie wiesz.

— Masz na myśli Straż? Skinęłam głową.

— Gdyby nie Straż i ochrona, jaką nas otoczyli, byłabym teraz we władzy mojego ojca, a moja matka by nie żyła. Ale musiałam żyć w ukryciu, a teraz mam zająć miejsce pomiędzy Wezwanymi i wypełnić moje obowiązki, wyznaczone w Proroctwie. Jestem ostatnia - dodała i umilkła na chwilę. — Kiedy zostanę wtajemniczona, Wezwani będą w komplecie.

- Przeszły ją ciarki, sprawiając, że całe jej ciało zadrżało.

— Boisz się?

— Nie, czekam na przyjęcie do Straży. Żeby stać się częścią zespołu. Byłam... samotna, dorastając bez przyjaciół. Po prostu wydaje mi się, że moje dołączenie i zgromadzenie wszystkich Wezwanych stanie się zapalnikiem, katalizatorem, który przyspieszy ostateczną bitwę.

Co za okropna myśl! Ale prawdopodobnie miała rację. Zastanowiłam się, co mogę powiedzieć, żeby rozluźnić trochę atmosferę.

— Wiesz, że Ethan będzie twoim Nauczycielem? Podziałało. Uśmiechnęła się, co sprawiło, że zaczęła wyglądać na bardzo młodziutką.

— To wspaniale! Wydaje się sympatyczny.

Mogłam tylko przytaknąć. „Sympatyczny” to za mało. Był wszystkim, czego mogłabym kiedykolwiek pragnąć.

- Ale chciałam... - Rozmarzony wyraz jej twarzy pobudził moją ciekawość.

- Czego byś chciała? Czy może raczej kogo? - nacisnęłam, kiedy umilkła.

Popatrzyła na podłogę i nie odpowiedziała. Gdy podniosła głowę, nasze oczy się spotkały, a mnie ogarnęło uczucie lojalności, odwagi i spokoju, które od niej emanowało. W Nerii kryło się więcej niż było widać na pierwszy rzut oka. Znacznie więcej.

- Ktokolwiek to jest, będzie miał szczęście, trafiając na ciebie - powiedziałam.

Zachichotała i przez chwilę rozmawialiśmy o chłopakach, których poznała, odkąd zaczęła chodzić do szkoły, a ja mówiłam jej, co o nich myślę. Rozmawialiśmy o różnych rzeczach. Neria opowiedziała mi o swoich obawach, że ojciec je znajdzie i zemści się na jej matce, tak jak to kiedyś poprzysiągł.

- Chce ją ukarać za to, że zabrała mnie od niego.

- Arkarian na to nie pozwoli - zapewniłam ją. Drzwi otworzyły się i weszła matka Nerii, poprzedzana przez skaczące psy. Neria przedstawiła mi je.

-Ten z opadającym uchem nazywa się Aysher. - Pociągnęła go żartobliwie za ucho i przytuliła twarz do jego pyska. Drugi pies prawie wspiął się na nią, próbując zwrócić uwagę swojej pani. Roześmiała się na widok

jego radosnych podskoków. - A to jest Silos. Cierpliwość nie jest jego najmocniejszą stroną.

— Są prześliczne. Czy to naprawdę psy? Znaczą, wcześniej zmieniły się w lamparty.

Poklepała oba po grzbietach i kazała im usiąść. Natychmiast wykonały polecenie, śledząc mądrymi oczami każdy jej krok.

— Robią to, kiedy wyczują niebezpieczeństwo. — Popatrzyła na matkę. - Znalazły coś w ogrodzie?

— Nic — Aneliese zwróciła się do mnie. — Jesteś pewna, że ci się nie zdawało, Rochelle? Ten ogród nocą bywa niesamowity.

Nie dało się ukryć.

— Poza Aysherem i Silosem nie ma tu innych zwierząt - ciągnęła. — Bariera ochronna otacza całą posiadłość jak kopuła. Nic nie może dostać się do środka niezaproszone, nawet ptak.

— Czy prowadzi tu jakaś inna droga poza frontową bramą?

Aneliese i Neria wymieniły zaniepokojone spojrzenia, słysząc moje pytanie.

— Mamy tunele umożliwiające ucieczkę - wyjaśniła Aneliese. — Ale drzwi są zabezpieczone i regularnie sprawdzane. Nie rozstaję się z kluczami. - Podniosła rękę do piersi, a jej głos stał się wyższy, zdradzając zdenerwowanie. - Zostałabym natychmiast powiadomiona, gdyby coś było nie w porządku.

— Proszę posłuchać, nie chciałabym wszczynać alar-

mu, ale wiem, co widziałam. Coś się przedostało przez bariery. Coś naprawdę dziwnego.

Rozdział 6

Matt

Wylądowałem na tyłku w komnacie Cytadeli, która przypominała kwiaciarnię z sufitem ozdobionym tęczami. Zagapiłem się na to wszystko i kichnąłem, kiedy zapach kwiatów podrażnił mój nos.

Złapałem wyciągniętą do mnie rękę - Ethan pomógł mi wstać, wyraźnie miał poczucie winy.

- Wydawało mi się, że uczyłem cię, jak lądować.
- Nie przypominam sobie żadnych instrukcji.
- A, to przepraszam.
- Nie ma sprawy. Mam twardą skórę.
- Jesteś bardziej wyrozumiały od swojej siostry. Zwykle krzyczała na mnie i biła mnie, kiedy źle wylądowała.

Potrząsałem głową.

- Nic dziwnego. Isabel ma obsesję udowadniania, że potrafi stać na własnych nogach.

Arkarian zmaterializował się przed nami. Zauważył wonne powietrze i tęcze, zmieniające się ponad naszymi głowami.

- Nie widziałem Cytadeli tak szczęśliwej od czasu mojego powrotu ze świata podziemnego.

- Mówisz tak, jakby Cytadela miała własne uczucia. Czy to nie jest po prostu budynek?

- To coś znacznie więcej niż budynek, Matt. Została zaprojektowana przez jedno z nieśmiertelnych, a potem przebudowana i udoskonalona przez drugie. A mówiąc o jej uczuciach, mam na myśli istoty, które tu mieszkają i są jej częścią tak samo jak cegły i zaprawa, które tworzą ściany. Ale nie zapominajmy, po co tutaj jesteście.

Przesunął dłonią po wysokim oparciu obitego białą skórą krzesła, jednego z trzech w tym pokoju, a potem usiadł, gestem zapraszając Ethana i mnie, żebyśmy poszli za jego przykładem.

- Macie udawać naukowców - wyjaśnił. - Ethan będzie botanikiem Henrym Robinsem, a ty, Matt, będziesz astronomem Edwardem Cowersem. To fikcyjne postaci, ale udało nam się uwiarygodnić waszą reputację. Charles Green, oficjalny astronom na statku „Endeavour”, nie może się doczekać spotkania z tobą, Matt. Ma szczególny talent do określania szerokości geograficznej na morzu wyłącznie na podstawie obser-

wacji księżycy i gwiazd. Niewielu naukowców w jego czasach to potrafiło. Zależy mi, żeby omówić z tobą kwestię instrumentów nawigacyjnych.

— Ale na ile zdołam go nabrać? Nie mam pojęcia o nawigacji.

Arkarian spojrzał na Ethana, a ja przypomniałem sobie o pyle, który miał wyposażyć mnie w potrzebną podczas misji wiedzę. Machnąłem ręką, żeby dać mu znać, że pamiętam nauki Ethana, ale najprawdopodobniej wyczytał to już z moich myśli. Nawet po tak długim treningu nie wiedziałem, jak osłaniać się przed myślowidzącymi. Po prostu tego nie łąpałem.

Arkarian kontynuował wyjaśnienia.

— Zostaniecie oprowadzeni po statku i przedstawieni najważniejszym członkom załogi. Nie macie płynąć razem z nimi. Dowiedźcie się wszystkiego o ich ostatnich działaniach. W krótkim czasie, kiedy „Endeavour” cumował w Plymouth, osiemnastu ludzi zdezerterowało ze statku. Kapitan przyjął na pokład marynarzy i ochotników, żeby skompletować załogę. Tuż przed wami powinien przybyć Joseph Banks, naukowiec i podróżnik, w towarzystwie swojego przyjaciela, szwedzkiego lekarza nazwiskiem Daniel Solander. Poza nimi dwoma w załodze w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin nie powinno być żadnych zmian. Rozumiecie wszystko?

Zaczekał, aż skinęliśmy głowami, po czym ciągnął dalej.

- Najważniejszą rzeczą, jaką musicie zapamiętać, jest to, że powinniście wycofać się ze statku, zanim wypłynie z portu. Mogę was ściągnąć z powrotem z dowolnego miejsca, nawet ze środka morza, ale jeśli załoga zobaczy was po tym, jak statek odbije od brzegu, będziecie musieli zostać na pokładzie aż do następnego postoju. Nie możecie do tego dopuścić, ten statek przez całe miesiące nie będzie nigdzie cumował.

- Jasne - odezwał się Ethan. - Rozumiemy. Bierz się do roboty i wynośmy się stąd.

Arkarian zostawił nas, a Ethan poprowadził mnie na górę schodami, które znikwały po każdym naszym kroku.

- Dlaczego tak się dzieje? - zapytałem.

- Dla bezpieczeństwa - wyjaśnił Ethan. - Dzięki temu nie ma żadnego śladu po tym, dokąd przybywamy ani skąd wyruszamy.

Trafiliśmy do komnaty, w której wzdłuż ścian rozwieszane były najróżniejsze ubrania. Kiedy przeszliśmy obok nich, nasze własne stroje zmieniły się, a gdy popatrzyłem w jedno z licznych luster, nie mogłem uwierzyć - wyglądałem zupełnie inaczej. Byłem ubrany w białe pończochy sięgające wysoko za kolana! Moje buty stały się czarne, były zapinane na wielkie srebrne klamry. Stałem bokiem i potrząsnąłem głową. Miały wysokie obcasy! Dalej zauważyłem koszulę - białą, ozdobioną koronką i z szerokimi rękawami. Była wepchnięta w obcisłe czarne spodnie do kolan,

z rzędem guzików po zewnętrznych stronach nogawek. Na to wszystko nosiłem brązową kamizelkę i rudobrązowy płaszcz. Wyglądałem idiotycznie.

- Naprawdę mamy nosić te przebrania? — Popatrzyłem na Ethana. Nosił podobny strój, ale nie sprawiał wrażenia zakłopotanego. - Czy te kostiumy dostatecznie przypominają autentyczne ciuchy, żeby nie wzięli nas za oszustów?

— Są autentyczne - wyjaśnił Ethan, obciągając z przodu kamizelkę. — Takie płaszcze były ostatnim krzykiem mody w 1768 roku. Nie przerabialiście tego okresu z profesorem Carterem?

- Nie chodziłem na historię.

- Wszyscy musieli chodzić na historię w młodszych klasach.

— No, w każdym razie nie pamiętam, żebym się o tym uczył.

— Nieważne. — Ethan pociągnął mnie na środek komnaty. - Może ci się przydać dodatkowa porcja pyłu.

Cienka warstwa pyłu posypała się na nas spod sufitu. Natychmiast poczułem się wygodnie w swoim ubraniu, ale co jeszcze dziwniejsze, uświadomiłem sobie, że posiadam rozległą wiedzę o wszechświecie, pozycjach gwiazd i konstelacjach. W myślach zobaczyłem obraz sekstantu i skądś wiedziałem, że ten przyrząd niedawno zastąpił kwadrant, ponieważ mógł mierzyć wysokość i kąty z większą precyzją.

Ethan strzepnął nadmiar pyłu z mojej głowy i ramion, a potem ponaglił mnie, żebyśmy się udali do innej komnaty, znajdującej się na niższym poziomie. Wróciły w niej tęcze barwy, ale w łagodniejszych, pastelowych odcieniach, a zapach kwiatów był bardziej subtelny. Miałem wrażenie, że Cytadela nie tylko jest szczęśliwa, ale też stara się ostrożnie ze mną obchodzić.

W przeciwległej ścianie otworzyły się drzwi, a Ethan poinstruował mnie, jak mam wylądować na nogach. Wyjrzałem na zewnątrz i zobaczyłem nabrzeże portowe, do którego przycumowany był „Endeavour“. Panował wokół niego niesamowity ruch. Był środek dnia, ale niebo okazało się zachmurzone i ciemne.

- Co widzisz? - zapytał Ethan. Lekko wzruszyłem ramionami.

- Wszystko. Statek, załogę, worki, przyrządy, beczki i baryłki wszelkich rozmiarów i kształtów, wnoszone na pokład. Tam na dole panuje gwar, a z jednej z tawern dobiega muzyka.

Przyjrzał mi się, marszcząc brwi.

- Coś nie tak?

- Nie. Skądże. Po prostu większość osób za pierwszym razem nie widzi tak wyraźnie. - Nadal przyglądał mi się, ale machnął ręką, żebym skakał. - Idź pierwszy, będę tuż za tobą.

Wziąłem głęboki oddech i starałem się podczas skoku nie myśleć o tym, co mam przed sobą.

Wylądowałem na obu nogach w spokojnym zaułku. Usłyszałem za sobą łomot i obejrzałem się, żeby zobaczyć Ethana. Klepnął mnie po plecach.

- To było świetne. No to ruszajmy. Wyszliśmy na brukowaną ulicę, uskakując z drogi marynarzowi, który niósł na plecach hamak.

- Wybaczcie, panowie - odezwał się. - Czy kierujecie się do „Endeavoura”?

Erhan skinął głową, a żeglarz przyspieszył kroku.

- Czekamy na pomyślne wiatry. - Wskazał niesiony hamak. - Załatwiłem sobie dzisiaj łóżko. Kapitan lubi porządek na statku.

Ethan uchylił kapelusza.

- W takim razie zobaczymy się na pokładzie. Nagle dotarło do mnie, gdzie się znajduję. Miałem za chwilę poznać kapitana Jamesa Cooka - podróżnika, który odkrył wschodnie wybrzeże Australii. Tyle o nim wiedziałem. Wiedziałem też trochę o jego obecnym zajęciu: był młodym kapitanem we flocie Jego Wysokości.

- Co takiego ważnego było w podróżach Cooka?

Ethan chętnie podzielił się ze mną swoją wiedzą.

-Jego podróż w poszukiwaniu wielkiego południowego kontynentu otworzyła drogę do kolonizacji Australii.

- Tak, to wiem.

- No więc ta wyprawa przyczyniła się do rozwoju wiedzy o sztuce żeglarskiej, nawigacji, a nawet geo-

grafii. Jego zapiski i mapy były tak dokładne, że wykorzystywano je później przez ponad sto lat. Załoga Cooka nie chorowała na szkorbut, ponieważ kapitan upierał się przy diecie uwzględniającej owoce i warzywa. Był też pierwszym, który obliczał swoje położenie południkowe z matematyczną dokładnością. Wykreślił dokładne mapy północnej i południowej wyspy Nowej Zelandii, a także wschodniego wybrzeża Australii.

Podeszliśmy bliżej do statku i zatrzymałem się, żeby po prostu popatrzeć. Był większy niż go sobie wyobrażałem. Trzeszczał, kołysząc się i ocierając o nabrzeże. Wydawał się niesamowicie... prawdziwy. Ethan postukał mnie w ramię i wskazał kogoś przed nami. Zbliżał się do nas mężczyzna w stroju podobnym do naszego, ale ubrany w jaskrawoczerwony płaszcz.

- Panowie musicie być Robin i Cowers. Witamy na „Endeavourze”.

Ethan przedstawił nas, a mężczyzna uścisnął nasze dłonie.

- Jestem Zachariah Hicks, pierwszy oficer. Zapraszamy na pokład, kapitan czeka na panów.

Hicks zabrał nas na pokład i oprowadził po statku. Marynarze przepuszczali nas, kiedy przechodziliśmy. Na głównym pokładzie wymienił szybko dane liczbowe.

- Statek mierzy sto sześć stóp długości od ruty do bukszprytu oraz dwadzieścia dziewięć stóp i trzy cale

szerokości. - Następnie wyjaśnił, do czego służy część lin i takielunku. - Macie panowie szczęście, że jeszcze nas tu zastaliście. Jeśli obecny wiatr się utrzyma, niedługo podniesiemy żagle.

Hicks pokazał nam wszystkie dwadzieścia dwa działa „Endeavoura”, a potem zaprowadził na dół, do świetnie zaopatrzonej ładowni. Powiedział, że wypływają z ośmioma tonami balastu, kilkoma tonami węgla, zapasowymi deskami, baryłkami ze smołą i dziegciem, narzędziami, płótnem do naprawy żagli, konopiami na liny i takielunek oraz innymi zapasami, takimi jak żywność.

- Tysiąc dwieście galonów piwa, tysiąc sześćset galonów gorzalki, cztery tysiące porcji solonej wieprzowiny... — Wymieniając resztę imponujących zapasów, zaprowadził nas na pokład rufowy, gdzie zostało ostatnio wybudowanych sześć małych kajut dla kapitana, Charlesa Greena, Josepha Banksa i niektórych jego współpracowników.

Następnym etapem wycieczki był dolny pokład, gdzie większość załogi miała mieszkać, jeść i spać w czasie ich trzyletniej podróży. Panował tu tłok, marynarze szukali swojego miejsca, rozwieszali hamaki i rozkładali tobołki. Było ich tak wielu, że zacząłem się zastanawiać, jak mamy poznać tych dwóch, których szukaliśmy. Ethan musiał myśleć o tym samym. Przyglądał się raczej marynarzom niż samemu statkowi.

- Wyruszyście z kompletem załogi? - zapytał Hicksa.

- Dziś rano opuściło nas dwóch żeglarzy - odparł i popatrzył na nas. - Znalazłoby się dla panów miejsce, gdybyście chcieli płynąć. Jestem pewien, że kapitan byłby zachwycony, mając na pokładzie naukowców tego kalibru.

Ethan musiał myśleć o tych dwóch marynarzach, którzy opuścili statek tego ranka. Czy Arkarian nie mówił, że załoga nie powinna była ulegać żadnym zmianom w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin? Ale Hicks najwyraźniej całkowicie serio proponował nam, żebyśmy popłynęli z „Endeavourem”. Szturchnąłem Ethana.

- Niestety jesteśmy kompletnymi szczurami lądowymi - odparł z szerokim uśmiechem przyklejonym do twarzy.

Hicks oprowadzał nas dalej, aż w końcu dotarliśmy do kabiny upchniętej na rufie statku. Wiszące pod sufitem latarnie dawały dodatkowe światło, chociaż wciąż było widno, a niebo zaczęło się przecierać.

W tej właśnie kabinie spotkaliśmy kapitana Cooka i Josepha Banksa. Kapitan powitał nas, ściskając nasze dłonie w swoich, a potem przedstawił pozostałym naukowcom, z którymi chciał nas poznać. Joseph Banks szybko wciągnął Ethana w rozmowę, podczas gdy astronom Charles Green nie mógł się doczekać, by podzielić się ze mną swoją wiedzą.

Podano nam lekki posiłek. Wiatr się wzmaczał. Pachniało przygodą. Ethan przysunął się do mnie.

- Pójdę się rozejrzeć i zobaczę, co uda mi się wymyślić.
Nie spuszczaaj kapitana z oka.

Ale kapitan zdecydował, że czas odbijać od brzegu. Wyjaśnił, że musi się zająć różnymi sprawami na pokładzie, ale grzecznie zaproponował, żeby jego współpracownik, pan Green, pokazał mi swoje matematyczne przyrządy, zanim opuszczę statek. Nie miałem możliwości gonienia za kapitanem, więc poszedłem z Greenem do pomieszczenia zwanego Wielką Kabiną. Było nieduże, z drewnianymi biurkami i krzesłami, przeznaczone do użytku kapitana oraz pozostałych naukowców i artystów. Zastanawiałem się, jak będzie wyglądało po prawie trzech latach i czy gdyby kapitan Cook wiedział, ile czasu zabierze ta podróż, wpłynęłoby to na jego entuzjazm. Wątpiłem w to. Sprawiał wrażenie opanowanego - odpowiedniego człowieka na właściwym miejscu.

Kiedy Charles Green pokazał mi przyrządy, poszedłem szukać kapitana Cooka. Znalazłem go na pokładzie, wydawał rozkazy grupie marynarzy wspinających się po olinowaniu i pracujących nad postawieniem głównego żagla. Zauważył mnie Hicks.

- Jeszcze pan tu jest, dobry człowieku?

- Ach, chciałem tylko po raz ostatni rzucić okiem na statek, zanim go opuszczę.

- Niech pan lepiej uważa, bo przypadkiem popłynie pan z nami - mrugnął do mnie i uchylił kapelusza.

Kiedy Hicks odszedł, podbiegł do mnie Ethan.

— Jest źle.

— Co się dzieje? Nie widziałem nic podejrzanego.

— Chodzi mi o tych dwóch dezerterów.

— Co to może znaczyć twoim zdaniem?

— To znaczy, że Zakon wykonał już swoje zadanie.

— Ale... - Moje spojrzenie pobiegło do kapitana Cooka stojącego przy kole sterowym z odchyłoną do tyłu głową. Obserwował dwóch marynarzy rozwijających żagle. — Wydaje mi się, że jest bezpieczny.

— No właśnie.

— Nie rozumiem.

— Zamierzają wysadzić to wszystko w powietrze, Matt. Zagapiłem się na Ethana.

— Statek?

— No. Ze wszystkim i wszystkimi na pokładzie. Największe możliwe zniszczenia. Nie rozumiesz? Lathenia nie tylko zabije Cooka, ale także zniszczy „Endeavoura”, całkowicie uniemożliwiając tę podróż.

Kurczę, miał rację!

— „Endeavour” ma zaraz wypływać!

Ethan popatrzył na majtków pracujących przy linach i cumach.

— Zauważyłem.

— Więc co mamy robić? Bomba może być przecież gdziekolwiek.

— Przydałyby nam się teraz dłonie Rochelle! Wystarczyłoby, że przesunęłyby nimi po pokładzie i od razu znalazłaby bombę.

— Cóż, nie ma jej tutaj. Jakieś inne pomysły? — Nie chciałem, żeby to zabrzmiało tak szorstko. — Wybacz.

— Nie przejmuj się. Po prostu spróbujmy się zastanowić. Ale gdzie ci „marynarze” mogli podłożyć ładunek wybuchowy?

— Musieli wejść na pokład i skierować się wprost do...

— ..do swoich kwater na dolnym pokładzie! — Uderzył mnie dłonią w pierś. — Jesteś genialny!

Zeszliśmy na dół, starając się nie rzucać w oczy. Nadal panował tam ruch, ale jakimś cudem większość bagaży załogi została już schludnie poukładana. Ethan zauważył żeglarza, z którym wcześniej rozmawialiśmy.

— Jak sobie myślę o tych dwóch marynarzach, którzy rano uciekli ze statku. Nie widział pan, gdzie kładli swoje rzeczy?

Żeglarz wskazał kraniec rufy.

— Tam, w kącie. Miło i przytulnie - zaśmiał się. Kiedy ruszyliśmy w tamtą stronę, krzyknął za nami — Ej, panowie, pamiętajcie, że statek zaraz odpływa.

Zignorowaliśmy go i zaczęliśmy poszukiwania, szukając pustej przestrzeni, przegrzebując skrzynie i inne pojemniki. Łopot ponad nami brzmiał jak wiatr wypełniający żagle. Szybko dołączyło do niego skrzypienie drewna. Nagle statkiem szarpnęło.

Ethan popatrzył na mnie szeroko otwartymi oczami.

— Musimy się spieszyć!

Szukaliśmy gorączkowo, w pośpiechu rozrzucając rzeczy i robiąc bałagan.

- Nie ma jej tutaj!

- Musi być!

Rozglądaliśmy się dalej, ale niczego nie znaleźliśmy.

- Może to jednak nie były materiały wybuchowe. Może Arkarian się pomylił i nic się nie stanie.

- Cśśś - ostrzegł mnie Ethan. - Nie wymawiaj jego imienia, dopóki nie będziemy gotowi do powrotu. A teraz myśl i możesz mi wierzyć, nie mylimy się.

Poczułem niespokojne ukłucie w środku, kiedy statek odbił od nabrzeża. Towarzyszyły temu krzyki mew.

- Jest jeszcze kabina.

- Co? - zapytał Ethan.

Ruszyłem naprzód, a w mojej głowie zaczęła dojrzewać pewna myśl.

-Jeśli chcieli spowodować jak największe zniszczenia i mieć pewność, że unicestwią kapitana Cooka i większość jego bezcennego sprzętu, to miałoby sens, żeby umieścić ładunek wybuchowy dokładnie pod Wielką Kabiną. To miejsce, gdzie są przechowywane wszystkie przyrządy naukowe.

- Nie przypominam sobie tego pomieszczenia. Ale ja sobie przypominałem, gdzieś na śródokręciu.

Ethan dołączył do mnie i w kilka sekund wymacał podejrzaną obluzowaną deskę. Szarpnął ją, odsłaniając ładunek wybuchowy - sześć związanych razem grubych lasek.

- To dynamit - mruknął. — Zakon jak zwykle gra według własnych reguł.

- O czym ty mówisz?

Na moment podniósł wzrok.

- Dynamit nie został jeszcze wynaleziony. - Zauważył staroświecki zegar pośrodku. - Popatrz tylko. Ma wybuchnąć za trzy minuty!

- Musimy się tego pozbyć!

- Wiem — szarpnął ładunek, ale bomba nie drgnęła.

— Po kolei.

- Jasne.

Ethan ostrożnie przytrzymał bombę, podczas kiedy ja przecinałem druty przytrzymujące ją w miejscu. Miałem wrażenie, że trwa to całą wieczność, a zegar tykał mi głośno w uszach. Zanim w końcu ładunek dał się wyjąć, upłynęło zbyt dużo czasu. Mieliśmy jeszcze tylko piętnaście sekund!

- Wystarczy, żeby wyrzucić to maleństwo do wody

- powiedział Ethan z zadziwiającym spokojem, biorąc pod uwagę, że trzymał w rękach ładunek wybuchowy.

Ale to najwyraźniej nie był nasz dzień. Pojawił się Hicks w towarzystwie dwóch marynarzy.

- Hej, co panowie tu robicie? Nic dobrego, prawda? Dobry Boże, co pan tam trzyma?

Ethan spojrział na mnie i potrząsnął głową.

- Nie mamy czasu na wyjaśnienia, sir - krzyknął. — Proszę nas przepuścić!

Nikt się nie odsunął z drogi.

- Nigdzie nie idziecie. Nie z tym czymś! Tak myślałem, że wyglądacie jakoś podejrzanie. Przytrzymać ich! - krzyknął Hicks przez ramię.

Popatrzyłem na zegar bomby, czując, że ściska mi się serce. Pięć sekund.

- Co zrobimy?

- Musimy ją zabrać z nami. Cztery...

- Co? Bombę? Ale zaraz wybuchnie! A tych trzech zobaczy, jak znikamy.

Trzy...

- Nie możemy się teraz tym przejmować, trzeba podjąć ryzyko - rzucił Ethan.

Dwa...

-Jeśli tego nie zrobimy, ta bomba zabije wszystkich na „Endeavourze”, a my zginiemy w przeszłości. Nie możemy tak ryzykować.

Jeden...

Nie zastanawiając się nad tym, wyrwałem bombę z rąk Ethana i wrzasnąłem:

- Arkarian!!!

Rozdział 7

Matt

Arkarian ściągnął nas z powrotem do Cytadeli, ale w ułamku sekundy po przeniesieniu bomba wybuchła. Żar, błysk i ogień cisnęły nas w nieświadomość. Coraz ciemniejszą.

Otworzyłem oczy i stwierdziłem, że leżę na twardej podłodze w komnacie, której osmalone ściany zostały zburzone przez wybuch, wśród rozsypanego po eksplozji gruzu.

Arkarian złapał mnie za ramię.

- Nic ci nie jest?

- Co? - popatrzyłem na siebie i poklepałem, się po piersi. - Nie, chyba nic.

- Jesteś pewien?

Skinąłem głową i obróciłem się, żeby się rozejrzeć.

- No nie! - mruknął Arkarian i przebiegł na drugą stronę komnaty.

Ethan leżał w ogromnej kałuży krwi. Podczołgałem się do niego po podłodze, a z każdym ruchem ogarniało mnie coraz głębsze przerażenie.

Arkarian podniósł Ethana i ruszył do drzwi. Szybko wstałem i pobiegłem za nimi.

— Gdzie go zabierasz? Biegliśmy przez kolejne korytarze.

— Do komnaty leczniczej.

Przed nami lady Arabella przytrzymała otwarte drzwi.

- Szybko, do środka.

Arkarian położył ciało Ethana na wąskim kryształowym stole. Pojawił się lord Penbarin, który zakasał rękawy jaskrawoczerwonej togi.

- Pokażcie mi chłopaka!

Cała trójka badała Ethana. W końcu lady Arabella szepnęła do Arkariana:

— Będziemy potrzebować Isabel.

Arkarian odwrócił się i popatrzył prosto na mnie.

— Posłuchaj, co masz zrobić. Ale ja myślałem tylko o Ethanie.

- Czy nic mu nie będzie? Czy on... ? Arkarian złapał mnie obiema rękami za ramię.

— Matt, posłuchaj mnie. -Ale...

- Słuchaj!

Głos Arkariana dotarł w końcu do mnie, więc skoncentrowałem się na jego twarzy i ciemnofiołkowych oczach.

— Słucham.

— Dobrze. Przede wszystkim odeślę cię z powrotem do twojego ciała, w twoim łóżku, a potem obudzę. Jasne?

Skinąłem głową, przyjmując to do wiadomości.

— Potem masz obudzić Isabel, pójść z nią do mojej siedziby i mnie zawołać. Głośno. Tak jak na „Endeavourze”, kiedy wyrwałeś tę bombę Ethanowi. Jasne?

-Tak.

— Wtedy przeniosę was tutaj, a Isabel będzie mogła się zająć uzdrawianiem Ethana. To jedyna szansa, żeby z tego wyszedł. Pospiesz się — Arkarian dotknął mojego czoła. — Leć już.

Sekundę później obudziłem się we własnym łóżku, z sercem tłukącym się o żebra. Przez jedną szaloną chwilę myślałem, że to był sen, okropny koszmar. Isabel wpadła do mojego pokoju, a drzwi rąbnęły o ścianę. Mój umysł, nadal pod wpływem myśli, że wciąż jestem w dziwnym śnie, zdryfował i zobaczyłem ją w postaci anioła albo ducha. Rozpuszczone włosy rozwiewały się wokół jej twarzy, była ubrana w długą białą koszulę nocną.

Ale jej słowa przywróciły mnie gwałtownie do rzeczywistości.

— Co się stało? Coś wyczułam. Nic ci nie jest? Czy z Ethanem wszystko dobrze?

- Nie. Nie jest z nim dobrze. - Zerwałem się z łóżka i pobiegłem do drzwi. - Ethan cię potrzebuje. Chodź szybko, musimy od razu ruszać!

Na korytarzu otworzyły się drzwi do sypialni mamy. Stał w nich Jimmy i coś mi rzucił. To były kluczyki.

- Weźcie mojego jeepa, będzie szybciej.

Długie minuty później wysiedliśmy z samochodu w połowie drogi na górę. Uświadomiłem sobie, że Arkariana nie ma w jego siedzibie.

- Jak mamy otworzyć tajne wejście, skoro Arkarian jest w Cytadeli?

- Mistrz może je otworzyć z dowolnego miejsca. Pospiesz się!

Kiedy Isabel mówiła te słowa, drzwi się otwały. Zawołała Arkariana, gdy tylko znaleźliśmy się w środku. Zostaliśmy natychmiast przeniesieni i znaleźliśmy się przed drzwiami komnaty leczniczej, gdzie Mistrz już na nas czekał. Isabel rzuciła się do przodu, jakby zamierzała przeniknąć zarówno przez niego, jak i przez zamknięte drzwi. Arkarian odciągnął ją i zmusił, żeby na niego spojrzała.

- Isabel, odetchnij głęboko.

- Arkarianie, puść mnie do niego. Cenne sekundy...

- ...są potrzebne, żebyś się opanowała. Czeka cię mnóstwo pracy i musisz być w stanie się skoncentrować. Uspokój myśli, Isabel. Musisz się przygotować... zanim go zobaczysz.

- Jak ciężko został ranny?

- Będziesz musiała użyć swoich mocy w stopniu większym niż kiedykolwiek wcześniej. Jeśli Ethan ma przeżyć, nie wystarczy, że go uzdrowisz, musisz... odtworzyć jego organy wewnętrzne.

Rozdział 8

Rochelle

Jako pierwsza dotarłam na zaplanowane spotkanie. Na miejscu nie było nawet Arkariana, chociaż bez problemu dostałam się do jego siedziby. Przeszłam się po niej, zaglądając za różne drzwi i szukając komnaty, w której miała się odbyć nasza narada. Pomieszczenia były w większości puste, chociaż niektóre zostały wyposażone w przyrządy do ćwiczeń, maty i drabinki. W głównej komnacie, charakterystycznej dzięki ośmiobocznemu kształtowi, panowała kompletna ciemność. Sfera nie obracała się.

Coś się wydarzyło. Coś strasznego. Zaczął we mnie narastać lęk, spróbowałam sobie przypomnieć wszystko, co wiedziałam o wydarzeniach ostatniej nocy. Miało się sporo dziać. Jimmy i profesor Carter wybierali

się na jakąś misję, podczas gdy Edian i Matt mieli uratować kapitana Cooka. Nie miałam pojęcia, czy Isabel i Shaun byli czymś zajęci. Ja spędziłam czas z Nerią, która wydawała się całkiem spokojna pomimo wizyty intruza.

Hałas w korytarzu sprawił, że obróciłam się na pięcie. To był Jimmy. Bez słowa otworzył drzwi po lewej stronie.

- Narada będzie tutaj.

Weszłam za nim do środka i zobaczyłam okrągły drewniany stół otoczony krzesłami. Dotknęłam blatu i natychmiast wiedziałam wszystko o jego pochodzeniu. Został zrobiony z drzewa mającego ponad tysiąc lat. Z dębu. W Anglii.

- Co się stało tej nocy?

- Był... wypadek.

Poczułam, że w gardle rośnie mi gęsia skórka.

- Ktoś został ranny?

Kiedy zadawałam to pytanie, do komnaty weszli Shaun i profesor Carter. Natychmiast zauważyłam napięcie na twarzy Shauna. Chociaż w jego myślach panował chaos, wyraźnie wyczuwałam rozpacz. Rozpacz z powodu Ethana!

- Shaun, co się stało?

Popatrzył na mnie, a ja zacisnęłam dłoń na oparciu krzesła.

- Była eksplozja. - Przełknął ślinę i rozejrzał się nerwowo, nie zatrzymując na nikim spojrzenia.

Miałam wrażenie, że ktoś wepchnął moje płuca w dziesięć razy za mały kaftan.

- Co się z nim dzieje, Shaun? Czy Isabel jest przy nim? Oparł się ciężko o blat stołu i jęknął. W jego oczach widać było znużenie i zmartwienie.

- Isabel jest z nim od kilku godzin. Powiedziano mi, że niedługo zawiadomią nas o jego stanie.

Wszedł Matt, wyglądał okropnie - miał niechlujnie zapięte ubranie i rozczochrane włosy, jakby spędził ostatnie godziny, próbując je powyrywać. Ale to jego oczy zdradzały targający nim żal.

Shaun prawie rzucił się na niego.

- Powiedz nam, co wiesz.

Ale Matt nie miał nic do powiedzenia. Opadł na najbliższe krzesło.

- Arkarian odesłał mnie kilka długich godzin temu. Chciał, żebym odpoczął i ulokował mnie w jakiejś komnacie. Nie widziałem go od tamtej pory.

Popatrzyłam na nich po kolei, czując, że budzi się we mnie złość.

- Ktoś musi coś wiedzieć! Gdzie jest Arkarian? On nam powie!

Czyjeś ręce nagle złapały moje. To był Jimmy, ale kiedy tylko mnie dotknął, odskoczył gwałtownie.

- Jejku, dziewczyno! Patrz, co robisz! Spojrzałam w dół na krzesło. Drewno pod moimi palcami częściowo znikło, a komnatę wypełnił zapach spalenizny.

Wszyscy patrzyli na mnie, a ja czułam się jak odmieniec. Schowałam ręce za plecami. Kiedy znikły z widoku, buzująca w nich energia trochę się uspokoiła.

Nastąpiła cisza, której nikt nie miał ochoty przerywać. Kiedy poczułam, że z moich rąk znikło to intensywne uczucie, ostrożnie wysunęłam nieuszkodzone krzesło, usiadłam na nim i czekałam.

W końcu pojawił się Arkarian. Zanim ktokolwiek zdążył zadać pierwsze pytanie, stało się jasne, że ktoś mu towarzyszy. To była Isabel, materializująca się powoli u boku Mistrza, jakby była zmęczona ponad wszelkie możliwości. Kiedy tylko pojawiła się w swej pełnej postaci, Arkarian podtrzymał ją ramieniem.

Wyglądała na wykończoną. To z pewnością nie był dobry znak.

Shaun i Matt zerwali się na równe nogi. Isabel dotknęła łagodnie ramienia brata. Odsunął dla niej krzesło, na które natychmiast opadła. Arkarian uniósł rękę, uciszając zgromadzonych. Ale to było zbyt trudne. Musiałam wiedzieć, czy z Ethanem wszystko w porządku i musiałam to wiedzieć natychmiast!

Arkarian pochwycił moje rozbrzmiewające donośnie myśli i spojrzał na mnie. Zauważył zniszczone krzesło i zmarszczył brwi. W myślach wrzasnęłam na niego, żeby się odczepił od krzesła. Niech nam powie, co z Ethanem!

Cholera, robiłam z siebie kompletną idiotkę, ale nie mogłam nic na to poradzić.

W końcu Arkarian oznajmił:

- Słuchajcie, z Ethanem wszystko dobrze.

W komnacie rozległy się westchnienia i szepty, na twarzach zebranych wyraźnie widać było ulgę.

- Musi tylko pozbierać myśli i niedługo do nas dołączy.

Ogarnęła mnie fala takiej ulgi, że nie potrafiłam powstrzymać łez, które napłynęły mi do oczu. Ethan nagle zaczął się materializować przed nami, więc odwróciłam się szybko. Nie chciałam, żeby on, ani ktokolwiek inny, widział moje łzy. Słyszałam, jak za moimi plecami pozostali go witają. Żałowałam, że nie mogę do nich dołączyć. Chciałam tylko powiedzieć Ethanowi, jak bardzo się cieszę, że nic mu nie jest. Ciekawe, co by zrobił, gdybym objęła go tak jak inni, ze łzami wiszącymi na rzęsach!

W końcu wszyscy zaczęli się uspokajać, a mnie udało się wreszcie opanować emocje. Odwróciłam się, a ponieważ miałam nogi jak waty, usiadłam szybko. Ethan popatrzył na mnie.

- Dobrze cię widzieć - powiedziałam.

Skinął mi głową, a potem zauważył uszkodzone krzesło koło mnie.

- Co się stało? To krzesło wygląda gorzej niż ja kilka godzin temu.

- A, to? - odparłam, zanim ktokolwiek zdążył się wtrącić. - Nieoczekiwany wybuch energii. Wciąż uczę się nad nią panować.

Ethan przyjął do wiadomości moje słowa, a potem na chwilę zamknął oczy.

Kiedy je otworzył, krzesło było naprawione i wyglądało jak nowe.

Wszyscy zgromadzeni powitali to brawami. Zanim nasze talenty zostały wzmocnione, dar Ethana pozwalał mu tylko na poruszanie przedmiotami nieożywionymi, jak wtedy, kiedy po raz pierwszy zwrócił uwagę Isabel, obracając długopis. Wczoraj podniósł przygniatający nogi profesora Cartera kosmiczny gład, z którym nie mógł sobie poradzić sprzęt ratowników. Najwyraźniej teraz potrafił także rekonstruować przedmioty.

Głos profesora Cartera wybił się ponad radosny gwar.

- Co, na litość boską, zamierzałeś zrobić, trzymając w ręku paczkę dynamitu?

Ethan popatrzył na niego.

- Ale ja go nie trzymałem. -Co?

Arkarian przerwał ciszę.

- Gdyby to Ethan trzymał bombę w chwili wybuchu, nie byłoby go teraz z nami.

Profesor Carter nie pozwolił skończyć na tym temacie.

- Powiedz nam, co się wydarzyło, Ethanie.

- A jakie to ma znaczenie? — przerwał Matt ostrym tonem, mającym uciąć dalszą dyskusję.

Profesor Carter nie zauważył aluzji.

- Oczywiście, że to ma znaczenie. Powiedz nam, Arkarianie. To na pewno fascynująca historia.

-Nie!

Profesor Carter skamieniał, a Matt złagodził swój ton.

- Proszę posłuchać, dzięki Isabel Ethan jest cały i zdrowy. To wszystko, co musicie wiedzieć.

Żeby przerwać jakoś niezręczne milczenie, jakie zapadło w komnacie, Arkarian odwrócił uwagę zgromadzonych, otwierając naradę.

- Przede wszystkim chciałbym podziękować wszystkim za przybycie, szczególnie biorąc pod uwagę męczące wydarzenia ostatniej nocy.

Kiedy to mówił, przypomniałam sobie, co obiecałam Nerii, zanim wsiadłam do samochodu.

- A, muszę wam o czymś powiedzieć. - Arkarian popatrzył na mnie, pozostali zrobili to samo. - Zaprosiłam Nerię.

- Na to spotkanie? - zapytał Arkarian ponad pomrukami reszty.

- Byłam u niej wczoraj wieczorem.

- Ależ Rochelle - odezwał się gładko profesor Carter. - Za kogo się uważasz, podejmując za wszystkich tak ważną decyzję?

Arkarian rzucił mu spojrzenie i mrugnął.

- Marcus chciał zapytać, dlaczego uznałaś, że Neria jest gotowa, aby do nas dołączyć?

- Jest silniejsza niż przypuszczacie.

Profesor Carter skrzywił się na te słowa.

- Wiedziałbym o tym, Rochelle. Widuję się z nią codziennie w szkole. Śledzę jej postępy.

- I traktuje ją pan, jakby była zrobiona ze szkła. To błąd. Jasne, jest ostrożna. Proszę pomyśleć o tym, jak była wychowywana: prywatni nauczyciele, ochroniarze pilnujący jej na każdym kroku. Teraz, kiedy trafiła do zwykłej szkoły, to naturalne, że jest nieśmiała. Po prostu nie jest przyzwyczajona do przebywania wśród tylu ludzi. Jest wyciszona, ale nie słaba.

- Właściwie ile ona wie? — zapytał Matt.

- Wie, że jej inicjacja... dopełni naszej liczby.

Po moich słowach zapadła cisza, wszyscy patrzyli na siebie nawzajem.

- *Wezwani się jednością staną* — wyszeptał Arkarian. Pozostali pokiwali głowami.

- To nie wszystko.

- Mów - zachęcił mnie Arkarian.

- Ona ma pewne wątpliwości.

Na twarzy Mistrza pojawił się grymas namysłu.

- A zatem musimy ich wysłuchać. Kiedy się tu pojawi?

- Powinna być lada moment.

Arkarian użył skrzydeł i zniknął nam sprzed oczu. Zamierzał spotkać się z nią na zewnątrz. Nie robił tego często: byłoby dla niego zbyt niebezpieczne, gdyby zobaczono go w naszym świecie. Ale wrócił już po kilku minutach, otwierając drzwi. Weszła z nim Neria.

Shaun jako pierwszy wstał i przywitał ją pocałunkiem w policzek.

- Wyrosłaś na prześliczną dziewczynę, niezwykle przypominasz swoją matkę. Jak ona się miewa?

- Bardzo dobrze, dziękuję.

- Cieszę się, że w końcu mam okazję cię poznać. Jest wiele rzeczy, o których chciałbym z tobą porozmawiać.

Neria popatrzyła na Shauna przenikliwie, mrużąc z namysłem ciemnobrązowe oczy.

-Wiem, że to pan okaleczył twarz mojego ojca. Proszę nie myśleć o przeszłości. Był pan tylko katalizatorem tego, co nieuniknione.

- Jesteś równie wyrozumiała, jak twoja matka. Shaun usiadł, a na jego miejsce podszedł Jimmy,

który uściskał Nerię na przywitanie. Reszta z nas знаła ją już wcześniej, od kilku tygodni chodziliśmy razem do szkoły. Arkarian podsunął Nerii krzesło - zajęła miejsce obok Shauna, po przeciwnej stronie stołu. Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się, dając mi znak, że jest wdzięczna, że może być tutaj.

Arkarian wrócił do prowadzenia przerwane spotkanie. Popatrzył na nas kolejno.

- A więc teraz jest nas dziewięcioro. Do tego - dodał - otrzymałem wieści z Aten, że król Ryszard jest już całkowicie zdrowy i może zająć miejsce w kręgu Trybunału. Veridian nareszcie ma swojego króla.

Twarz Ethana się rozjaśniła.

— Hura! - Uniósł w powietrze zaciśniętą pięść. Cóż, miał prawo być podekscytowany. To przecież on, we własnej osobie, w przeszłości uratował życie króla Ryszarda i przeniósł go w czasie.

Matt także był podekscytowany, ale z innego powodu. Ku mojemu zdziwieniu odetchnął z ulgą.

— W końcu! Czyli nie będziecie mnie już potrzebowali.

Wszyscy wiedzieli, o co chodzi Mattowi, ale wiedzieli także, że się myli. Arkarian przypomniał mu o tym.

— Matt, król Ryszard będzie rządził z daleka. Jest przedstawicielem Veridianu w Trybunale, naszej radzie rządzącej. Zgodnie z Proroctwem ty masz prowadzić Wezwanych, zgromadzoną w tej komnacie dziewiątkę, do bitwy.

Matt uderzył pięścią w stół i odwrócił się do ściany.

Arkarian kontynuował naradę, omawiając powody, dla których nas tu wezwał.

-Wczoraj Rochelle, Matt i ja udaliśmy się do świata podziemnego w poszukiwaniu klucza do skarbca z bronią.

Głos profesora Cartera wybił się ponad stłumione rozmowy reszty.

— To doskonale! Znaleźliście go? Arkarian cicho jęknął.

— Niestety spóźniliśmy się.

- Chcesz powiedzieć, że ma go teraz Lathenia? - zapytał Shaun.

- Przypuszczamy, że trzyma go w skarbcu w swoim pałacu.

-To jaki mamy plan? - spytał Jimmy. - Wiesz, że dobrze sobie radzę z zamkami i innymi takimi...

Arkarian uśmiechnął się do niego.

-Tak, wiem o tym. I owszem, mamy plan. Ktoś z nas musi udać się do pałacu Lathenii na górze Olimp, ale nie mamy szans na powodzenie do czasu, gdy... - Urwał, a napięcie w komnacie gwałtownie wzrosło. Popatrzył na Matta. - Do czasu, gdy Matt obudzi swoje moce.

- No świetnie! - wykrzyknął Matt. - Cóż, jak wszyscy wiemy, to może znaczyć „nigdy”.

- Matt - powiedział cicho Arkarian. - Jak myślisz, jakim cudem zdołałeś przycisnąć paczkę wybuchającego dynamitu do piersi, zwinąć się wokół niej w kule i wyjść z tego z kilkoma zadrapaniami?

Matt zagapił się na Arkariana, mając w oczach bezbrzeżne zdumienie.

- Masz moc, Matt. A twój nowy mistrz pokaże ci, jak możesz ją uwolnić i kontrolować. Wyruszasz jutro.

Zgromadzeni zaczęli cicho rozmawiać. Isabel, nadal wyczerpana, jako pierwsza zadała pytanie:

- Czy mogę jechać z nim?

Arkarian położył dłoń na jej ramieniu i popatrzył na nią z taką czułością i uwielbieniem, że nikt ze zgro-

madzonych w komnacie nie mógłby nie zauważyć, jak wielką miłością ją darzył.

- Ty masz jutro tylko odpoczywać. — Zwrócił się do reszty z nas. - To jest podróż, którą Matt musi odbyć samotnie. Kiedy wróci, udamy się do pałacu Lathenii, zdobędziemy klucz i w końcu Straż odzyska kontrolę nad sytuacją.

Arkarian spojrział na Nerię i zapytał, czy chciałaby o czymś powiadomić zebranych. Rozejrzała się, uśmiechając się niepewnie, po czym wstała.

- Ostatniej nocy ktoś się dostał na teren mojej posiadłości.

- Co się stało? - zapytał Arkarian, siadając.

- To się zdarzyło, kiedy przyszła Rochelle. Profesor Carter przerwał, słysząc moje imię.

- Cóż, to by chyba wszystko wyjaśniało?

- Marcusie! — Arkarian spróbował go osadzić. Pospieszyłam z wyjaśnieniami.

- Kiedy szłam przez ogród, usłyszałam czyjeś myśli, ale gdy zaczęłam szukać ich źródła, zobaczyłam coś przypominającego zwierzę. To mnie zaskoczyło, ponieważ spodziewałam się człowieka.

- Jak sądzisz, co to było? - zapytał Arkarian.

- To mógł być pies. To coś miało świecące, srebrne oczy.

- Czy coś jeszcze w tej istocie zwróciło twoją uwagę? Może coś niezwykłego? - naciskał Arkarian.

- Kiedy uświadomiła sobie, że ją widzę, uciekła.

- Czy kiedy biegła, nadal przypominała psa? - odezwał się Jimmy. - Czy też dała pojedynczego susa? A może skakała jak królik?

Zastanowiłam się przez chwilę, przypominając sobie te upiorne, świecące oczy i ruch odwracanej głowy, za którą błyskawicznie poszła reszta ciała.

- Pamiętam tylko, że była smukła, zwinna i szybka.

- Zorganizuję dokładne przeszukanie terenu i wzmocnię ochronę, podwajając personel strzegący twojej matki - powiedział Arkarian do Nerii. - Ale ty także musisz na siebie uważać. Nie tylko twoja matka jest w niebezpieczeństwie.

- Ojciec nie chce mojej śmierci, Arkarianie. Chce zamordować moją matkę. Kieruje nim zemsta, a matka jest jednym z jego głównych celów.

Pomyślałam, że pewność Nerii co do własnego bezpieczeństwa jest naiwnością.

- Pamiętaj, że Marduk próbował już zabić Isabel, która przecież nic mu nie zrobiła.

- To była część jego planu zemsty na Shaunie. Wykorzystuje ludzi, jakby byli zaledwie narzędziami w jego rękach.

Ten celny osąd charakteru Marduka zrodził pytanie, którego nie mogłam nie zadać.

- Wiesz bardzo dużo o kimś, kogo nie widziałaś, odkąd byłaś bardzo mała.

Neria popatrzyła na swoje dłonie spoczywające na blacie stołu i zaczerwieniła się.

Profesor Carter stanął w jej obronie.

- Co to miało znaczyć?

- Nic takiego - odparłam szybko. - Po prostu znam Marduka. Wie, jak manipulować ludźmi. Potrafi... przekonać do zrobienia niemal wszystkiego.

Moja uwaga sprawiła, że kilka brwi się uniosło, ale Arkarian zrozumiał, do czego zmierzam.

- Kiedy po raz ostatni widziałaś ojca, Nerio? Zawahała się, ale jej odpowiedź zabrzmiała pewnie.

- Tego ranka, kiedy stracił połowę twarzy.

Nic więcej nie zostało powiedziane, a po chwili niezręcznej ciszy Arkarian wyłuszczył główną przyczynę naszego spotkania. Wstał, a spojrzenia wszystkich skupiły się na nim.

- Kiedy Matt, Rochelle i ja udaliśmy się do świata podziemnego, zobaczyliśmy coś... - Urwał, zbierając myśli. - Zobaczyliśmy Marduka dowodzącego armią nieumarłych.

- Co takiego? — wykrzyknął profesor Carter. — To ohydne!

- Powiedz nam, co widzieliście - odezwał się Shaun. Arkarian uniosł dłonie, uciszając wszystkich.

- Słyszeliście, jak opowiadaliśmy o wrenach, istotach będących po części ludźmi, a po części zwierzętami. Ci z was, którzy ich nie widzieli, poznają je z łatwością po czerwonych oczach i niedużych skrzydłach.

Rozległy się szepty, ale szybko ucichły, ponieważ Arkarian ciągnął dalej.

- Są tam też inne istoty. Były ich całe tysiące, a wszystkie zgodnie z ludzkimi przekazami są martwe. Najprawdopodobniej Marduk wypuści najpierw oddział zwiadowczy. To mogą, ale nie muszą być wreny. Chciałbym, żebyście wszyscy zachowali czujność. Jeśli zobaczycie coś podejrzanego, powinniście powiadomić siebie nawzajem i jak najszybciej skontaktować się ze mną.

- Co to oznacza, Arkarianie? - zapytał Jimmy. - To oznacza, że Marduk planuje inwazję na Ziemię z pomocą istot, których nie można zabić zwyczajną bronią.

- Więc jak mamy z nimi walczyć?

- Nie za pomocą strzelb lub zwykłych mieczy.

- Musi być coś, co możemy wykorzystać! - W głosie profesora Cartera zabrzmiała panika.

- Wreny obawiają się wody.

- Skąd wiesz?

- Podczas swojego szkolenia Dillon okazał się doskonałym informatorem. Był jednym z najwyższych rangą oficerów Lathenii i dysponuje niezwykle obszerną wiedzą. Bez wahania podzielił się nią z nami. Jego szkolenie jest już prawie zakończone. Niedługo dołączy do nas jako członek Straży.

To była niesamowita wiadomość. Dillon był nieobecny przez bardzo krótki czas. Pozostali zgromadzeni przy stole szeptali między sobą.

- Czy to roztropne? - Profesor Carter jako pierwszy wyraził swoją opinię.

Arkarian poczekał, aż reszta się uciszy.

-Nie nam o tym sądzić. Z tego, co mi powiedziano, wynika, że wiedza i doświadczenie Dillona czynią go cennym członkiem Straży. Pracował z wrenami w świecie podziemnym i powiedział nam, w jaki sposób można je zniszczyć.

- Za pomocą wody? - zapytał Shaun.

- Ich skrzydła są niezdarne i niemal bezużyteczne, a pod wpływem wody nasiąkają i robią się ciężkie. Wreny wpadają wówczas w panikę, a jeśli zostaną zanurzone w wodzie, zabija je własny strach.

- Cóż, to zawsze coś. Czy jest jeszcze jakiś inny sposób na zabicie tych wrenów?

Arkarian spojrzał na Matta, który odwrócił głowę.

- Potrzebujemy broni ze skarbcza.

- Na litość boską! - wykrzyknął profesor Carter. -Nie mamy tego przekłętego klucza! I musimy czekać, aż Matt wróci z tej swojej podróży diabli wiedzą dokąd, żeby w ogóle zacząć go szukać! Czy naprawdę mamy tyle czasu, Arkarianie?

- Prawdopodobnie nie, Marcusie. Ale musi nam wystarczyć ten czas, którym dysponujemy.

Rozdział 9

Matt

Isabel spała jak kamień od osiemnastu godzin. Nie chciałem jej budzić, ale musiałem się zbierać, Arkarian czekał na mnie w swojej siedzibie. Potrząsnąłem nią ostrożnie.

- Isabel.

Obudziła się gwałtownie i ścisnęła brzeg kołdry.

- Coś nie tak z Ethanem?

- Wszystko w porządku.

Kiedy jej umysł zaczął się budzić, zaświtało jej w końcu, co robię w jej pokoju. Usiadła na łóżku i przesunęła dłonią po potarganych włosach.

- Już wychodzisz?

Skinąłem głową i usiadłem obok niej.

- Wiesz, jak długo cię nie będzie?

- Nie, ale Arkarian mówił, że tam, gdzie się wybieram, czas jest mierzony inaczej i że tamtejsi mieszkańcy nie zwracają uwagi na jego upływ. Dlatego może mnie nie być przez całe miesiące albo przez kilka dni. Powiedziałem mamie, że skoro do końca tygodnia nie mamy szkoły, pojedę na północ, odwiedzić kumpli i uciec od tego zimna.

Skinęła głową, ale nie potrafiła ukryć niepokoju. Przygryzła dolną wargę, a kiedy spojrzała na mnie, w oczach miała wiele znaków zapytania.

Chciałbym, żeby mi powiedziała, co ją trapi. Miałem przeczucie, że to ma jakiś związek z tym, co się zdarzyło w świecie podziemnym. Nie chciałem jej tak zostawiać.

- Od kiedy wróciliśmy ze świata podziemnego, jest między nami jakieś dziwne napięcie, jakbyśmy ukrywali coś przed sobą. Ale ja nie mam żadnych tajemnic, Isabel, nie przed tobą.

Odetchnęła głęboko.

- Więc naprawdę nie wiesz? O czym ona mówiła?

- Czego nie wiem?

- Jesteś starszy, powinieneś lepiej ode mnie pamiętać rzeczy z dzieciństwa.

- Mówisz o tym, jak oszedł nasz ojciec? Pamiętam ten dzień.

- Nie tylko ten dzień, Matt. A rozmowa, jaką odbyliście? Jak daleko sięgają twoje wspomnienia?

— Mam trochę dziwnych wspomnień z dzieciństwa, które nie mają większego sensu.

— Powiedz mi, co pamiętasz. Powiedz mi o wszystkim.

Na chwilę przeniósłem spojrzenie na plakat filmowy na ścianie sypialni. Ile powinienem jej powiedzieć? Niektóre z moich najdawniejszych wspomnień były zbyt dziwaczne, żeby o nich opowiadać. Postanowiłem być szczery, miałem dość tej niepewności. Kto wie, może Isabel będzie wiedziała, o czym mówię.

- Moje najdawniejsze wspomnienie sięga chwili, kiedy zostałem poczęty.

A może i nie. Popatrzyła na mnie, jakbym ją nabierał.

— Jeśli nie chcesz, żebym kontynuował... Wyciągnęła rękę i dotknęła mojego ramienia.

- Nie. Mów dalej.

- OK. Więc było tak, jakbym od chwili poczęcia miał wszystko widzące oczy i w pełni rozwinięte emocje. Pamiętam nawet pierwsze uderzenie mojego serca.

— Nie mam pojęcia dlaczego, ale wierzę ci, Matt. To wszystko jest po prostu dziwne. Powiedz mi, co pamiętasz o... naszym ojcu.

Oparłem łokcie na kolanach i zapatrzyłem się w podłogę. Jak miałem opisać to wewnętrzne poczucie winy? A także silne podejrzenia, że to ja byłem przyczyną, dla której ojciec zniknął z naszego życia.

- Pamiętam, że cię kochał... uwielbiał cię. I że mnie nie kochał.

Jej dłoń na moim ramieniu zacisnęła się mocniej.

- Pamiętasz, jak byliśmy w świecie podziemnym i musieliśmy przejść przez tę górę z lodu?

- Tak, to było dla mnie niesamowite przeżycie.

- Cóż, dla mnie nie. To było straszne. Wtedy nie miałem o tym pojęcia.

- Powiedz coś więcej.

- Zobaczyłam go tam. Powiedział mi różne rzeczy. Zmroziło mnie w środku.

- Co mówił?

- Powiedział mi, że... nie jesteś jego synem.

Te słowa były dla mnie szokiem, ale dostrzegałem w nich prawdę.

- Powinienem był się domyślić.

- Dlaczego?

- Zastanawiałaś się kiedyś, dlaczego bił mnie tak często, a na ciebie nigdy nie podniósł ręki?

Popatrzyła na mnie z bezradnością w oczach. Oczywiście, co mogła wtedy zrobić? A gdyby spróbował ją tknąć, nie pozwoliłbym mu na to! A przynajmniej próbowałbym temu zapobiec, choć ojciec był silny, mając w ręku pas.

- Trzymał mnie na dystans, a ja to wyczuwałem.

- Byłam za mała, żeby to rozumieć. Był po prostu moim tatą, a ja go kochałam.

Milczeliśmy przez chwilę, zamyśleni.

- Więc kto jest moim ojcem? - zapytałem, nie spodziewając się odpowiedzi.

Wyprostowała się, a jej oczy nagle napełniły się łzami.

- Myślę, że niedługo się dowiesz. Wstałem i zacząłem spacerować po pokoju.

- Mówisz serio? Arkarian ci o czymś powiedział?

- Nie, właściwie to nie.

Kilka łez, które starała się stłumić, zaczęło jej ściekać po twarzy. Nie mogłem znieść ich widoku. Nienawidziłem, kiedy była tak zaniepokojona i zmartwiona.

- Co się dzieje, Isabel? Dlaczego płaczesz? Wiesz chyba, że nic mi nie będzie. Z całą pewnością zamierzam tu wrócić!

Zmusiła się do uśmiechu.

- Boję się, że ta podróż cię odmieni. Dowiesz się wielu rzeczy o sobie i o swoim pochodzeniu, a to sprawi, że oddalisz się od mnie i od całej rodziny.

- Nie ma mowy!

- Może nie będziesz mógł nic na to poradzić. Usłyszeliśmy stukanie do drzwi i głos Jimmy'ego.

- Pospiesz się, Matt. Już prawie czas. Odwróciłem się do Isabel. Nagle mój własny wzrok rozmazał się, kiedy przytuliłem ją do siebie.

- Niezależnie od tego, czego się o sobie dowiem, zawsze będę twoim bratem. Jesteśmy związani przez krew, Isabel. Krew naszej matki. Nic i nikt nam tego nigdy nie zabierze. Jasne?

Skinęła głową, ale nie odpowiedziała.

Rozdział 10

Rochelle

Ethan rozpoczął szkolenie Nerii, a ja, zgodnie z decyzją Arkariana, miałam im towarzyszyć podczas każdego treningu. To był dobry pomysł, z nas wszystkich ja najprawdopodobniej najlepiej rozumiałam Marduka. Złą stroną tej sytuacji było to, że musiałam obserwować Ethana i Nerię pracujących ze sobą. Dobrze razem wyglądali. Bardzo dobrze. Jak na razie Ethan omawiał głównie podstawy, orientując się, na czym polega jej talent, ponieważ częścią szkolenia było rozwijanie umiejętności paranormalnych. Nie była jeszcze wysyłana na misje, więc do tego także należało ją przygotować.

Ethan dość szybko odkrył, że jeden z darów Nerii jest powiązany z jej talentem plastycznym. Jej obrazy

były czymś więcej niż się w pierwszej chwili wydawały. Widziałam kilka z nich w szkole, były niezwykle. Czy był to szkic węglem, czy obraz olejny, Neria potrafiła sprawić, że wszystko wydawało się rzeczywiste.

Właśnie teraz pokazywała Ethanowi, co potrafi. Podeszłam bliżej, żeby słyszeć jej słowa.

- Nie ma znaczenia, czego używam: pędzla, różdżki czy patyka. Popatrz sam... - podniosła jajowaty kamyk i zaczęła nim drapać po skale. Ethan pochylił się, żeby przyjrzeć się z bliska. Kiedy ich głowy się zetknęły, sprawiał wrażenie zdumionego. Oddzielał mnie od nich strumyk, który zaczynał zamarzać. Przeskoczyłam go, żeby się przyjrzeć.

Ethan mnie zauważył.

- Chodź i popatrz - zawołał.

Neria zachichotała, a potem kamykiem wydrapała kontur niedużego stworzenia przypominającego mysz. Kiedy tylko skończyła, obrazek ożył w postaci prawdziwej myszy, która pobiegła w moim kierunku.

- Niezłe! Czy to iluzja? - Podniosłam stopę, żeby przepuścić stworzenie, ale znikło, rozwiewając się w powietrzu.

- Nie wiem. - Poruszyła ramionami. - Jak dotąd ożywały najwyżej na kilka sekund.

- Jej moce wciąż się rozwijają - wyjaśnił Ethan. - Arkarian uważa, że pewnego dnia Neria będzie potrafiła otwierać portale w czasie za pomocą kilku pociągnięć pędzla.

- To niesamowite. - Naprawdę byłam pod wrażeniem. Neria będzie cennym nabytkiem dla Straży, jeśli nauczy się czegoś takiego. Obecnie to Lathenia kontrolowała otwieranie portali.

- Powinniśmy się stąd ruszyć - odezwał się nagle Ethan.

Dziś rano zdecydowaliśmy, że nie będziemy zatrzymywać się na długo w jednym miejscu. Jak do tej pory przenosiliśmy się trzy razy. Wskazałam polanę po przeciwnej stronie jeziora, ale Ethan potrząsnął głową.

- Trenowałam tam z Isabel. - Chciał opowiedzieć, jak pewnego wieczora pojawił się tam Marduk, aby przekazać im wiadomość, i wystraszył ich prawie na śmierć. Zachował to jednak dla siebie, nie chcąc robić przykrości Nerii. Spojrzał na mnie, uświadamiając sobie, że znowu odczytałam jego myśli. Zmrużył oczy ze złością i obrzydzeniem.

- Słuchaj... - Próbowałam się tłumaczyć, czując się zepchnięta do defensywy. - Nie robię tego celowo. A ty powinieneś się nauczyć powstrzymywać od tak wyraźnego wysyłania myśli. Wiesz, nie jestem jedyną myślowidzącą. Przynajmniej u mnie twoje myśli są bezpieczne.

- Doprawdy?

Brak zaufania Ethana był najtrudniejszy do zniesienia.

- Są cholernie bezpieczne!

Neria patrzyła na nas na przemian, ale jej myśli były starannie osłonięte i ukryte - właśnie coś takiego starał się osiągnąć Ethan.

Odwrociłam wzrok, zanim zdążył zobaczyć, jak bardzo dotknął mnie jego brak wiary. Sprawa wyglądała tak, że skoro nikt z nich mi nie ufał, jak mogłam mieć nadzieję, że zdołam zaufać sama sobie? Może Marduk miał rację. Może zło nigdy nie umierało, a kiedy już weszło ci w krew, zostawało tam na zawsze, uśpione, dopóki coś nie obudziło go ponownie. Czy tak właśnie było z moim ojcem? Nadal siedział w więzieniu za to, co zrobił mojej macosze. Marduk dostrzegł we mnie zło. Wyczuł je. I popatrzcie tylko na to, co zrobiłam, na ludzi, których skrzywdziłam. Czy naprawdę można było się zmienić?

Odeszłam w dół zbocza, przeskakując przez strumyk. Nie uszłam jednak daleko, kiedy zorientowałam się, że Ethan jest tuż za mną.

- Czekaaj, Rochelle.

- Czego chcesz?

- Ja ci ufam.

Przez chwilę po prostu gapiłam się na niego.

- Zawsze ci ufałem - dodał. - Nawet wtedy, kiedy Trybunał podejrzewał, że jesteś szpiegiem Marduka, ale nie mieliśmy pewności. Bronilem cię.

- Naprawdę?

- No, a wtedy nawet nie wiedziałem dlaczego. Po prostu podpowiedział mi to mój instynkt. Wiesz, zwykle się nie myli.

Zaczął się wycofywać, sprawiając wrażenie zawstydzonego i może trochę poirytowanego na siebie za to wy-

znanie. Rzucił spojrzenie na wzgórze, gdzie czekała Neria. Mieliśmy nie spuszczać jej z oka, więc Ethan ryzykował pod różnymi względami, żeby mi to powiedzieć.

- Chciałem, żebyś o tym wiedziała - odwrócił się szybko i ruszył pod górę.

Szłam kawałek za nim, rozglądając się za czymkolwiek podejrzanym. Było cicho. Wręcz zbyt cicho. Myśl o tym, że przydałby mi się w tej chwili ultraczuły słuch profesora Cartera, podsunęła mi pewien pomysł, który postanowiłam wypróbować. Zdjęłam rękawiczki, które tego ranka podarował mi Arkarian, i położyłam ręce na ziemi. W mojej głowie natychmiast pojawił się obraz ziemskiej skorupy - bogatych w skamieniałości skał wapiennych spoczywających na warstwie gliny. Spróbowałam odsunąć te obrazy i „wyczuć” inne rzeczy. Nagle ziemia pod moimi dłońmi zaczęła drżeć, a ja zostałam zalana plastycznymi obrazami koni. Wielu koni. Dzikich, wolnych i galopujących ile sił w nogach poprzez dolinę. Podniosłam głowę i zobaczyłam, że Ethan i Neria znaleźli się niemal na czubku wzgórza. Jeśli nie zmienią kierunku, znajdują się wprost na drodze tabunu!

— Ethan, stójcie!

Usłyszał mnie i zatrzymał się, żeby spojrzeć. Machnęłam ręką w stronę lesistego obszaru po prawej. Konie nie wbiegną między drzewa, jeśli będą miały do wyboru otwartą przestrzeń.

- Do lasu, szybko!

Ale konie były zbyt szybkie. Teraz wyraźnie słyhać było grzmiący tętent ich kopyt.

Neria krzyknęła, kiedy ogromne stado potężnych zwierząt wdarło się na szczyt wzgórza, zaledwie o kilka metrów od miejsca, w którym stali. Instyktownie wyrzuciła ręce w górę. Wszystko stało się niesamowicie szybko. W jednej chwili konie galopowały z nieprawdopodobną prędkością, a w następnej wierzgały przednimi kopytami w powietrzu. Widok był niesamowity. Pobiełam w tę stronę tak szybko, jak tylko mogłam, a moje serce waliło na myśl o tym, że musiała się tam rozgrywać straszliwa tragedia. Ale kiedy dotarłam na szczyt, widok trudno było uznać za tragiczny. Zatrzymałam się i zagapiłam. Konie były łagodne i spokojne, radośnie rywalizowały między sobą o uwagę Nerii.

Przemawiała do każdego z nich, tuląc twarz do ich pysków. Podchodziły do niej pojedynczo, łagodnie przepychając się, żeby znaleźć się na początku kolejki.

Ethan także nie mógł oderwać oczu od tej przedziwnej sceny - to były przecież dzikie konie, biegające wolno przez całe życie. Nikt nie próbowałby nawet złapać któregoś z nich, nie mówiąc o oswojaniu.

- Z całą pewnością masz więź ze zwierzętami - powiedział.

- Niezłe! - oznajmiłam po raz drugi tego dnia. - Co jeszcze potrafisz?

Neria wzruszyła smukłymi ramionami.

- Nie wiem. Ale od tamtego dnia, kiedy nasze dary zostały wzmocnione, dzieją się ze mną różne dziwne rzeczy.

Po kolejnych kilku minutach głaskania i klepania koni zaczęliśmy schodzić w kierunku doliny. Spotkanie z nimi sprawiło, że zgłodnieliśmy, więc Ethan wyjął kanapki. Neria wzięła jedną, a Ethan wyciągnął pudełko w moją stronę.

Nie pomyślałam nawet, żeby zabrać coś do jedzenia, a teraz byłam głodna. Ale nie zamierzałam odbierać mu jego drugiego śniadania.

- Nie, nie trzeba. Później coś przegryzę.

- Nie wygłupiaj się. Wiedziałem, że idziemy na cały dzień. Zapakowałem to dla ciebie.

Zobaczyłam, że w pudełku zostały dwie kanapki. Wzięłam jedną, a moja twarz z każdą sekundą stawała się gorętsza. Zastanawiałam się, czy da się w ogóle zrobić z siebie większą idiotkę niż ja zrobiłam dzisiaj? Jakoś w to powątpiewałam.

Kiedy zjedliśmy, Ethan wypróbował z Nerią kilka technicznych ćwiczeń, żeby zobaczyć, na ile jest uzdolniona. Obserwowałam ich z niewielkiej odległości, dzieląc uwagę pomiędzy otaczający nas bezpośrednio obszar i trawiastą dalszą okolicę. Neria miała problemy ze sztukami walki. Ethan stał właśnie za nią, z jedną ręką na jej talii, a drugą na gardle. Znałam ten ruch. Powinna przysiąc i szarpnąć rękę Ethana w dół, blokując jednocześnie duszenie podbródkiem.

Robiłam to tysiące razy, ale zanim się spróbowało, sprawiało to wrażenie niemożliwego.

Spróbowała, ale ostatecznie oboje wylądowali na ziemi. Wybuchnęli śmiechem, pomagając sobie nawzajem wstać. To, że tak świetnie się dogadywali i dobrze bawili, zaczęło mi działać na nerwy, właściwie kompletnie bez powodu - poza tym, że żałowałam, że nie jestem na miejscu Nerii. Postanowiłam się przejść kawałek, świeże powietrze powinno mi przywrócić zdrowy rozsądek. Tak czy inaczej nigdy nie zaszkodzi sprawdzić okolicę.

Kiedy Neria zobaczyła, że odchodzę, zawołała i zamachała na mnie. Zawahałam się, bo naprawdę nie miałam ochoty z bliska odczuwać ich rozpromienienia.

- Rochelle! — zawołała głośno. - Chodź tu i pokaż mi, jak to zrobić.

Nie mogłam uwierzyć, że o to poprosiła! Popatrzyła na Ethana.

- Demonstracja bardzo by mi pomogła. Jak myślisz? Początkowo nie powiedział ani słowa, tylko popatrzył na mnie. Potem poddał się kapryswi Nerii i wzruszył ramionami.

- Jasne.

Podeszłam do nich powoli, ale w tym momencie żałowałam, że nie siedzę głęboko w jaskini gdzieś na drugiej półkuli.

Ethan wolno przeszedł za moje plecy, a potem jego ramię objęło moją talię i mocno do mnie przywarł.

Poczułam, jak oddycha głęboko, kiedy jego druga ręka zamknęła się wokół mojej szyi. Na moment wszystko znieruchomiało, a ja byłam doskonale świadoma, że jeśli odrobinę zwrócę głowę w prawo, nasze oczy się spotkają. Pragnienie, żeby to zrobić, stało się tak silne, że nie mogłam się powstrzymać. Odwróciłam się powoli.

Ale on nie patrzył na mnie. Patrzył z uśmiechem wprost na Nerię.

Gdyby można było umrzeć ze wstydu, padłabym w tym momencie zimnym trupem. Uznałam, że zamiast umierać, lepiej zrobić inną, bardziej rozsądną rzecz. Opuściłam podbródek, żeby przerwać duszenie, i opadłam w dół, ciągnąc Ethana za ramię własnym ciężarem. Obróciłam się w pasie i ciągnęłam jego ramię dalej. Stracił równowagę i rąbnął o ziemię.

Neria zwinęła się w pól i śmiała tak, że nie mogła się uspokoić.

Ethan popatrzył na mnie z ziemi, potrząsając głową. Ale uśmiechał się, więc przynajmniej nie miał mi tego za złe, a ja zdołałam ocalić swoją godność.

Kiedy zamierzałam odejść kawałek, usłyszałam jakiś hałas i błyskawicznie odwróciłam się w lewo, wyciągając nóż z cholewki buta.

Ethan w jednej chwili znalazł się koło mnie.

- Co się dzieje?

- Słyszę kroki.

Znowu je usłyszałam, tym razem Ethan też je zauważył. Skoczył do Nerii i wepchnął ją za nas. Wyraz

jej twarzy zmienił się szybko z rozbawienia w strach. Wielkie brązowe oczy stały się bardziej okrągłe.

- Nie ruszaj się — powiedział cicho i przywołał do swojej ręki nóż schowany za cholewką buta.

Trzaśnięcie gałązki sprawiło, że po plecach przeszły mi ciarki. Kroki zbliżały się, widzieliśmy teraz sylwetkę człowieka - szedł w naszym kierunku.

Ku mojemu zaskoczeniu Ethan odłożył nóż.

- Co ty wyprawiasz?

Ruszył w stronę przybysza, a ja w tym momencie zrozumiałam jego zachowanie. To był nasz przyjaciel, Dillon. Arkarian uprzedzał, że niedługo do nas dołączy.

Ethan i Dillon uścisnęli sobie ręce.

- Cześć, dobrze cię widzieć — odezwał się Ethan.
-Szybko wróciłeś.

No właśnie. Dillon, podobnie jak ja, zdezerterował z Zakonu, ale podczas gdy moje szkolenie trwało prawie rok, Dillona nie było tylko przez kilka tygodni. Przypomniałam sobie miesiące zwątpienia, przez które musiałam przejść, i zastanowiłam się, jak Dillon mógł tak szybko dojść do siebie. Ale kimże byłam, żeby to oceniać? Ten chłopak nie miał zła we krwi. Jego rodzice byli alkoholikami i wiecznie się kłócili, ale żadne z nich nie było mordercą, jak mój ojciec.

Arkarian i lady Arabella musieli mieć pewność, że Dillon naprawdę zmienił stronę, skoro tak szybko zakończyli z nim pracę. A to były dwie osoby, którym ufałam najbardziej na świecie.

Rozdział 11

Matt

Arkarian przeniósł nas obu do Cytadeli, do komnaty z wysokim sklepieniem podzielonym na osiem barwnych paneli. Wskazał na środek ośmiokąta zaznaczonego na posadzce.

- Przeniosę cię do innego świata. Poczułem *déjà vu*. Kiedyś już tu byłem.

- Uważaj, Arkarianie. Nie mam ochoty wylądować sam w tym ciemnym miejscu.

Spojrzał na mnie uspokajająco.

- Nie martw się, Matt. Gdybym przez pomyłkę przerzucił cię do świata podziemnego, wylądowałbym tam zaraz za tobą.

- Roześmiał się. - Nie miałbym życia, gdybym gdzieś cię zgubił.

Udzieliło mi się jego rozbawienie

— Jeśli masz na myśli Isabel, to chyba nie musisz się martwić. Jestem pewien, że by ci wybaczyła, gdybyś zgubił jej brata!

Arkarian spuścił wzrok.

— Właściwie to nie myślałem o Isabel - mruknął. Podniósł głowę. - Nie rozumiesz jeszcze, jaki jesteś ważny.

Jego słowa brzmiały niepokojąco. Postanowiłem zmienić temat.

— Czy będziesz mógł mnie widzieć, kiedy będę przebywał w tamtym świecie?

Potrząsnął głową.

— Nie. Zewnętrzne światy są ukryte przed naszymi oczami. Ale zostanę poinformowany, czy dotarłeś szczęśliwie.

— Przez mężczyznę, który ma mnie uczyć? -Tak.

— Isabel uważa, że ten mężczyzna jest moim ojcem. Arkarian przyjrzał mi się z namysłem.

— Zadajesz pytania niewłaściwej osobie. Jeszcze trochę cierpliwości, Matt, a jestem pewien, że przynajmniej część z niepokojących cię tajemnic zostanie wyjaśniona.

Cofnął się kilka kroków.

— Czekaj! - zawołałem. Miałem do niego jeszcze jedną sprawę. Odczytał moje myśli, a jego spojrzenie natychmiast zmiało, ale ja musiałem usłyszeć potwierdzenie wypowiedziane na głos. - Czy zrobisz wszystko, co tylko możliwe, żeby chronić Isabel?

- Oczywiście. Zrobię wszystko, co leży w mojej mocy.
- Nie chciałbym, żeby coś jej się stało.
- Nigdy nie zrobiłbym niczego, co mogłoby ją skrzywdzić.

Milczeliśmy przez chwilę. Arkarian wiedział, że chcę powiedzieć coś jeszcze. Popatrzyłem ponad jego ramieniem, zbierając myśli.

- Słuchaj, rozumiem, że jesteście bardzo blisko. Ale wiesz, oboje zawsze będziecie młodzi. Macie mnóstwo czasu, zanim potrzebne będzie zacieśnienie waszego związku.

Arkarian milczał chwilę, zanim odpowiedział.

- Czy uważasz, że taka jest decyzja Isabel?
- Oczywiście, ale... ona cię kocha z całego serca, a to ci daje nad nią władzę.
- Tylko dlatego, że jesteś jej bratem, Matt, puszcę ci płazem tę zniewagę.

Panele sklepienia zaczęły się obracać, więc nie miałem innego wyboru, jak tylko zaufać Arkarianowi. Na górze eksplodowało jasne światło, a wirowanie zamieniło się w szaleństwo kolorów i ruchu. Nagle zostałem wystrzelony w pędzący z zawrotną prędkością wiatr. Trwało to chwilę dłużej niż mogłem spokojnie wytrzymać, a potem uświadomiłem sobie, że spadam. Uderzyłem o ziemię i sturlałem się w dół, niezdolny się zatrzymać.

W końcu znieruchomiałem, ale dalej kręciło mi się" w głowie. Otworzyłem oczy i spróbowałem skupić na

czymś spojrzenie. Tuż przed nosem miałem bujne liście. A kiedy podniosłem głowę, zobaczyłem niebo.

- O rany.

Patrzyłem na ten dziwny widok, nie mrugając. Widziałem dwa słońca! Jedno pomarańczowe, drugie niebieskie. Jak to możliwe? A chociaż najwyraźniej był dzień, niebo ożywiały poruszające się plamy koloru i migoczące światła - czerwone, niebieskie, żółte i w kolorze indygo. Ciekawe, jak to wyglądało w nocy?

Oderwałem spojrzenie od nieba i rozejrzałem się wokół. Jak okiem sięgnąć, nie widziałem nikogo. W oddali, na horyzoncie, widać było pasmo górskie, a bliżej rozciągała się ciemnozielona równina, przez którą płynął strumień. Podo mną i na całe kilometry wokół mnie rozciągały się łąki porośnięte kwiatami w najróżniejszych kolorach. Podniosłem rękę i znalazłem pod nią zgnieciony kwiat z dwunastoma płatkami, każdy był innej barwy. Kiedy patrzyłem na to niezwykle zjawisko, kwiat odzyskał pierwotny kształt.

- Niesamowite - wyszeptałem.

Głos za mną sprawił, że prawie wyskoczyłem ze skóry.

-Tu jesteś! A myślałem, że całkiem cię zgubiłem.

Wstałem i obróciłem się. Ze wzgórza zbiegał w moją stronę mężczyzna w dziwacznym obszernym ubraniu. Jego długie brązowe włosy były rozpuszczone i spływały mu na plecy.

- Witaj, Matt - powiedział, wyciągając rękę. - Nazywam się Janah. Zostałem wysłany, żeby cię powitać.

Mam być twoim przewodnikiem. - Rozłożył szeroko ramiona i rozejrzał się. - Co myślisz o tej krainie?

- Jest piękna. Macie dwa słońca!

- Właściwie mamy ich siedem, ale pozostałe jeszcze nie wzeszły. Po jednym dla każdego poziomu, a tu na górze widzimy je wszystkie.

Janah zobaczył, że marszczy brwi, i przechylił głowę na bok.

- W porządku, Matt. Nikt nie wymaga, żebyś wszystko rozumiał. Ta kraina ma wiele aspektów przekraczających twoje pojmowanie. Na przykład to. - Znowu ścisnął moją rękę, ale tym razem jego dłoń przeniknęła mnie częściowo.

Zaskoczył mnie. -Ej!

- Wszystko tutaj jest prawdziwe i materialne, jeśli tego pragniemy, ale nasze ciała, a szczególnie umysły, pozostają wolne. Za chwilę zobaczysz, co mam na myśli, kiedy zaczniemy podróż.

- OK. Nie wiem, jak bez ciebie zdołałbym tu znaleźć drogę. - Machnąłem ręką w stronę niesamowitego krajobrazu. - To miejsce wydaje się bezkresne. Czy jesteś jedyną osobą, która tu mieszka?

Roześmiał się, ale w jego oczach nie było protekcjonalności, tylko wyraźne rozbawienie.

- Mieszka tu wielu ludzi. Niedawno przybyli tutaj twoi znajomi, wydaje mi się, że pamiętasz ich jako Johna Wrena i Serę.

- Naprawdę? Będę mógł ich zobaczyć?
- Nie tym razem. Ale możesz być spokojny, Sera jest bardzo szczęśliwa.

- A John Wren? Czy on także jest szczęśliwy?

- John jest na innym poziomie.

- Co to znaczy? To dobrze czy źle?

- Tutaj nie ma niczego złego. Pamiętasz, jak ci mówiłem, że ta kraina ma siedem poziomów? - Zaczekał, aż przytaknę. - No więc John jest na pierwszym. Kiedy będzie gotów, przeniesie się na wyższy poziom i tak dalej. Najprawdopodobniej za kilka tysięcy lat.

Nie mogłem się powstrzymać przed zmarszczeniem brwi po raz kolejny. Janah potrząsnął głową.

- Nie próbuj tego zrozumieć, Matt. Nie po to tu jesteś. Dartemis czeka na ciebie w swoim pałacu.

- Kto to jest Dartemis?

- Wszystko zostanie wyjaśnione we właściwym czasie - odparł Janah.

- Czy ten pałac, do którego się wybieramy, jest daleko? - zapytałem.

Lekko postukał palcem w skroń.

- Przypomnij mi, jaką jednostką śmiertelnicy mierzą odległość?

- Kilometry.

- A, prawda. Jesteś pięćdziesiąt miliardów kilometrów od miejsca przeznaczenia.

Na moment odebrało mi mowę.

- Mówisz serio?

— Całkowicie.

Miałem w głowie chaos. Popatrzyłem na wzgórze, z którego dopiero co się sturlałem. Czy gdybym wbiegł na nie, ile sił w nogach, istniałaby możliwość, że Arkarian ściągnie mnie z powrotem? Zacząłem się wycofywać.

— Janahu, obawiam się, że nie mogę tu zostać. Przemierzenie dziewięćdziesięciu miliardów kilometrów zabierze mi więcej niż całe życie, jakieś tysiąc moich żyć!

Dotknął mojego ramienia i poczułem ogarniającą mnie falę spokoju.

— Nie w tym świecie, Matt. Zaufaj mi. Chyba nie miałem wyboru.

Dotyk na moim ramieniu zmienił się w pewny chwyt.

— Chodź ze mną, Matt.

— Gdzie mnie...? - Nie skończyłem pytania, ponieważ spostrzegłem, że stopy Janaha nie dotykają już ziemi. Uniósł się, całkiem dosłownie, w powietrze.

Jego ciało przekrzywiło się w stronę, w którą ciągnął moje ramię — ruch przyszedł bez wysiłku, zupełnie jakby jego kończyny były teraz zrobione z plastycznej substancji, a nie z kości.

— Musimy już ruszać. Jesteś oczekiwany na obiedzie.

— Czeka, Janahu.

Jego stopy z powrotem dotknęły miękkiej trawy.

— Nie jestem... taki jak ty. Nie mieszkam tutaj. Zasady tego świata nie stosują się do mnie.

Uśmiechnął się tylko.

- Czy twój Nauczyciel nie wyjaśnił ci, w jaki sposób powinieneś oczyścić umysł i znaleźć wewnętrzne skupienie?

- Cóż, próbowałem.

- Zrób to teraz, Matt.

Zamknąłem oczy i starałem się wyglądać, jakbym robił to, o co prosił. Prawda była taka, że za każdym razem, kiedy próbowałem tego z Ethanem, nie wychodziło mi to do końca. Wiedziałem, że to go bezgranicznie frustruje, więc czasem udawałem, że osiągam ten najwyższy stan wewnętrznego spokoju i bezruchu umysłu. Skoncentrowałem się na spokoju emanującym z dotyku Janaha.

Ku swojemu zdumieniu poczułem, że zaczynam się unosić. Otwarłem oczy, żeby sprawdzić - unosiłem się tuż nad ziemią! Janah patrzył na mnie z rozbawieniem. - Cóż, to niewiele, ale musi wystarczyć. - Przesunął rękę na mój łokieć i pchnął lekko w górę, sprawiając, że moje ciało przechyliło się.

A potem zaczęliśmy się poruszać. Trawiasta łąka pod mną przesuwała się. Pozostawaliśmy blisko siebie, nasze ciała były ustawione niemal równoległe do ziemi i przez chwilę widziałem krajobraz pod nami. Wznieśliśmy się wyżej, mijaliśmy wiele gór i dolin, tak wiele, że straciłem rachubę. Na horyzoncie wyłoniło się pełne ludzi miasto, którego wielopiętrowe budynki sprawiały wrażenie części pejzażu - były wpasowane między drze-

wa, a poszczególne osiedla połączono złotymi mostami. Wszędzie było mnóstwo strumieni i wodospadów. A potem zaczęło wschodzić trzecie słońce — fioletowe. Migoczące barwy na niebie poruszyły się i zmieniły, doszły do nich odcienie fioletu i różu.

Niebawem podróżowaliśmy z taką prędkością, że wszystko poniżej mnie i nade mną stało się rozmazaną smugą barw. Czułem lekkość, której nie potrafiłbym opisać w ziemskich słowach. Nadal byłem materialny i rzeczywisty, ale miałem wrażenie, że w środku jestem zrobiony z samego powietrza.

W końcu zaczęliśmy zwalniać. Zbliżał się moment, w którym miałem poznać osobę mogącą udzielić mi odpowiedzi dotyczących tajemnicy moich narodzin. Kiedy nadal zwalnialiśmy, poczułem wewnątrz przyływ niepokoju. A jeśli te odpowiedzi zmienią moje życie? Jeśli obawy Isabel dotyczące mojej wyprawy okażą się uzasadnione? Czy jej lęk brał się z miłości, czy też zobaczyła coś w jednej ze swoich wizji?

Zatrzymaliśmy się, a wszystkie pytania uleciały mi z głowy. Wystarczająco zajmował mnie widok, który rozpostarł się przede mną. Była to budowla, niesamowity pałac, mieszczący co najmniej z tysiąc komnat. Był niemal w całości biały, ze złotymi i srebrnymi wieżyczkami, łukami, kolumnami, migoczącymi kryształowymi oknami i szeregiem obramowanych złotem drzwi. Ale to nawet nie jego wspaniałość sprawiła, że gapiłem się w zdumieniu i zachwycie — chodziło

o to, na czym stał pałac. Chociaż „stał” to nie było właściwe słowo: można było tylko powiedzieć, że się unosił. Unosił się na samym koniuszku (a może początku?) wszechświata.

Odetchnąłem i spróbowałem uspokoić galopujące myśli. Przystąpiłem z nogi na nogę, upewniając się, że stoję na twardym gruncie, lam, gdzie unosił się pałac, nie było żadnego gruntu. Nic. Zupełnie jakby ta niesamowita budowla lewitowała nad krawędzią wszechświata. Wokół niej nie było nieba, słońca ani gwiazd. Może nawet nie było powietrza.

- Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

- Jest niezwykły, prawda?

- Kto mógłby mieszkać w takim miejscu? Powiesz mi teraz, kim jest ten mężczyzna?

- Wiesz już, że nazywa się Dartemis. Jest nieśmiertelnym, jednym z trojaczków urodzonych nieszczęsnym bogom, Atenie i Artemisowi.

- Czyli jest bratem Lorianą.

- A Lathenia jest ich siostrą. Ale ona myśli, że Dartemis nie żyje, że wiele tysięcy lat temu został zamordowany przez Lorianą. Dartemis mieszka tutaj, żeby nie wyczuła jego istnienia.

- Na zewnątrz wszechświata.

- Tak. A teraz pozwól. Patrz. - Janah wskazał mężczyznę w bieli, stojącego w drzwiach pałacu. - Czeka na ciebie. O ile wiem, jest niezwykle poruszony.

- Że ma się spotkać ze mną?

- Tak. Nie wiedziałaś o rym?
 - O czym?
 - Jesteś ukoronowaniem dzieła jego całego życia
- wyjaśnił Janah.

Więc to dawał mi do zrozumienia Arkarian. Ten nieśmiertelny przez całe życie czekał, aż się pojawię. Ale dlaczego? Dlaczego ja? Wróciło znajome wirowanie w głowie. Za dużo było tego wszystkiego na raz. Powietrze stało się duszne, oddychałem tak głęboko, jak mogłem. Bez efektu. Wszystko wirowało, odsuwając się ode mnie i znowu wracając. Janah musiał zauważyć moje zdenerwowanie, usłyszałem, że coś woła. Pewnie moje imię. A potem zostałem podniesiony przez czyjeś silne ramiona i poczułem, że się poruszam.

Ocknąłem się wewnątrz pałacu, na sofie, z mokrym ręcznikiem na czole.

- Dochodzi do siebie, panie. — Głos Janaha przebił się przez mgłę spowijającą mój umysł.

- Pozwól mu odpocząć, Janahu. Zostaw nas samych.

- Tak, panie. - Janah zdjął z mojej głowy okład i wyszedł z komnaty.

Popatrzyłem w górę i napotkałem wzrok nieśmiertelnego. Widziałem Lorianą tylko raz, podczas niedawnego procesu mojej siostry, ale podobieństwo między braćmi było wyraźne. Obaj byli wyżsi niż jakikolwiek człowiek, mieli niezwykle długie palce, taką samą emanującą blaskiem skórę i oczy, które wyglądały jak wyrzeźbione ze szlachetnego klejnotu. Jednakże oczy Loriany były fiole-

towe, Lathenii (jak mi powiedziano) srebrne, natomiast te patrzące teraz na mnie były żółte. Żółtozłote.

- Czy jesteś moim ojcem? Roześmiał się serdecznie i głośno.

- Od razu przechodzisz do rzeczy, co, Matthew? Właściwie samo mi się to wymknęło. Ale skoro już zadałem to pytanie, chciałem usłyszeć odpowiedź.

Roześmiał się znowu, tym razem trochę ciszej. Musiał słyszeć moje myśli. Byłem ciekaw, czy jest myślowidzącym.

- Tak - odparł.

Tak? Teraz już nic nie rozumiałem. Czy odpowiedział „tak” na moje myśli, czy też na zadane głośno pytanie?

- Jedno i drugie - odparł. - A teraz, skoro formalnościom stało się zadość, możemy zacząć twój trening. Po to tu jesteś, a my nie możemy tracić więcej czasu, Matthew. Moja siostra niecierpliwi się, żeby podbić wszystko, co tylko zdoła, wszystko, co nie należy do niej. Zakłóciła równowagę życia, a efekty będą katastrofalne dla wszystkich istot żyjących na Ziemi. Twoją rolą jest do tego nie dopuścić.

-Ale to wszystko brzmi... okropnie.

- Bo to jest okropne. To, co macie na Ziemi, jest bezcenne. Nie można tego znaleźć w żadnym innym świecie, a uwierz mi, Matthew, istnieje bardzo, bardzo wiele światów. Niektóre są pełne światła, inne mroku, a jeszcze inne szarości, w której błąkają się rozczarowa-

ni i zagubieni. Są też takie, których nikt nie chciałby oglądać. Byłeś w świecie podziemnym. Kiedyś to była piękna kraina, a teraz stała się przestrzenią mroku, w której trzewiach żyją najstraszniejsze stwory w całym wszechświecie. Ale Ziemia... — Pochylił się do przodu, złote oczy przeszywały mnie i miałem wrażenie, że zaraz mnie pochłoną. — Ziemia jest ostatnią ostoją żyjących.

Rozejrzałem się po komnacie, próbując ogarnąć to, co powiedział. W otwartych drzwiach pojawiła się para lwów, samiec z niesamowitą złotą grzywą i samica. Instynktownie podciągnąłem nogi pod siebie, na sofę. Podeszły leniwie, jakby były przyzwyczajone do życia w tym miejscu. Kiedy zbliżyły się do Dartemisa, samiec wydał niski, niemal żałosny ryk. Dartemis zachęcił go, żeby podszedł jeszcze bliżej, i podrapał go za uchem, przemawiając uspokajająco.

- Nigdy bym o was nie zapomniał - wyszeptał, pochylając głowę nad potężnym pyskiem lwa. Lwica odepchnęła swojego partnera i wepchnęła nos w dłoń Dartemisa, domagając się jego uwagi. Dartemis złapał ją oburącz za łeb i poczochnął. - Ja też za tobą tęskniłem - powiedział. - Ale jestem zajęty, więc musicie poczekać, aż będę mógł znaleźć dla was czas. A teraz idźcie poszukać Janaha, on wam da coś do jedzenia.

Wielkie koty wyszły, a ja próbowałem otrząsnąć się z szoku. Moje myśli wróciły do naszej rozmowy. Dartemis podjął temat.

— Tu, w tym świecie, możemy być szczęśliwi z całego serca. Jednakże nie można tu trafić, jeśli nie przeżyło się śmiertelnego życia. A ponieważ Ziemia jest ostatnim miejscem, w którym jest to możliwe, zwycięstwo Lathenii oznaczałoby zniszczenie ostatniego świata, który zapewnia równowagę we wszechświecie. Martwi spacerowaliby między żywymi i nikomu nie udałoby się osiągnąć wiecznego pokoju. - Wskazał gestem migoczące niebo i rozległą krainę, której uroda zapierała dech w piersiach. - Ostatecznie nawet to wszystko zostałoby zagrożone.

Jego wyjaśnienie odebrało mi mowę. Jak to było możliwe? Dlaczego to się przydarzyło właśnie mnie? Miałem wrażenie, że zaledwie wczoraj moim najpoważniejszym problemem było oddanie w terminie pracy domowej.

-To mnóstwo wiedzy do przyswojenia. A w twojej głowie, Matthew, aż roi się od wątpliwości. Niestety nie mogę ci pomóc się ich pozbyć, ale wydobędę moce, które już masz w sobie. To powinno ci pomóc uwierzyć, chociaż, jak każdy człowiek, będziesz miał wolną wolę użycia ich. Pokieruję tobą, Matthew, ale do tego się ograniczę.

W końcu zdołałem wydobyć z siebie głos.

— Panie...

- Czekał. Ponieważ nie czułbyś się dobrze, nazywając mnie ojcem, możesz mi mówić po imieniu.

- Dobrze, Dartemisie. Muszę ci coś powiedzieć.

— Jeśli wolisz, możesz mówić na głos.

— Myślę, że popełniasz błąd.

Na jego twarzy pojawił się uśmiech, pomyślałem, że bawi się ze mną.

— Wyjaśnij mi, na czym ten błąd polega.

— Nie jestem stworzony do takiej roboty. Tak naprawdę nie wydaje mi się nawet, żebym był twoim synem. Widzisz - ciągnąłem szybko, zanim zdążył mi przerwać - pochodzę z małego miasteczka w Australii, zwanego Angel Falls. Mam zwykłą matkę i tak dalej. I, no cóż, na świecie jest pełno ludzi, którzy mają dokładnie takie „niezwykłe” talenty, jakie twoim zdaniem ja posiadam. Na przykład Arkarian. Myślę, że to o niego mogłoby ci chodzić. - Zaczerpnąłem głęboki oddech. - Próbuję ci wyjaśnić, że nie jestem typem przywódcy. Nie jestem bohaterem. Nie mam talentów, jakie uważasz, że mam. Uwierz mi, próbowałem znaleźć to wewnętrzne źródło mocy, czy co to miało być, ale to naprawdę nie ma sensu. Widzisz, po prostu nie ma czegoś takiego. Więc — wstałem i rozejrzałem się za drzwiami, najlepiej takimi, które prowadziłyby w kierunku przeciwnym do tego, w którym udały się lwy — jeśli pozwolisz, już się pożegnaj. Nie ma stąd jakiegóż drogi powrotnej na skróty?

Dartemis nagle zniknął i pojawił się tuż przede mną, tak że jego klatka piersiowa znalazła się na wysokości mojej twarzy. Podniosłem głowę, odchylając ją do tyłu, żeby spojrzeć mu w oczy. Patrzył na mnie z lek-

ko otwartymi ustami, między jego brwiami pojawiła się głęboka zmarszczka. Nagle potrząsnął kilkakrotnie głową, jakby nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. W końcu się odezwał, ale nie zwracał się do mnie, była to raczej ogólna skarga.

- Czeka mnie więcej pracy niż początkowo sądziłem. O wiele więcej.

Rozdział 12

Rochelle

Szkołę otwarto ponownie w piątek. W piątek! Na litość boską, czy ten jeden dzień miał ich zbawić? Najwyraźniej naukowcy dowiedzieli się wszystkiego, czego chcieli. Działali szybko i wywieźli cały kosmiczny gruz do laboratoriów rządowych. Po przeprowadzeniu niewielkich napraw wszystkie budynki z wyjątkiem jednego zostały uznane za zdatne do użytku. Dlatego dzisiejszy trening Nerii miał się odbyć po lekcjach.

Profesor Carter miał prowadzić historię, ale został zasypany lawiną pytań o swoje „cudowne” ocalenie. Większość pytań wyśmiał, ale odpowiedział na wystarczającą ich część, by zadowolić ciekawość klasy.

Podczas gdy nauczyciel bronił się przed ciekawskimi, Dillon dał mi do zrozumienia, że chciałyby uczestni-

czyć w popołudniowym treningu Nerii. Siedział bezpośrednio za mną i bezustannie pchał myśli do mojej głowy. Miałam wrażenie, że dźga mnie w mózg rozgrzanym pogrzebaczem. Nie był myślowidzącym, ale najwyraźniej wiedział, że ja mam ten dar, a jego natręctwo naprawdę zaczynało mi przeszkadzać.

W ciągu ostatnich kilku dni lady Arabella znalazła czas, żeby pomóc mi w kontrolowaniu mocy moich dłoni w stopniu wystarczającym, żebym przestała się czuć zagrożeniem dla otoczenia. Wszystko sprowadzało się do moich emocji, adrenaliny i innych takich rzeczy. Podarowane mi przez Arkariana rękawiczki zostały zaprojektowane przez lady Arabellę i były zrobione z niezniszczalnej tkaniny, którą sama stworzyła. Były doskonałe, ponieważ wyglądały jak skóra. Natomiast Arkarian uczył mnie, jak mogę kontrolować nawet myśli, które zadręczały mnie od czasu wzmocnienia naszych darów. Mimo wszystko Dillon zdołał się przebić przez wszystkie moje osłony i doprowadzał mnie do szału!

Kiedy tylko lekcja się skończyła i wyszliśmy na zewnątrz, napadłam na niego.

- Co ty, do diabła, wyprawiasz?

Wzruszył ramionami i obdarzył mnie chłopięcym uśmiechem, który część dziewczyn mogłaby uznać za uroczy. Ja do nich nie należałam. Bolała mnie głowa.

- Musisz mi pomóc, Roh. Jesteś moją przepustką do Nerii. Ona cię posłucha. Powiedz jej, jakim jestem świetnym facetem.

Wrzasnęłabym, gdyby nie ściągnęło to na nas niepożądaną uwagę. Powinnam mu powiedzieć, że jeśli potrzebuje osób trzecich do wyjaśniania, że jest „świątecznym facetem”, to może dziewczyna nie jest nim zainteresowana na tyle, żeby sama to mogła dostrzec.

Poszliśmy na następną lekcję i, o radości, Dillon znowu był w klasie ze mną. Szedł za mną aż do pracowni przyrodniczej. Pod drzwiami odwróciłam się i stanęłam z nim twarzą w twarz.

— Po pierwsze, nie odwałam za nikogo jego brudnej roboty. Chcesz Nerii, to sam ją sobie zdobądź. A po drugie, mam na imię Rochelle, wymawiane „Roszel”, a nie w żaden inny sposób. Jasne?

Do chwili, kiedy zabrzmiał ostatni dzwonek tego dnia, miałam ochotę powyrywać sobie włosy. Dillon przybiegł do mnie.

- Roh, jesteś mi potrzebna!

Popatrzyłam na niego tak nieżyczliwie, jak tylko mogłam. Nie miał nawet na tyle taktu, żeby zapamiętać, że nie lubię, gdy skraca się moje imię. I wydawało mi się, że jasno mu powiedziałam, że nie zamierzam wstawiać się za nim u Nerii. To także zignorował. Czy w ogóle nie potrafił słyszeć niczego oprócz własnych myśli?

Wyszłam z budynku B i rozejrzałam się za Nerią i Ethanem. Zobaczyłam ich w końcu, idących razem przez dziedziniec. Wyglądali jak para, a ten widok sprawił, że miałam wrażenie, iż moje żebra się skur-

czyły. Dillon obok mnie westchnął i jęknął jak chory z miłości szczeniak.

- Błagam cię, Roh. Powiedz mi, gdzie macie dzisiaj trenować.

Musiałam go jakoś splawić i wymyśliłam na to doskonały sposób.

- OK. Będziemy trenować w siedzibie Arkariana. Zadziałało.

- No nie! — zawołał.

- No, w jednej z tamtejszych komnat.

- Ale ja nie mam wstępu do jego siedziby.

- Serio? - Staralam się ukryć ulgę i przybrałam zaskoczony ton, chociaż już o tym wiedziałam. Arkarian powiedział mi to akurat dziś rano.

- No, nie mam jeszcze tak wysokich uprawnień. To nie potrwa długo, ale... - Popatrzył na mnie kątem oka. - Ty masz uprawnienia, prawda?

-No i?

- No i możesz mnie tam przemycić.

Nie mogłam powstrzymać wybuchu śmiechu. Natychmiast się obraził.

- Co w tym zabawnego?

- Nie można niczego przemycić za plecami Arkariana. To zupełnie tak, jakby wszędzie miał oczy i wszystko widział. Poza tym to on kontroluje wejście, nikt nie dostanie się do środka bez jego zgody. Twój pomysł jest absurdalny. A ty nie powinieneś tak kombinować, szczególnie jeśli chcesz, żeby wszyscy ci zaufali.

- Ej, mnie można ufać! Masz coś do mnie?
- Jasne że nie! Po prostu daję ci dobrą radę.
- Nie potrzebuję twoich rad! Pomóż mi tylko zbliżyć się do Nerii. Co ty na to, Roh? Zrobisz to dla mnie? Przez wzgląd na stare czasy?

Ostatnie słowa sprawiły, że krew się we mnie zagotowała. Co on sobie myślał? Że ponieważ oboje pracowaliśmy dawniej dla Zakonu Chaosu, jesteśmy sobie nawzajem coś winni? Nie miałam powodów, żeby być lojalna wobec Bogini, a już na pewno nie wobec Dil-lona! Na szczęście Neria i Ethan podeszli do nas, ratując mnie przed koniecznością udzielenia odpowiedzi.

- Wybierzesz się z nami na trening, Dillonie? - zapytała po prostu Neria.

Może była nim zainteresowana. Spojrzałam z ukosa, zastanawiając się, co takiego w Dillonie może być pociągającego dla dziewczyny. Prawdopodobnie te intensywnie zielone oczy, to na pewno była jego najatrakcyjniejsza cecha. Nagle się uśmiechnął. No tak, to pewnie też.

Ethan popatrzył na mnie, marszcząc brwi. Z jego myśli dowiedziałam się, że uważa, iż to ja zaprosiłam Dillona, żeby się dołączył. Otworzyłam usta, żeby się wytłumaczyć, ale zamknęłam je szybko, kiedy Neria odezwała się:

- Będziemy na łące po zachodniej stronie wodospadów.

No po prostu świetnie. Dzięki, Neria. Dillon rzucił mi spojrzenie kątem oka.

— A ja myślałem... — Nie skończył, za to popatrzył na mnie, jakbym mu właśnie wbiła nóż w plecy. - Naprawdę? To bardzo ciekawe. - Odwrócił się z powrotem do Nerii. - Jasne, będę tam.

— Tak właściwie — odezwał się nagle Ethan — była zmiana planów.

— Ale... — zaczęła Neria i od razu urwała. — A, no tak, prawda.

— Będziemy dzisiaj trenować w siedzibie Arkariana. Ogarnęła mnie fala ulgi, ale starałam się, żeby nie

było tego po mnie widać. Przynajmniej nie wyszło na to, że łągałam jak z nut, żeby tylko pozbyć się Dillona. Lady Arabella najwyraźniej mu ufała, a to powinno mi wystarczać.

Dillon odgrywał rolę skrzywdzonego niewiniątka. W jakiś pokręcony sposób było to urocze. Jego żartobliwy ton rozbawił Nerię. W końcu przypomniał sobie, że zaraz ucieknie mu autobus, i pożegnał się. Po raz pierwszy tego dnia odetchnęłam spokojnie.

— Samochód na ciebie czeka — powiedział Ethan, kiedy odprowadzaliśmy Nerię na parking.

— Spotkamy się za pół godziny - rzuciła, wsiadając na tylne siedzenie czarnego mercedesa i witając się z psami.

Kiedy samochód odjechał, mruknęłam cicho:

— Dzięki za pomoc.

Ethan nie spuszczał oczu z wyjeżdżającej przez szkolną bramę limuzyny.

— Za co?

Na moment zapomniałam, że Dillon i Ethan się przyjaźnili - chyba od przedszkola, jeśli nie dłużej. Wzruszyłam ramionami.

— Dillon potrafi okropnie człowieka rozpraszać. Nie chciałam, żeby obserwował wasz trening. Wolałabym, żeby go tam nie było.

Spojrzał na mnie, a zmarszczka między jego brwiami pogłębiła się.

— Myślałem, że lubisz jego towarzystwo. To nie dlatego zapraszasz go tak często do nas?

Nie mogłam uwierzyć w to, co powiedział!

— Nigdy go nie zapraszałam, jasne?

— jasne, ale...

— Ale co? - zapytałam, bo urwał myśl.

— Widziałem was, jak chodzicie razem po szkole, trzymacie się ze sobą na przerwach i podczas lunchu. Sprawiałaś wrażenie — na moment odwrócił wzrok -jakbyś lubiła jego towarzystwo.

Zaniemówiłam. Nie mógł się bardziej mylić.

— Mamy część zajęć razem, to wszystko. - Naprawdę chciałam w tym momencie poznać myśli Ethana, ale nie odważyłam się próbować, a on, cóż, nie wysyłał ich. Starał się je osłaniać ze wszystkich sił.

Nagle przeczesał dłonią włosy i zaczął się zbierać do odejścia.

— Lepiej już ruszajmy. Neria jest tak pilna, że na pewno nie spóźni się nawet minuty. Nie chcemy chyba, żeby sterczała sama, czekając na nas.

Wątpiłam, by coś takiego się stało. Jej szofer, William, był profesjonalnym ochroniarzem. Mało prawdopodobne, żeby zostawił ją samą na odludnej górze w środku parku narodowego. Ale ruszyłam za Ethanem i próbowałam nie myśleć o jego dziwnym zachowaniu.

Wyszliśmy ze szkoły przez tylną bramę, szybko kierując się do ukrytej siedziby Arkariana.

Sprawnie przedzieraliśmy się pomiędzy eukaliptusami różnych gatunków, które dominowały w tej części lasu. Zrobiło się ciemniej, kiedy weszliśmy w gąszcz.

Nagły ruch po prawej stronie przykuł moją uwagę. Przystanęłam, żeby posłuchać.

- Co się dzieje? - Ethan podszedł do mnie.

- Nie wiem. - Wskazałam niewielki strumyk płynący wzdłuż grobli. - Coś słyszałam.

Kiedy wpatrywaliśmy się w ciekącą wodę, podobny dźwięk za nami sprawił, że obróciliśmy się w miejscu.

- Patrz! - Dostrzegłam czworonogie stworzenie przemykające między drzewami przed nami. - To chyba to samo zwierzę, które widziałam w ogrodzie Nerii.

- Sprawdźmy to - rzucił Ethan. Ruszyliśmy za nim. Biegliśmy przez las, zrywając pnącza i przedzierając się przez krzaki, przeskakując nad zwalonymi pniami i starając się nie poślizgnąć na mokrych liściach, mchu i ściółce.

- Tam jest! - Ethan przeskoczył przez leżące drzewo. - To jest pies, dog niemiecki.

Biegliśmy coraz głębiej w las, ale zwierzę cały czas utrzymywało dystans. Znaleźliśmy się na szczycie wzniesienia i zatrzymaliśmy się, zdyszani. Zobaczyliśmy, że złocisty pies ogląda się na nas. Jego oczy sprawiły, że przeszły mnie ciarki. Zupełnie jakby chciał nam coś przekazać. Albo... jakby się z nas śmiał.

W tym momencie zrozumiałam, co miał zrobić — odciągnąć nas w głąb lasu, trzymając się na dostateczny dystans, żebyśmy nie zrezygnowali z pościgu.

— Szlag - odezwał się Ethan. - Widziałem już tego psa. Należy do sfory Lathenii.

— Miał nas odciągnąć.

Popatrzyliśmy na siebie, a jego myśli zderzyły się z moimi.

— Neria!

Pobiegliśmy z powrotem, jakby ziemia parzyła nas w stopy, szarpiąc zarośla, które zagradzały nam drogę, przełaząc przez kłody drewna, pnie drzew i wijące się strumyki. Neria miała kłopoty: czułam to w każdej swojej kości.

W końcu wydostaliśmy się z lasu i skierowaliśmy się wprost na górę. Dotarliśmy do tajnego wejścia do siedziby Arkariana. Pojawił się przed nami, wyraźnie zaniepokojony.

— Dobrze, że jesteście.

— Gdzie Neria? - zapytał Ethan.

— Nadal w domu. Mają tam kłopoty, potrzebują naszej pomocy. Ethanie, użyjemy naszych skrzydeł. Rochelle,

postaraj się tam dotrzeć tak szybko, jak możesz. Jimmy, Dillon i Isabel są już w drodze. Wszystko jasne?

- Czekał - odezwał się Ethan. - Nie użyję skrzydeł.

- Ethanie, tak będzie najszybciej. Nie masz już chyba z nimi problemów?

- Nie. Ale widzieliśmy w lesie jednego z psów Lathenii. Nie zamierzam zostawiać Rochelle samej, kiedy ta bestia kręci się w pobliżu.

- Nie potrzebuję twojej ochrony! - odparłam i dodałam: - Znam skrót, nie zajmie mi to dużo czasu.

- Gdzie jest ten skrót?

- To stara przecinka biegnąca wzdłuż Devil's Ridge. Dochodzi od zachodniej strony do posiadłości Nerii.

- Jasne - odparł sarkastycznie. - Wiem, o czym mówisz. Biegnie przez środek najgęstszej lasu. - To zabrzmiało tak, jakby istnienie skrótu dowodziło słuszności jego postanowienia.

Arkarian popatrzył na mnie, a potem na Ethana, ale nic nie powiedział.

Spróbowałam uciąć tę absurdalną dyskusję.

- Tracimy czas na kłótnie, a ty i Arkarian powinniście już być tam na miejscu.

- Nie zostawię cię - powiedział z uporem Ethan. Przez moment pomyślałam, że robi to, ponieważ, no... może on jednak...

Ale wtedy dodał:

- Ten pies próbował poprowadzić nas do lasu, żeby przeszkodzić nam w dotarciu tutaj, albo też dlatego,

że Lathenia miała jakiś plan. Nie wiem. Ale wiem, że od kiedy zmieniłaś stronę, Lathenia marzy, żeby cię dorwać. Tak samo Marduk. Prawdopodobnie najpierw by cię torturowali. - Wzruszył lekceważąco ramionami. - Jeśli pójdziesz sama, staniesz się łatwym celem. Straż nie może sobie teraz pozwolić na utratę żadnego członka, sytuacja i tak jest krytyczna.

— Masz rację, Ethanie - przyznał Arkarian. — Postarajcie się dotrzeć tam tak szybko, jak tylko możecie. I uważajcie na siebie.

Wypowiedziawszy te słowa, Arkarian użył skrzydeł i zniknął. Zostałam sama z Ethanem. Otrząsnęłam się z buzujących w moim sercu emocji i ruszyłam w kierunku lasu. Ethan zrównał się ze mną i przyspieszyliśmy kroku. Oboje mieliśmy niezłą kondycję - to była część naszej pracy — dlatego w tym tempie droga nie powinna zająć nam dużo czasu. Na razie nie było ani śladu po tym dogu, o którym Ethan twierdził, że jest jednym z psów Lathenii. Chociaż byłam w służbie Zakonu Chaosu, pracowałam wyłącznie dla Mardu-ka i rzadko widywałam Boginię. Mimo to słyszałam o jej siedmiu psach, chociaż myślałam, że są pogrążone w wiecznym śnie. Między żołnierzami krążyła opowieść o tym, że był to niegdyś miot złożony z dziewięciu szczeniąt, należących do młodszego brata Lathenii, Dartemisa. Były mu bezgranicznie oddane. A potem pewnego dnia Dartemis został zamordowany, a dwa najstarsze szczeniaki zniknęły z powierzchni ziemi, czy

gdzie tam mieszkali wtedy nieśmiertelni. Lathenia wychowała pozostałą siódmkę.

Przypominając sobie tę historię, nie zwróciłam uwagi na pierwsze oznaki nadciągającego niebezpieczeństwa. Zauważył je idący tuż przede mną Ethan. Zatrzymał się i uniósł rękę. Podeszłam do niego.

- Co jest?

Nie zdążył odpowiedzieć. Nieoczekiwanie z koron drzew sfrunął na nas z tuzin wielkich, przeraźliwie skrzeczących ptaków. Było w nich coś upiornego, co przyprawiało mnie o gęsią skórę - szczególnie ich oczy. Nie przypominały w ogóle zwykłych ptasich oczu, bardziej ludzkie, a wyraźne łuki brwiowe nadawały im jeszcze większe podobieństwo do człowieka.

Ethan złapał mnie za rękę.

- Znam te ptaki. Kryj się!

Znaleźliśmy zwalony pień, ale okazał się marnym schronieniem. Ethan zamknął oczy, prawdopodobnie szykując się do stworzenia iluzji, która mogłaby nas uchronić przed atakiem, ale ptaki zbliżały się zbyt szybko. Miały ostre dzioby - dostatecznie ostre, żeby bez najmniejszego trudu przebić się przez mój czarny wełniany płaszcz.

- Nawet tego nie próbuj! - wrzasnęłam, kiedy kilka z nich chciało mi się dobrać do oczu. Schyliłam głowę, zdarłam rękawiczki i chwyciłam jednego z ptaków za gardło. Moje dłonie niemal skwierczały od buzującej w nich energii. Ptak zaskrzeczał i spadł na zie-

mię. Sprawiał wrażenie martwego, ale nie byłam tego pewna.

Ethan spojrział na mnie i skinął mi głową.

- Dobra robota. Możesz spróbować utrzymać je z dala ode mnie przez kilka sekund? To wszystko, czego mi potrzeba.

Opadł na ziemię, a ja uderzałam jednego ptaka za drugim, w miarę jak sfruwały w dół, żeby nas zaatakować. To była ciężka praca, ponieważ moje uderzenia ogłuszały je tylko na kilka sekund, po których stwory znów wracały do walki. Nie poruszał się tylko ten, któremu zacisnęłam dłoń na gardle.

- Czy nie da się ich pokonać? - zapytałam.

- Przypomnij sobie, co mówił Arkarian: są już martwe i nie mogą zginąć z rąk człowieka.

Moje spojrzenie pobiegło do nieruchomego ptaka ze śladami oparzenia na szyi. Najwyraźniej moje dłonie nie były już zwykłymi dłońmi. Ale jeśli Ethan miał rację, jak mieliśmy się od nich uwolnić? Jeden z nich nieoczekiwanie zatopił szpony w kołnierzu mojego płaszcza i zaczął dziobać odsłoniętą skórę na karku. Zabolało — musiał mnie głęboko zranić. Po plecach pociekło mi coś ciepłego i lepkiego.

- Pospiesz się, nie utrzymam ich długo!

Kolejne wściekłe wrzaski przesyły powietrze. Następny tuzin ptaków sfruwał z drzewa. Teraz było ich tak wiele, że nie mieliśmy szans przed nimi uciec. Ethan zaczął się podnosić.

- Nie ruszaj się - powiedziałam mu. - Jest ich więcej.

Ale mimo to wstał, a ja w tym momencie uświadomiłam sobie, że drugie stado ptaków jest dziełem Ethana. Zaczęły atakować swoich pobratymców.

Ethan, zadowolony z działania swojej iluzji, pociągnął mnie za rękę.

- Chodźmy!

Ruszyliśmy biegiem, a skrzeczenie ptaków niebawem ucichło w oddali. -Jak długo będzie działać twoja iluzja?

- Dostatecznie długo, jeśli się pospieszymy.

Ja jednak nie byłam pewna, ile czasu zdołam utrzymać takie tempo. Ten ptak, który dziobnął mnie w szyję, musiał mnie głęboko zranić. Moje plecy były mokre od krwi, z każdą sekundą czułam się słabsza. Gdybym tylko mogła zatamować krwotok... Ale moje serce waliło mocno, a to na pewno nie pomagało.

Biegliśmy, aż w końcu zobaczyliśmy wysoki ceglany mur wokół fortecy Nerii. Oparłam się o niego i spróbowałam złapać oddech. Ethan to zauważył.

- Wszystko w porządku? Jesteś blada jak ściana.

- Nic mi nie jest, ruszaj dalej. Jesteś tam potrzebny. -Ty też jesteś potrzebna. Jesteś pewna, że wszystko

OK?

-Tak, leć już. Dogonię cię. Muszę tylko chwilę odsapnąć.

Zawahał się, więc machnęłam ręką, żeby już szedł. Nie ruszył się z miejsca. Nagle zauważyłam, że ktoś bie-

gnie w naszą stronę, ale zaczęło mi się ćmić w oczach i trudno mi było stwierdzić, kto to właściwie jest. Teraz Isabel była tuż koło nas, objęła mnie ramionami i pociągnęła na ziemię.

- Gdzie została ranna? — wrzasnęła na całe gardło. - Gdzie, Ethanie? Powiedz!

- Ja... nie wiem. Nie wiedziałem, że jest ranna.

- Moja szyja - wyszeptałam. Isabel odsunęła kołnierz.

- Boże, popatrz tylko!

- Co się dzieje? - Ethan podszedł bliżej. — Czy to poważne?

- Cicho, daj mi pracować.

Przez następne kilka minut panowała cisza, a ja miałam dziwne wrażenie ingerencji w moje ciało. Ale ta ingerencja była delikatna i subtelna. Bardzo szybko poczułam, że odzyskuję siły a mój wzrok z powrotem się wyostrzył. Zobaczyłam, że zaszokowany Ethan gapi się na mnie, ale nie miał szans się zorientować, że coś było ze mną nie tak. Nie mam zwyczaju krzyczeć z bólu. Nigdy nie miałam.

Isabel pomogła mi wstać.

-Jak się czujesz?

To zdumiewające, ale czułam się dobrze.

- Dziękuję. Uśmiechnęła się.

- Lepiej się pospieszmy. Arkarian, Dillon i Jimmy starają się bronić domu, ale tam panuje prawdziwe piekło.

Rozdział 13

Matt

Gościłem tu już od siedmiu dni i siedmiu nocy, a jedyną rzeczą, jaką ćwiczyłem, była medytacja.

- Musisz dotrzeć do pewnego miejsca w swojej duszy - wyjaśnił Dartemis, siedzący na sofie naprzeciwko mnie. - Będzie to możliwe, tylko jeżeli staniesz się całkowicie nieruchomy, całkowicie pusty, a dojść do tego musisz bez żadnego wysiłku.

Słyszając to, nie mogłem się powstrzymać, żeby nie potrząsnąć głową.

- Próbowałem. To bez sensu.

- Mogę cię przenieść na ten poziom, Matthew, a wtedy moglibyśmy zacząć trening, ale jeśli sam do tego nie dojdiesz, nie nauczysz się niczego. A teraz zamknij oczy.

Zrobiłem, jak polecił, ale naprawdę nie miałem pojęcia, jak to mogłoby się udać - to znaczy nauka, czyli przyczyna, dla której się tu znalazłem. Skoro nie potrafię się odprężyć i zamknąć umysłu na wszystkie kłębiące się w nim myśli, jaki to miało sens?

- Zamknij oczy, Matthew.

I jeszcze to. Dlaczego on mnie nazywa Matthew? Nie przypominam sobie, żeby ktokolwiek inny używał mojego pełnego imienia.

- Ponieważ nazwałem cię Matthew. Otworzyłem gwałtownie oczy.

— Byłeś przy moich narodzinach? Początkowo nie odpowiadał.

— Sprawy dotyczące twojego poczęcia, a później narodzin, są skomplikowane. W obecnym... stanie umysłu, pełnego wątpliwości, nie zrozumiałbyś tego ani nie uwierzył mi, a ja traciłbym cenny czas, który można poświęcić na naukę.

— Ale mam prawo wiedzieć!

Pochylił się do przodu, oparł łokcie na kolanach, a jego szerokie, owalne oczy przymknęły się w zamyśleniu.

- Zaistniała konieczność stworzenia nieśmiertelnego. Wcześniejsza próba mojego brata nie powiodła się, zatem zdecydowano, że ja spróbuję, chociaż oznaczało to opuszczenie na możliwie krótką chwilę tego miejsca. Przybrałem postać śmiertelnego mężczyzny i wędrowałem po Ziemi jako wolny człowiek. Niedługo

potem spotkałem twoją matkę, oboje poczuliśmy niemal magnetyczne przyciąganie. Kiedy zaczęła się spodziewać dziecka, musiałem odejść. To nie była łatwa decyzja, ale ryzyko wiążące się z pozostaniem na Ziemi było zbyt wielkie. Lathenia zaczęła wyczuwać obecność innego nieśmiertelnego. W obawie, że dowie się o moim istnieniu, musiałem usunąć wszelkie wspomnienia o naszym związku z pamięci twojej matki. Dopilnowałem tylko, żeby pamiętała twoje imię.

Nie mogłem uwierzyć w to, co powiedział.

- Wykorzystałeś ją!

- Wybrałem ją i kochałem. A ona kochała mnie. Nigdy nie wolno ci w to wątpić, Matthew.

Wpatrywałem się w niego, a on odezwał się łagodniej:

- Pewnego dnia zamieszka tu ze mną.

- Ale to niemożliwe. - Nie powiedziałem głośno, że musiałyby najpierw umrzeć. - Moja matka... kocha mężczyznę, który mieszka z nami.

Uśmiechnął się, a cała jego twarz zmieniła się, jakby rozjaśniło ją wewnętrzne światło. To był tajemniczy uśmiech, mówiący, że nie chce dzielić ze mną dalszych sekretów. Oczywiście czytał na bieżąco w moich myślach. Westchnął dramatycznie, jakby musiał ustąpić wbrew swej woli.

- obrońca - wyjaśnił.

- Coś ty powiedział?

- Jimmy jest obrońcą mojej rodziny na Ziemi.

— Serio? No a co z tym facetem, który był przed Jim-mym, ojcem Isabel? Czy on też był jednym z twoich obrońców?

— Nie. A teraz zamknij oczy, Matthew.

— Czeka! Mam jeszcze kilka pytań.

Na ułamek sekundy zamknął oczy, jakby zbierał cierpliwość.

— Słucham.

— Jeśli jesteś moim ojcem, to dlaczego nie wyglądam tak jak ty? Masz jakby półprzejrzystą skórę, a twoje oczy są... no, inne. I jesteś strasznie wysoki. To znaczy o wiele wyższy od zwykłego człowieka.

Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

— Na szczęście wdałeś się w matkę - odparł. Następnie dodał: - Poza tym kto powiedział, że już przestałeś rosnać?

Sama myśl o tym sprawiła, że zrobiło mi się słabo.

— Nie obraż się, Dartemisie, ale nie chciałbym nigdy być tak wysoki, jak ty.

— Nigdy to bardzo długo — odparł tajemniczo. — Zobaczymy.

— To brzmi, jakbym miał żyć naprawdę bardzo długo. Uniósł brwi.

— Jesteś nieśmiertelny. To chyba wszystko tłumaczy?

— Nie. Nie rozumiem. Jeśli zatnę się w rękę, krwawię.

- Tak, ale twoje ciało naprawia się samo. Im poważniejsza rana, tym szybciej zostaje uleczona.

Skinąłem głową, przypominając sobie niedawne przejścia z kilkoma łaskami dynamitu.

- No dobra, czyli będę żył naprawdę długo. Cóż, to tak samo jak Isabel i Arkarian. Nie będzie tak źle.

- Isabel i Arkarian przeżyją jedynie drobny ułamek twojego życia.

- Hmm, w takim razie będę bardzo samotny, prawda? Popatrzyłem na niego smutno.

Przekrzywił głowę łagodnie i z czułością.

- Za jakiego ojca mnie bierzesz? Teraz zyskał moją niepodzielną uwagę.

- O czym ty mówisz?

- Zanim stąd odejdziesz, zamierzam ofiarować ci pewien dar. Bardzo szczególny dar, który musisz przekazać jednej wybranej osobie.

-To niesamowita odpowiedzialność! Skąd będę wiedział, że wybrałem właściwie?

Jego oczy zalśniły jak ogień. Wstał, a chociaż nie powiedział ani słowa, czułem jego gniew przenikający każdą komórkę mojego ciała. Wpatrywał się we mnie, a ja próbowałem zrozumieć, co go tak nagle zirytowało. Czy uważał, że nie wiem niczego o odpowiedzialności? Byłem odpowiedzialny za moją siostrę, odkąd jej ojciec zniknął z naszego życia. A do czasu pojawienia się Jimmy'ego opiekowałem się też moją matką!

Patrzyliśmy na siebie przez dłuższy czas, ale prędzej by mnie szlag trafił, niż odwróciłbym wzrok jako pierwszy.

Po chwili Darremis skinął głową, a jego ciało rozluźniło się.

- Będiesz wiedział, Matthew. Poznasz ją, zaglądając w jej umysł. — Usiadł z powrotem i dodał: - A kiedy przekażesz jej mój dar, pamiętaj, żeby nie wspomnieć mojego imienia. A teraz zamknij oczy. Mamy jeszcze mnóstwo pracy.

Odetchnąłem głęboko i postarałem się wykonać polecenie, ale w tym momencie w mojej głowie krążyło tak wiele myśli, że nie było mowy, żebym się odprężył. Darremis westchnął cicho, ale jego głos był raczej uspokajający niż gniewny.

- Pokażę ci, jak tworzyć magię - powiedział. — Oczywiście magia, o której mówię, jest tylko prostym przedłużeniem twoich mocy. Będiesz jej używać jako narzędzia, a czasem także jako broni. Musisz się nauczyć magii, Matthew, ponieważ nie zdołasz zmienić tego, czego nie rozumiesz. Podczas twojego pobytu tutaj pokażę ci wiele rzeczy.

W jego głosie pojawił się ciepły ton, którego przyjemnie było słuchać.

- Nauczysz się władać żywiołami. *O czym on mówi?*

- Nauczysz się poruszać wiatrami i wodami Ziemi, tworzyć i tłumić ogień, rzeźbić góry, doliny i rzeki. Nauczysz się też porozumiewać ze zwierzętami i przybierać kształt dowolnego spośród nich.

Czyja go dobrze słyszę?

- Ale nie będziesz władać naturą dzięki magicznym zaklęciom i eliksirom, Matthew. Będziesz to robić za pomocą zaledwie jednej myśli, zrodzonej w twoim sercu. Jednej myśli.

Jednej myśli?

- Staniesz się niewidzialny, jeśli będziesz tego potrzebował, i będziesz mógł okrywać niewidzialnością swoich towarzyszy.

Trudno było uwierzyć w jego słowa, ale jednocześnie miały one dziwnie hipnotyzujące działanie. W końcu uderzenia mojego serca zaczęły zwalniać, oddychałem łagodnie i bez wysiłku. Wreszcie poddałem się niesamowitej senności, ogarniającej stopniowo wszystkie mięśnie mojego ciała.

Miałem wrażenie, że Dartemis przemawia do mnie z olbrzymiej odległości. Jego słowa cicho i powoli przepływały przez coraz większą pustkę. Mówił o życiu i ogromie mojej władzy nad żyjącymi.

Przez dłuższą chwilę nie byłem świadomy otoczenia, tego, kim lub czym jestem, co robię, czy jestem głodny, zmęczony lub zmarznięty, czy jest noc, czy dzień, a nawet czy jeszcze oddycham. Nie czułem nic oprócz tego, że dryfuję, moje ciało jest nieważkie, a mój umysł pusty. Czas, który upłynął, można było mierzyć w minutach, godzinach lub dniach.

W końcu uświadomiłem sobie, że w dole coś się dzieje. Dotarł do mnie głos. Mężczyzny, ale nie Dartemisa.

- Proszę o wybaczenie, ale muszę wam przeszkodzić, panie. - Pomału rozpoznałem, że ten głos należy do Janaha. Brzmiał w nim niepokój, a ja zacząłem odzyskiwać świadomość. - Mam bardzo złe wieści.

Uczucie dryfowania zaczęło znikać.

- Powoli, Matthew - ostrzegł mnie Dartemis.

Ale to wszystko było dla mnie całkiem nowe. Otworzyłem oczy i przekonałem się, że nie miałem wrażenia, iż dryfuję - naprawdę unosiłem się w powietrzu! Prawie pod sufitem!

Ale to się właśnie skończyło.

Zacząłem spadać i rąbnąłem o posadzkę z głośnym łupnięciem.

Dartemis mrugnął i przeniósł swoją uwagę na Janaha.

- Jakie wieści?

- Twoja siostra wkroczyła do międzyświata i zniszczyła biały most.

Pozbierałem się z podłogi i podbiegłem do nich.

- Co to znaczy?

Dartemis popatrzył na mnie, marszcząc brwi.

- To znaczy, że zagubione dusze nie dotrą nigdy do prawdziwego miejsca swego przeznaczenia. Mów dalej, Janahu.

- Panie, Lathenia otworzyła szczelinę, tunel pomiędzy światami. Tam, gdzie niegdyś znajdował się biały most, teraz jest przejście łączące międzyświat i świat podziemny.

Dartemis wyszeptał, jakby do siebie:

- A więc teraz moja siostra włada duszami zagubionych, a także potępionych. - Popatrzył na mnie. -Matthew, odtąd będziesz trenować dzień i noc, dopóki nie będę z ciebie zadowolony. Rozumiesz?

Nie można było nie dostrzec powagi w jego głosie. Po moim ciele przebiegł dreszcz, skinąłem głową.

- Dobrze, a zatem zaczynamy. Zostaw nas, Janahu.

- Ale panie... - zaczął i zawahał się. - Mam jeszcze inne wieści.

Dartemis znowu zmarszczył brwi i jęknął, jakby musiał się poddać.

- Mów.

- Marduk szturmuje fortecę.

- Jaką fortecę? - zapytałem, czując nagły przyływ mdłości. Nie wiedziałem, czy były spowodowane niedawną lewitacją, czy też słowami Janaha.

- Fortecę Nerii - odparł. - Miejsce, w którym mieszka wraz ze swoją matką pod ochroną Straży.

- Co takiego?! - krzyknąłem.

Dartemis położył mi rękę na ramieniu. Popatrzyłem w jego jaśniejącą blaskiem twarz. Złote oczy raz jeszcze zabłyśły ogniem.

- Matthew - powiedział - musimy się pospieszyć.

Rozdział 14

Rochelle

Cała nasza trójka stała przed bramą fortecy Nerii. W ochronnej barierze otwarło się niestabilne przejście, a potem zamknęło za nami ze znajomym młaśnięciem. Serce biło mi mocno na myśl o niebezpieczeństwie, chociaż nie wiedziałam, czego się spodziewać. Widziałam ten ogród tylko w nocy. Wtedy wydawał się niesamowity, ale teraz był jeszcze bardziej upiorny, pełen poruszających się cieni.

Nagły trzask u góry sprawił, że podniosłam wzrok na kopułę i w tym momencie zrozumiałam, skąd się bierze ten dziwny i niesamowity półmrok.

— Patrzcie tylko.

- Co do diabła...? - Ethan także dostrzegł, co się dzieje nad naszymi głowami.

Bariera ochronna była pokryta setkami ptaków - takich samych jak te, które zaatakowały Ethana i mnie w lesie. Siedziały na całej kopule, sprawiając, że jej kontury stały się widoczne. Kłuły ją ostrymi dziobami i tłukły się o nią, albo też szarpały ją szponami.

- Już prawie się przedarły - odezwała się Isabel.

Kolejny trzask, a potem jeszcze jeden, trochę dalej. Skrzeczenie i wrzaski stały się głośniejsze. Poczułam ogarniający mnie strach.

- Ile wytrzyma bariera? Isabel ruszyła naprzód.

- Arkarian uważa, że już niedługo. Musimy się dostać do domu, bo kiedy pęknie, Marduk będzie mógł tu wejść.

Marduk? I te ptaki? Cholera!

Dziwny, trzeszczący dźwięk, jakby rozgniatanych skorupki jaj, szybko przemienił się w jednostajny grzmot.

- Biegiem! — wrzasnął Ethan.

Pobiegliśmy ile sił w nogach do bezpiecznego schronienia w domu Nerii. Ale droga do niego była daleka. Ptaki - początkowo kilka, potem dziesiątki jednocześnie - zaczęły się wlewać przez coraz szerszy otwór, aż w końcu bariera całkowicie ustąpiła. Roztrzaskała się, zasypując nas deszczem odłamków.

- Ta bariera jest zrobiona z kryształu! - krzyknął Ethan i wpadł na jakiś pomysł. - Daj mi swój płaszcz, Rochelle.

Nie byłam pewna, co Ethan zamierza zrobić, ale mimo wszystko zsunęłam płaszcz. Narzucił go na nasze głowy, chroniąc nas przez odłamkami kryształu. Jednakże płaszcz nie stanowił przeszkody dla ptaków. Spadały na nas, walcząc między sobą, żeby się do nas dostać.

Obok pojawili się Arkarian i Dillon, zrzucając ptaki z naszych głów i pleców i walcząc z nimi gołymi rękami. Także psy Nerii, w postaci śnieżnych lampartów, przygalopowały od strony podjazdu. Stanowiły wspaniały widok, były pełne wdzięku i ukrytej siły. Skakały wysoko, a ptaki, które zdołały pochwycić, spadały na ziemię i pozostawały nieruchome.

Dotarliśmy do drzwi frontowych, gdzie Neria i jej matka walczyły z ptaszyskami, próbując zrobić nam przejście. W końcu drzwi się zamknęły, a śnieżne lamparty zmieniły się z powrotem w psy. Ale skrzeczenie na zewnątrz nie cichło. Ptaki tłukły się ciałami i skrzydłami o ściany, okna i dach. Hałas był ogłuszający. Aysher i Silos drapały drzwi, ale Neria przywołała je do siebie, więc natychmiast usiadły spokojnie koło niej.

Arkarian rozejrzał się i zauważył jednego z ochroniarzy.

- Jakież wieści od Jimmy'ego?

- Już prawie skończył - odparł ochroniarz. Niemal dokładnie w tym momencie cała zewnętrzna powierzchnia domu, w tym ściany, okna i dach, zaczęła brzęczeć i świecić słabym blaskiem. Ptaki zaskrze-

czały i odleciały jak oparzone, a potem wróciły, po to tylko, żeby dalej skrzeczeć z tak ogłuszającą wściekłością, że musieliśmy zatkać uszy. W końcu odfrunęły znad domu i usiadły na gałęziach drzew w ogrodzie.

Jimmy wbiegł do pokoju i skierował się prosto do okna. Było zabite deskami, ale przez szczelinę zobaczył, co robią ptaki. Odwrócił się do nas z uśmiechem.

- Podziałało.

Arkarian poklepał go po plecach.

- Na razie wyrok został odroczoney. - Odwrócił się do mnie i Ethana. - Cieszę się, że dotarliście tutaj szczęśliwie. Nie mieliście problemów z psem Lathenii?

Ethan potrząsnął głową i wskazał okno.

- Nie, ale mieliśmy problemy z tymi ptakami.

- Czy któreś z was zostało ranne?

Ethan rzucił na mnie spojrzenie kątem oka, ale nic nie powiedział. Z całej siły starałam się nie pochwycić jego myśli. Nie chciałam wiedzieć, co mu chodzi po głowie. Mógł nie być dostatecznie biegły, żeby osłaniać myśli przez cały czas, ale na pewno wiedział, kiedy je czytałam. To tylko by sprawiło, że bardziej mnie znienawidzi. A teraz, kiedy odzyskałam kontrolę nad darem myślowidzenia, mogłam spokojnie trzymać się z dala od jego głowy. Arkarian nadal czekał na odpowiedź.

- Nic nam nie jest.

-To dobrze. Teraz musimy działać szybko, żeby zabrać Nerię i Aneliese w bezpieczne miejsce.

- Jaki mamy plan? - zapytał Ethan.

- Mogę przenieść Nerię do Cytadeli - wyjaśnił Arkarian i zwrócił się bezpośrednio do Nerii: - Będiesz tam bezpieczna, dopóki nie zdecydujemy, gdzie powinnaś zamieszkać. Ale... - urwał i rzucił spojrzenie matce Nerii. — Nie mogę tam zabrać Aneliese. Tylko ludzie z mocami Strażników są zdolni wytrzymać w beczasowym wymiarze.

Aneliese dotknęła ramienia córki.

- Musisz się tam przenieść, kochanie.

Neria spojrzała na matkę z rozpaczą w oczach.

- Nie zamierzam cię zostawiać! Poza tym chcę zostać. Chcę pomóc.

- Twój trening dopiero się zaczął - przypomniał jej Arkarian. — Twoje moce są ograniczone.

- Jestem przygotowana i odpowiedzialna, Arkarianie. Mogę pomagać na wiele sposobów. Nie pozwolę, żeby Marduk skrzywdził moją matkę!

- Nie wątpię w twój talent, Nerio - powiedział łagodnie Arkarian. - Ale czasem musisz zaufać innym. To właśnie zawsze robimy w Straży i o to właśnie proszę cię teraz. Ufasz mi, prawda?

- Oczywiście! Wiem, że zrobisz, co w twojej mocy, żeby chronić nas obie, ale jeśli sytuacja stanie się beznadziejna...

Przygryzła dolną wargę, jakby chciała powstrzymać resztę zdania od wydostania się z jej ust. Spróbowała odczytać jej myśli - nic. Ale było oczywiste, że ma jakiś plan.

- Marduk chce skrzywdzić także ciebie - przypomniał jej Arkarian.

- Nie sędzę, by to zrobił.

- Skąd masz taką pewność?

- Jestem jego córką, kocha mnie!

Wszyscy znieruchomieli, widząc ten wybuch emocji Nerii. Aneliese chwyciła ją za ramię, wiedząc, podobnie jak reszta z nas, że w życiu tej dziewczyny dzieje się więcej, niż nam o tym mówi.

- Powiedziałaś nam, że nie widziałaś Marduka od dnia jego walki z Shaunem - odezwał się Arkarian.

- Czasem się do mnie odzywa - wyjaśniła w końcu z wahaniem.

Oczy Aneliese rozszerzyły się, potrząsnęła głową. Zanim posypały się pytania, Neria szybko dodała:

- Ale tylko w moich snach. Odzywa się do mnie w moich snach.

- Słuchaj, ja znam Marduka - spróbowałam jej wytłumaczyć. -Wiem, jak on działa.

Przerwał mi Dillon.

- No, ja też! To psychol, który nie cofnie się przed niczym, żeby zaspokoić swoją żądzę zemsty.

Słowa Dillona tylko ją utwierdziły w jej przekonaniu.

-Właśnie! Chce się zemścić na mamie. Zabije ją!

- Słuchaj, Nerio - zaczęłam wyjaśniać, ale Dillon znowu mi przerwał.

Tym razem Arkarian powstrzymał go, wyciągając rękę.

- Mów, Rochelle.

- Byłam bliską współpracownicą Marduka. On potrafi być niezwykle przekonujący. Wiele razy uległam jego darowi perswazji. Przekonał mnie, że ze względu na moje pochodzenie stanowią część Zakonu, a moja dusza należy do Bogini. Kiedy na niego patrzyłam, widziałam mojego ojca. Czasem nawet widziałam twarz mojego ojca, uśmiechającego się do mnie tak, jak zawsze tego pragnęłam. A kiedy Marduk mnie chwalił, to było tak, jakby to robił mój tata.

Byłam świadoma, że poza pojedynczymi wrzaskami ptaków na zewnątrz zapadła kompletna cisza, a oczy wszystkich były wlepione we mnie. Nie cierpiałam myśli o tym, że muszę się tak przed nimi otwierać, ale Neria planowała coś niebezpiecznego, a ja musiałam ją powstrzymać.

- Musisz zrozumieć, że kiedy Marduk przychodził do ciebie w snach, starał się manipulować twoimi uczuciami, tak jak dawniej moimi. Jest podwładnym Bogini, zwierzchnikiem jej sił zbrojnych, a do czasu swej pamiętnej podróży do międzyświata był także jej kochankiem. Nie zawaha się przed wypełnieniem dowolnego jej rozkazu. Uwierz mi, jego oddanie wobec Lathenii jest silniejsze niż miłość do ciebie.

Dillon prychnął głośno.

- Miłość! Ten potwór nie wiedziałby nawet, co znaczy to słowo.

Ale Dillon nie znał Marduka tak dobrze, jak ja. Jego oddanie i jego namiętności były bardzo silne. Zawsze

wkładał całe serce w to, co robił - zarówno w miłość, jak i w służbę Bogini. I oczekiwał tego samego w zamian. Głęboko przeżywał porażki, a w swoim długim życiu wiele już stracił.

- Myślę, że zna miłość aż za dobrze.

W sposobie, w jaki wypowiedziałam te słowa, musiało być coś, co spowodowało nagłe zagęszczenie atmosfery w pokoju. Nikt nie wiedział, gdzie ma podziąć oczy.

Ale nasze myśli nagle przerwała głośna eksplozja. Zakołysała domem, sprawiając, że ściany wokół nas zadrżały. Jimmy rzucił Arkarianowi torbę, z której ten ostatni wyjął czarne maski. Rzucił nam po jednej.

- Włóżcie je, żeby nie dowiedzieli się, kim jesteście. Zakrywały nam całe głowy, odsłaniając tylko oczy i usta.

- Ethan, Rochelle, zabierzcie Nerię i Aneliese do tuneli - rozkazał Arkarian. - Aneliese pokaże wam, który prowadzi do mojej siedziby. - Odwrócił się do pozostałych. - Reszta niech idzie ze mną. Musimy zatrzymać Marduka na dość długo, żeby Neria i jej matka znalazły się w bezpiecznym miejscu.

Prowadzeni przez Aneliese i dwa psy zbiegliśmy wąskimi schodami, minęliśmy drzwi i trafiliśmy na kolejne schody. Tak głęboko pod ziemią było już całkiem ciemno. Aneliese wymacała latarkę na półce po prawej stronie. Na dole były drzwi zamknięte na żelazną sztabę. Kobieta zerwała z szyi łańcuszek, na którym wisiało

kilka kluczy. Jednym z nich otworzyła kłódkę. Ethan podniósł sztabę, a drzwi otwały się ze skrzypnięciem.

Tunel był wyłożony piaskowcem i cegłami. Aysher i Silos skoczyły do przodu jak zwiadowcy, ale trzymały się w zasięgu wzroku. Nad głowami słyszeliśmy przetaczający się grzmot. To musiał być Marduk, najwidoczniej bitwa się zaczęła. Dźwięk z każdą sekundą stawał się głośniejszy. Miałam nadzieję, że zdołają go zatrzymać na tyle długo, żeby Neria i Aneliese zdążyły uciec w bezpieczne miejsce. I miałam nadzieję, że ten tunel nie jest zbyt długi. Chciałam się już wydostać na świeże powietrze i zdjąć tę maskę.

Biegliśmy i biegliśmy, prowadzeni przez psy. W końcu musieliśmy się gwałtownie zatrzymać. Tunel rozgałęział się na trzy.

Oddychaliśmy przez chwilę głęboko.

- Dokąd one prowadzą? - zapytał Ethan, kiedy patrzyliśmy na trzy oddzielne ścieżki.

- Lewy tunel biegnie aż do północnego wejścia do lasu - wyjaśniła Aneliese.

- Ale to... - zastanowiłam się szybko.

- ...daleko - dokończył Ethan. - A ten środkowy? Aneliese potrząsnęła głową.

- Kończy się ślepo prawie dokładnie na środku jeziora.

Sama myśl o tym sprawiła, że się wzdrygnęłam. Po co komu tunel kończący się pod jeziorem? Aneliese musiała dostrzec moje zdziwienie.

- Łączy się z wejściem do podziemnego miasta -wyjaśniła. - Ale nie przyda się nam. To wejście zostało zamknięte wiele lat temu.

- No a ten? - Ethan wskazał tunel po prawej.

- Właśnie tym pójdziemy. Zaprowadzi nas do siedziby Arkariana. - Zagrzechotała trzymanymi w rękę kluczami. - Jeden z nich wpuści nas do środka.

Kiedy zaglądaliśmy do tunelu prowadzącego do siedziby Arkariana, ścianami wstrząsnęła eksplozja. Zasypał nas pył, sprawiając, że zaczęliśmy kaszleć. Popatrzyliśmy na siebie niespokojnie. Co się tam działo? Powinniśmy być już dostatecznie daleko od domu, żeby nie słyszeć odgłosów walki. Nagle poczułam mdłące ukłucie w żołądku. Marduk był niezwykłym przeciwnikiem. Spotkanie z nim twarzą w twarz było czymś, czego obawiałam się najbardziej na świecie. Ale teraz rozumiałam, dlaczego Arkarian wysłał tutaj mnie i Ethana. To nasze życie było w największym niebezpieczeństwie. Ja byłam osobistym szpiegiem Marduka i zdradziłam go. A Ethan nieco ponad rok temu przebił sztyłem gardło tego złoczyńcy, co spowodowało odmianę jego wyglądu.

- Chodźmy - rzucił Ethan.

Ale kiedy tylko ruszyliśmy z miejsca, rozległa się kolejna eksplozja, tym razem bardzo blisko. Siła wybuchu rzuciła nas do tyłu, a tunel wypełnił się pyłem i gruzem, tak że trudno było cokolwiek zobaczyć i oddychać, szczególnie z pyłem osiadającym na maskach.

Aysher i Silos wspinały się na nas, ciągnąc nas za ubranie i pomagając wstać.

Kiedy pył zaczął opadać, jedna rzecz stała się jasna: nie mogliśmy skorzystać z tunelu prowadzącego do siedziby Arkariana, ponieważ przestał istnieć. Został całkowicie zatarasowany przez osuwisko z pokruszonych cegieł i ziemi.

- Świetnie - krzyknęłam, starając się strząsnąć pył pokrywający moją twarz i znaleźć trochę czystego powietrza do oddychania. - Co teraz?

Aneliese wahała się, a jej łagodne, brązowe oczy otworzyły się szeroko.

- Nie wiem. Ale nie możemy wracać do domu.

- Idźmy tunelem do lasu - zaproponowałam. - Może uda nam się przedostać do siedziby Arkariana, a w każdym razie uwolnimy się z tej śmiertelnej pułapki.

Pozostali bez dyskusji ruszyli za mną. Po chwili usłyszeliśmy za nami głośny tupot. Oparliśmy się plecami o ścianę i znieruchomieliśmy, podczas gdy odgłosy kroków zbliżały się do nas. Nagle z korytarza wyłonił się Dillon. Zauważył nas i zatrzymał się.

- Tu jesteś! - Natychmiast namierzył Nerię, podszedł prosto do niej z rozmarzonym wyrazem oczu i dotknął jej ramienia. - Strasznie się o ciebie martwiłem.

To było urocze z jego strony, ale wyraźnie zaskoczyło Nerię. Najwidoczniej nie była świadoma jego rosnącego zauroczenia. Łagodnie odsunęła się od niego.

- Co się stało z naszym domem? - zapytała Aneliese. - Czy wszystko w porządku?

Chłopak nawet jej nie usłyszał. Jego oczy - jego cała uwaga - były skupione wyłącznie na Nerii.

- Dillon? - przypomniałam mu. - Co się tam dzieje?

- Marduk i grupa jego żołnierzy rujnują dom, pokój za pokojem, szukając Aneliese.

Neria złapała matkę za ramię.

- Nie zatrzyma się, dopóki cię nie znajdzie!

- Dopilnujemy, żeby nie zbliżył się do żadnej z was -zapewnił Ethan.

- Arkarian chce, żebyście jak najszybciej dotarli do jego siedziby - dodał Dillon.

- Tunel się zawalił - wyjaśnił Ethan.

- A ten dokąd prowadzi?

- Na zewnątrz - odparłam.

- Ty go wybrałaś? Skinęłam głową.

Dillon zmarszczył brwi, ale ostatecznie się zgodził.

- No dobra, to ruszajmy.

W oddali rozległ się gwałtowny łopot skrzydeł, do którego szybko dołączyły skrzeczenia i wrzaski. Cała nasza piątka spojrzała na siebie z niepokojem. Trzepotanie i skrzeki stawały się głośniejsze, więc Ethan znowu nas pogonił.

- Wynośmy się stąd!

Ruszyliśmy biegiem, tak szybko, jak tylko mogliśmy, ale uderzenia skrzydeł i wściekłe krzyki z każdym

krokiem były coraz bliżej. Obejrzałam się i zobaczyłam, że kilka ptaków Marduka zbliża się szybko w naszym kierunku.

Ethan popchnął mnie tak, że znalazłam się przed nim.

- Nie oglądaj się!

Biegliśmy bez wytchnienia, utrzymując minimalny dystans od ptaków. Wreszcie dotarliśmy do ślepego końca tunelu. Nie mieliśmy dokąd uciekać, więc ptaki dogoniły nas i zaczęły bezlitośnie atakować dziobami i szponami. Psy znów zamieniły się w śnieżne lamparty i pomagały trzymać je na dystans, ale ptaki były uparte.

Przynajmniej jedno szło zgodnie z planem - Aneliese krzyknęła:

- Już mam! — Szarpnęła klapę w suficie. — To jest wyjście. - Podniosła jeden z kluczy do zamka, ale ręce jej zadrżały i upuściła cały pęk.

Ptaki znowu podleciały bliżej, a klucze zostały w zamieszaniu stratowane. Podłoga tunelu była zrobiona z ziemi, nie z cegieł, więc klucze szybko zniknęły. To, że wszyscy szukali ich naraz, tylko utrudniało znalezienie pęku.

- Przestańcie! - krzyknęłam. - Ja je znajdę.

Przesunęłam dłońmi po ziemi. Moje rękawiczki zostały w kieszeni płaszcza w domu, dlatego mój umysł przeniknął natychmiast przez warstwy żyznej czarnej gleby, piaskowca i granitu. Skoncentrowałam się i „zo-

baczyłam" dwustuletnie cegły pokryte cienką warstwą udeptanej ziemi.

- Proszę - podniosłam łańcuszek z wiszącymi na nim kluczami. Aneliese w ogólnym chaosie spróbowała dosięgnąć mojej ręki, ale zdążyłam się cofnąć, zanim mnie dotknęła i się oparzyła.

- Ja to zrobię - rzuciłam i zaczęłam przymierzać jeden klucz za drugim do zamka.

Kłapa otwarła się i do tunelu wlało się światło dzienne, oślepiając nas na chwilę. Ptaki wyfrunęły na zewnątrz jako pierwsze. My szybko poszliśmy ich śladem.

- No nie! - mruknął Ethan pod nosem, widząc, co nas czekało po wyjściu.

To był Marduk. Czekał cierpliwie, zadowolony z siebie. Miał ze sobą sześciu żołnierzy, także zamaskowanych i ubranych na czarno, którym widać było tylko oczy. Otoczyli kręgiem wyłaz, uzbrojeni w noże, miecze, sztylety i inną broń białą.

- Niezłe bagno - mruknęłam.

- Naprawdę głębokie - odparł cicho Ethan.

- Świetna robota, Roh - szepnął złośliwie Dillon.

- Nie wymawiaj jej imienia! - syknął Ethan. Przywołał do swojej ręki schowany w bucie nóż i zaproponował go Dillonowi. - Potrzebujesz tego?

Dillon potrząsnął głową i jedną ręką wyjął z kieszeni kurtki bicz łańcuchowy, a drugą nóż.

- No proszę, co my tu mamy - odezwał się Marduk szorstkim, sarkastycznym tonem. - Piękna kolekcja.

Wzrok Marduka pobiegł do Aneliese, a jego oko zabłysło jaskrawą czerwienią. Odwzajemniła spojrzenie i przez jedną chwilę słyszałam jej niechronione myśli. Przypomniała sobie, jak wyglądał Marduk, kiedy widziała go po raz ostatni, i jak bardzo się zmienił. Zauważyła, że nadal miał okaleczoną połowę twarzy, z pustym oczodołem i poszarpanymi bliznami biegnącymi aż do zniekształconych ust. Ale teraz przypominał raczej bestię, z włosami rosnącymi niemal do linii brwi.

Marduk przeniósł spojrzenie na Nerię. Kiedy patrzył na swoją córkę, jego pierś uniosła się, a lśniące czerwone oko otworzyło się szerzej. Żadna maska nie mogła jej przed nim ukryć.

Neria wyciągnęła sztylet z za pasa, Aneliese zrobiła to samo. Poszłabym w ich ślady, ponieważ zawsze nosiłam nóż za cholewą, ale ostatnio moje dłonie stały się bardziej niebezpieczne niż jakakolwiek broń.

Marduk zauważył przebiegające po nich wyładowania i uniósł jedyną brew, patrząc mi prosto w oczy.

-Wiedziałem, że kryje się w tobie wielka moc. Ileż moglibyśmy zrobić z tymi dłońmi - ty i ja!

Sama myśl o tym sprawiła, że mnie zemdliło. Chciałam ripostować, ale Ethan zareagował szybciej:

— Najpierw musiałbyś mnie zabić.

Spojrzałam na niego, ale nie patrzył w moją stronę.

— Z przyjemnością - odparł Marduk, dotykając miecza wiszącego u pasa. - Ale ponieważ dziś nie przyszedłem po zdrajczynię, odrzucę twoją kuszącą ofertę.

- Mamy umowę, na którą dałeś mi swoje słowo - odezwała się Neria zaskakująco spokojnym głosem.

Aysher i Silos zawarczały, wyszczerzając na Marduka lamparcie kły.

Dillon pociągnął ją za rękę.

- O czym ty mówisz?

Neria wyrwała się z jego uścisku.

- Zostaw mnie. Wiem, co robię.

- Nie popełniaj błędu - przestrzegłam szybko. - Nie wierz w słowa Marduka.

Potwór roześmiał się.

- I kto to mówi! Przecież to ty oszukałaś mnie! Wobec kogo jesteś lojalna? Czy wie to ktokolwiek z tu obecnych?

Postarałam się go zignorować.

- Trzymaj się z Nerią - szepnęłam do Dillona. - Ona myśli, że może mu ufać, ponieważ jest jego córką, ale myli się.

Dillon zgodził się i mocno przytrzymał Nerię za ramię.

Odepchnęła go, ale znów spróbował ją złapać. Popatrzyła na nas gorączkowo.

- Nie rozumiecie. Jeśli to zrobię, zapobiegnę rozlewowi waszej krwi i ochronię moją matkę.

- Pozwól nam robić, co do nas należy - syknął Ethan. - Po to tu jesteśmy. Żeby bronić was obie przed tym szaleńcem.

Marduk z rozbawieniem wzruszył ramionami.

— Zamierzasz bronić Nerii tak samo, jak broniłeś swojej siostry?

Gdybym miała dar poruszania przedmiotów, wyjęłabym nóż z dłoni Ethana i sama wepchnęła prosto w gardło Marduka. Ale znałam tego potwora, wiedziałam, co próbuje zrobić.

— A pamiętasz, jak broniłeś Isabel? - dodał. — O ile sobie przypominam, udała się na wycieczkę po między świecie właśnie z powodu twojej tak zwanej obrony.

— Nie słuchaj go. Próbuje cię wyprowadzić z równowagi, żeby cię rozproszyć.

Ethan spojrział na mnie przelotnie i niemal niedostrzegalnie skinął głową. Rozumiał to, ale było też jasne, że słowa naszego wroga dosięgły celu.

Marduk także to zauważył i roześmiał się. Niedbałym skinieniem głowy dał znak swoim żołnierzom. Ruszyli do ataku - zaczęła się walka.

Dillon i Ethan starali się nie spuszczać Nerii i Aneliese z oka, ale w ogniu walki było to trudne zadanie. Dillon był silny, jego kopniaki potężne, nie można było też odmówić mu biegłości w posługiwaniu się biczem łańcuchowym. Położył dwóch przeciwników, którzy jednak szybko wrócili do walki.

Ethan zranił jednego z żołnierzy Marduka w ramię, ale potem sam wylądował na ziemi, kiedy inny zaatakował go od tyłu pałką. W międzyczasie użył swojej mocy poruszania przedmiotów, żeby odbić serię shurikenów, kierując je z powrotem na tego, który nimi rzu-

cił. Żołnierz ze lśniącem sztyletem zaczął się do mnie zbliżać. Nie miałam ochoty pokazywać, jak potężne są moje dłonie, ale nie miałam wyboru. Pozwoliłam mu podejść bardzo blisko, a potem przecięłam nożem jego ubranie od ramienia do piersi. Skoncentrowałam całą energię w odsłoniętych dłoniach i skoczyłam na niego. Moje dłonie zaśniły jaskrawymi barwami, żołnierz wrzasnął i jęcząc zaczął się zwijać na ziemi.

Marduk to zauważył.

- Daleko zaszłaś. Marnujesz swój talent.

Ze wszystkich sił starałam się nie zwracać na niego uwagi i miałam nadzieję, że nikt więcej tego nie usłyszał. Nie mogłabym znieść, gdyby uważali, że Marduk próbuje mnie skusić do powrotu w jego szeregi.

W walce z żołnierzami Marduka najlepiej radziły sobie Aysher i Silos. Kiedy miały pewność, że Neria radzi sobie z aktualnym przeciwnikiem, przypuściły gwałtowny atak. Jeden z żołnierzy oswobodził się spod ciężaru Ayshera i śmiertelnie przerażony uciekł do lasu. Lamparty przeniosły wówczas uwagę na Marduka. Wyglądały groźnie i było jasne, że zamierzają go dopaść, zanim ruszy się z miejsca. Jeśli komukolwiek z nas miało się to udać, to właśnie im. Potwór zauważył je i uniósł ręce, a z jego palców wystrzeliły promienie zielonego światła. Neria wrzasnęła, a Dillon musiał ją przytrzymać, kiedy lamparty wzięły na siebie impet mocy Marduka i zostały wyrzucone w powietrze. Upadły za nami na ziemię, ogłuszone.

Walczyliśmy z pozostałymi żołnierzami, a kiedy Aysher i Silos zaczęły dochodzić do siebie, rozbawienie Marduka zmieniło się w irytację.

- Wygrywamy! - szepnęła Neria. - Wszystko będzie dobrze.

Nie chciałam psuć jej nastroju, ale znając Marduka, walka nie będzie skończona dopóty, dopóki ostatni jego żołnierz nie zostanie zgładzony, a on sam nie wykorzysta każdej sztuczki, jaką ma w zanadrzu.

Moje obawy szybko się ziściły, kiedy Marduk zaczął okazywać niezadowolenie z niekompetencji swoich podwładnych. Znowu uniósł dłonie w górę, ale tym razem płynąca z jego palców zielona moc utworzyła falę skwierczącej energii. Migotała i wznosiła się jak fala przyływu, a potem z szybkością błyskawicy spadła, zamykając nas w przypominającym kopułę więzieniu.

Żołnierze Marduka, którzy byli jeszcze zdolni do walki, pozbierali się na nogi i stanęli za nim — widać było po nich ulgę i zadowolenie z siebie, podczas gdy Marduk utrzymywał pulsującą kopułę mocą wyciągniętych dłoni.

Ethan i Dillon spróbowali wyrwać się z tego więzienia, ale kiedy dotknęli światła, odrzuciło ich do tyłu z siłą wyładowania elektrycznego.

- Jakież pomysły? — mruknął Dillon.

- Będzie musiał zdjąć tę barierę, żeby wydostać Nerię i Aneliese. To nasza szansa. — Pozostali skinęli głową,

słyszając wyszeptane przeze mnie słowa. Dillon, Ethan i ja ustawiliśmy się w trójkącie wokół Nerii i Aneliese. Aysher i Silos, nadal w postaci lampartów śnieżnych, znalazły się między nami.

Marduk skinął głową na jednego ze swoich żołnierzy.

- Kiedy otworzę pole, łap kobietę. Najwyższy czas, żeby Aneliese zapłaciła za to, że ukradła mi dziecko.

Neria usłyszała to.

- Nie! - wrzasnęła. - Obiecałeś! Zabierz mnie!

Marduk dał znak i dwóch żołnierzy zaczęło się zbliżać do pulsującej kopuły. On sam nie spuszczał tymczasem baczego spojrzenia z Aneliese. Neria zauważyła to i zaczęła panikować. Popatrzyła z rozpaczą na matkę, a strach sprawił, że serce zawładnęło jej myślami.

W nagłym przebłysku zrozumiałam, co się dzieje. Marduk był jak zawsze podstępny manipulatorem. Na tym polegał jego plan, który przygotowywał od dawna, przemawiając do Nerii w snach i nawiązując z nią nic porozumienia. Najgorsze było to, że zaczęła mu ufać. Mardukowi wcale nie zależało na Aneliese. Jego plan miał na celu zdobycie Nerii, a ona wpadała właśnie wprost w pułapkę.

Wyrwała się ze stworzonego przez nas trójkątnego pola, przepychając się koło mnie w stronę zielonego światła, migoczącego i wibrującego wokół nas.

- Neria, nie! - Złapałam ją za rękę, ale gdy tylko moja dłoń dotknęła jej skóry, dziewczyna wrzasnęła i upadła na ziemię. Sparzyłam ją, więc odruchowo ją puściłam.

W tym samym momencie rzuciła się do przodu, tak zdeterminowana, aby dostać się do Marduka, że czołgała się na czworakach w stronę wyjścia z kopuły. Chwilę przed tym, nim dotarła do niego, odwróciła się.

— Powiedz im, żeby mnie nie szukali.

Aneliese rzuciła się za nią, ale otwór w kopule zamknął się, a migotliwa zielona energia stała się silniejsza niż przedtem. Ethan w samą porę złapał ją i odciągnął. Aysher i Silos zawarczały z wściekłością, a w ich oczach pojawiła się panika na myśl o tym, że ich pani jest po drugiej stronie, z wrogiem. Ethan próbował je uspokoić, ale machnęły głowami, dając nam do zrozumienia, żebyśmy się nie zbliżali. A potem skoczyły. Moje serce zamarło na myśl o tym, co się stanie, kiedy przeniknie je pulsująca energia.

- Nie, przestańcie! - krzyknęłam. Chciałam sama je złapać, ale przypomniałam sobie ostrzeżenie Arkariana, że mogę zabić zwierzę gołymi rękami.

Lamparty przedzierały się przez migotliwą zieloną barierę. Skowyczały bezradnie, kiedy moc szarpała ich ciałami, ale mimo to posuwały się naprzód. Kiedy już wydawało się, że zdołają się przedrzeć na drugą stronę, ich ciała zaczęły się rozpadać, aż nie pozostało z nich nic oprócz drgającego zielonego powietrza.

Nagle krąg energii zaskwierczał i zniknął. Rzuciliśmy się na zewnątrz, ale zobaczyliśmy tylko kontury Nerii, Marduka i jego żołnierzy, którzy znikali sprzed naszych oczu.

Rozdział 15

Matt

Kiedy wróciłem do Cytadeli, czekał tam na mnie Arkarian. Jego zazwyczaj czyste oczy były znużone i pociemniałe.

- Zwołałem pilne spotkanie w mojej siedzibie - powiedział.

- W takim razie chodźmy tam.

- Najpierw chciałbym ci powiedzieć, co się wydarzyło.

- Słyszałem o Nerii - wyjaśniłem, żeby oszczędzić czas.

Pojawiliśmy się w jednej z licznych pomniejszych komnat. Pozostali już tam czekali. Niektórzy siedzieli na krzesłach ustawionych w kręgu przypominającym krąg Trybunału, inni stali i rozmawiali. Był tu także

Dillon, nowy członek naszej grupy. Zastanawiałem się, kto udzielił mu zezwolenia na wstęp do siedziby Arkariana. Prawdopodobnie lady Arabella, ona najwięcej z nim pracowała. Tak więc nawet bez Nerii było nas teraz dziewięcioro.

- Matt! - Isabel zauważyła mnie jako pierwsza. Ruszyła w moją stronę, ale zawahała się.

Najwyraźniej była poruszona niedawnymi wydarzeniami, jak wszyscy obecni, ale w jej oczach było coś jeszcze. Niepokój, prawie onieśmienie. Coś, czego nie przywykłem u niej widzieć. Wiedziałem, na czym polega problem: uważała, że podróż i spotkanie z Dartemsem mnie zmieniły. Czy tak było? Nie potrafiłem tak naprawdę powiedzieć. Czułem się tak samo, tylko dowiedziałem się rzeczy, których wołałbym nie wiedzieć. Nadal nie mogłem uwierzyć w część tego, czego się nauczyłem. Moje nowe moce były jeszcze niewypróbowane, a tak wiele zależało od tego, czy zdołam nad nimi zapanować. Wyciągnąłem ręce i spróbowałem zażartować.

- Co jest? Żadnego powitania? Nie było mnie przez całe sześć miesięcy! Nie tęskniłaś za swoim bratem?

Uśmiechnęła się i podeszła do mnie. Nie mogłem znieść wahania, wciąż widocznego w jej oczach, dlatego instynktownie przytuliłem ją do siebie. Oparła mi głowę na piersi i mocno się przytuliła. Nie ruszając się jeszcze przez chwilę z miejsca, podniosła głowę.

Z udaną naganą w głosie powiedziała:

-Właściwie nie było cię tylko przez siedem dni. - Cofnęła się i żartobliwie trzepnęła mnie w ramię. - Chyba nie zasługujesz na uściski.

Przez następne kilka minut witałem się z pozostałymi, ale powaga sytuacji sprawiła, że szybko zajęliśmy miejsca. Arkarian celowo usiadł po mojej prawej stronie i skinął mi głową. Chciał, żebym poprowadził naradę. Czy on żartował? Przesłał mi swoje myśli - myślowidzący mogą rozmawiać bez słów. Uważał, że jestem gotowy. Gotowy do odgrywania mojej roli zgodnie z Proroctwem. Odetchnąłem głęboko, ale zabrzmiało to jak westchnienie pełne rezygnacji. Na swój sposób chyba tak się czułem. Może i rozwinąłem swoje moce, w tym dar myślowidzenia, ale potrzebowałem wielu ćwiczeń, zanim będę mógł ich swobodnie używać.

Pozostali rozglądali się niepewnie. Myśli Arkariana popchnęły mnie krok do przodu. *Już czas, Matt. Uwierz w siebie i przejmij panowanie nad sytuacją. Pokaż wszystkim w tej komnacie, że jesteś naszym przywódcą.*

Rozejrzałem się i zastanowiłem, czy jestem godny, aby przewodzić tym ludziom. Połowa z nich była ode mnie starsza. Jeden był moim nauczycielem. Na litość boską, był tu nawet ojciec Ethana!

Małe kroki. Dotarła do mnie myśl Arkariana, a ja zastanowiłem się, jaki powinien być pierwszy krok. To mi pomogło zapomnieć o moich oporach - przyjemnie było skoncentrować się na czymś innym i na-

gle poczułem, jakby w mojej głowie zwolniła się jakaś przestrzeń. Prześlizgnąłem się wzrokiem po kamiennych ścianach i podłodze z ubitej ziemi.

— Czy ta komnata jest bezpieczna?

— Wszystkie komnaty w mojej siedzibie są bezpieczne
— odparł Arkarian.

— Czy... ktokolwiek mógłby nas podsłuchać?

— Nie mogę tego wykluczyć.

Rozejrzałem się po komnacie w poszukiwaniu szczelin i pęknięć.

— Proszę, żebyście trzymali głowy pochylone, aż wam powiem, że możecie je podnieść.

Posłuchali mnie bez zadawania pytań. Wykorzystałem moje nowe moce i zalałem komnatę błękitnym światłem, które zgęstniało jak mgła i sprawiło, że Dillon i profesor Carter zaczęli kasłać. Dmuchałem delikatnie w sam środek, chcąc stworzyć oczyszczoną przestrzeń, w której nikt nie podsłucha naszej rozmowy. Ku mojemu zdziwieniu, zadziałało. Poczułem ulgę.

— Możecie już podnieść głowy.

Rozejrzeli się i zauważyli, że mgła wydawała się przylegać do sufitu, ścian i podłogi pod naszymi stopami.

— Komnata została zabezpieczona - powiedział cicho Arkarian. - Dobra robota.

— Dzięki, ale... — urwałem. Jaki sens miało informowanie wszystkich o tym, jak niepewnie się czułem? Jeśli miałem sprawić, że oni we mnie uwierzą, musiałem przynajmniej wyglądać, jakbym sam w siebie wie-

rzył. Zauważyłem, że siedzący naprzeciwko mnie Dillon wierci się niespokojnie. Bezustannie przytupywał stopą, przeczesywał palcami włosy albo wyłamywał sobie palce.

- Zanim zaczniemy, czy masz coś do powiedzenia, Dillon?

- Tak! - prawie wyskoczył ze swojego miejsca. - Słyszałeś już? Marduk porwał Nerię!

- Słyszałem, odbijemy ją.

- Nie wiem, jaki będzie plan, ale chcę brać w tym udział! Uniosłem rękę.

- Powiedz mi najpierw, co się wydarzyło. Prychnął głośno i wskazał Rochelle.

- Ona zaprowadziła nas w pułapkę, a potem wypuściła Nerię.

Rochelle zerwała się na nogi, gwałtownie łapiąc powietrze.

- To nieprawda!

Siedzący obok niej Shaun nakłonił ją, żeby usiadła. Dillon ciągnął dalej.

- Miała przytrzymać Nerię, ale wypuściła ją prosto w ramiona Marduka!

Rochelle uniosła dłoń do czoła, jakby ta czynność miała powstrzymać jej mózg przed wypadnięciem.

- To poważne oskarżenie, Dillon.

- Mówię prawdę. Zapytaj Ethana, on był przy tym.

- Najpierw wysłuchajmy Rochelle.

Spojrzała na mnie, jej zazwyczaj ciemnozielone oczy były zaczerwienione i podkrążone. Uniosła przed sobą dłonie, nie potrafiąc ukryć ich drżenia. Patrzyła na nie, jakby były czymś obcym, a nie częścią jej własnego ciała. Przez te osiemnaście miesięcy, kiedy byliśmy razem, nie widziałem jej nigdy tak wytrąconej z równowagi.

- Moje dłonie ją sparzyły. A jeśli chodzi o tunel, wydawało mi się, że to dobry wybór.

- Masz teraz na sobie rękawiczki - odezwał się siedzący obok mnie Arkarian. - Gdzie były wtedy?

- W kieszeni płaszcza - odparła. - Zostały w domu. Nie miałam ze sobą płaszcza, kiedy szliśmy tunelem. Potem wróciłam i je zabrałam.

- Jak ci idą lekcje z lady Arabellą? - zapytał. Zanim zdążyła odpowiedzieć, Dillon znowu skoczył z miejsca, całe jego ciało drżało z wściekłości.

- Uczysz się je kontrolować i mimo to ją sparzyłaś? - Odpowiedział na własne pytanie kolejnym oskarżeniem: - Nie sądzę! Nadal pracujesz dla Marduka, tak?

Ethan poderwał się w ułamku sekundy.

- Stul pysk, Dillon! Nikt nie ma prawa oskarżać nikogo w tym pokoju, jasne? Rochelle nie jest tu sądzona! - Odwrócił się i spojrzał na mnie. - Widziałem, co się wydarzyło, i tak, Rochelle puściła Nerię. Ale nie zrobiła tego celowo. Neria wrzasnęła, kiedy dłonie Rochelle ją dotknęły. Rochelle puściła ją odruchowo. A tunel był jedynym logicznym wyborem

po tym, kiedy ten prowadzący do siedziby Arkariana został zniszczony. Zapadło milczenie, które przerwała Rochelle.

- Było naprawdę trudno. Straciłam panowanie nad sobą.

- Jasne, a my straciliśmy Nerię - odparł Dillon.

- Czyli musimy ją po prostu odzyskać — spróbowałam uspokoić wszystkich. — A teraz proszę, żeby nie padały tu dalsze oskarżenia.

Dillon usiadł niespokojnie.

- Dobra, ale musicie mnie zabrać na misję ratunkową. — Przesunął spojrzenie w moją prawą stronę. -Arkarianie, powiedz mu, żeby mnie zabrał.

Wszyscy w milczeniu czekali na odpowiedź Arkariana. Popatrzył na mnie, ale swoje słowa skierował do wszystkich zgromadzonych:

- Od tej pory to Matt podejmuje wszystkie decyzje.

- Serio? — zapytał zaskoczony Dillon. — Dobra, nieważne. Po prostu chcę, żeby Neria do nas wróciła. OKr

Starąłem się nie zwracać uwagi na natręctwo Dillona, chociaż trudno było nie zauważyć jego uczucia do Nerii. To mogło wpłynąć na jego ocenę sytuacji, co stanowiłoby zagrożenie dla każdej misji ratunkowej. Ale... uczucie sprawiało, że był nieustraszony, a to bez wątpienia należało uznać za zaletę, szczególnie biorąc pod uwagę to, gdzie mieliśmy się udać.

Ciszę przerwała Rochelle.

- Neria myśli, że dopóki jest z Mardukiem, jej matka jest bezpieczna i uda się uniknąć rozlewu krwi. Powiedziała, żeby wam powtórzyć...

Urwała, więc zachęciłem ją:

- Mów.

Przełknęła gwałtownie ślinę.

- Powiedziała: „Przekaż im, żeby mnie nie szukali”. Dillon gwałtownie zerwał się z miejsca, gotów znowu wybuchnąć.

- Siadaj, Dillon! Przyjąłem już do wiadomości twój sprzeciw. - Spojrzałem na Rochelle. - Myślisz, że jest bezpieczna z Mardukiem?

Nie wahała się ani chwili.

- Ależ skąd!

- Uważasz, że powinniśmy ją odbić?

- Bez wątpienia. Tak szybko, jak to możliwe. Siedzący obok niej Shaun zadał mi pytanie.

- Wiesz, dokąd została zabrana Neria?

- Jest uwięziona w pałacu Lathenii na górze Olimp.

- O cholera! - wykrzyknął Dillon i posłał Rochelle kolejne pełne nienawiści spojrzenie. - Świetna robota, Roh. To jak teraz proponujesz uratować ją z tej piekielnej dziury?

Reakcje Dillona były zbyt gwałtowne. Jeśli dalej będzie się tak zachowywać, bez wątpienia okaże się ciężarem, jeśli go zabierzemy.

Znowu wstał i zaczął krążyć po wolnej przestrzeni na środku, machając zamasyście rękami.

-Wy nic nie rozumiecie. Dostanie się do pałacu Lathenii jest praktycznie niemożliwe! -To brzmi tak, jakbyś tam był. W końcu zatrzymał się i spojrzał na mnie.

- No byłem, a co? Możesz mi wierzyć, to jest lodowa forteca z piekła rodem.

Co on powiedział?

- Gdybyś nam trochę przybliżył sprawę, zrozumielibyśmy twoje obawy.

- Ma niesamowicie wysokie mury obronne zrobione z niezniszczalnego kamienia, marmuru i kryształu. Całe miejsce jest pod ścisłą ochroną. Żołnierze cały czas pełnią wartę na blankach, po trzech w każdej narożnej wieży strażniczej. Są uzbrojeni w kusze, a groty ich strzał są pokryte trucizną, która zabija w kilka sekund. A jeśli jakimś cudem przedostaniecie się przez mury, czeka was walka z psami Lathenii. Jest ich siedem, są głodzone i szkolone, żeby atakować każdą istotę, która dostanie się w obręb pałacu. A, i czy wspominałem o magii?

To sprawiło, że w kręgu rozległy się szepty.

- Całe to miejsce jest pełne pułapek z magicznych zaklęć i złowrogich uroków.

- Dziękuję, Dillon. Siadaj. Chyba wiemy już, czego się spodziewać - powiedziałem.

Kiedy usiadł, uświadomiłem sobie, że mimo jego niestabilnych obecnie emocji nie mam innego wyboru, jak tylko zabrać go ze sobą. Jego wiedza o więzieniu

Nerii była zbyt cenna. Chyba że... spojrzałem na Rochelle.

- A co ty wiesz o tym pałacu, Rochelle? Lekko wzruszyła ramionami.

- Właściwie nic. Nigdy tam nie byłam.

- Nie, jasne że nie - dorzucił z wściekłością Dillon. - Byłaś osobistą asystentką Marduka. Nie chciałby się tobą dzielić z Lathenią.

Ta uwaga wyzwoliła gwałtowny wybuch emocji wśród zebranych. A chociaż to Ethan był pierwszy, żeby go za to potępić, Dillon spotkał się z ostrą reakcją także pozostałych zgromadzonych. Ku mojemu zdumieniu to profesor Carter najgłośniej wyraził swoją opinię.

- Wystarczy, Dillon! Posuwasz się za daleko!

- Dlaczego pan się za nią wstawia? Wszyscy wiedzą, że pan jej nie ufa.

- Zaufanie to coś, na co można zasłużyć. Powinieneś o tym pamiętać.

Uniosłem dłonie, starając się zaprowadzić z powrotem porządek w komnacie.

- Są jeszcze inne sprawy, które musimy omówić, zanim zdecydujemy... zanim zdecyduję, kto ma się czym zająć. Pierwszą z nich jest lokalizacja zaginionego klucza.

- A może poszukamy go, kiedy już znajdziemy się w pałacu Lathenii? - zaproponował Arkarian.

Reszta pokiwała głowami na potwierdzenie.

- Nie, ponieważ tam go nie znajdziemy.

Posypał się na mnie grad pytań. Kiedy trochę przycichło, wyjaśniłem:

- Najwyraźniej to nie Lathenia zabrała klucz z ruin świątyni.

- To musiał być zdrajca - odezwał się Jimmy. - Ale kto miałby dość mocy? Już samo dostanie się do świata podziemnego i powrót stamtąd są trudne.

- Czy wiesz, gdzie znajduje się klucz? - zapytał Arkarian ściszym głosem.

Cisza. Czekali. Napomniałem się, aby nie wspomnieć imienia Dartemisa ani nawet nie przekazać go w myślach.

- Powiedziano mi, że powinienem szukać go w Atenach.

- W pałacu w Atenach? - zapytał z niedowierzaniem Jimmy. - Ale tam są tylko ci, którym ufamy.

- Zdrajca, kimkolwiek jest, musi mieć uprawnienia i dostęp do najściślej strzeżonych miejsc, a także innych światów - przypomniał Shaun.

- Czy wiemy dokładnie, kto jest podejrzany?

- Nie padły jeszcze żadne imiona - odparłem. Isabel sięgnęła za plecami Ethana, żeby dotknąć mojego ramienia.

- Nie damy rady zrobić tego sami. Czy w pałacu jest ktoś, komu możemy zaufać?

Skinąłem głową, żeby ją uspokoić.

- Nasz własny król Ryszard. On nam pomoże. Rozległy się pomruki zgody.

Kiedy wszyscy się uciszyli, Arkarian zapytał:

- Więc co teraz robimy?

Odetchnąłem głęboko i miałem nadzieję, że podejmuję właściwe decyzje.

- Ethan, Isabel i Rochelle udadzą się do pałacu w Atenach, żeby znaleźć klucz i w miarę możliwości wykryć zdrajcę. Jeśli jednak wskazanie go naraziłoby was na niebezpieczeństwo, zachowajcie imię tej osoby w tajemnicy i wracajcie.

- Skoro Lorian nie wie o tym, że klucz znajduje się w jego pałacu, jakie my mamy szanse, żeby go znaleźć? - zapytał Ethan.

- Niewielkie, ale jesteście bardzo pomysłowi, a dłonie Rochelle będą bezcenne. - Spojrzałem na nią, żeby się upewnić, czy zrozumiała, po czym uświadomiłem sobie, że mam jej do powiedzenia kilka rzeczy, których lepiej nie mówić głośno, żeby nie zostały błędnie zrozumiane. Dlatego, wykorzystując mój nowo odkryty dar myślowidzenia, przekazałem swoje myśli tylko do niej. *Nie myśl o swoich dłoniach jak o śmiertelnej broni, ale jak o narzędziach.*

Moje myśli zaskoczyły ją, jej oczy się rozszerzyły, ale nie odezwała się ani słowem. Kontynuowałem szybko, zanim inni zdążyliby się poczuć niezręcznie albo, co gorsza, zaczęli czuć zawiść wobec naszej bezgłośnej rozmowy. *Jest w nich ogromna moc, która może się jeszcze rozwinąć. Pracuj nad tym i nie bój się. Po prostu bądź ostrożna.*

Spojrzałem na innych, szybko zyskując ich uwagę.

- Arkarian i Dillon, udacie się ze mną do pałacu Lathenii, żeby uratować Nerię.

Dillon zareagował w typowy dla siebie sposób - prawie wyskoczył ze skóry.

- Hura!

Jimmy spojrzał na mnie.

- Matt, nie jestem pewien, czy zdajesz sobie sprawę z moich talentów...

- Zostałem o nich poinformowany.

- Więc powinieneś wiedzieć, że byłbym bardzo przydatny w pałacu.

Słowa Jimmy ego sprawiły, że stłumiłem bezgłośny jęk, który uwiązał mi w gardle. Chociaż między nami nigdy się nie układało, a ja nie cierpiałem jego obecności w moim domu, Dartemis darzył Jimmy ego najwyższym szacunkiem. A to powinno mi wystarczyć.

- W tej chwili twój talent będzie bardziej potrzeby na miejscu - powiedziałem. Wyjaśniłem całej reszcie: - Latnenia zawładnęła międzyświatem. Powiększyła swoją armię, włączając do niej zagubione dusze. Jak wiecie, istoty ze świata mroku już zaczęły się pojawiać na Ziemi. Musimy zrobić, co w naszej mocy, aby uchronić ludzi przed zetknięciem się z nimi. - Popatrzyłem na Jimmy'ego, sprawdzając, czy rozumie zadanie, które mu zlecałem. - Veridian znajduje się w poważnym niebezpieczeństwie. Jeśli wróg wedrze się do starożytnego miasta, będzie to dla nas druzgocący cios. Jim-

my, idź tam i ufortyfikuj miasto. Znajdź sposób, żeby je ochronić, gdyby doszło do najgorszego. Sporządź plan. W tym mieście kryje się więcej, niż można zobaczyć, chodząc po jego korytarzach i ulicach.

- Zrobię, co będę mógł.

- Co ja mam robić? - zapytał Shaun.

- Pod nieobecność Arkariana będziesz nadzorował sferę. Lathenia planuje coś wielkiego, coś, co będzie miało niszczący wpływ na teraźniejszość i przyszłość. Wypatruj oznak otwierania się portalu. Kiedy to się stanie, musimy szybko wysłać tam ekipę.

Została jeszcze jedna osoba.

- A ja? - spytał profesor Carter.

- Będziesz potrzebny w Cytadeli. Kiedy szóstka spośród nas będzie podróżować w czasie, twoje umiejętności koordynacyjne będą dla nas nieocenione. Musisz być bardziej precyzyjny niż kiedykolwiek wcześniej.

Rozdział 16

Rochelle

Profesor Carter przeniósł nas dokładnie na środek znajomego już złotego dziedzińca w pałacu w Atenach. Zmierzchało już, a wieczorne powietrze było ciepłe. Za nami ptaki wyśpiewywały melodię złożoną z ostrych, czystych nut. Obejrzałam się, żeby zobaczyć, jaki gatunek potrafi wydawać tak doskonałe, a jednocześnie żalosne dźwięki. Chociaż ich głosy były najśłodszymi, jakie kiedykolwiek słyszałam, nie przygotowało mnie to w najmniejszym stopniu na ich widok. Ich piękna nie dało się wyrazić słowami, zapierało dech w piersiach.

Podeszła do mnie Isabel. Ona także nie odrywała wzroku od pary nierozłączek siedzących obok siebie na drążku zrobionym z drewna oliwnego.

- Widziałaś kiedyś coś tak przepięknego?

- Nigdy - mruknęłam w odpowiedzi. Ethan także się zbliżył.

- Na co tak patrzycie? — W tym momencie je zauważył.
— Rany! One są prawdziwe?

- Brzmia całkiem prawdziwie — odparła Isabel, kiedy para ptaków zaczęła śpiewać kolejną melancholijną melodię.

Poczułam nagły impuls, żeby położyć dłonie na klatce. Miałam przeczucie, że gdybym to zrobiła, byłabym w stanie „poczuć” ich dusze. Impuls był tak silny, że nie potrafiłam mu się oprzeć i zaczęłam zsuwać rękawiczki.

Tuż za mną rozległ się świst, sprawiając, że podskoczyłam, a moje serce zaczęło bić mocniej. To była lady Arabella. Naciągnęłam z powrotem rękawiczki. Stała koło nas, spoglądając na klatkę.

- Widzę, że znaleźliście moje ptaki.

- Należą do pani, milady? - zapytała Isabel. - Nie wiedziałam, że macie takie ptaki.

- Niedawno je znalazłam - odparła. - Czy może raczej one znalazły mnie. Czyż nie są prześliczne?

Wszyscy troje skinęliśmy głowami.

- Czy ich pióra są zrobione z czystego złota? — spytała Isabel.

- Tak się wydaje.

- A ich oczy? - zapytałam. - Czy to naprawdę diamenty?

- Różowe diamenty, najrzadsze we wszechświecie.

Lady Arabella nie była w stanie ukryć zachwytu swoimi nowymi pupilkami.

- Musiałam je zamknąć dla ich bezpieczeństwa. Kiedy je znalazłam, były poważnie poranione i niezdolne do latania.

Isabel westchnęła.

- Kto mógłby skrzywdzić tak piękne istoty? Lady Arabella zapatrzyła się na ptaki z zamyśleniem w oczach.

- Kto wie, skarbie?

- Czy chce pani, żebym spróbowała je uzdrowić, milady? - zaproponowała Isabel.

Lady Arabella spojrzała na nią, nie kryjąc zaskoczenia, a jej głos był łagodny, ale stanowczy.

-Twoja propozycja jest bardzo szlachetna, ale ptaki zdrowieją dostatecznie szybko pod moją opieką. Ufają mi.

Ethan nie odezwał się ani słowem, przyglądał się teraz ptakom, lekko marszcząc brwi. Lady Arabella zauważyła to.

- Nie podobają ci się, Ethanie?

- Są cudowne, milady. Po prostu nigdy wcześniej nie widziałem nic podobnego. - Zanim zdążył osłonić swoje myśli, jedna z nich wyrwała się na zewnątrz. *W każdym razie nie na tym świecie! Więc gdzie się włóczyłaś?*

Nadepnęłam mu na stopę, jego głowa podskoczyła, kiedy na mnie spojrzał. Uświadomił sobie, że go słyszałam, a skoro ja go słyszałam, to najprawdopo-

dobniej lady Arabella także. Rzuciła Ethanowi długie spojrzenie, jej oszronione rzęsy zatrzepotały niepewnie. W końcu uśmiechnęła się. Zalała mnie fala ulgi. Ta misja była naprawdę niełatwa, musieliśmy pilnować każdej swojej myśli. Byliśmy tutaj najwyżej od kilku minut, a Ethan już miał z tym problemy.

Nagle pojawił się lord Penbarin.

-Tu jesteście! - W pierwszej chwili myślałam, że chodzi mu o lady Arabellę, ale szybko zorientowałam się, że ma na myśli naszą trójkę. - Lorian chce was widzieć. Natychmiast. W swoich prywatnych komnatach.

Zimna fala strachu pojawiła się w mojej głowie i prześlizgnęła przez cały system nerwowy. Ale Matt ostrzegał nas: niewiele było rzeczy tutaj czy gdziekolwiek indziej, których Lorian nie dostrzegłby albo o których by nie wiedział. Nasze zadanie — znaleźć klucz i odkryć zdrajcę — było prawie niewykonalne. Ale byliśmy tutaj i musieliśmy przynajmniej spróbować. Każda nowa wiadomość mogła nam pomóc.

Kiedy lord Penbarin prowadził nas przez szerokie korytarze, lekko pociągnęłam Ethana do tyłu.

- Może byłoby lepiej, gdybyś nie wchodził do komnat Lorian.

Rzucił mi nieprzyjazne spojrzenie.

- Dlaczego? — W tym momencie załapał i jak zawsze wściekł się na mnie. — Znowu czytasz moje myśli! Nie możesz się trzymać z dala od mojej głowy?

- Nie robię tego specjalnie! - broniłam się.

- Nie potrafisz panować nad własnymi mocami?
- Jasne, że potrafię - syknęłam. - Ale ty wysyłasz myśli tak, jakbyś ciskał mi w głowę piłką tenisową.
- Nie podsuwaj mi pomysłów!
- Nie muszę. Sam wiesz, że to niebezpieczne.
- Może po prostu nie jestem w stanie nic na to poradzić - odparł łagodniejszym tonem.

Postarałam się także ściszyć głos.

- Dokładnie to próbuję ci wytłumaczyć.

Lord Penbarin rzucił nam spojrzenie, choć na szczęście postanowił nie zwracać uwagi na naszą rozmowę. Ale Isabel chciała wiedzieć, co się dzieje, a mimo że ostatnio nie słyszałam żadnych jej myśli, postanowiłam się jednak upewnić.

- Jak dobra jesteś teraz w osłanianiu myśli? Isabel parsknęła stłumionym śmiechem.

- Można bardzo prędko opanować tę sztukę, będąc dziewczyną myślowidzącego. - Spojrzała szczerze na Ethana i dodała szeptem - Może ty też powinieneś spróbować?

Poczułam przyływ gorąca na twarzy, słysząc jej propozycję. Myślowidzących nie było aż tak wielu. Arkarian był jednym z nich, podobnie jak Marduk. Obecnie Matt zyskał ten dar, no i dysponowali nim wszyscy członkowie Trybunału.

Stanęliśmy przed okazałymi rzeźbionymi drzwiami inkrustowanymi złotem i srebrem. Lord Penbarin nacisnął klamkę i jedno skrzydło otworzyło się do środka.

- Lorian chce się widzieć z całą waszą trójką. I lepiej, żebyście mieli dobry powód, żeby przybyć tutaj bez zapowiedzi i bez zaproszenia.

Cóż, to rozwiązywało problem, czy Ethan powinien poczekać na zewnątrz. Jedno za drugim weszliśmy do środka.

Apartamenty składały się z wielu komnat na różnych poziomach, oddzielonych łukowatymi przejściami i balustradami z alabastru. Ściany były przeważnie białe, ale palące się tu i tam kinkiety rzucały na nie złocisty blask. Z licznych okien zwieszały się ciemne kotary. Niektóre były szczelnie zasłonięte, inne ściągnięte na bok i przytrzymywane plecionymi sznurami z ozdobnymi frędzlami. Nieliczne meble były niezwykle eleganckie. Środek pierwszej komnaty zajmował stół zrobiony w całości z białego kamienia, otoczony przez dopasowane do niego krzesła z wysokimi oparciami. Stała tu także miękka kanapa i dwa fotele, również w kolorze białym.

Zaczęłam się zastanawiać, gdzie jest Lorian, kiedy zobaczyłam, że kieruje się w naszą stronę. Był wysoki, a sięgająca do ziemi biała tunika, obramowana srebrem przy szyi i rękawach, sprawiała, że wydawał się jeszcze wyższy. Robił niesamowite wrażenie. Arkarian przedstawił nas sobie w trakcie szkolenia, ale Lorian nosił wtedy płaszcz, a jego twarz była praktycznie całkiem ukryta. Dzisiaj jego długie srebrne włosy spływały na ramiona, a blada, półprzejrzysta skóra jaśniała słabym blaskiem wokół ciemnofioletowych oczu.

Skinął głową i ni stąd, ni zowąd w komnacie pojawiły się trzy wysokie taborety z czerwonymi aksamitnymi poduszkami. Nie wiem, jak Ethan i Isabel, ale ja byłam wdzięczna za ich obecność. Moje nogi stały się nagle jak z waty.

Lorian nadal stał, a ja uświadomiłam sobie, że z tak niewielkiej odległości trudno jest patrzeć mu w twarz. Otaczała go zimna i gniewna aura. Isabel rzuciła mi zaniepokojone spojrzenie. Starannie przepowiedziałam w myślach część powodów, które miały wyjaśniać naszą obecność tutaj.

-Wyjaśnijcie mi, dlaczego pierwsze spotkanie z Mattem jako przywódcą odbyło się za ochronną barierą -powiedział Lorian.

Cała nasza trójka zaniemówiła. Nie spodziewaliśmy się tego pytania. Szturchnęłam Ethana, żeby pilnował swoich myśli. Niezręczna cisza przeciągała się, a my zaczęliśmy się wiercić pod intensywnym i badawczym spojrzeniem nieśmiertelnego.

W końcu ja się odezwałam.

- To był pomysł Matta.

Isabel rzuciła mi ostrzegawcze spojrzenie, prawdopodobnie zastanawiając się, do czego zmierzam.

Postarałam się, żeby moje wyjaśnienie zabrzmiało zwyczajnie.

- Chciał wypróbować jedną ze swoich nowych mocy. Lorian skoncentrował na mnie spojrzenie i poczułam, że sonduje mój umysł. Nagle musiałam zamknąć

oczy i skupić się na najprostszej czynności, jaką było wciągnięcie powietrza do płuc. Zadrżałam, czując w głowie dziwną lekkość i zawroty. Usłyszałam z odległości, że Ethan zawołał:

- Panie, ona jest teraz jedną z Wezwanych.

Uczucie pustki w głowie zaczęło ustępować, ale czułam się zdezorientowana, zupełnie jakbym spadała. Uderzyłam z łoskotem o posadzkę, a Isabel i Ethan pomogli mi wrócić na miejsce.

- Co się srało?

- Wszystko w porządku. Już po wszystkim - powiedział Ethan.

Kiedy podniosłam spojrzenie, zobaczyłam, że blask Lorian osłabł.

- Nie przeszłaś jeszcze inicjacji.

- Nie, panie.

- Jakie są przyczyny tej zwłoki?

- Arkarian był niezwykle zajęty - wyjaśnił Ethan. - Jestem pewien, że zajmie się tym, kiedy tylko powróci.

Lorian nadal nie był usatysfakcjonowany. Na moment straciłam zdolność koncentracji, w głowie nadal kręciło mi się po niedawnej konfrontacji z Lorianem, a moje myśli wyrwały się na zewnątrz. *Ponieważ mi nie ufają!*

No świetnie! Głowa zaczęła mi pulsować bólem i stała się tak ciężka, że musiałam podeprzeć ręką czoło, żeby powstrzymać ją przed opadaniem. Pulsowanie szybko

stało się nieznośne, a do tego przez mój umysł zaczęła przenikać fala ciepłej energii. Podniosłam spojrzenie i zobaczyłam, że Lorian stoi tuż przede mną z uniesioną dłonią. Poczulałam impuls, żeby zamknąć oczy. Zrobiłam to i niemal natychmiast łagodna lala ogarnęła pulsowaniem całe moje ciało. W sekundę było po wszystkim, a Lorian odsunął się. Podniosłam wzrok i zobaczyłam, że znowu widzę wszystko wyraźnie, a ból głowy zniknął. Zastąpiło go przyjemne wrażenie ciepła i, co jeszcze dziwniejsze, poczucie przynależności.

— Twoja inicjacja odbędzie się jutro o świcie - rzekł Lorian i zwrócił się do Ethana. - Czy pod nieobecność Arkariana mógłbyś go zastąpić i przedstawić Rochelle Trybunałowi, żeby mogła otrzymać jego dary i akceptację starszyny?

— Oczywiście, panie.

— A zatem postanowione. A teraz powiedzcie mi, co tu robicie.

— Przybyliśmy, aby poinformować naszego króla o aktualnej sytuacji w Veridianie - wyjaśnił Ethan. - Jak na pewno wiecie, wiele się wydarzyło. Osobiście bardzo się cieszę, że znowu spotkam się z królem Ryszardem - dodał jeszcze.

Lorian schylił głowę, a moje oczy zamknęły się na moment.

— Ależ oczywiście, Ethanie. Na zewnątrz czeka lord Penbarin, który wskaże wam drogę do północnego skrzydła, gdzie znajdziecie waszego króla. Czujcie się

jak u siebie. Dziś wieczorem cały pałac jest do waszej dyspozycji i możecie go swobodnie zwiedzać.

Kiedy wyszliśmy z komnat Lorian, lord Penbarin przyjrzał się nam badawczo. Wszystko układało się znakomicie. Mieliśmy pozwolenie Lorian, żeby się tu rozejrzeć! Starłam się nie myśleć o tym, co ma się wydarzyć jutro o świcie. Niepokój musiał się odbić na mojej twarzy, ponieważ Isabel dotknęła mojego ramienia.

- Nie martw się inicjacją. Pamiętam, jak to było ze mną. Byłam tak zdenerwowana, że miałam nogi jak z waty. Ale wszystko poszło dobrze. Poza tym znasz już dobrze lady Arabelle...

- I znasz mnie - dodał lord Penbarin z iskrą humoru w oczach. Popatrzył na mnie dłuższą chwilę i położył palec na swoich pełnych, intensywnie czerwonych wargach. - Hmm, jaki dar powinienem ci ofiarować? Jakieś sugestie, Ethanie?

Lord Penbarin żartował sobie z nas. Isabel śmiała się, ale Ethan potraktował to pytanie poważnie.

- Dlaczego mnie o to pytacie, milordzie?

Lord Penbarin uśmiechnął się, przeniósł spojrzenie z Ethana na mnie i z powrotem na Ethana. Odwrócił się i mruknął:

- Myślałem, że to całkiem oczywiste.

Na szczęście nie podjął tematu, a kilka minut później staliśmy znowu przed wysokimi podwójnymi drzwiami. Zanim zdążyliśmy zapukać, otworzył nam król Ryszard we własnej osobie. Nie był szczególnie wysoki, ale

wydawał się taki dzięki długiej szacie. Wyglądał dobrze i z pewnością był w dobrym nastroju. Przywitał uśmiechem lorda Penbarina i zaprosił nas do środka. Kiedy zobaczył Ethana, uściskał go serdecznie.

- Nareszcie znowu się spotykamy!

- Jak zdrowie, wasza wysokość?

Król Ryszard roześmiał się, odrzucając głowę do tyłu.

- Doskonale, mój dobry człowieku. - Machnął ręką dokoła, pokazując luksusowe wnętrza apartamentów. - Znacznie lepiej niż w tym brudnym więzieniu, z którego mnie uratowałeś.

Ethan także nie był w stanie powstrzymać uśmiechu. Byli jak dwaj starzy przyjaciele, spotykający się po latach rozłąki.

Potem król Ryszard chwycił w objęcia Isabel.

- Moja droga lady Madeline...

- Nazywam się Isabel, wasza wysokość. - Przypomniała, że nie nosi imienia, którego używała, kiedy spotkali się ostatnio w przeszłości. Pamiętałam to. Byłam tam, wlałam truciznę do jej kielicha.

- Oczywiście! - wykrzyknął król Ryszard. - Muszę powiedzieć, że bez przebrania jesteś jeszcze bardziej urocza. - Król odwrócił się do mnie i natychmiast zauważył, że jestem myślowidzącą. Stał się trochę ostrożniejszy, to naturalna reakcja. Nikt nie lubi pokazywać światu osobistych myśli.

- A kogo my tu mamy?

Lord Penbarin przedstawił mnie.

— To jest Rochelle Thallimar, której inicjacja odbędzie się jutro o świcie. Jest jedną z twoich Wezwanych.

Król Ryszard skłonił nisko głowę.

- Witam, moja miła. - Ujął moje dłonie i mimo rękawiczek wyczuł ich moc. Jego oczy na chwilę spotkały się z moimi, oceniając mnie, ale nie powiedział ani słowa. Ogarnęło mnie uczucie niepewności, które jednak zniknęło, gdy puścił moje ręce.

Lord Penbarin pożegnał się, a kiedy tylko zostaliśmy sami, zachowanie króla Ryszarda zmieniło się diametralnie. Jego oczy już się nie śmiały. Zdążył się zorientować, jak ogromną ukrytą wagę miała nasza wizyta.

- Czy mam rozkazać, żeby przyniesiono wam coś do jedzenia, czy chcecie od razu przejść do rzeczy?

— Potrzebna nam wasza pomoc, wasza wysokość -powiedział Ethan.

- A zatem udzielię jej wam — odparł Ryszard bez wahania.

— Mów, co mogę zrobić?

— Cóż, moglibyście nas oprowadzić.

- Po pałacu?

- Tak, wasza wysokość. Po wszystkich zakamarkach.

— To zajmie całą noc.

— A zatem powinniśmy zacząć natychmiast.

Król Ryszard zaufał nam bez zastrzeżeń i rozpoczęliśmy wycieczkę. Niezauważalnie zsunęłam rękawiczki i wepchnęłam do kieszeni, skąd w razie potrzeby mogłam je szybko wyciągnąć. Obejrzelismy wiele komnat, w tym apartamenty mieszkalne lordów i dam, a także

kwatery ich służby. Tylko król Ryszard mógł to załatwić tak bezproblemowo. Widać było, że ma doświadczenie w dyplomacji, a do tego jest lubiany przez wszystkich.

W każdej kolejnej komnacie Isabel i Ethan odwracali uwagę obecnych rozmową, tak żeby mogła zrobić swoje: dyskretnie dotknąć ścian, podłogi i mebli - wszystkiego, co mogło skrywać jakiś sejf, przejście albo pustą przestrzeń. Wystarczyło, że kładłam dłonie na ścianie w jednym miejscu, żeby wyczuć - zobaczyć - co znajduje się w nich lub za nimi.

Kiedy skończyliśmy przeszukiwać pałac, zbliżał się świt, a my niczego nie znaleźliśmy. Trafiliśmy z powrotem na dziedziniec, rozglądając się dokoła. Była tam lady Arabella, która sprzątała klatkę dla ptaków, opróżniając pojemnik z jedzeniem, czyszcząc dno z odchodów i dolewając świeżej wody do poidła. Wydało mi się dziwne, że sama zajmuje się tak niewdzięcznym zadaniem. Oczywiście nic nie powiedziałam. Może kochała swoje ptaki tak bardzo, że nie chciała ich powierzać niczyjej opiece.

Z tą myślą wyciągnęłam rękawiczki z kieszeni i zaczęłam je zakładać. Lady Arabella zauważyła to i dziwnie zeszywniała.

- Dlaczego nie masz na sobie rękawiczek? Jak dawno je zdjęłaś?

Zaskoczył mnie jej głos, bardziej szorstki niż kiedykolwiek przedtem. Zauważyła to i natychmiast złagodziła ton.

- Nie chciałam cię przestraszyć, skarbie, ale tłumaczyłam ci przecież, że powinnaś nosić rękawiczki przez cały czas.

Spróbowałam szybko wymyślić jakieś wytłumaczenie.

- Są odrobinę ciasne, milady. Czasem potrzebuję rozprostować palce.

Przez jakąś minutę zastanawiała się nad tym wyjaśnieniem.

- Porozmawiam z Arkarianem i zobaczę, co mógłby na to poradzić. Na razie musisz to jakoś wytrzymać. Lepiej się pospiesz - wskazała jaśniejące niebo. — Musisz się jeszcze przebrać.

Podniecona Isabel złapała mnie za ramię.

- Chodź, zobaczymy, jaką tunikę dla ciebie wybrano!

- O czym ty mówisz?

- Biała jest dla początkujących uczniów — wyjaśniła. -Ja byłam ubrana w białą tunikę podczas inicjacji, ale miałam szczęście, ponieważ dali mi błękitny pas. To oznaczało, że jestem wyżej od zwykłych nowicjuszy.

Dotarliśmy do przydzielonych nam komnat i znalazłyśmy na łóżku ciemnofioletową tunikę z leżącym obok złotym pasem. Isabel westchnęła na ten widok, przesuwając dłonią po aksamitnym materiale.

- O rany. - Zawołała Ethana. - Popatrz na to! Co to oznacza?

Chociaż zgadzałam się, że strój jest prześliczny, nie wiedziałam, czemu Isabel robi wokół niego tyle zamieszania. Ethan podszedł, podniósł pas i kilkakrotnie przesunął po nim palcami.

- Złoty pas oznacza najwyższą rangę w Straży. - Popatrzył na mnie, a do mojej głowy wtargnęła jego myśl; zastanawiał się, co zrobiłam, żeby na to zasłużyć.

Isabel także wyglądała na zaskoczoną, ale jej myśli były dobrze chronione.

- A ta fioletowa tunika?

Ethan cofnął się trochę, odwrócił i z całej siły starał się osłonić swoje myśli. Wiedział, ale nie chciał tego mówić.

- Co ona znaczy?

Spojrzał na mnie, marszcząc brwi. Miałam nieprzyjemne przeczucie, że coś jest bardzo nie tak.

- Skąd mam wiedzieć? - odparł. - Musisz zapytać Arkariana.

Isabel zauważyła jego dziwne zachowanie i nie drażyła tematu, ale ich reakcje sprawiły, że chciałam się dowiedzieć więcej. Zaczęli się zachowywać tak, jakby w ogóle nie było tej rozmowy. Pociągnęłam Ethana za rękę.

- Czekał. Powiedz mi, co wiesz.

- Nic! - warknął, odwracając spojrzenie.

- Powiedz mi albo będę grzebać w twoich myślach tak długo, aż wydobędę tę informację razem z połową twojego mózgu.

W jego oczach pojawił się błysk irytacji.

- Słuchaj, wiem tylko, że fiolet oznacza wierność — powiedział w końcu.

Byłam pewna, że to jeszcze nie wszystko.

- Mów dalej.

- Wierność tak silną, że noszący ten kolor jest gotów... oddać życie za sprawę.

- Kolor męczenników - mruknęłam, głównie do siebie. Czy to właśnie Lorian znalazł we mnie, kiedy zeszłego wieczora sondował mój umysł? Jak się nad tym zastanowić, wers Proroctwa, który podobno odnosił się do mnie, mówił o zwycięstwie i śmierci. Jak to szło? *A ostatnich wojowników dwóch przysporzy radości, ale i koszmarów. Ze środka intrygi jedno się wynurzy, a drugie z nasion zła utworzy. Dwójka triumfu zasmakuje, lecz jedno w swej śmierci go poczuje.*

Głośne pukanie do drzwi oznajmiło przybycie lorda Penbarina, który powiadomił nas, że nadszedł już czas. Ethan wyszedł z pokoju, a ja przebrałam się w tunikę, starając się odsunąć od siebie niepokojącą myśl o śmierci. Isabel pomogła mi zawiązać pas, a potem narzuciła dopasowany płaszcz, naciągając mi na głowę kaptur.

- Słuchaj - odezwała się. — Nie przejmuj się tym, co powiedział Ethan. Mógł się mylić co do tego kawałka o męczeństwie. Często się myli.

Spróbowałam się uśmiechnąć i nieco się uspokoić, ale tylko trochę. Trudno było wypchnąć z głowy perspektywę śmierci z jakiegokolwiek powodu.

- Ethan myślał kiedyś, że jest mi przeznaczony - ciągnęła Isabel. - Podczas kiedy to był przecież Arkarian.

- Tak? A skąd wiadomo, kto jest nam przeznaczony? Wzruszyła ramionami.

- Wiem tylko, że Arkarian mówił, że każde z nas spotyka przeznaczoną sobie osobę przynajmniej raz w życiu. Od nas zależy, czy uda nam się ją rozpoznać, czy też stracimy szansę na prawdziwą miłość.

Cóż za smutny pomysł. Ale nawet ta myśl zniknęła, kiedy otworzyłyśmy drzwi i znalazłyśmy Ethana kłócącego się z lordem Penbarinem.

- Ale kto to wybierał? - domagał się odpowiedzi Ethan.

- To coś, czego nie mogę...

Zauważyli nas i urwali w pół zdania. Lord Penbarin skłonił głowę w pozdrowieniu, a Ethan po prostu wpatrywał się we mnie z otwartymi ustami.

- Wyglądasz niesamowicie.

- Proszę, proszę - mruknął lord Penbarin. - Skoro jesteś już gotowa, moja droga, zawiadomię Trybunał. - Odwrócił się, rzucił Ethanowi nieprzyjazne spojrzenie i odszedł szybkim krokiem, zabierając ze sobą Isabel.

- Arkarian będzie żałował, że go to ominęło - powiedział Ethan.

Chciałam pomówić o przyczynach jego sporu z lordem Penbarinem, ale czułam presję zbliżającej się ceremonii wtajemniczenia. Uznałam, że wolę nie wiedzieć. Słowa Ethana brzmiały tak, jakby inicjacja była

doniosłym wydarzeniem, więc moje ręce zaczęły drżeć. Upewniłam się, czy mam założone rękawiczki i wsunęłam dłonie w rozcięcia po bokach płaszcza.

Chwilę później stanęliśmy przed komnatą Trybunału, a Ethan wziął głęboki oddech.

- Gotowa?

- Absolutnie nie — odparłam szczerze. — Nie jestem przygotowana. Nie wiem, czego się spodziewać. Mdli mnie ze strachu i mam wrażenie, że zaraz zwymiotuję.

- Wszystko będzie dobrze - starał się mnie uspokoić. — Chcą cię powitać.

- Jestem zdrajczynią, Ethanie. Byłam członkinią Zakonu i zwróciłam się przeciwko swoim sprzymierzeńcom.

Na jego twarzy odmalowała się wściekłość, oczy rozszerzyły się, a ich błękit stał się zimny i twardy.

- Zakon nie był twoim sprzymierzeńcem! Nigdy! Jasne?

- Jasne, że nie był. Nie to chciałam powiedzieć. — Patrzył na mnie w milczeniu. — Po prostu towarzyszy mi odium tego, co zrobiłam, i nie dam rady się go pozbyć. Widzę to w oczach ludzi. Każdy zna moją historię i dlatego mi nie ufają.

- To tylko twoje nerwy, Rochelle. Wydaje ci się.

- Jestem myślowidząca, Ethanie. Przez chwilę patrzył w sufit.

- Arkarian ci ufa. I, no, ja już mówiłem, że też ci ufam.

Jego słowa były pocieszające, nawet nie wiedział, jak bardzo. Obserwowałam jego twarz. Nasze oczy się spotkały i za żadne skarby świata nie byłabym w stanie odwrócić wzroku. Coś pojawiło się między nami - coś, czego nie umiałam nazwać, ale co było prawdziwe jak moja własna dłoń czy serce.

Drzwi za nami otworzyły się i uświadomiliśmy sobie, że nie jesteśmy już sami. Ethan wziął mnie pod ramię i poprowadził na środek komnaty.

- Lordowie i damy - oznajmił, a następnie odwrócił się, aby skłonić się bezpośrednio królowi Ryszardowi, siedzącemu po prawicy lorda Penbarina. - Królowie i królowe, pozwólcie, że przedstawię wam ósmą nowicjuszkę Wezwanych. Oto Rochelle Thallimar.

Rozległy się oklaski. W komnacie byli także inni - Isabel i liczni nieznajomi siedzieli na ławkach z boku. Tuż za mną pojawił się taboret, na którym usiadłam, podczas gdy Ethan opuścił krąg i zajął miejsce obok Isabel. Ścisnął jej rękę, jakby nagle ogarnęło go napięcie. Starłam się nie zastanawiać nad przyczyną takiego zachowania - wystarczało mi to, że musiałam zapanować nad własnymi nerwami.

Lorian wstał, a spojrzenia wszystkich pobiegły do niego. Uniósł dłonie, wskazując mnie, a następnie otaczający mnie krąg dziesięciorga członków Trybunału.

- Za chwilę wszyscy szlachetni lordowie i damy uhonorują cię specjalnymi darami, witając cię w Straży. Najpierw jednak ja przekażę ci mój dar.

W komnacie rozległy się szepty - najwyraźniej nie było to zgodne ze zwykłą procedurą. Lorian uciszył zgromadzonych jednym surowym spojrzeniem. Kiedy wszystko znieruchomiało i ucichło, podszedł do mnie i uniósł dłonie nad moją głowę.

- Rochelle Thallimar, czy przysięgasz wierność Straży i jej sprawie?

- Tak, panie.

- Moim darem jest powiązanie twoich mocy myślowienia i dotyku. Od tej chwili będziesz mogła nie tylko słyszeć myśli innych, ale także, poprzez swoje dłonie, dowiedzieć się, gdzie leży ich lojalność.

Szepty stały się głośniejsze, a Ethan wbiegł z powrotem do kręgu.

- Panie, pozwolicie, że wtrącę słowo?

Lorian opuścił dłonie i westchnął, jakby poniekąd spodziewał się reakcji Ethana, ale jednocześnie nie miał na nią ochoty.

- Możesz mówić.

- Ten dar jest bardzo szczodry... ale także niebezpieczny.

- Być może, ale teraz wszyscy znajdujemy się w niebezpieczeństwie, Ethanie. Taki talent...

-... jest równoznaczny z wyrokiem śmierci. Lorian milczał.

- Wszyscy wiemy, że pomiędzy nami kryje się zdrajca - ciągnął Ethan. - Tym darem umożliwiacie Rochelle zidentyfikowanie tej osoby. Jeśli zdrajca znajdu-

je się w tej komnacie, Rochelle zostanie zabita, zanim zdąży opuścić pałac, a wy o tym wiecie panie...

- Och, ale jeśli zdrajca zostanie wskazany w tej komnacie, podczas tej ceremonii...

- To niesłychane! - wykrzyknęli jednocześnie lord Penbarin i lord Meridian. Królowa Brystianne zerwała się ze swojego miejsca, a w jej ślady poszedł lord Alexandon, który sprawiał wrażenie równie rozgniewanego.

Król Ryszard wszedł do środka kręgu.

- Panie, czy słusznie przypuszczam, iż podejrzewasz o zdradę jednego z członków Trybunału?

- Chciałbym, aby było inaczej - odparł Lorian znużonym głosem.

Kiedy zastanowiłam się nad tym, czego oczekiwał ode mnie Lorian, rozumiałam jego stanowisko. Zdrajca musiał zostać wykryty, a jeśli Lorian mógł to osiągnąć za moim pośrednictwem, nie wydawało mi się, żebym ja albo ktokolwiek inny mógł się temu sprzeciwić. -Twój plan ma jedną zasadniczą wadę, panie. Wszystkie głowy zwróciły się do kręgu. Sir Sytord podniósł się z miejsca i podszedł do mnie.

-Jeśli panna Thallimar wskaże jedno z nas, to będzie świadectwo jednego zdrajcy przeciwko drugiemu.

Szepty znowu się zaczęły. Ethan okręcił się na pięcie, patrząc ze złością na przytakujących najgłośniejszych członków Trybunału. Potrząsnęłam głową w kierunku Isabel, która pociągnęła Ethana z powrotem na miejsce.

Ale nikt nie był bardziej rozwścieczony od Lorian. Jego oczy zmieniły kolor z ciemnego fioletu na najgłębszy odcień niebieskiego, a skóra zaśniła oślepiającym złotem. Uniósł dłonie, a wszyscy wstrzymali oddech. Miałam wrażenie, że wszystko w komnacie nagle się skurczyło, łącznie z powietrzem. Lorian jeszcze chwilę trzymał uniesione ręce, budując napięcie.

- Czy nikt z was nie czytał Proroctwa? *Nieufność zrodzi dysharmonię!* - zacytował.

- Zrobię to. — Nie mówiłam głośno, ale w panującej w komnacie ciszy moje słowa były wyraźnie słyszalne. — Rozumiem wiążące się z tym ryzyko i zrobię to z własnej woli.

- Rochelle! — krzyknął Ethan. - Nie wiesz, co mówisz.

Odwróciłam głowę, żeby skierować słowa bezpośrednio do niego. Wszyscy inni je słyszeli, ale nie było na to rady.

- Muszę.

- Dlaczego, na litość boską?

- Sam słyszałeś, że mi nie ufają. To dla mnie okazja do zdobycia zaufania. Jeśli zdołam odkryć zdrajcę, w o ile lepszej sytuacji znajdzie się Straż? Wszyscy zobaczą, że nie jestem już na rozkazach Bogini czy Mar-duka.

- Ale to zbyt niebezpieczne.

- Przywykłam do niebezpieczeństwa. - Odwróciłam się i spojrzałam na Lorian. Po raz pierwszy stwier-

dziłam, że potrafię wytrzymać jego wzrok. Jego oczy przeszywały mnie na wylot, ale odczuwałam to jako przyjemność. Podniósł dłonie nad moją głowę, nie dotykając mnie, ale przysuwając je tak blisko, że zamrowiły mnie nasady włosów.

- Zamknij oczy.

Na sekundę poczułam przypływ zwątpienia, ale szybko odepchnęłam je od siebie. To była właściwa decyzja. Marduk mylił się co do mnie.

Z rąk Lorian'a spłynęło światło, otulając mnie złocistą poświatą. Zaczepnęłam głęboki oddech i powoli wypuściłam powietrze, żeby uspokoić nerwy. Poczułam, że powietrze wokół mnie stało się cieplejsze. Oddychałam tym dziwnym, gorącym powietrzem, które wnikało w moją skórę przez spragnione pory.

Kiedy to się skończyło, otworzyłam oczy i zobaczyłam, że Lorian patrzy prosto na mnie.

- Dar został przekazany.

Ethan westchnął, a w jego głosie słychać było porażkę i niepokój. Przez moment pożałowałam swojej decyzji. Cóż, teraz było już za późno.

Lorian wyjaśnił, co miało teraz nastąpić.

- Lordowie i damy przekażą ci swoje dary. Kiedy już to zrobią, przyklekną przed tobą...

Pomruki niezadowolenia sprawiły, że mistrz ceremonii momentalnie urwał i podniósł głowę. Kontynuował wyjaśnienia, zwracając się do Trybunału rozkazującym tonem.

- Następnie Rochelle położy dłoń na waszych głowach. Pozostaniecie nieruchomo tak długo, jak będzie tego chciała.

Było teraz tak cicho, że usłyszałabym szpilkę upadającą na końcu korytarza.

- Kto będzie pierwszy? - Spytał Lorian. Wstał król Ryszard.

- Ja się zgłaszam. - Sprawiał wrażenie niepewnego. Gdzie się podziało jego pogodne usposobienie? -Przede wszystkim chciałbym cię gorąco powitać w królestwie Veridianu. - Król uniósł obie dłonie i położył mi je na głowie. - Moim darem dla ciebie jest zdolność dostrzegania prawdy... wewnątrz siebie. - Po chwili ciszy przykląkł przede mną, a jego oczy spotkały się z moimi. - Teraz twoja kolej. Nie bój się.

Ręce mi drżały. Zdjęłam rękawiczki, odetchnęłam głęboko i podniosłam dłoń, zatrzymując ją nad czubkiem głowy króla. Nagle przeraziłam się, że go oparzę.

- Zaczynaj - nakazał Lorian.

Opuściłam dłoń i zamknęłam oczy. Natychmiast zobaczyłam jaśniejące światło. Zupełnie jakby biło z wnętrza króla Ryszarda. Zachybotowało jak płomień, a potem utworzyło lejowaty kształt wokół rdzenia. Skoncentrowałam się na tym rdzeniu i nagle poczułam, że zalewa mnie wrażenie wiary, wdzięczności i zaufania, o których wiedziałam, że są prawdziwe.

Podniosłam rękę, a król Ryszard wycofał się, wracając na swoje miejsce.

Za jego przykładem poszli inni. Lady Devine, z długimi włosami barwy krwi, przyklękła przede mną ze splecionymi mocno dłońmi, podczas gdy dudniące o podłogę stopy lorda Alexandona pokazywały obecnym jego niezadowolenie. Lord Meridian, najdrobniejszy spośród członków Trybunału, wyglądał na rozwścieczonego. Następna była królowa Brystianne, zaciskająca nerwowo wargi, natomiast w każdym ruchu sir Syforda widać było arogancję i obrzydzenie. Kolejno powierzali mi swoje dary, ale gdyby mnie ktoś zapytał, co to były za dary, przysięgam, że nie umiałabym odpowiedzieć.

To trwało całą wieczność, ale w końcu pozostało tylko dwoje: lady Arabella i lord Penbarin. Lady Arabella siedziała w bezruchu, jakby nie zauważyła, że nadeszła jej kolej.

Lord Penbarin przechylił ku niej głowę.

- Pani przodem, milady.

Spojrzała na niego ze złością. Lorian zauważył to.

- Wahasz się, Arabello?

Wstała, prostując gwałtownie ramiona.

- Ależ nie, panie. Ale chciałam zaprotestować.

- Przyjmuję to do wiadomości - odparł. - Podobnie jak protesty pozostałych.

Błękitne jedwabne pantofle były widoczne spod sięgającej do ziemi sukni, kiedy lady Arabella szła w moją stronę, zatrzymując się tuż za mną. Podniosła rękę nad moją głowę i zawiesiła ją blisko, ale nie dotknęła mnie.

— Ofiaruję ci dar kontroli — powiedziała, z naciskiem na ostatnie słowo. Nie rozumiałam jej ostrego głosu, chociaż było oczywiste, że ma na myśli moc w moich rękach, które drżały, złożone na kolanach. Poczułam, że jej wzrok przebiega nade mną i spojrzałam w tę samą stronę. Naprzeciwko mnie Lorian odwzajemniał spojrzenie. Zupełnie jakby tych dwoje było samych w tej komnacie, ba - w całym wszechświecie! Więż między nimi była tak silna i tak przytłaczająca, że w moje myśli wkradł się zamęt. Co tu się działo? Czy oni czuli coś do siebie? Nie wydawało mi się. To znaczy: wszyscy wiedzieli, że Lorian postanowił nie być ani mężczyzną, ani kobietą.

W końcu lady Arabella obesza mnie i przyklęła z pochyloną głową. Zamknęłam oczy, podniosłam dłoń do jej czoła i spróbowałam się skoncentrować na tym, co powinnam zrobić. W końcu zobaczyłam w środku znajomy płomień. Szybko przekształcił się w buzujący ogień, wirujący, syczący i obramowany jasną czerwienią. Skoncentrowałam się na nim, czekając na uformowanie się leja, ale przez cały czas poruszał się i zmieniał kształt. Wyczułam coś niedającego się zidentyfikować, z całą pewnością innego niż czysty obraz, który uzyskałam od większości pozostałych. W mojej głowie zaczęły się pojawiać wątpliwości, kiedy nagle płomień znieruchomiał, tworząc kształt ognistego serca.

Z westchnieniem ulgi cofnęłam rękę, zwalniając ją. To, co widziałam, było tylko miłością. Potężną i głęboką miłością, ale taką, która płonie także z żalu i smutku.

Lady Arabella powróciła na miejsce. Spojrzałam na Loriana i zobaczyłam, że odprowadził ją wzrokiem i patrzył na nią jeszcze chwilę, kiedy zajmowała miejsce na swoim krześle. Dopiero kiedy przeniósł uwagę z powrotem na mnie, lord Penbarin jęknął głośno i podszedł.

-Witam cię serdecznie, moja miła, w imieniu Domu Samarii. Długo zastanawiałem się nad darem dla ciebie. Ostatecznie zdecydowałem się na inny niż początkowo planowałem. - Wyprostował się i podniósł ręce. - Ofiaruję ci dar przebaczenia. Przebaczenia wszystkim tym, którzy cię źle osądzili - dodał.

Uważając na swoją szatę, lord Penbarin przyklęknął przede mną. Mój dotyk natychmiast ukazał płomień, który palił się czysto, jasno i prawdziwie. Kiedy go zwolniłam, wrócił na miejsce, a zgromadzeni zaczęli szeptać. Lorian uciszył ich jednym spojrzeniem.

Zwrócił się do mnie:

- Co zobaczyłaś?

- Zobaczyłam wiele rzeczy, panie, ale nic, co obciążałoby któregokolwiek z członków Trybunału.

Szepty zmieniły się w pomruki ulgi. Lorian podniósł dłoń, wiedząc, że jeszcze nie skończyłam. W komnacie zapanowała cisza.

- Zobaczyłam wierność, panie. W ogromnej ilości.

- Co jeszcze?

-Troskę, wdzięczność, lęk... i miłość, panie. Lorian zadumał się na moment.

- Miłość i nienawiść to dwie strony jednej monety. Jak możesz być pewna, że to, co widziałaś, jest prawdziwe?

Przypomniałam sobie silne uczucie, ogarniające mnie wraz z wrażeniem wszechogarniającej miłości, które odebrałam od lady Arabelli. A potem przypomniałam sobie ładunek miłości przekazany jej przez Lorianą, niezależnie od tego, czy był go świadomy, czy też nie.

- Miłość, którą czułam, była prawdziwa, panie. Jestem tego pewna.

Pełne ulgi szepty krążyły po komnacie. Trybunałowi się upiekło. Obawy Loriany nie potwierdziły się, nikt spośród nich nie okazał się zdrajcą.

Lorian wstał nagle i myślałam, że ta próba się wreszcie zakończy. Ale jego skóra znowu zaśniła, a oczy zamigotały jak oszlifowane klejnoty.

- Mylisz się - powiedział do mnie.

Rozległy się głośne protesty. Lorian uniósł rękę i fala zimnego powietrza wypełniła komnatę. Potarłam ramiona pod płaszczem, żeby się rozgrzać.

- Albo twój dar nie rozwinął się jeszcze w wystarczającym stopniu, albo też zostałaś oszukana. Podejrzewam to drugie.

Lord Penbarin potrząsnął głową.

- Czy masz jakieś dowody, panie? Czy dlatego jesteś tak pewien, że jedno z nas jest zdrajcą?

Lorian wyjął spod płaszcza kryształ, który mieścił mu się wygodnie na dłoni - miał kształt piramidy o pod-

stawie ośmiokąta, migotał i lśnił w świetle. W komnacie słychać było pomruki i westchnienia, a ja uświadomiłam sobie, że patrzę na klucz - ten właśnie klucz, po który zostaliśmy przysłani!

- Oto dowód! - zagrzemiał, a w komnacie robiło się zimniej z każdym jego gniewnym oddechem. - Iak, przyjrzyjcie się dobrze. To jest klucz do skarbcza z bronią, którego szukaliście.

A potem zrobił coś niewyobrażalnego. Podeszedł i wyciągnął do mnie klucz.

- Masz na rękach rękawiczki, Rochelle?

Szybko je założyłam, sprawdzając, czy ani kawałek skóry nie pozostał odsłonięty. -Ja... Tak, panie. Skinął głową.

- A zatem weź ten klucz i przekaz go temu, który będzie trzymał go w bezpiecznym miejscu.

- Panie, gdzie go znalazłeś? - odezwał się za mną sir Syford.

- Kiedy Rochelle, Ethan i Isabel odwiedzili mnie zeszłego wieczora, odkryłem, że zostali przysłani tutaj, aby szukać klucza. W pierwszej chwili byłem zaskoczony i wściekły na samą myśl o takiej zdradzie w moim własnym pałacu. Potem jednak sam udałem się na poszukiwania. Jak widzicie, znalazłem go - był ukryty w szkatule, którą ktoś zakopał w ogrodzie na dziedzińcu.

Lorian uniósł brwi, spoglądając na członków Trybunału.

- Tuż pod naszymi stopami, ale nie do wykrycia. Sprytnie wybrane miejsce: każdy ma tam dostęp, ale nikogo nie da się wyśledzić. Zanim zaczniecie rzucać oskarżenia pod adresem waszych żołnierzy lub służby, przypomnę, że tylko ktoś w randze równej członkom Trybunału lub wyższej miałby dość mocy, żeby stworzyć nieprzeniknioną szkatułę, w której znalazłem klucz!

Lorian położył kryształ w moich dłoniach. Nie mogłam oderwać wzroku od migoczących fasetek. Nade mną głos Lorian nadal mroził powietrze.

- A ponieważ mój plan, aby dzisiaj odnaleźć zdrajcę, nie powiódł się, muszę ochronić to niewinne dziecko, które stoi przede mną, ponieważ im bardziej będą rozwijać się jej moce, w tym większym niebezpieczeństwie się znajdzie.

Lorian zwrócił na mnie spojrzenie i podniósł ręce na wysokość mojej głowy. Donośnym głosem, który odbił się echem w komnacie, oznajmił:

- Ktokolwiek zrani to dziecko i sprowadzi na nie śmierć, przemieni się w kamień i dokona żywota, nim słońce skryje się za horyzontem.

O szlag! Nieśmiertelny właśnie rzucił klątwę na osobę, która postanowi mnie zabić! Ethan wbiegł do kręgu, szeroko rozkładając ramiona.

- Panie...!

Lorian zobaczył go i jęknął cicho.

- Zabezpieczyłem ją, Ethanie. Co jeszcze ci nie odpowiada?

Ethan odetchnął głęboko.

- Kto powstrzyma prawdziwego zdrajcę od wynajęcia morderców?

Miał rację, moje życie wciąż znajdowało się w niebezpieczeństwie. Lorian dziwnie, prawie przepaszająco skłonił głowę.

- To wszystko, co mogłem zrobić.

Rozdział 17

Matt

Odzyskali klucz. Dartemis mówił, że będę wiedział, kiedy klucz znajdzie się blisko, a teraz właśnie to czułem. Staliśmy z Dillonem i Arkarianem w jednej z komnat przylegających do komnaty głównej w siedzibie Arkariana. Robiliśmy ostatnie przygotowania przed podróżą na szczyt Olimpu. Pałac Lathenii znajdował się w miejscu, gdzie dzisiaj wznosiła się święta góra, ale w czasie przynależnym do starożytnego legendarnego świata. Bogini stworzyła dla siebie własną rzeczywistość równoległą.

— Naprawdę myślicie, że profesor Carter będzie umiał to przeprowadzić? — zapytał Dillon, kiedy zastanawialiśmy się nad tym dziwnym miejscem.

W duchu podzielaliśmy jego wątpliwości

-To będzie trudne. A ze względu na otaczające pałac zakłęcie ochronne będzie musiał zostawić nas na zewnątrz murów, a potem stamtąd zabrać.

Arkarian zastanowił się nad wątpliwościami Dillona.

- A może nam powiesz, jak ty dostawałeś się do pałacu Lathenii?

Dillon lekko wzruszył ramionami.

- Bogini zawsze trzymała mnie blisko siebie, więc po prostu zabierałem się z nią. Dała mi skrzydła całe lata temu, to pewnie też pomagało. Ale wydaje mi się, że dostanie się tam zależy w dużym stopniu od tego maga Lathenii, Keziaha.

Spróbowałem uspokoić ich obu.

- Marcus poradzi sobie z tym zadaniem.

- Pokładasz w nim wielką wiarę - odezwał się Dillon. - Jest tylko człowiekiem, wiesz. Widziałem już, jak popełniał błędy.

- Ci, którzy są ponad nami, poprowadzą jego rękę - odparłem.

Dillon pozostał nieprzekonany a jego ciekawość nie była jeszcze zaspokojona.

- Serio? To znaczy kto?

To znaczy anioły — pomyślałem, ale zachowałem to dla siebie i Arkariana. Bywają także zwani ocalonymi. Uciekli na Ziemię, kiedy ich świat został pochłonięty przez mrok i stał się światem podziemnym. Kiedy ich pierwsze miasto na Ziemi zostało zniszczone, zbudowali starożytny Yeridian, ukrywając w nim zaawansowaną technologię,

która nadal pulsuje w ciszy i tajemnicy za rozpadającymi się murami. A ponieważ ich rasa żyje tysiące lat, to właśnie ci pierwsi ocaleni zostali nagrodzeni zaszczytem nadzorowania Ziemi i jej mieszkańców. To ich śmiertelne ciała, zachowane w ludzkim kształcie, pożyczamy, kiedy podróżujemy przez labirynt Cytadeli w przeszłość.

Arkarian tylko przelotnie rzucił na mnie okiem, kiedy w myślach zgodził się, że ta rozmowa powinna pozostać między nami. Łagodnie przypomniał, że Dillon czeka na odpowiedź. Spróbowałem sobie przypomnieć, o co pytał, ale ostatecznie nie musiałem odpowiadać. Czyjaś silna ręka zapukała mocno i niecierpliwie do drzwi.

Arkarian otworzył - na zewnątrz stał Shaun, dysząc ciężko, jakby dochodził do siebie po maratonie.

— Szybko, Arkarianie. Coś się dzieje ze sferą. Zupełnie oszalała!

Poszliśmy za Shaunem do ośmiobocznej komnaty, w której znajdowała się sfera. Kiedyś jej widok mnie niepokoił, ale teraz, kiedy wiedziałem, skąd się wzięła - skąd wziął się cały sprzęt Arkariana - nie robiła już na mnie takiego wrażenia. Sfera wirowała jak wściekła, zamieniając się w jednolitą rozmazaną smugę.

Dillona to nie interesowało, myślał tylko o jednym.

— Nie mamy na to czasu! Co z Nerią? Arkarian położył mu rękę na ramieniu.

— Masz rację, Dillonie. Tempo wirowania sfery oznacza, że najprawdopodobniej nie zatrzyma się jeszcze

przez jakiś czas. Shaunie, zostań tutaj i obserwuj ją. Kiedy się zatrzyma na jakimś okresie, wypatruj czegokolwiek podejrzanego, co pozwoliłoby nam stwierdzić, co planuje Lathenia. Jeśli będziemy mieć szczęście, wrócimy, zanim sfera się zatrzyma.

Shaun skinął głową i przyciągnął sobie taboret. Jego oczy były szeroko otwarte, rysowało się w nich zmartwienie.

- Masz jakiś pomysł, co to wszystko oznacza? - wskazałem głową sferę.

Oczy Arkariana pociemniały, zdradzając najgłębszy niepokój.

- Wiem tylko tyle, że Lathenia zamierza cofnąć się daleko w przeszłość. Bardzo daleko. Musimy wracać tak szybko, jak tylko zdołamy, Matt.

- Więc na co czekamy? - krzyknął Dillon.

Arkarian przeniósł nas do Cytadeli, do komnaty z wysoką kopułą i posadzką, na której był zaznaczony kształt ośmiokąta. Stanął wewnątrz tego ośmiokąta i wręczył każdemu z nas długą srebrną pelerynę.

- Załóżcie to.

Dillon wziął swoją, ale bezustannie rozglądał się do góry i na boki.

- Co my robimy w tej części Cytadeli? To nie jest labirynt. Nie mówcie, że mamy się tam przenieść w naszych własnych ciałach?

- Udajemy się w miejsce leżące poza zwykłym czasem...

- No wiem, ale... jeśli ona nas zobaczy... Jeśli ona mnie zobaczy!

- Nie zobaczy żadnego z nas - próbowałem uspokoić Dillona.

- Nie masz pojęcia, o czym mówisz. Byłem w pałacu Lachenii. Nie ma mowy, żeby nas nie zauważyła.

- Zaułaj mi.

Dillon popatrzył na Arkariana, któremu ufał bardziej. Mistrz skinął głową i chłopak w końcu umilkł. Jednak kiedy staliśmy wewnątrz ośmiokąta, zawinięci w nasze peleryny, nie zdołał się powstrzymać od ostatniej uwagi:

- Miejmy tylko nadzieję, że profesor Carter nie przeniesie nas za daleko od murów pałacu.

W duchu zgodziłem się z nim. Bez dalszych myśli czy dźwięku zaczęliśmy się dematerializować, a kilka sekund później pojawiliśmy się na niestabilnym gruncie. Ruszyłem naprzód na oślep, potykając się. Była noc, a *wyjący* wiatr zacinał nam w twarz deszczem zmieszany ze śniegiem.

- Wszystko w porządku? - Głos Arkariana przebił się przez wicher.

Obróciłem się, naciągając na głowę kaptur, i zobaczyłem, że obaj robią to samo.

- Gdzie jesteśmy?

Dillon rozejrzał się wokół, nadal przyzwyczajając wzrok do ciemności.

- Dobre pytanie.

- Czy widzisz coś znajomego? — zapytał go Arkarian. Potrząsnął głową, próbując coś dostrzec mimo okropnej pogody.

- Powinniśmy chyba kierować się na północ.

Arkarian i ja wymieniliśmy zaniepokojone spojrzenia. Nie mieliśmy czasu, żeby tracić go na poszukiwanie drogi w nieznanym miejscu.

Ruszyliśmy naprzód, a zacinający deszcz ze śniegiem ograniczał widoczność niemal do zera.

- Mówiłem, że to będzie za trudne - mruknął Dillon.

Godzinę później, zmarznięci i zmordowani, dotarliśmy do stóp skalistego wzniesienia. Nagle Dillon ożywił się.

- Znam to miejsce.

Wreszcie! Ruszyliśmy za nim, pełzając na czworaka po głazach aż na szczyt. Przed nami, w ciemności, wznosił się pałac przypominający twierdzę rodem z baśni — bardzo mrocznej baśni. Większość budowli zasłaniała wirująca mgła, ale na wieżyczkach i wzdłuż murów paliły się światła.

Arkarian zmrużył oczy, wpatrując się w ciemność.

- Nigdy wcześniej nie widziałem takich kusz. Przypominają raczej pistolety.

- To ta broń, o której wam mówiłem - wyjaśnił Dillon. — Z zatrutymi grotami, które powodują natychmiastową śmierć. Potrafią nimi celnie strzelać na odległość trzystu metrów, a groty przypominają igły i nie muszą nawet przebić żadnego ważnego organu, żeby

zabić. Wystarczy draśnięcie. Zdolności uzdrowicielskie Isabel byłyby bezużyteczne, nawet gdyby była tutaj albo gdybyśmy zdążyli do niej dotrzeć dostatecznie szybko. Mam nadzieję, że te peleryny nas ochronią albo niebawem będą tutaj trzy trupy.

— Dzięki, Dillon.

— Słuchaj, Matt, łatwo ci mówić, że powinienem po prostu wam zaufać, ale muszę zapytać: jak zamierzamy to przeprowadzić tak, żeby nie dać się najpierw zabić?

Upewniłem się, że jesteśmy nadal niewidoczni z wież strażniczych, i wyjaśniłem podstawy mojego planu:

— Kiedy dowiem się, gdzie dokładnie jest przetrzymywana Neria, otoczę każdego z nas zasłoną niewidzialności.

— Uczynisz nas niewidzialnymi? — upewnił się Dillon i na moment odzyskał nadzieję. — To dobry pomysł, ale czy psy nas nie wywęszą?

Arkarian w myślach przekazał mi, że zastrzeżenie Dillona jest słuszne.

— I nie zapominaj o ochronnej barierze wokół pałacu — dodał Dillon. — Jest magiczna, wiesz.

— Dostanie się do środka nie będzie trudne. Kiedy będę wiedział, gdzie jest uwięziona Neria, zdejmę tę zaklętą barierę na dostatecznie długo, żebyśmy mogli użyć skrzydeł i zmaterializować się bezpośrednio w jej komnacie.

— Potrafisz to zrobić?

-Tak.

- No dobra. Ale jak już ją znajdziemy, to jak mamy ją wydostać? Neria nie ma jeszcze skrzydeł, prawda?

- Sprawię, że także stanie się niewidzialna i... pójdziemy pieszo.

- Jasne, nie ma sprawy!

- Uda się, Dillon.

- Zapominasz o jednej rzeczy.

- Jakiej? - zapytał Arkarian.

- Nie możemy użyć skrzydeł, jeśli nie potrafimy zobaczyć w głowie miejsca, w które się wybieramy. A my nie wiemy, w której komnacie ją trzymają.

Położyłem łagodnie rękę na ramieniu Dillona. Mój plan opierał się w całości na jego pamięci.

- Mówiłeś, że bywałeś już wcześniej w tym pałacu? Skinął głową.

- Chciałbym, żebyś przypomniał go sobie dla mnie, komnata po komnacie i korytarz po korytarzu - wyjaśniłem. - Przywołaj w myślach ich obrazy. Wykorzystam je, żeby przeniknąć do pałacu siłą umysłu i znaleźć Nerię. Kiedy to zrobię, powiem ci, gdzie jest uwięziona. Znasz pałac, więc będziesz mógł użyć skrzydeł, żeby się tam dostać. Arkarian jest myślowidzącym, tak jak ja, więc mogę podzielić się z nim obrazem i pokazać mu drogę.

W końcu Dillon zaczął wierzyć, że ta misja ratunkowa ma szansę się powieść. Uśmiechnął się do mnie, gotów natychmiast zaczynać.

- Łapię. No dobra, niech pomyślę... - Zamknął oczy, a ja zrobiłem to samo. — Główna brama jest zrobiona z żelaza, ma dwanaście metrów wysokości. Widzisz ją?

Wspomnienia Dillona były wyraźne, nie musiał ich opisywać na głos, ale jeśli taki sposób bardziej mu odpowiadał, mnie to nie przeszkadzało.

- To potężna brama - odparłem. - Jak się ją otwiera?

- Poruszający nią mechanizm nadzoruje odźwierny.

- Pokaż mi go.

W mojej głowie pojawił się obraz uzbrojonego żołnierza, który poruszał całym szeregiem dźwigni w określonej kolejności. Przyglądałem mu się uważnie. Brama otwarła się, a ja wszedłem do środka, kierowany przez wspomnienia Dillona.

- Zewnętrzny dziedziniec jest otwarty, nie ma tam żadnej osłony - wyjaśnił Dillon. - Widzisz to brukowane przejście po prawej? Uważaj, ono doprowadzi cię do drzwi wewnętrznego dziedzińca.

Kiedy drzwi się otwarły, zobaczyłem ciemną i pustą brukowaną przestrzeń. To miejsce mogło nam się przydać podczas ucieczki. Ale wtedy Dillon ostrzegł:

- To tutaj przebywają psy.

Ten chłopak był naprawdę wspaniałym źródłem informacji.

- Spójrz w prawo — powiedział. - Tam jest tunel, zrobiony w całości z grubego, wygiętego szkła. Widać z niego zewnętrzny dziedziniec, ale wszystko jest za-

mazane. - Pojawił się tunel. - Wejście do pałacu jest na końcu tego tunelu. Drzwi są z brązu, ze złotymi ozdobami w kształcie lwich głów. Mają ze sześć metrów wysokości i są zwieńczone łukiem. Zobaczyłem je i zbliżyłem się do nich.

- Za nimi znajduje się wielka sala. To ogromne, puste pomieszczenie, prawie bez mebli. Jest tam tylko kilka długich stołów i krzesła. Po przeciwnej stronie pali się ogień, ale szczelnie zasłonięty szybą. Lathenia nie przepada za płomieniami.

Wiedziałem o tym, ale zachowałem te myśli dla siebie.

- Mów dalej.

Dillon kontynuował wizualizowanie i omawianie pałacowego wnętrza, od wielkiej sali do wybiegających z niej korytarzy, wielkiej biblioteki, gabinetów, sypialni, kuchni, salonów i tak dalej. Kiedy mówił, ja poszukiwałem jakiegoś śladu Nerii.

Najwyraźniej nigdzie jej nie było.

- Czy w podziemiach są lochy? - zasugerował Arkarian.

- Jasne, że są - odparł Dillon. - Ale... Marduk nie wsadziłby tam chyba własnej córki, prawda? Tam na dole są istoty, które w ogóle nie powinny chodzić po tym świecie... po żadnym świecie!

Nie miałem ochoty zobaczyć Nerii w takim miejscu, ale trzeba było sprawdzić te lochy. Po chwili milczenia Dillon odetchnął głęboko, zupełnie jakby chciał się przygotować na najgorsze.

— Jeśli chcemy zejść na dół, musimy pójść tym korytarzem wychodzącym z wielkiej sali, do którego drzwi są zamknięte na kłódkę. Widzisz schody? Są długie, strome i ciemne, ale idź naprzód. Na dole skręć w lewo, zobaczysz tunel wykładany cegłą. Jest wilgotny i śliski, ale na ścianie powinna być lampa. Kolejne schody. Idź nimi w dół aż do drugiej zaryglowanej bramy.

Korytarz był wąski i obmurowany cegłami. Tak jak mówił Dillon, było w nim ciemno, tylko światło z płonących świec migotało upiornie na brukowanej posadzce. Kiedy przeszliśmy przez drugą bramę, zobaczyłem cele po obu stronach. Ruszyłem ostrożnie mokrym, brukowanym przejściem pomiędzy nimi i starałem się nie zakrztusić. Odór był niewyobrażalny, ale było tam coś jeszcze: wrażenie zła tak bezgranicznego, że znajdującego się praktycznie poza ludzkim pojmowaniem.

Dillon zamilkł, a ja przeszukiwałem cele w lochach. To, co zobaczyłem, zaszokowało mnie tak, że aż się wzdrygnąłem. Ktoś lub raczej coś było uwięzione w pierwszej celi, ale to z pewnością nie była Neria. To nie był nawet człowiek. Spacerowało niespokojnie od ściany do ściany, wydając głośnie, jęgliwe dźwięki. Mój umysł prześlizgnął się do kolejnej celi, w której kryła się inna istota. Zniecierpliwiona, rzuciła się na ścianę. Cała cela zawibrowała, a z sufitu zaczęła kapać woda. Kolejny łoskot, tym razem bliżej mnie. Przyjrzałem się uważniej i zobaczyłem, że starożytne cegły przebił czubek zwierzęcego rogu. Wątpiłem, by nawet Lathenia

umieściła Nerię w tym piekielnym mikrokosmosie, ale dla pewności sięgnąłem umysłem do wszystkich sześciu cel, zanim się wycofałem.

Otworzyłem oczy i zobaczyłem, że Dillon i Arkarian wpatrują się we mnie pytająco. Całe moje ciało drżało, jakbym próbował strząsnąć z siebie to lepkie wrażenie z lochów.

-Nic.

- No to gdzie ona jest? - jęknął Dillon.

- Pomyśl - powiedział mu Arkarian. - Czy jest jeszcze jakaś komnata, jakiegokolwiek miejsce w obrębie pałacowych murów, którego nie pokazałeś Mattowi?

Gwałtownie zsunął kaptur.

- Jest jeszcze jedna możliwość. Ale nie...

- Powiedz nam - odparł łagodnie Arkarian. Odetchnął głęboko.

- Jest takie miejsce... Coś jak wieża - ale to nie wieża...

- Gdzie ona jest? - spróbowałem szybko przywołać obraz. Byliśmy tu już tak długo, a nadal znajdowaliśmy się na zewnątrz.

- Gdzieś w południowym rogu wewnętrznego dziedzińca.

Nie pojawił się żaden obraz.

-To nie jest szczególnie precyzyjne - powiedziałem. Sfrustrowany Dillon potarł palcami skronie.

- Nigdy jej nie widziałem, więc naprawdę nie mogę ci pomóc. Jeśli Neria tam jest, to wszystko przepadło.

- Powiedz mi wszystko, co wiesz o tej wieży.
- Mówiłem, to właściwie nie jest...
- I tak mi powiedz.
- Bogini nazywa to miejsce swoją klatką.
- To jest klatka? — zapytał Arkarian, wymieniając ze mną zaniepokojone spojrzenie.
- Wisi w powietrzu na wysokości jakichś stu metrów, podtrzymywana przez magię. Przynajmniej tak mi mówiono.
- Arkarian zmarszczył brwi jeszcze mocniej, patrząc na Dillona.
- Znasz ten pałac, jakbyś spędził tam całe życie, więc jak to możliwe, że nigdy nie widziałeś tej... klatki?
- Zawsze, kiedy na nią patrzyłem, była schowana w szarej mgle, która cały czas ją otacza.
- Hmm - mruknął Arkarian. - Doskonała cela więzienna. Taka, której nie można zobaczyć.
- Może... - przelałem swoje myśli w słowa. — Ale naprawdę wątpię w jej doskonałość.
- O czym myślisz?
- Że nic nie może wisieć w powietrzu, z pomocą magii czy bez. Myślę, że zaklęcie skrywa wejście do wieży.
- Przyszedł mi do głowy pewien pomysł, jak mógłbym sam zobaczyć tę „klatkę”. Odszedłem na bok, ale przypomniałem sobie o moich towarzyszach.
- Zaczekajcie tutaj. Mam pewien pomysł, jak przyjrzeć się tej klatce. Gdybym nie wrócił w ciągu dwudziestu minut, chcę, żebyście wrócili do Cytadeli i tam

na mnie zaczekali. Między tymi głazami nie jest bezpiecznie, prędzej czy później psy wyczują wasz zapach. Nie wiem dokładnie, ile wytrzyma moja zasłona nie-widzialności, więc nie chcę jej tworzyć, dopóki nie będziemy gotowi. A ty, Arkarianie, powinienesz niedługo sprawdzić, co się dzieje ze sferą.

- Hej! - sprzeciwił się Dillon. - Nie ma mowy, żebym się stąd ruszył bez Nerii.

Zaufałem instynktowi i zignorowałem żądania Dillona, wyczuwając, że jego emocje mogą ściągnąć na nas wszystkich zagrożenie. Skierowałem myśli do Arkariana. *Jeśli zostawisz go tutaj, może spróbować sam ratować Nerię.*

Cofnąłem się w ciemność. Kiedy znalazłem się poza ich polem widzenia, spróbowałem użyć jednej z mocy, które opanowałem podczas pobytu u Dartemisa. To była ta, która zaskakiwała mnie najbardziej, nie tylko za pierwszym razem, kiedy jej używałem, ale także za każdym kolejnym. Zamknąłem oczy i znalazłem wewnętrzne skupienie. Nie zmuszając się do tego, skoncentrowałem całe moje jestestwo na jednej myśli. *Jednej myśli!* A wtedy ona przepłynęła przeze mnie. *Orzeł.*

Z łatwością, do której wciąż się przyzwyczajałem, moje ramiona zmieniły się w potężne skrzydła, podczas gdy nogi i reszta ciała przekształciły się w ptasią postać. Chociaż robiłem to już wiele razy, nadal byłem zdumiony wrażeniem niemal całkowitej nieważkości i objętości mojej piersi i płuc. Machnąłem skrzydłami

i wzbiłem się w górę, wzlatając w ciemnym, pełnym śniegu wietrze w postaci orła przedniego.

Unosiłem się wysoko ponad pałacem, pilnując, aby znaleźć się poza zasięgiem chroniącego go uroku. W dole było dużo wirującej mgły, ale orli wzrok okazał się niesamowicie ostry. Pałacowe dziedzińce były przestronne i otwarte. Zobaczyłem, jak psy Lathenii przemierzają je niestrudzenie, jeden zawył, a pozostałe szybko poszły jego śladem. Coś wyczuły — musieliśmy być bardzo ostrożni.

Opadłem w dół, tak nisko, jak tylko mogłem, by pozostać niewykrytym, i zacząłem wypatrywać „klatki”. Zatoczyłem niemal pełne koło wokół dziedzińców, zanim ją zauważyłem, ukrytą we mgle. Kiedy zbliżyłem się dostatecznie, skoncentrowałem się na zdjęciu zakłęb dokładnie znad klatki.

Teraz rozumiałem już, skąd wzięła się jej nazwa. Kopulasty kształt wisiał jakby w powietrzu, utkany z tak drobnej siatki, że nie prześlizgnąłby się przez nią nawet najmniejszy ptak. Ale to nie ptak zajmował w tym momencie klatkę. Neria siedziała tam z ramionami owiniętymi ciasno wokół kolan, drżąc na podłodze ze szklanych cegieł.

Przyjrzałem się uważnie delikatnej srebrnej siatce, która otaczała klatkę. Nie było mowy, żebym w orlej postaci precyzyjnie przeszedł przez nią czy też przedostał przez zaporę otaczających ją zakłęb. Szybko zająłem się najpierw rozpoznawaniem, a potem rozplątywa-

niem czarów, które zamieniały klatkę Nerii w bezpieczne więzienie. Następnie przemieniłem się w ćmę. W pierwszej chwili trudno było mi się przystosować do zmiany. Moje skrzydła uderzały z szaloną prędkością, ale spełniały swoje zadanie, ponieważ po drodze otarłem się o siatkę tylko raz czy dwa.

Wewnątrz powróciłem do ludzkiej postaci.

Neria podskoczyła i zaczęła się wycofywać po podłodze.

- Neria - wyszeptałem. - To ja, Matt. Odwróciła głowę i zobaczyła, że to ja.

- Mów szeptem - ostrzegłem. - Jesteśmy wysoko, ale nie chcemy, żeby nasze głosy dotarły do psów.

-To naprawdę ty, Matt? Skąd się tu wziąłeś? - Machnęła ręką w powietrzu. - Nie, nie odpowiadaj. To ty byłeś tym orłem, który przed chwilą zaglądał do klatki.

Wstała i podeszła do mnie niepewnie.

- Wiesz coś o mojej matce?

-Jest bezpieczna i pod dobrą opieką. Nie musisz się o nią martwić.

- Mówisz to dlatego, żebym wróciła z tobą?

- Nie kłamię, Nerio. Twoja matka wróciła na wyspę, na której się wychowywałaś. To teraz dla niej najbezpieczniejsze miejsce. Dlatego nie musisz tu dłużej zostawać. Przysięgam, że to prawda.

Skinęła głową na znak, że mi wierzy.

- A Silos i Aysher? - zapytała. - Czy z nimi też wszystko w porządku?

Przez moment nie wiedziałem, o kim ona mówi, ale w mojej głowie pojawił się obraz jej psów. Podświadomie przymknąłem oczy, zbierając myśli, żeby przekazać jej wiadomość. Zauważyła, że coś jest nie tak.

- Powiedz mi, Matt. Szybko! Nie mogę znieść rozłąki z nimi. Czuję się tak, jakby zabrano mi obie ręce. Powiedz mi, że wszystko z nimi dobrze. Proszę.

- Przykro mi, Nerio. Nie ma ich.

- Nie ma? Jak to? Co to znaczy?

- Kiedy Marduk zabierał cię z naszego świata, psy także skoczyły za tobą, ale powiedziano mi, że zniknęły w momencie, kiedy znalazły się po drugiej stronie. Nie widziano ich od tamtej pory.

Z cichym okrzykiem bólu Neria odwróciła się do mnie tyłem i ścisnęła siatkę palcami tak mocno, że pobieleły. Położyłem rękę na jej ramieniu. Wyprostowała się i przełknęła łzy.

- Nic mi nie jest. - Chwilę później odwróciła się i spojrzała na mnie. — Nie chciałam, żebyś tu przychodził.

- Skoro twoja matka jest bezpieczna, nie ma powodu, żebyś tu pozostawała.

Rozejrzała się, zatrzymując wzrok na otaczającej nas drobnej siatce.

- Nie każdy potrafi przemienić się w ćmę tak małą, żeby uciec z tego więzienia.

- Nie, ale jest inna droga wyjścia. Na zewnątrz, na wzgórzu pod murami pałacu, czekają Arkarian i Dil-

lon, którzy mają mi pomóc. Wrócę do nich teraz, żeby pokazać im drogę do tej wieży, a potem cała nasza trójka użyje skrzydeł, żeby się tu znaleźć. Potem stworzę zasłonę niewidzialności. Żeby była skuteczna, musimy uważać i poruszać się całkowicie bezgłośnie. Ale przede wszystkim chciałbym wiedzieć, kto cię tu zamknął? Wiem, że Marduk jest potworem, ale... jest też twoim ojcem.

- Początkowo przygotował dla mnie piękny pokój i spędzaliśmy tam razem długie godziny. Miałam wrażenie, że zaczynam go naprawdę dobrze poznawać.

- Więc co się stało?

- Kiedy obserwowała nas Lathenia, obudził się jeden z moich talentów. Zaskoczyło ją to, więc zamknęła mnie tutaj, żebym nie mogła uciec.

- A Marduk się na to zgodził? - Machnąłem ręką, wskazując na lodowate otoczenie.

- Kłócili się przez całą noc. W pewnym momencie wydawało mi się, że słyszałam, jak ją... błagał - wyszeptała Neria i umilkła.

Nie drażyłem już więcej tematu, widać było, że jest dla niej bolesny. Poza rym czas mijał zbyt szybko. Arkarian miał czekać dwadzieścia minut i ani sekundy dłużej.

- Muszę już iść, ale niedługo wrócę. - Wyjąłem srebrzystą pelerynę ochronną, taką samą, jak moja. - Masz. - Zamierzałem podać jej okrycie, ale kiedy wyciągnęła rękę, rozprostowałem pelerynę i postanowi-

łem sam otulić nią Nerię. Kiedy to robiłem, jej ciepły oddech załaskotał moją szyję. To mnie wytrąciło z równowagi, zacząłem niezręcznie zawiązywać jej pelerynę pod szyją, mając wrażenie, że mam nie dziesięć, a dwadzieścia palców, i to podwójnie grubych.

Podniosła dłonie, żeby sama zawiązać pelerynę, ale jej palce musnęły moje i zanim się obejrzałem, nasze dłonie splotły się mocno. Spojrzałem jej w oczy, ona odwzajemniła mój wzrok. - Mart - wyszeptała. - Czy już mnie poznajesz? To były dziwne słowa. Nie miałem pojęcia, co powinienem odpowiedzieć. Zamiast tego wpatrywałem się jak urzeczony w jej uniesioną anielską twarzyczkę. Jej usta, tak pełne i czerwone, uniosły się do mnie, a ja się pochylałem. Teraz byłem tak blisko, że żar jej ciała łączył się z żarem mojego. Byłoby niezwykle łatwo zrobić jeszcze jeden krok. *Co ja wyprawiam?*

Ale w jej oczach była nieskrępowana akceptacja tego, kim jestem, kim ona jest, kim możemy stać się razem.

Kiedy patrzyłem jej w oczy, czułem, że spadam. To było przyjemne uczucie, zupełnie jakby to spadanie było czymś właściwym. Miałem wrażenie, że na dnie tego upadku jest tylko wolność. Wolność takiego rodzaju, jakiego nie znałem wcześniej. Zbliżyłem się jeszcze bardziej, a potrzeba stania się jednością z tą dziewczyną stała się nieodparta. Niecierpliwa. Zastanowiłem się,

czy powinniśmy to zrobić tutaj, na tej zimnej kryształowej posadzce.

Jej dłoń dotknęła mojego policzka. Ten dotyk był ciepły i miękki, ale to właśnie on przywrócił mnie do rzeczywistości. Miłość mnie osłabi. Dlatego zanim zdążyłem popełnić ogromny błąd, gwałtownie odwróciłem głowę.

- Nie rób tego.

Na jej twarzy odmalował się żal, a ja odsunąłem się od niej.

- Co się stało, Matt? - zapytała.

Był tylko jeden sposób, żeby uniknąć przywiązania się do tej dziewczyny.

- Nie jestem zainteresowany. Jasne? Zamrugła szybko, jakby zaskoczona.

Żeby mieć pewność, że zrozumiała, tuż przed tym, nim przemieniłem się z powrotem w ćmę, dodałem:

- Nigdy nie będę.

Po kilku uderzeniach miękkich jak puch skrzydeł znalazłem się na zewnątrz klatki i szybko przeistoczyłem się w orła. Nie oglądając się, wzniosłem się wysoko ponad pałacowym dziedzińcem i skierowałem do kryjówki pomiędzy głazami.

Arkarian i Dillon ucieszyli się na mój widok. Dillon był pierwszy.

- Znalazłeś ją?

Skinąłem głową, ale zanim zdążyłem wszystko wyjaśnić, Arkarian poinformował mnie:

- Psy stały się niespokojne, co zaalarmowało strażę. Musimy się pospieszyć, Matt.

Szybko wyjaśniłem, gdzie znajduje się klatka, i chwilę później cała nasza trójka zmaterializowała się w środku. Neria przyjęła naszą obecność bez słowa. Dillon przytulił ją. Odwzajemniła sztywno uścisk, spoglądając ponad jego ramieniem na mnie. Dillon wyczuł, że coś jest nie tak i odsunął się. Zobaczył, że Neria patrzy na mnie i zmrużył oczy. Ale wiedzieliśmy, że nie możemy się odezwać ani słowem, więc do jakichkolwiek wniosków by nie doszedł, zachował je dla siebie.

Zaczęliśmy z Arkarianem w milczeniu szukać wyjścia z klatki. Neria potrząsnęła głową - uważała, że ono nie istnieje. Ale musiało gdzieś być - wystarczyło tylko je znaleźć.

Arkarianowi udało się to szybko. Jedną myślą zmusiłem do otwarcia klapę w szklanej podłodze klatki. Odskoczyła, odsłaniając połyskliwe schody z kryształu, biegnące spiralnie aż na parter.

Dillon gestem zachęcił Nerię, żeby szła pierwsza. Złapałem ją za ramię - jeszcze nie utkałem zasłony niewidzialności. Arkarian zrozumiał i machnięciem ręki zatrzymał pozostałych. Zamknąłem oczy i przywołałem nieruchomość umysłu, a następnie jedną myślą uczyniłem nas niewidzialnymi. Udało się. Nie widziałem pozostałych, ale czułem, że są koło mnie. I faktycznie - kiedy wyciągnąłem rękę, ich dotyk był wystarczająco rzeczywisty.

Zaczęliśmy schodzić po schodach. Zajęło nam to dobrą chwilę, tak były długie. Kusiło nas, żeby użyć skrzydeł i wynieść się stąd w diabły, ale Neria nie miała jeszcze tej mocy, a gdybyśmy się wpakowali w kłopoty, potrzebowaliśmy wszystkich naszych talentów, żeby chronić siebie nawzajem.

Dotarliśmy na sam dół i stanęliśmy przed grubymi szklanymi drzwiami, przez które wszystko wydawało się rozmazane. O ile dobrze przypomiiałem sobie położenie klatki, wszystko na zewnątrz powinno być spowite szarą mgłą i - miałem nadzieję - niezbyt pilnie strzeżone. Ostrożnie nacisnąłem klamkę. Drzwi otwarły się, więc wyjrzałem na zewnątrz. Nikt nie patrzył w naszym kierunku, tylko dwa psy spacerowały nieopodal po dziedzińcu. Miałem nadzieję, że ta zasłona niewidzialności utrzyma się dłużej niż podczas moich dotychczasowych prób.

Pojedynczo wyszliśmy z wieży i ruszyliśmy przez brukowany dziedziniec. Dillon objął prowadzenie, tak jak się umówiliśmy. Udało nam się prawie dotrzeć do drugich szklanych drzwi, kiedy dwa psy pojawiły się z boku dziedzińca, sprawiając wrażenie dziwnie dezorientowanych. Węszyły powietrze i powoli ruszyły w naszą stronę po łuku. Wyczuwały coś, ale nasza niewidzialność zakłóciła ich zwykłe zdolności rozumowania.

- Nie zatrzymujcie się - ponagliłem pozostałych. Ale psy były sprytne: zaczęły węszyć niewidzialne ślady, które zostawialiśmy. Jeden z nich nieoczekiwanie

podniósł łeb i zawył. To był znak. Wieżyczki ożyły, a po nas zaczęły się przemykać snopy światła.

- Stać! Kto tam jest?

- Pokażcie się albo będziemy strzelać! - krzyknął inny głos.

Przynajmniej nadal nas nie widzieli, a to znaczyło, że nie widzą nas także psy, jak sprytne by nie były. Szliśmy szybko naprzód, pokonując ostatnie metry dzielące nas od cienia głębokiej niszy.

Kiedy znaleźliśmy się poza zasięgiem reflektorów, Dillon znalazł drzwi i bardzo powoli je otworzył. Przeszliśmy przez nie, oddalając się od wężących psów. Kiedy znaleźliśmy się w środku, Dillon dotknął mojego ramienia. Upewniał się, że idę za nim. W tym momencie dostrzegłem w nim to, co musiała widzieć lady Arabella, a moje zaufanie do niego wzrosło.

Nagle zatrzymał nas wszystkich w pół kroku. Zaraz zrozumiałem dlaczego. Usłyszałem niedaleko głosy -szybko zorientowałem się, że dobiegają z korytarza, który musimy minąć, aby dotrzeć do wielkiej sali. Czekaliśmy nieruchomo, skuleni przy drzwiach. Szybko przekonaliśmy się, do kogo należy jeden z tych głosów. To była Lathenia. Arkarian złapał mnie za ramię i mocno ścisnął. Rozpoznał drugi głos i był wstrząśnięty. W tym momencie zobaczyłem idącą w naszym kierunku Boginię, a obok niej mężczyznę o pogodnym śmiechu. Zachowywali się poufale, jakby łączyła ich bliska zażyłość. Mężczyzna był ubrany w długą czerwoną szatę.

Zobaczyłem jego twarz i ten widok sprawił, że straciłem koncentrację. Na moment zasłona niewidzialności osłabła. Szybko zająłem się odtworzeniem jej.

Kiedy przeszli koło nas, uścisk Arkariana na moim ramieniu stał się mocniejszy. Był w szoku. Obaj byliśmy. Patrzyliśmy, jak nasz długo wyczekiwany król idzie pod ramię z naszym największym wrogiem. Ryszard odwrócił głowę i przez moment patrzył prosto w moim kierunku. Na szczęście jednak nie mógł mnie zobaczyć i po chwili przeniósł całą swoją uwagę na Lathenię.

Na razie zachowajmy to dla siebie, Matt - myśl Arkariana rozbrzmiała grzmiotem w mojej głowie.

Kiedy tylko za tą dwójką zamknęły się drzwi, Dillon pogonił nas dalej. Arkarian i ja nie potrafiliśmy oderwać spojrzenia od drzwi, za którymi zniknął nasz król. Drzwi do sypialni Lathenii.

Wnętrze pałacu było ciche, kręciło się po nim tylko kilkoro służących, więc bez dalszych przeszkód dotarliśmy do drzwi z brązu i przeszliśmy szklanym tunelem. Byłem wciąż wytracony z równowagi widokiem króla Ryszarda z Boginią, więc minęła długa chwila, nim zorientowałem się, co się zaraz stanie. Dillon trzymał rękę na klamce, gotowy ją nacisnąć. Ale te drzwi były doskonale widoczne z dziedzińca, a na wieżyczkach czuwali wartownicy. Wprawdzie nadal byliśmy niewidzialni, ale otwierające się drzwi musiałyby zwrócić ich uwagę.

Dłoń Dillona zaczęła naciskać klamkę, a między mną a nim byli Arkarian i Neria. Nie mogłem się odezwać i zdradzić naszego położenia. *Nie!* Moje myśli przepchnęły się do Arkariana. Sięgnął do przodu, ale zbyt późno. Drzwi stanęły otworem.

Niemal natychmiast zauważył to wartownik na wieży strażniczej. Reflektory zaświeciły nam prosto w twarze, ale byliśmy już niedaleko zewnętrznych murów dziedzińca. Dopóki znajdowaliśmy się pod osłoną niewidzialności, wystarczyło, że pobiegniemy do nich, trzymając się na dystans od psów.

Ale psy okazały się zbyt szybkie. Popędziły za nami, a chociaż nadal sprawiały wrażenie lekko dezorientowanych, biegły prosto w naszym kierunku. Nie spuszczałem ich z oka i niebawem zauważyłem, że ich wzrok stał się pewniejszy. Ślina pieniała się w ich pyskach, kiedy obnażyły dziąsła i zawarczały. Zasłona niewidzialności rozpadała się! Powietrze wokół nas przeszyły groty strzał. Nie było już sensu zachowywać milczenia.

- Szybciej! - krzyknąłem, podczas gdy psy pędziły za nami, a strzały spadały coraz bliżej.

Kiedy zasłona niewidzialności całkowicie znikła, złapałem Nerię za rękę i wsunąłem ją w dłoń Dillona.

- Zabierz ją i biegnijcie do bramy. Będę was stąd osłaniał i dopilnuję, żeby brama się otworzyła. Otulajcie się ciasno płaszczami, to was ochroni przed tymi strzałami. Kiedy będziecie na wzgórzu, zawołaj Marcusa. Pamiętaj, że z powodu zaklęcia ochronnego wo-

kół pałacu możesz go zawołać dopiero spoza murów twierdzy. Nie czekajcie na nas. Jasne? - Skinął głową i mocno ścisnął rękę Nerii. Patrzyła na mnie przez chwilę, jakby wahała się, czy odejść. - Biegnijcie! Odwrócili się i pobiegli.

- Zajmę się psami - ofiarował się Arkarian.

Ale dwa pierwsze psy były szybkie i zanim Arkarian zdążył użyć wobec nich swojej mocy, przeskoczyły ponad nami i pobiegły dalej.

- Biegną za Nerią! - syknął Arkarian.

Zanim zdążyliśmy się odwrócić, psy już zaatakowały. Dillon szybko zepchnął tego, który na niego skoczył, ale pies przygniatający Nerię zamierzył się straszliwymi zębami na jej gardło.

We dwóch zdołaliśmy zrzucić z niej psa, a Arkarian użył swoich mocy, żeby poskromić całą siódemkę, która tymczasem zebrała się wokół nas. Ale jego władza nad nimi była niepewna. Cofnęły się zaledwie o krok, warcząc i szykując się do kolejnego ataku.

Dillon spróbował podnieść Nerię.

- Szybko! Ma ranę na szyi, patrz tylko!

Była ranna, ale nic nie mogłem dla niej zrobić tutaj, na dziedzińcu, gdy strzały sypały się na nas z wieżyczek i słyszeliśmy odgłos zbliżających się szybko kroków. W każdej chwili mogliśmy zostać otoczeni przez strażę, a Neria nie miałaby wtedy szans na ucieczkę.

- Dillon, Arkarian, użyjcie skrzydeł i uciekajcie stąd!

Dillon potrząsnął głową. Neria, którą trzymał w ramionach, szybko słabła.

- Nie ma mowy. Chcesz ją mieć dla siebie. Chcesz zostać bohaterem.

Złapałem go z tyłu za ramię, podniosłem i zasyczałem mu do ucha:

- Słyszysz to? - wskazałem brukowane przejście. -To są kroki żołnierzy i zbliżają się naprawdę szybko. Chcesz zostać złapany w pałacu Lathenii? Powiedz mi, jak myślisz, co zrobiłaby z tobą, swoim niegdyś zaufanym żołnierzem? Obaj widzieliśmy jej lochy. Nie chcesz tam trafić.

Na moment spojrzał na Nerię.

- OK, zrobię to.

- Nie zmuszaj mnie, żebym cię zostawił - syknął mi przez ramię Arkarian.

- Powiedziałeś, że od tej pory to ja wydaję rozkazy. Rozkazuję ci uciekać.

Szybko odwrócił spojrzenie, a potem skinął głową, wyraźnie niezadowolony z mojej decyzji. Ale na szczęście obaj zniknęli. Przynajmniej oni wrócili bezpiecznie do domu. Pochyliłem się, żeby pomóc Nerii wstać. Strzała z kuszy świsnęła między nami tak blisko, że jej pęd rozwiały włosy dziewczyny.

Naciągnąłem jej kaptur na głowę.

- Owiń się ciasno peleryną.

- Użyj skrzydeł - mruknęła słabo. Złapałem jej rękę i przyłożyłem do rany.

-Trzymaj ją tak i przyciskaj mocno.

- Matt, uciekaj, proszę!

Pod nieobecność Arkariana psy zrobiły się niespokojne. *Precz!*- wymusiłem na nich swoją wolę. Zaskomlały i skuliły się, opuszczając łby do ziemi.

Dudniące kroki oznajmiły przybycie tuzina żołnierzy. Unieśli kusze i wycelowali prosto w nas, przygotowując do strzału zatrute strzały. Był z nimi Marduk, a kiedy zobaczył Nerię, z szyją i ramionami zalanyymi krwią, kolory odpłynęły z jego twarzy równie szybko, jak krew ciekąca jej przez palce. Warknął i wydał nieprzyjazny pomruk.

- Oddaj mi ją!

Na dźwięk szorstkiego głosu Marduka psy odzyskały odwagę. Podobnie jak żołnierze, popatrzyły na swego pana w oczekiwaniu rozkazów.

- Nie strzelajcie!

- Potrzebny jej szybko uzdrowiciel - powiedziałem mu.

- Mamy tu uzdrowiciela.

-Aco potem? Pozwolisz, żeby Lathenia znowu trzymała ją uwięzioną w tej klatce dla ptaków? Tam jest lodowato zimno. Jak myślisz, jak długo Neria to wytrzyma?

Jego jedyne oko zaśniło i otworzyło się szeroko, a połowa ust zacisnęła się w wąską linię.

Na balkonie w murze oddzielającym wewnętrzny dziedziniec rozblysło światło i pojawiła się na nim Lathenia. Sama.

-Jakieś problemy, malutki?

Marduk ciężko i ohydnie westchnął, a potem odwrócił się lekko.

- Nic, z czym nie mógłbym sobie poradzić, pani. Neria prawie zemdląa, a Marduk podbiegł w jej stronę. Pomogłem jej utrzymać równowagę. Otworzyła oczy.

- Ojczy...

Marduk zawahał się - nie miałem się nigdy dowiedzieć, czy to było celowe, czy też nie. Ale ten jeden moment wystarczył, żebym mógł użyć własnej magii. Szybko obmyślałem plan, patrząc w mroźne, wypełnione deszczem i śniegiem powietrze.

- Uważajcie na niego! - krzyknęła Lathenia.

Za późno, Bogini. Nawet żołnierze byli bez szans. Jedną myślą zamieniłem deszcz ze śniegiem w ogień. Nagle powietrze stało się gęste i żywe, nie dało się w nim oddychać. Psy zaskowyczały i uciekły, żeby schronić się przed żarem. Strażnicy byli zdezorientowani.

- Powietrze się pali!

- Co to za czary?

- Uciekać!

Stojąca na balkonie Lathenia wrzasnęła, a jej krzyk odbił się echem od otaczających nas murów. Ogień był jedyną rzeczą, jakiej się lękała, i gotowa była zrobić wszystko, żeby go uniknąć. W ogólnym zamieszaniu złapałem Nerię w ramiona i pobiegłem do głównej

bramy, w myślach poruszając dźwigniami w odpowiedniej kolejności. Rygle ustąpiły i brama się otworzyła. Znaleźliśmy się na zewnątrz, gdzie mogłem zawołać profesora Cartera.

Kiedy zaczęliśmy się przenosić do Cytadeli, rzuciłem ostatnie spojrzenie na pałac. Strażnicy biegali chaotycznie, starając się stłumić płomienie. Wielu z nich się paliło. Wieże strażnicze, zrobione głównie z drewna, stały w ogniu. Lathenii nie było nigdzie widać, podobnie jak jej nowego kochanka, króla Ryszarda. Tylko Marduk stał spokojnie. Nie ruszył się z miejsca. Był nadal w tym samym miejscu, owinięty ciasno ochronną peleryną, wpatrując się w nas świecącym okiem. Ale była pewna różnica. Z jego przypominających świński ryj ust i nozdrzy sączyła się ślina, a żółte zęby były obnażone.

W tym momencie zrozumiałem, że mam przed sobą istotę, która utraciła zbyt wiele.

Wyraz jego twarzy miał na długo wryć się w moją pamięć. Malowało się na niej całkowite szaleństwo.

Rozdział 18

Rochelle

Sfera nadal wirowała. Podczas gdy Arkarian obserwował ją, z każdą godziną coraz bardziej zaniepokojony, reszta z nas musiała wrócić do codziennego życia, cokolwiek by to obecnie oznaczało. Dlatego właśnie w poniedziałkowy rano siedziałam w autobusie jadącym do szkoły. Do pewnego stopnia byłam zadowolona, że mam tę „normalną” część życia. W tym drugim życiu działo się ostatnio tak wiele, że niemalże ulgę przynosiło to, że mogę zrobić coś zwyczajnego. Od czasu naszego powrotu z Aten wszyscy wiedzieli o mojej nowej mocy pozwalającej sprawdzać lojalność oraz o klątwie, którą rzucił Lorian. Klątwa, na miłość boską! Równie dobrze mógł mi wypalić na czole piętno rozgrzanym żelazem — nie mogłabym się czuć bardziej wyobcowana.

Przynajmniej nasza misja w Atenach zakończyła się sukcesem. Klucz znajdował się teraz w rękach Matta.

Autobus zatrzymał się przed szkolną bramą i od razu ich zobaczyłam - Matta, Ethana i Isabel. Zanim zdążyłam wysiąść i przejść przez kontrolę ochrony, dołączyła do nich Neria. Była jeszcze bardziej blada niż zwykle, ale słyszałam też, co się z nią działo.

Rozumiałam tę dziewczynę - obaj nasi ojcowie byli potworami. Mój siedział w więzieniu, gdzie jego miejsce, więc przynajmniej nie musiałam go już oglądać - to on był zamknięty w klatce. Na dole schodów podszedł do mnie Dillon. - Cześć - powiedział. - Słyszałem o kłątwie. Niezły numer. - Roześmiał się. - Dzięki temu staniesz się naprawdę popularna.

Co mu się stało od rana? Był jeszcze bardziej cyniczny niż zwykle. Przez moment korciło mnie, żeby wyciągnąć rękę i dotknąć go bez rękawiczki, ale oczywiście nie zrobiłabym tego.

- Co cię ugryzło? Nie spuszczał spojrzenia z Nerii.

- Hę? Mówiłaś coś?

Ja także spojrzałam w tamtą stronę i zobaczyłam Nerie rozmawiającą z Mattem, a jeśli język ciała Matta był choć trochę wiarygodny, z całą pewnością coś między nimi zaszło. Nawet z miejsca, w którym stałam, mogłam wyczuć napięcie między nimi! Matt był sztywny jakby połknął kij i starał się patrzeć wszędzie, tylko nie

na Nerię, a już na pewno nie w jej oczy. Dillon, stojąc koło mnie, nie przestawał się na nich gapić. On oczywiście też to dostrzegł. Kto by nie zauważył? Pełne zawiści oczy Dillona zwężyły się w malutkie szparki.

Neria położyła dłoń na ramieniu Matta, żeby skłonić go do spojrzenia na nią, a koło mnie Dillon zzieleniał jak żaba na mchu. Ruszył przed siebie i nie musiałam czytać mu w myślach, żeby wiedzieć, dokąd się wybiera albo też co planuje.

Spróbowałam go zawrócić.

— Ej, czekaj!

Szedł dalej. To mogło oznaczać tylko kłopoty.

— Dillon, stój! - krzyknęłam znowu.

Nie zatrzymał się i wpadł prosto na Matta.

- Co ty sobie wyobrażasz?

Matt sprawiał wrażenie zaskoczonego. Uciekł spojrzeniem w bok, jakby się zastanawiał, czy Dillon mówi do niego, czy też do kogoś stojącego obok.

— Nic sobie nie wyobrażam. O co chodzi?

- O co chodzi? O co chodzi?! Widzę, co tu się dzieje!

Kiedy mnie nie było, poderwałeś Nerię!

Dziewczyna z zaskoczenia otworzyła usta.

- Dillon, chyba coś źle zrozumiałeś. Znajdźmy jakieś spokojne miejsce i pogadajmy.

Spojrzał na nią, a chociaż ze swojego miejsca nie widziałam jego twarzy, Neria cofnęła się o krok.

-To sprawa między mną a Mattem - wycedził przez zaciśnięte zęby.

Isabel i Ethan unieśli głowy, przysłuchując się kłótni. Kilka innych osób też zwróciło na nich uwagę.

Neria chciała zaprotestować, ale Matt uniósł rękę i dał jej znak, by się nie zbliżała.

- Słuchaj, Dillon, nie podrywałem Nerii. Dillon prychnął głośno.

-Ta, jasne. Patrz tylko na nią, jest w tobie całkiem zabujana.

Obaj popatrzyli na Nerię, której twarz zmieniła kolor z jasnego różu na intensywną czerwień. Chciała coś powiedzieć, ale nie zdołała wykrztusić ani słowa.

Matt próbował uspokoić Dillona.

- Mówię ci, że nie zrobiłem niczego za twoimi plecami. Musisz mi uwierzyć.

Dillon wściekł się.

- No więc nie wierzę ci! Mam własne oczy i wiem, co widzę. - Popchnął Matta, który poleciał do tyłu i wylądował na siedzeniu, uderzając plecami o krzesła Ethana i Isabel. Zerwali się, schodząc z drogi.

To było bardzo mocne uderzenie, chociaż wyglądało jak niedbałe pchnięcie. Przypomniałam sobie, że jednym z darów Dillona jest siła.

Matt zerwał się, poczerwieniały na twarzy.

- Słuchaj no, Neria nie jest twoją własnością. Nie jest niczyją własnością. Potrafi sama o sobie decydować.

- Jasne! I była na mnie zdecydowana, dopóki się nie pojawiłeś i mi jej nie ukradłeś! - Tym razem Dillon rąbnął Matta łokciem prosto w brzuch.

Matt znowu poleciał do tyłu i zaczął łapać oddech.

- Wstawaj! - krzyknął Dillon. - Wstawaj i zmierz się ze mną. Czy może się boisz?

Matt podniósł się i trzeba mu przyznać, że uniósł ręce w geście pojednania. Dillon całkowicie to zignorował i trafił go pięścią w szczękę. Matt upadł, wpadając na plecaki i ciągnąc za sobą ławkę dobre kilka metrów.

- Dillon! - wrzasnęła Isabel, podczas gdy myśli Ethana wdarły się gwałtownie do mojej głowy. On także zdawał sobie sprawę, że Dillon był zauroczony Nerią. Najwyraźniej wszyscy o tym wiedzieli. Ale Matt nie zrobił nic złego, a Ethan nie mógł uwierzyć, co Dillon wyprawia przy wszystkich.

Podszedł i złapał Dillona od tyłu. -Wyluzuj, OK?

Dillon machnął ramionami i strząsnął Ethana jak muchę.

Kiedy Matt zbierał się, aby wstać, Neria spróbowała uspokoić Dillona.

- już pokazałeś, o co ci chodzi, Dillon. Zakończmy to już bez walki. Chodź ze mną, porozmawiamy.

Ale Dillon nie słuchał nikogo. Machnął ręką, nakazując Nerii odsunąć się. Zamierzał znowu dopaść Matta. Pulsująca w nim złość była zbyt wielka. Neria wpadła na jego ramię, po czym odskoczyła do tyłu, uderzając o ziemię. Matt wyszedł z siebie.

Tymczasem wokół nich zdążył się już zebrać tłumek szyderców. Ochroniarze patrzyli w tę stronę, ale

wyraźnie nie chcieli opuszczać swojego posterunku przy bramie. Matt zaatakował z zaciśniętymi pięściami i zdołał trafić Dillona od dołu w podbródek. Tym razem to Dillon poleciał do tyłu, wpadając na Ethana i znowu go przewracając. Tłumek zaczął dopingować i gwizdać.

Rozejrzałam się za profesorem Carterem. Ktoś musiał ich powstrzymać, zanim sprawy jeszcze bardziej wymkną się spod kontroli. Wiedziałam, że jednym z jego talentów jest ultraczuły słuch, więc zawołałam go. Jeśli był gdziekolwiek na terenie szkoły, powinien się pojawić.

Nic.

- No dalej, profesorze Carter, gdzie pan jest?

Jeśli nie pojawi się szybko i nie przerwie tego, będzie za późno, o ile już nie jest. Walka z każdą wymianą ciosów stawała się coraz bardziej zażarta. Ochroniarze w końcu uznali, że sprawa robi się dostatecznie poważna i że powinni interweniować. Zaczęli odsuwać dzieciaki na boki, żeby dostać się do dwójki w środku.

Ale to dyżurny nauczyciel, wicedyrektor Trevale, dotarł do nich pierwszy.

- Hej! Chłopcy, przestańcie natychmiast! Wszedł między nich, kładąc dłonie na poruszających się w ciężkim oddechu piersiach i rozdzielając ich. Zatrzymali się, patrząc na siebie z nienawiścią. Dillon spróbował się poruszyć, ale profesor Trevale wrzasnął na niego:

- Wystarczy!

Profesor Carter w końcu do nas przybiegł, a kiedy zobaczył, że to Dillon i Matt się pobili, oczy omal nie wyskoczyły mu z orbit.

- Co tu się dzieje?!

Profesor Trevale przeniósł spojrzenie z Dillona na Matta, upewniając się, że już się uspokoili i nie dostanie zaraz pięścią w głowę.

- Nie mam pojęcia, profesorze Carter, ale zamierzam się dowiedzieć. Obaj do mojego gabinetu, natychmiast!

Matt wymienił szybkie spojrzenie z profesorem Carterem, który niemal niedostrzegalnie skinął głową.

- Jeśli chcesz, Bob, zajmę się tym. Znam tych dwóch. Profesor Trevale zastanowił się nad tą propozycją, a ja wyraźnie słyszałam jego myśli. Zostało mu mnóstwo papierkowej roboty, a za kilku minut miał zacząć prowadzić lekcje, które zajmą większość przedpołudnia.

Rozległ się dzwonek i wszyscy jęknęli na jego dźwięk. Profesor Trevale rzucił im ostre spojrzenie.

- Słyszeliście dzwonek. Wszyscy do klas, szybko! Profesor Carter spróbował jeszcze raz.

- Ja mam teraz okienko. Mogę się zająć wyjaśnieniem tej sprawy.

Profesor Trevale w końcu się ugiął.

- Bez dwóch zdań muszą zostać po lekcjach, Marcusie. - Spojrzał nieprzyjaźnie na Dillona i Matta. - Być

może należałoby nawet rozważyć zawieszenie. Pomówimy o tym po południu. Jesteście obaj w ostatniej klasie. Powinniście być mądrzejsi!

W końcu wszyscy rozeszli się do swoich klas. Profesor Carter, wyraźnie zniesmaczony, potrząsnął głową. Nic dziwnego.

- Wy dwaj pójdziecie prosto do mojego gabinetu. Porozmawiamy sobie w cztery oczy.

Dillon ruszył przed siebie ze spuszczoną głową, jakby sam nie mógł uwierzyć w to, co właśnie zrobił. Wróciłam po upuszczony plecak, zamierzając skierować się do klasy, ale kiedy zarzuciłam go na ramię, usłyszałam, że Matt mówi do profesora Cartera:

- Chciałbym, żeby Rochelle także przyszła. Profesor Carter wpatrywał się w niego przez moment, wyraźnie nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

- To ważne, inaczej bym nie prosił - dodał Matt. Profesor Carter zawołał do mnie:

- Matt chce, żebyś także przyszła do mojego gabinetu.

- Po co?

- Chciałbym, żebyś sprawdziła lojalność Dillona - powiedział cicho Matt.

- Co?! Mówisz serio? Dlaczego?

- Widziałaś, co się stało. Dillon wszczął tę bójkę, nie myśląc o konsekwencjach. Trybunał będzie się zastanawiać, czy zrobił to, żeby zdradzić moją tożsamość albo też tożsamość każdego z nas. Sprawdzenie jego

lojalności będzie najszybszym sposobem na uspokojenie wszystkich.

Nie mogłam uwierzyć, że to się dzieje naprawdę! Niech szlag trafi Dillona i jego temperament.

- Matt, nie zmuszaj mnie do tego.

- Nie rozumiem, dlaczego miałoby ci to sprawić trudność. Zrobiłaś to w przypadku wszystkich członków Trybunału. To na pewno nie było łatwe.

- Nie było, ale... Dillon jest jednym z nas. To będzie okropne. On mnie znieawidzi.

Tak jak wszyscy!

Zbłąkana myśl zawisła pomiędzy nami i przez moment nie byłam pewna, z czyjej głowy wyszła - z mojej czy z Matta?

Profesor Carter ponaglił nas.

- Będzie lepiej, jeśli porozmawiamy o tym w moim gabinecie.

Matt nie odrywał ode mnie spojrzenia. Uniósł brwi, naciskając, żebym się zgodziła.

- No dobra, zrobię to. Ale to musi być teraz i tylko profesor Carter będzie świadkiem. Nie chcę upokarzać Dillona przed pozostałymi, jasne?

Matt spojrzał pytająco na profesora Cartera.

- Mnie to nie przeszkadza. Nie spodziewam się, żeby inni nauczyciele wrócili przez najbliższą godzinę, ale mimo wszystko powinniśmy się pospieszyć.

Gabinet profesora Cartera mieścił się w małym pokoiku, w którym zostały upchnięte trzy biurka, a wszę-

dzie leżały stosy książek. Wzdłuż ścian stały chaotycznie zapakowane papierami regały i szafy na akta. Dillon już tam był, wyciągnięty na biurowym krześle profesora Cartera.

- Co tak długo? - Zauważył mnie i usiadł prosto. - Co ona tu robi? - Zorientował się w ułamku sekundy. - No nie, nie ma mowy, żeby dotknęła mnie bez rękawiczki. Nie możecie tego zrobić. Chcę się widzieć z Arkarianem.

Profesor Carter usiadł na innym krześle i przysunął je do biurka, tak że jego twarz od twarzy Dillona dzieliły zaledwie centymetry.

- Masz coś do ukrycia, Dillonie?

- Nie!

- Jak myślisz, co wszyscy sobie pomyślą w związku z twoim małym przedstawieniem na dziedzińcu? Na przykład siła, jaką zademonstrowałeś, musiała wyglądać podejrzanie. Trybunał będzie wściekły. Mogą nawet domagać się procesu, a już z całą pewnością zażądają, żeby Rochelle sprawdziła twoją lojalność. Masz wybór: zrobisz to teraz, a świadkami będziemy ja i Matt, albo w Kręgu, pod okiem Loriany i wszystkich członków Trybunału.

Dillon jęknął, ale zrozumieliśmy, że jest to oznaka rezygnacji. Profesor Carter odsunął krzesło i zaciągnął żaluzje. Matt skinął na mnie głową, żebym zaczynała. Obeszłam leżącą na podłodze aktówkę, której zawartość była w połowie rozsypana na podłodze wokół ko-

sza na śmieci, i stanęłam tuż za Dillonem. Z jakiegoś powodu nie chciałam patrzeć mu w oczy, kiedy będę to robić. Miałam wrażenie, że go zdradzam, a to nie było przyjemne uczucie. Pomagając sobie zębami, ściągnęłam jedną rękawiczkę. Iskry zasyczały, a jaskrawe wyładowania elektryczne utworzyły zygzakowate wzory od nadgarstka aż do czubków palców.

Dillon usłyszał to, a zapewne także poczuł i szarpnął głową w bok.

- Co to ma być?

Profesor Carter cicho gwizdnął. Matt zmarszczył brwi.

- Twoja moc się nasila. Ozy to boli?

Wzruszyłam ramionami, starając się zlekceważyć moje dłonie, mimo że ostatnio zdarzało się, że nie mogłam w nocy zasnąć z powodu bólu.

- Stała się po prostu trochę większa, od kiedy Lorian wzmocnił mój dar myślowidzenia.

Hałas w korytarzu sprawił, że profesor Carter spojrzął na zegarek.

- Naprawdę nie powinniśmy robić tego tutaj. Musimy się pospieszyć i mówić szeptem.

Dillon niepewnie wyprostował głowę.

- Jak mi przypalisz włosy, to...

- Zamknij się, Dillon - rzucił Matt.

Kiedy wszyscy umilkli, zamknęłam oczy i uspokoilałam oddech - równo, powoli, wdech i wydech. Kiedy poczułam, że jestem gotowa, położyłam dłoń na czub-

ku głowy Dillona, tak że moje palce opierały się lekko na jego czole. Pojawił się płonący gwałtownie ogień. Zaskoczył mnie. Szarpnęłam się do tyłu, splatając dłonie.

- Co jest? - Dillon natychmiast przybrał obronny ton.

Pozostali spojrzeli na mnie pytająco. Potrząsnęłam głową.

- Nic. Po prostu wizja była tym razem bardziej wyraźna i nie byłam na to przygotowana. Lorian mówił, że może się tak zdarzyć.

Skoncentrowałam się i spróbowałam znowu. Tym razem płomień zalał się gwałtownie, a ja skupiłam na nim uwagę, poszukując przyczyn jego intensywności. Szybko pojawił się obraz jego rdzenia i zobaczyłam, że gniew Dillona bierze się z tego, że czuł się oszukany. Oszukany przez Matta. Uważał, że Matt zmanipulował Nerię, żeby zakochała się w nim, kiedy Dillon był nieobecny i szkolił się na członka Straży. Były tam także ból i niepewność, że Neria może woleć Matta od niego, ale jeszcze głębiej znalazłam uraz z dzieciństwa, samotność bycia z rodzicami, którzy myśleli tylko o sobie. Ale nie tego szukałam. Odgarniałam całą tę wrogość, żeby dotrzeć do samego serca płomienia. W końcu je zobaczyłam.

Otworzyłam oczy i podniosłam rękę z głowy Dillona. Odsunął krzesło i odwrócił się, żeby na mnie spojrzeć. Teraz wszyscy trzej wpatrywali się we mnie, czekając na mój werdykt. Otworzyłam usta, żeby im

wyjaśnić, co widziałam, kiedy nagle ktoś wszedł do pokoju. Szybko schowałam ręce za plecami i zaczęłam walczyć z rękawiczką, żeby ją naciągnąć.

To był profesor Trevale, który wyglądał, jakby się spieszył.

- Pomyślałem, że wpadnę i sprawdzę, czy wszystko w porządku. - Zauważył mnie i zmarszczył brwi. - Co ty tu robisz, Rochelle?

Zaniemówiłam i spojrzałam na profesora Cartera.

- Cóż - odezwał się. - Widzisz, Bob, okazało się, że... no... Rochelle była zamieszana w tamtą kłótnię.

- Jak to? Na ile poważnie?

- Cóż... - Tym razem to profesorowi Carterowi zabrakło pomysłu.

Profesor Trevale postanowił sam wyciągnąć wnioski. Popatrzył na Matta i Dillona.

- Biliście się, żeby zwrócić na siebie uwagę dziewczyny?

Cóż, właściwie to tak było, tylko że tą dziewczyną me byłam ja. Obaj mruknęli coś i potwierdzająco skinęli głowami.

Profesor Trevale prychnął.

- Powinienem był zgadnąć. Siedemnastolatki i ich hormony! - Zaczął wycofywać się do drzwi. - Cóż, to oznacza, że wszyscy troje zostajecie dzisiaj po lekcjach, prawda?

Kiedy tylko drzwi się zamknęły, obróciłam się do profesora Cartera.

- To nie fair! Nie miał prawa zatrzymywać mnie po lekcjach!

Profesor Carter jęknął i wzruszył ramionami.

- A co chcesz zrobić, Rochelle? Iść kłócić się z wicedyrektorem? Zwrócić jeszcze większą uwagę na siebie, Matta i Dillona?

Zaplotłam ręce na piersiach, żeby się uspokoić.

- Mógł pan coś powiedzieć - wymamrotałam. Zapadła cisza. Oczywiście profesor Carter miał rację.

Nie mogłam robić zamieszania z powodu zatrzymania po lekcjach, ale mimo wszystko to było nie fair.

Profesor Carter przypomniał, po co w ogóle się tu znalazłam.

- Rochelle, zanim nam przerwano, chciałaś powiedzieć...?

Machnęłam ręką.

- Dillon jest lojalny wobec Straży.

- Mogłem wam to sam powiedzieć - mruknął Dillon.

Profesor Carter wolał się upewnić.

- Jesteś o tym przekonana? Bez żadnych wątpliwości?

- Jak to się mówi, jest czysty. Nie ma żadnych wątpliwości dotyczących decyzji o zostaniu Strażnikiem.

Matt skinął głową, a uśmiech złagodził trochę poważny wyraz twarzy, jaki miał do tej pory.

- Więc jeśli chodzi o Nerię... Całe ciało Dillona zeszywniało.

-Wiedziałeś, co do niej czuję, zanim poszedłem na to szkolenie. Matt na moment odwrócił głowę.

- Powtórzę to jeszcze tylko raz: nie jestem zainteresowany Nerią.

- Dla mnie to tak nie wygląda.

Matt przyspilił Dillona ostrym spojrzeniem.

- Nie jestem zainteresowany związkiem.

- Mam wrażenie, że jej na tobie zależy - mruknął Dillon.

- Dillon, ja naprawdę nie wiem. Nie mam władzy nad tym, co Neria myśli albo czuje. Ale powiedziałem jej jasno, jak sprawy stoją. OK?

- Ile warte jest twoje słowo, Matt?

- Od jak dawna jesteśmy przyjaciółmi?

Głowa Dillona poruszyła się w górę i w dół, sprawiał wrażenie zadowolonego.

- Więc obiecaj mi, że nie będziesz się nią interesował.

Matt zapatrzył się w przestrzeń, jakby rozważał wyzwanie, które postawił przed nim Dillon.

- Uważaj, co obiecujesz, Matt — powiedział cicho profesor Carter.

Ale podjęcie decyzji nie zajęło mu wiele czasu.

- Dillon, masz moje słowo. Nie będę próbował zdobyć Nerii.

Dillon skoczył ze swojego miejsca i walnął Matta w plecy.

- Dobry z ciebie kumpel, wiesz?

Był szczęśliwy. Cóż, dlaczego miałby nie być? W ten sposób mógł spokojnie starać się o względy Nerii, mając pewność, że Matt nie będzie stanowił konkurencji. Ale przysięga Matta obudziła we mnie niespokojne przeczucie. Wiedziałam z całą pewnością, że Matt nie daje po prostu swojego słowa i zawsze traktuje je serio. Ale pomyślałam, że to może być najtrudniejsze zadanie, przed jakim kiedykolwiek stanął.

Dillon nie mógł usiedzieć w miejscu.

- Profesorze, możemy już iść?

Nauczyciel machnął na nas, ale natychmiast krzyknął:

- Czekaście! Cicho bądźcie.

Zamknął oczy i znieruchomiał na chwilę, sprawiając, że przeszły mnie ciarki. Profesor Carter nie był myślowi dzącym, ale najwyraźniej miał opracowany jakiś system komunikacji z Arkarianem.

W końcu otworzył oczy.

- Dziś wieczorem będzie misja.

- Sfera? - zapytał Matt. - Zatrzymała się? - Tak.

Spacerujące po moim kręgosłupie ciarki zamieniły się w pełnowartościowe dreszcze.

- Na jakim roku się zatrzymała?

Profesor Carter podniósł spojrzenie, a jego szeroko otwarte oczy były zaokrąglone i błyszczące.

- Dziewięć tysięcy pięćset dziewięćdziesiątym szóstym przed naszą erą.

- Co takiego? - syknął Dillon. Matt zmarszczył mocno brwi.

- To nie ma sensu, to są czasy prehistoryczne. O jakie miasto może chodzić?

Głos profesora Cartera był przepełniony podziwem.

- To może być tylko Atlantyda.

Rozdział 19

Matt

Powinienem się jak najszybciej zobaczyć z Arkarianem, ale najpierw musiałem odsiedzieć karną godzinę. Karną godzinę! Całe czterdzieści pięć minut „zastanawiania się nad sobą”, jak to ujął profesor Trevale, podczas gdy on siedział z przodu, sprawdzając prace domowe. Przez pierwszą połowę wprawilem się w trans. Od czasu pobytu u Dartemisa odkryłem, jak relaksujący i regenerujący może być stan głębokiej medytacji. Coś takiego na pewno przydałoby się Dillonowi. Od kiedy weszliśmy tutaj, nie był w stanie przestać się wiercić — bez przerwy poruszał ramionami albo przytupywał stopą. W tym momencie bębnił palcami po ławce.

Siedząca przed nim Rochelle odwróciła się.

- Musisz to robić? Doprowadzasz mnie do szału!

— Ale Roh, to taka strata czasu...

— Wszyscy o tym wiemy, więc nie musisz zamieniać jej dodatkowo w seans tortur.

Poczułem przypływ współczucia dla Rochelle. Utknęła tutaj przeze mnie, ponieważ wykorzystałem jej moce, aby przetestować lojalność Dillona. Wykorzystałem ją, mimo że jasno dała do zrozumienia, jakie to dla niej nieprzyjemne, a teraz jeszcze została niesłusznie ukarana.

Przepraszam! - Pojedyncza myśl przemknęła z mojej głowy do jej.

Przez dłuższą chwilę nie było żadnej reakcji i zastanawiałem się, czy mnie usłyszała. Odwróciła się powoli. Nie powiedziała ani słowa i nie odesłała żadnej myśli, ale jej spojrzenie powiedziało mi, że moja spontaniczna myśl trafiła do niej. Miała wilgotne oczy i szybko odwróciła głowę.

Profesor Trevale na przedzie klasy jęknął dramatycznie i teatralnie popatrzył na zegarek.

— No to już. Możecie iść.

Z ulgą zaczęliśmy wstawać, szurając krzesłami, ale profesor nie wypuścił nas bez ostatniego ostrzeżenia:

— Lepiej, żebym was więcej nie przyłapał na takim zachowaniu, chłopcy. A teraz uciekajcie. Jestem pewien, że macie znacznie przyjemniejsze rzeczy do roboty niż siedzenie w szkole po lekcjach.

Wynieśliśmy się tak szybko, jak tylko mogliśmy. Kiedy znaleźliśmy się poza zasięgiem słuchu profesora Trevale, Dillon po prostu musiał zapytać:

- Wiecie może, gdzie Ethan miał dzisiaj trenować z Nerią?
- Popatrzył na zegarek. - Myślicie, że jeszcze zdążę?

Rochelle potrząsnęła głową.

- Są w siedzibie Arkariana - odparłem. - Ale to zamknięta sesja, żadnych gości. A ponieważ są tam bezpieczni, obecność Rochelle nie jest już potrzebna.

- No dobra - mruknął, ale najwyraźniej chciał wiedzieć znacznie więcej. - To gdzie ona teraz mieszka? Znaczy, odkąd jej dom został zniszczony?

Wiedziałem, że mu się to nie spodoba, ale naprawdę nie dało się tego uniknąć.

- Mieszka z... Isabel.

- Tak? - W tym momencie do niego dotarło. - Ale to znaczy, że mieszka z tobą!

- No wiem. Arkarian uważał, że to dla niej teraz najlepsze miejsce.

- Z tobą? To szalenie wygodne!

- Jimmy też z nami mieszka, na wypadek kłopotów.

- Nie mogłeś sobie tego lepiej wymyślić, prawda?
Straciłem cierpliwość. Chwyciłem go za koszulę
i przyciągnąłem do siebie tak, że moja twarz znalazła się
tuż obok jego twarzy.

- Dałem ci słowo. Musisz o tym pamiętać. Rochelle nas rozdzieliła.

- Spokój! Chcecie znowu wpakować nas w kłopoty?
Odsunęliśmy się od siebie, a ona zaczęła się wycofywać.

- Wynoszę się stąd.

Prawie biegiem minęła szkolną bramę. Profesor Trevale wyszedł ze swojego gabinetu, idąc najkrótszą drogą na szkolny parking. Zobaczył nas i zmarszczył brwi.

- Wszystko w porządku, chłopcy?

To wystarczyło, żebyśmy się ruszyli — każdy w przeciwną stronę. Dillon dogonił Rochelle, podczas gdy ja skierowałem się prosto do tylnej bramy. Musiałem się zobaczyć z Arkarianem, a byłem już dostatecznie spóźniony. Przeszedłem przez opustoszałe boisko, zastanawiając się, co mnie dzisiaj tak nakręciło. Straciłem panowanie nad sobą rano i, no cóż, przed chwilą też omal nie wybuchłem. Co się ze mną działo? Nie potrzebowałem wiele czasu, żeby to zrozumieć — nic dziwnego, że Lorian uznał, iż jedynym sposobem na bezstronne i sprawiedliwe sprawowanie władzy jest pozbycie się męskich i kobiecych uczuć. Cóż, nie było mowy, żebym ja się do tego posunął! Potrafiłem jednak zrozumieć jego stanowisko. Serce to dziwna rzecz, a także niezwykle słaby punkt.

Tajemne drzwi do siedziby Arkariana zniknęły w momencie, kiedy przez nie przechodziłem. W środku panowała atmosfera niecierpliwości - wyczuwałem ją, idąc korytarzem.

- Dobrze, że jesteś - powiedział Arkarian na mój widok. — Chodź i popatrz na to.

Z bliska sfera przedstawiała niesłychany widok. Pokazywała starożytne miasto z niezwykle wysokimi budynkami

wzniesionymi z białego kamienia i zdobionymi czerwienią i złotem. Większość była wysoka, z okrągłymi kolumnami na froncie. Niemal wszystkie domy były wielopiętrowe. Arkarian zakręcił sferą i zobaczyłem miasto w większej skali. Brukowane ulice, ozdobione latarniami z kolorowego szkła i kryształu, lśniły w jasnych promieniach słońca. Dokładnie pośrodku rozdzielał miasto kanał pełen falującej morskiej wody. Sądząc po wyglądzie płynących po nim łodzi i czółen, służył zarówno do handlu, jak i rekreacji. Wszędzie było pełno ludzi, nosili długie tuniki i dziwne, przypominające turbany nakrycia głowy. Arkarian znowu zakręcił sferą i powiększył jeden niezwykle budynek - był wyższy od pozostałych, posiadał także białe marmurowe kolumny na froncie.

- To świątynia, którą musicie znaleźć - wyjaśnił. -W jej podziemnym skarbcu zamknięta jest sfera podobna do tej, ale tak mała, że możesz ją wziąć do ręki. - Sprawdził, czy na niego patrzę i ciągnął dalej. -Chrońcie ją. Ta sfera musi zatonać razem z miastem.

- Czemu ta sfera jest tak ważna?

- Działa na podobnej zasadzie do tej tutaj, ale podczas gdy moja sfera pozwala przeszukiwać przeszłość, sfera atlantydzka pozwalała oglądać przyszłość.

Jego wyjaśnienia na moment odebrały mi mowę.

- Więc chcesz powiedzieć, że...

-Tamta sfera była najbardziej wyrafinowanym osiągnięciem technologicznym Atlantydów, wynalezionym

tuż przed tym, nim trzęsienie ziemi i tsunami zniszczyły wyspę. Użyli jej tylko raz, podczas testów, więc wiemy, że działała. Teraz Lathenia chce ją dostać.

- Wybacz, jeśli nie bardzo łąpię, ale po co Lathenii możliwość zaglądania w przyszłość, skoro ta przyszłość jeszcze się nie wydarzyła?

- Przed nami bitwa o ostateczną kontrolę nad światami. Jest bliżej... - Urwał, a jego poważny wyraz twarzy sprawił, że po moim kręgosłupie przeszła fala dreszczy. - Bliżej niż chcielibyśmy przyznać. A dzięki temu narzędziu Lathenia nie tylko będzie mogła spoglądać w przyszłość, ale być może także uzyskać do niej dostęp.

- Czyli będzie mogła zobaczyć bitwę, przyjrzeć się jej przebiegowi, a potem ustawić swoje siły w taki sposób, żeby nas zaskoczyć, kiedy bitwa naprawdę się rozpocznie. Może zmienić jej wynik. Mogłaby zmienić wszystko, Arkarianie.

- Musisz wiedzieć coś jeszcze, Matt. Jest także inny powód, dla którego sfera musi zatonać wraz z wyspą. Nie jestem pewien, ile już wiesz, czy też ile ci powiedziano, więc wytłumaczę wszystko od początku.

- Słucham.

- Atlantydzi byli wysoko rozwiniętym społeczeństwem. Zbyt wysoko rozwiniętym jak na czasy im współczesne, a nawet jak na dzisiejsze czasy. Stworzona przez nich technologia do dzisiaj nie została wynaleziona przez ludzi.

- I dlatego ukryta w starożytnym mieście maszyna musi tam pozostać?

- Właśnie. Jeszcze nie przyszedł czas, żeby ją ujawnić. Świat, Ziemia nie jest na to gotowa. To zakłóciłoby naturalną równowagę. Żaden naród nie może uzyskać dostępu do takiej mocy jeszcze przez długi czas. Oczywiście atlantydzka sfera była najpotężniejszym stworzonym przez nich wynalazkiem. Zaginęła, kiedy Atlantyda została zatopiona.

- Rozumiem. Ale jak mamy ochronić tę sterę? Arkarian przesunął dłonią nad własną sterą, która zawirowała, odsłaniając to samo piękne miasto, które pokazywał mi chwilę wcześniej - tylko teraz panował w nim chaos. Gęsty popiół i dym zasłaniały niemal cały widok. Pod tą śmiercionośną chmurą ludzie biegali gorączkowo, niektórzy ciągnęli wózki, z których wysypywały się rzeczy. Zwierzęta, w tym słonie, tratowały tych, którzy nie zdążyli na czas uskoczyć im z drogi. Głośny, odbijający się echem dźwięk wstrząsnął miastem, a ludzie zaczęli krzyczeć i tulić się do siebie. Niektórzy modlili się otwarcie, podczas gdy inni przepychali się obok nich w pośpiechu, żeby jak najszybciej opuścić miasto. Większość kierowała się w stronę odległego pasma górskiego.

- Przez ostatnie trzy dni panował chaos, ale dzisiaj, w dniu, kiedy otworzył się portal, Atlantyda ma zatonać. Popatrz tutaj. - Arkarian wskazał podnoszący się fragment ziemi, z którego wyrastał wybuchający wul-

kan, wypluwający z krateru strumień ognia. - Musicie dostać się do świątyni i dopilnować, żeby sfera zatoneła razem z miastem, a potem wydostać się stamtąd, zanim ocean pochłonie także i was. Pamiętaj, że wystarczy zawołać moje imię. Będę przez cały czas śledzić wasze postępy i usłyszę was, kiedy tylko mnie wezwiecie. Udało mi się dowiedzieć, że Zakon wysłała na tę misję dwoje swoich członków. Jednym z nich będzie sama Lathenia.

- Świetnie.

- Nie znamy drugiej osoby. Przypuszczamy, że jest to niezwykle utalentowana dziewczyna, ale kimkolwiek jest, nie możemy jej namierzyć. Dlatego proponuję, żebyś zabrał ze sobą dwie osoby.

Zastanawiałem się, kto będzie najlepszy, ale takie decyzje nadal były dla mnie trudne.

- Kogo ty byś zabrał?

- Biorąc pod uwagę kaliber tej misji, a także to, że udajecie się do wysoko rozwiniętego społeczeństwa w samym środku czystego chaosu, idealny zespół składałby się z ciebie, jakiegoś mężczyzny i kobiety. Oboje powinni być myślowidzącymi i mieć skrzydła. Dwoje z was zajmie się Lathenią i jej podwładną, podczas gdy jedno zabezpieczy sferę.

W myślach rozważyłem moce wszystkich znanych mi osób. Ethan miał skrzydła, ale nie był myślowidzącym. Profesor Carter nie dysponował żadnym z tych darów. Jimmy i Shaun mieli skrzydła, ale także nie by-

li myślowidzącymi. Jeśli chodziło o dziewczęta, Neria nadal nie opanowała swoich mocy, a ja nie wiedziałem nawet, na czym one polegają. Nie była gotowa. A ani Isabel, ani Rochelle nie miały skrzydeł.

- Skoro nie mogę zabrać ciebie, Arkarianie, to nie znam nikogo, kto spełniałby te kryteria.

- Ethan nie jest myślowidzącym, ale ma skrzydła, a jego dar iluzji może okazać się niezwykle przydatny na Atlantydzie.

- OK, czyli zabiorę Ethana. A dziewczyna? Kroki za mną sprawiły, że obróciłem się na pięcie.

- Cóż, nie mam jeszcze skrzydeł, ale jestem myślo-widzącą.

To była Rochelle. Arkarian musiał ją zaprosić, wiedząc, że powinna wziąć udział w tej misji.

Dały się słyszeć kolejne kroki i do komnaty wszedł Ethan.

- Cześć, to dokąd się wybieramy?

- Na Atlantydę - odparłem. - W ostatnim dniu jej istnienia.

Rozdział 20

Rochelle

Jedno za drugim wylądowaliśmy w komnacie w Cytadeli. Matt był pierwszy, Ethan pojawił się chwilę po mnie. Rozejrzałam się wokół, jak zawsze zastanawiając się nad znaczeniem komnaty, którą wybrała dla nas Cytadela. Była ciemna i pełna cieni, a powietrze wydawało się gęste i wilgotne.

- Spójrzcie na to - odezwał się Ethan. Obróciłam się i zobaczyłam ruch na ścianie. Jakiś

rodzaj pnącza rozrastał się gwałtownie, wypuszczając pędy w górę i na sufit. W kilka chwil roślina stała się tak gęsta, że pnącza zaczęły opadać wokół nas.

- Ta komnata jest upiorna - zauważył Ethan. Matt zgodził się z nim.

- Wynośmy się stąd i wybierzmy nowe tożsamości.

Poszliśmy za Mattem w górę znikającymi schodami i znaleźliśmy się w komnacie z mniejszym wyborem ubrań, niż zwykle czekał na nas w garderobach. Zostałam ubrana w żółte spodnie i narzuconą na nie długą tunikę w tym samym kolorze - jedno i drugie było zrobione z cienkiego jedwabiu. Wokół talii miałam zawiązany złoty pas, taki sam jak ten, który nosiłam podczas inicjacji. Moje włosy nadal były czarne, ale stały się znacznie dłuższe - warkocz opadał mi prawie do pół łydki. Spojrzałam w jedno z wielu lusterek i zobaczyłam, że także moja twarz wygląda inaczej, ma wyraźniejszy kształt serca.

Matt i Ethan nosili podobne spodnie i tuniki, ale w ich przypadku były one białe. Matt miał teraz krótkie włosy z rudawym odcieniem, podczas gdy włosy Ethana były gęste i czarne. Byliśmy teraz wszyscy przebrani, ale nasze oczy pozostały oczywiście niezmienione. Ethan najwyraźniej nie potrafił oderwać ode mnie spojrzenia. Matt zauważył to i potrząsnął głową.

Jego niemiłe zachowanie zirytowało mnie.

- To, że nasz związek źle się skończył, nie znaczy, że z każdym związkiem musi się tak stać - powiedziałam mu. - Ile razy mam cię przeproszać za to, co ci zrobiłam?

Matt otworzył usta, ale nie pozwoliłam mu dojść do głosu.

- Słuchaj, kto wie, co się wydarzy? Albo jak długo jeszcze pożyjemy?

Popatrzył teraz na mnie z zaskoczeniem.

— O czym ty mówisz?

Chociaż nie miałam takiego zamiaru, wyraziłam na głos swoje wątpliwości.

— Rany, przecież wszyscy czytaliśmy Proroctwo.

— No i...? Nie łapię.

— *A ostatnich wojowników dwóch przysporzy radości, ale i koszmarów...* — zaczęłam recytować.

Ethan podjął.

— *Ze środka intrygi jedno się wynurzy, a drugie z nasion zła utworzy.*

— No i? - powtórzył Mart.

— *Dwójka triumfu zasmakuje, lecz jedno w swej śmierci go poczuje* — dokończyłam.

— I myślisz, że ten ostatni kawałek jest o tobie?

— Na ceremonię inicjacji dano mi tunikę, którą miałam włożyć. - Poprawiłam swój pas. — Fioletową, ze złotym pasem, takim jak ten.

— Mówisz od rzeczy, Rochelle.

— Fiolet jest kolorem poświęcenia — wyjaśnił Ethan. Po raz pierwszy od bardzo dawna Matt popatrzył na mnie bez złości czy pogardy.

— Nie umrzesz, Rochelle. Nawet tak nie myśl. Ale jego słowa słabo mnie pocieszały.

— Skąd wiesz? Umiesz zajrzeć w przyszłość? Zawahał się, poruszając głową w lewo i w prawo.

— Jasne że nie, ale z drugiej strony Trybunał także tego nie potrafi. Nawet sam Lorian nie ma takiej mocy.

Ogarnęło mnie ulotne poczucie spokoju. Nie chciałam, żeby Ethan usłyszał moje słowa, więc przemówiłam do Matta tylko w myślach.

Ethan nie jest mną zainteresowany, więc możesz się nie martwić, że go zdeprawuję albo złamię mu serce, ale gdyby istniała jakaś szansa, że on... że moglibyśmy zostać przynajmniej przyjaciółmi, prosiłabym cię, żebyś tego nie rujnował.

Otworzyły się drzwi, dając nam do zrozumienia, że zostaliśmy tu już dość długo. Matt nie odpowiedział. Założyłam, że to znaczy, iż przynajmniej rozważy moją prośbę.

Wyszliśmy na zewnątrz i ruszyliśmy w górę znikającymi schodami, a potem jeszcze następnymi i kolejnymi. Na jednym z wyższych poziomów w końcu znaleźliśmy się u celu. W przeciwległej ścianie natychmiast otworzyło się przejście. Podeszliśmy do niego i zatrzymaliśmy się na moment na widok tego, co pojawiło się w dole. Czekало nas długie spadanie w sam środek kompletnego chaosu. Przez pełne spanikowanych ludzi ulice przetaczały się grzmoty, a budynki z przerażającym impetem waliły się w gruzy. Ludzie i zwierzęta biegli z krzykiem, chcąc dotrzeć do odległych wzgórz. Trudno je było zobaczyć z tego miejsca, ponieważ zasłaniała je gruba warstwa chmur i popiołu. Nieoczekiwanie zawalił się budynek tuż pod nami - zaprawa, cegły i odłamki marmuru posypały się we wszystkich kierunkach, a potem z wolna zapadły się w dziurę,

która otworzyła się w ziemi. Jeszcze bardziej niepokojące było to, że rozpadlina szybko wypełniła się spienioną wodą oceanu. Kolejny wybuch i druga połowa ulicy zniknęła w morzu. Zebra na krawędzi osuwiska próbowała bezradnie się z niego wydostać.

Poczułam, że Mart i Ethan wymieniają spojrzenia ponad moją głową. Podniosłam wzrok, a oni podzielili się swoim niepokojem — widziałam go w ich szeroko otwartych, niemal pustych oczach.

- Arkarian przeniesie nas tak blisko świątyni, jak to będzie możliwe, więc nie będziemy musieli zbyt długo iść tymi ulicami.

Ethan skinął głową.

- Będzie nas cały czas obserwować.

- Wystarczy, że go zawołamy...

- Nie ma sensu tego przeciągać i jeszcze bardziej się denerwować. Wiemy przecież, jak to działa. Po prostu skaczymy, ale trzymajmy się razem. Nie chcemy wylądować na przeciwległych krańcach miasta.

Skoczyliśmy na trzy... i wylądowaliśmy na kamiennych schodach, które zatrzęsły się i zaczęły kruszyć pod nami.

- Biegiem! - krzyknął Matt. - Tędy.

Schody prowadziły do świątyni, w której znajdowała się poszukiwana przez nas sfera. Wbiegliśmy na ich szczyt, podczas gdy głazy spadały na prawo i lewo wokół nas, rozpryskując się w miliony drobnych odłamków.

- Musimy się dostać do środka - zawołał Matt.

Eksplozja przed nami wstrząsnęła ziemią i ocalała część świątyni, sprawiając, że serce zaczęło mi się gwałtownie tłuc w piersi. Chmura lotnego ognia pochłaniała świątynne schody. Nie zastanawiając się nawet przez ułamek sekundy, na czworakach rzuciliśmy się do wnętrza tak szybko, jak to było możliwe. Kula ognia uderzyła w ocalałe kolumny, a płomienie zawinęły się i sięgnęły po nas jak palce zrobione z płynnego złota.

Matt pierwszy był na nogach.

- Szybko, tędy!

Pobiegliśmy za nim. Przynajmniej znaleźliśmy drogę, Arkarian pokazał nam ją wcześniej w swojej siedzibie, ale teraz, wśród tych gruzów, wszystko wyglądało inaczej. Wiedzieliśmy, że musimy zejść kilka pięter pod ziemię. Szliśmy za Mattem, ale szybko okazało się, że trudno jest oddychać, ponieważ korytarze wypełnione były popiołem, dymem i pęcherzykami gazu. Zaczęły mnie piec oczy.

- Za mną! - Biegący przed nami Matt zniknął za rogiem.

Po kolejnym wybuchu ściany po obu stronach zadrżały i zaczęły pękać, jedna całkiem się zawaliła. Ethan i ja biegliśmy ile sił w nogach, w ostatniej chwili uciekając przed grubą marmurową płytą, która roztrzaskała się za nami, podnosząc jeszcze gęstsza chmurę pyłu.

- Na dół! - Głos Matta zabrzmiał gdzieś z dołu schodów.

Kiedy nimi zeszedliśmy, znaleźliśmy się przed zamkniętymi drzwiami. Matt przesunął po nich dłońmi, szukając sposobu, by je otworzyć.

- Świetnie — odezwał się Ethan, a jego oczy pobiegły w moją stronę. Myślał o moich dłoniach i o tym, czy byłyby w stanie znaleźć ukryty zamek. Byłyby. Mogliśmy się znajdować w pożyczonych ciałach, ale nasze dusze pozostały niezmienione. To oznaczało, że nie zmieniły się nasze oczy ani, rzecz jasna, nasze moce.

Zerwałam rękawiczki.

- No już, odsuńcie się.

Matt i Ethan cofnęli się, a ja położyłam dłonie na drzwiach. Były zrobione z metalu, którego nie potrafiłam rozpoznać, zupełnie jakby taki metal nie istniał na Ziemi. Tutejsi mieszkańcy musieli go przywieźć ze sobą. Przypominał miedź i brąz, ale był bardziej wytrzymały od nich obu razem wziętych. Same drzwi miały ze trzydzieści centymetrów grubości.

Przesunęłam dłońmi po powierzchni wrót i niemal natychmiast znalazłam słaby punkt.

- Tutaj.

Odsunęłam się, a Matt stanął przed drzwiami i zamknął oczy. Usłyszałam jego myśli - pojedyncze polecenie: *Otwórz się*. Rozległo się ciche kliknięcie i drzwi odsunęły się bezgłośnie.

Pokój przypominał celę więzienną - nie miał okien, a ściany zostały zrobione z tego samego dziwnego metalu, co drzwi. Posadzka była z marmuru. Pośrodku

stał jeden jedyny przedmiot - szklana gablota na podstawie z białego kamienia. Światło padało bezpośrednio na szkło, rozjaśniając złocistą kulę, niewiele większą od dłoni.

Z bliska zobaczyliśmy, że sfera unosi się w powietrzu i powoli obraca.

- Rany - powiedziałam z podziwem, zastanawiając się, jak można w taki sposób sprzeciwić się siłom grawitacji.

Nagle drzwi do skarbcza zatrzęsły się. Ogarnęło mnie upiorne uczucie, które szybko zastąpił autentyczny strach, ponieważ pojawiła się Lathenia. Tak jak zapowiadał Arkarian, nie była sama - towarzyszyła jej dziewczyna mniej więcej w moim wieku. Chociaż Bogini nigdy nie zwracała sobie głowy przebraniem, mogłam założyć, że tożsamość jej pomocnicy została dobrze ukryta. Nosła tunikę, podobnie jak my, ale jej strój był czarny. Wokół głowy miała owiniętą chustę, pozostawiła tylko wąskie otwory na oczy. Mogła być kimkolwiek, nawet znajomą ze szkoły. Ale nie zastanawiałam się nad tym. To nie miało sensu, a Arkarian ostrzegł mnie, żebym nie ryzykowała zdradzenia własnej tożsamości.

- Nie wątpiłam, że dotarcie tutaj zajmie wam niewiele czasu - odezwała się drwiąco Lathenia. - Jak to możliwe, że chociaż ja otwieram portale, wy zawsze zdążycie dotrzeć na miejsce na chwilę przede mną?

- To proste - odparł Ethan. - Jesteśmy lepsi. Jej srebrne oczy zapłonęły.

— Doprawdy? Zobaczymy, o ile lepiej poradzicie sobie rym razem.

W trakcie tej wymiany zdań Lathenia obchodziła nas powoli, a ja zrozumiałam, co próbuje zrobić — zastanawia się nad naszą tożsamością, gra na czas, żeby się dowiedzieć, kim jesteśmy. Jej kolejne słowa potwierdziły moje podejrzenia.

- Cóż, zobaczymy. Kogóż tu dzisiaj mamy?

Konsekwentnie odwracałam spojrzenie, koncentrując się na sferze, ale nieśmiertelna szybko zauważyła moje nerwowe zachowanie. Podeszła do mnie i podniosła długimi palcami mój podbródek. Szarpnęłam głową, ale wystarczyło jej jedno spojrzenie. Syknęła ostro przez zęby.

- Marduk cię szukał. Bardzo za tobą tęskni. Naprawdę nie powinnaś tak od nas uciekać. Są rzeczy, których się po prostu nie robi, jeśli ci życie miłe, moja droga. Wrócisz ze mną tam, gdzie twoje miejsce.

Matt przesunął się, żeby stanąć pomiędzy nami.

— Jej miejsce nie jest u ciebie. Podobnie jak tej sfery.
-Starął się odwrócić jej uwagę ode mnie.

Lathenia przeniosła spojrzenie na sferę i bez chwili namysłu wsunęła dłoń do gąbki, roztrzaskując szkło. Ale kiedy już miała chwycić sferę, ta zaczęła wirować jak wściekła i wyfrunęła przez otwór, znajdując się poza zasięgiem Bogini.

Jej srebrne oczy zaśniły błękitem, kiedy uświadomiła sobie, gdzie podziała się sfera. Ethan wykorzystał

swój talent poruszania przedmiotów, żeby ściągnąć ją bezpiecznie do swojej ręki.

- Oddawaj to! - rozkazała Lathenia głosem pełnym nienawiści.

Matt w myślach przekazał mi, żebym się wycofała. Niepewnie zrobiłam krok, ale to zwróciło uwagę Lathenii. Jej oczy zaślniły - to było jedyne ostrzeżenie. Strumienie opalizującej zieleni i błękitu z jej palców przemknęły jak promienie lasera przez pokój, trafiając we mnie. Zostałam rzucona o ścianę jak szmaciana lalka, a następnie przyszpilona.

- Oddaj mi sferę, albo spalę Rochelle Thallimar od środka! - Zwracając się do mnie, dodała: - Teraz, kiedy władam międzyświatem, śmierć skaże cię dokładnie na to, czego ci życzę: na wieczne tortury.

Matt odezwał się ze spokojem, jakiego nigdy wcześniej u niego nie widziałam:

- Nie robiłbym tego na twoim miejscu. -Wyjaśnij.

- Lorian rzucił klątwę na osobę, która będzie odpowiedzialna za śmierć Rochelle.

- Klątwę?

- Ktokolwiek zrani to dziecko i sprowadzi na nie śmierć, przemieni się w kamień i dokona żywota, nim słońce skryje się za horyzontem.

Oczy Lathenii zaślniły ciemniejszym błękitem.

- Dlaczego mój brat postanowił chronić zdrajczynię?

- Ona nie zdradziła Straży - przypomniał Ethan. Lathenia wpatrywała się w niego zmrużonymi oczami, próbując zgadnąć, kim może być.

- Skąd możesz to wiedzieć?

- Znam ją — odparł z niesamowitym przekonaniem w głosie. Nieproszone łzy napłynęły mi do oczu. Strząsnęłam je.

- Doprawdy? - głos Lathenii ociekał sarkazmem. - Nie wydaje mi się. Ozy możesz mi powiedzieć, gdzie była chociażby zeszłego wieczora?

Natychmiast to dostrzegłam. Wątpliwości. Zamigotały jak żywy płomień i przemknęły w wymianie spojrzeń między Mattem i Ethanem.

- Ach tak — powiedziała Lathenia, jakby wiedziała już, że wygrała. - Potrzebujecie dowodu?

- Nie słuchajcie jej! - wrzasnęłam.

- Kłamiesz - odparł jej Ethan. - Nie masz żadnych dowodów.

- Nie mam? Popatrzcie na to...

Jej oczy nagle pobiegły w lewą stronę. W powietrzu pojawił się obraz tak żywy, jakby ta scena rozgrywała się w tej chwili i w tej komnacie. To byłam ja, z Mardu-kiem. Mówił do mnie, pochylając się tak, jak to miał w zwyczaju, w geście, który mógł się wydawać czułością. Dobrze sobie przypominałam ten moment. To było wtedy, kiedy mu powiedziałam, że podejrzewam, iż to on zamordował dziesięcioletnią siostrę Ethana. Starał się mnie w tym momencie przekonać, że to nie był on.

Wykorzystywał cały swój dar perswazji, aż do łagodnego dotknięcia mojego policzka. W następnej chwili miałam odepchnąć jego rękę i zacząć gwałtowną kłótnię, ale Lathenia tego już nie pokazała.

Matt i Ethan wyglądali, jakby ich piorun strzelił. Chciałam się sprzeciwić, wyjaśnić, ale Lathenia posłała we mnie kolejne wyładowanie mocy. Kiedy prawie straciłam przytomność, przerwała atak, a ja upadłam na ziemię, kaszląc i próbując złapać oddech.

Korzystając z nieuwagi Ethana i Matta, towarzysząca Lathenii dziewczyna wkroczyła do akcji. Skoczyła przez pokój, wirując jak tornado i wznosząc się na niezwykle wysokość. Kopnęła Ethana z zaskoczenia w nerki, tak że poleciał do przodu. Znowu zaczęła wirować, zbyt szybko, by mogło ją dostrzec ludzkie oko, zamieniając się w rozmazaną smugę. Zatrzymała się nagle, żeby wymierzyć kolejny kopniak w głowę Ethana i jeszcze jeden w brzuch. Po trzecim ciosie upuścił sferę, która potoczyła się po podłodze.

- Szybko! - krzyknęła Lathenia, wyciągając po nią rękę.

W końcu zaczęły mi wracać siły. Także sięgnęłam po sferę, ale moje nogi były zbyt słabe i nie mogłam się podnieść. Dziewczyna skoczyła ku niej. Nie mogliśmy pozwolić, żeby którakolwiek z nich dostała sferę w swoje ręce. Jeśli tak by się stało, zniknęłyby natychmiast, opuszczając tę epokę. Sfera stałaby się wówczas własnością Lathenii.

Ale Matt miał plan - kiedy pokój zadrżał od gwałtownego wstrząsu, zamknął oczy na ułamek sekundy dłużej niż trwałoby zwykle mrugnięcie. Sfera uniosła się poza zasięg Lathenii i jej podwładnej. Zawisła na moment w powietrzu, a potem wylądowała w jego ręce.

Dziewczyna w jednej chwili skoczyła na Marta, ale z łatwością odtrącił ją na bok. Potoczyła się po podłodze i uderzyła o przeciwległą ścianę. Wyglądała na oszołomioną.

Ethan wyprostował się, a Matt rzucił mu sferę.

- Pilnuj jej, a ja zajmę się Lathenią. Podniosłam się szybko.

- Myślisz, że poradzisz sobie z tą dziewczyną? - zapytał Matt.

- Nic mi nie jest. Zajmę się tym.

W następnym momencie dziewczyna skoczyła na Ethana. Była tak szybka, że niemal nie dało się śledzić jej ruchów. Potoczyli się razem po podłodze, sfera znajdowała się pomiędzy nimi. Podbiegłam z zamiarem użycia moich dłoni, ale dziewczyna była szybsza niż moje myśli. Podniosła się, wpatrując się we mnie wielkimi, okrągłymi oczyma, gotowa do działania. Najlepszym pomysłem było pozwolić jej, żeby mnie zaatakowała. W ułamku sekundy zawirowała, a wszystko potoczyło się błyskawicznie. W jednej chwili była po przeciwnej stronie pokoju, w następnej znalazła się tuż przede mną. Złapałam ją za ramiona i oderwałam rękawy, a potem uwolniłam tyle energii, ile mogłam,

prosto w jej nieosłoniętą skórę. Wrzasnęła i gwałtownie odsunęła się ode mnie.

Tymczasem Lathenia wyciągnęła ręce w kierunku Matta. Zamierzała użyć mocy płynącej z jej palców, ale jeszcze głośniejsza eksplozja dokładnie nad nami sprawiła, że zatrzymaliśmy się, patrząc w górę. Nagle w jednej z intensywnie czerwonych ścian pojawiła się szczelina. Stała się szersza, a cały pokój z mocnym szarpnięciem przesunął się w dół.

- Zaraz zatonie! - wrzasnęła dziewczyna, podczas gdy reszta z nas starała się utrzymać na nogach.

Lathenia zostawiła Matta i przeniosła uwagę na Ethana. To on trzymał sferę i tylko on ją w tym momencie interesował. Syknęła do swojej podwładnej:

- Kiedy wdrze się tu woda, płyn na powierzchnie tak szybko, jak zdołasz, i zaczekaj tam na mnie.

Słowa Lathenii sprawiły, że przeszły mnie gwałtowne ciarki. Usłyszeliśmy echo kolejnej eksplozji, a pokój pogrążył się w ciemnościach i zaczął tonąć, gdy marmurowa posadzka pękła na dwie części. Do środka wdarła się morska woda i w kilka sekund pokój nappełnił się nią do połowy, a potem wszystkie moje koszmary ziściły się w jednej chwili - otaczające nas ściany rozpadły się, a wewnątrz zalała ściana wody. Ciśnienie było ogromne, wokół nas wirowały wielkie kawały metalu i marmuru.

Dziewczyna zaczęła płynąć w kierunku powierzchni. Poniżej mnie Lathenia chwyciła Ethana i wlekła

go coraz głębiej na dno oceanu. Z pewnością mogła wstrzymać oddech dłużej niż jakikolwiek śmiertelnik. Zamierzała przytrzymać Ethana pod wodą, aż utonie, a potem zabrać sferę, wypłynąć na powierzchnię i wrócić do swojego czasu.

Matt zanurkował za nimi, ale Lathenia była szybka. Nie mogłam uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Nie było mowy, żeby płuca Ethana wytrzymały dużo dłużej, a już na pewno nie było dość czasu, żeby mógł się wydostać na powierzchnię z głębokości, na jaką już go wciągnęła - a wciąż płynęła coraz głębiej. Zanurkowałam za nimi, czując, że moje płuca zaraz eksplodują. Matt przesłał mi swoje myśli.

Nie! Wracaj. Płyn na powierzchnię.

Muszę mu pomóc!

Odwrócił się na moment.

Zaufaj mi! Wypłyn na powierzchnię i przygotuj się, by zrobić sztuczne oddychanie.

Zatrzymałam się, młócąc wodę rękami. Sztuczne oddychanie? Powinien był zabrać Isabel zamiast mnie! Patrzyłam jak Matt odpływa, a chociaż widoczność tak głęboko była niemal zerowa, zobaczyłam, że jego ciało zmienia kształt. Wpatrywałam się w ciemność, próbując zobaczyć, co się stało. Przez moment wydawało mi się, że widziałam rekina. Rekina! Jednym płynnym ruchem zniknął w mętnej wodzie. Zaczęłam płynąć w górę.

Wydostałam się na powierzchnię i głęboko odetchnęłam cuchnącym, wypełnionym popiołem po-

wietrzem. Niebo było całkowicie zasnuwane chmurami, a z oceanu wystawało tylko kilka fragmentów gruzu. Na jednej z takich miniaturowych wysepek siedziała podwładna Lathenii. Postanowiłam popłynąć do innej, kawalek dalej.

Wyczołgałam się z wody i padłam na coś będącego ni mniej, ni więcej, tylko stosem głazów - jedną z ostatnich pozostałości pięknego niegdyś miasta. Wpatrywałam się w wodę, wiedząc, że z każdą mijającą sekundą szanse Ethana maleją.

Bańki powietrza na powierzchni były pierwszym sygnałem, że coś się rusza w wodzie. Ale to głowa Lathenii wystrzeliła ponad fale. To musiało znaczyć, że zwyciężyła. Zauważyła swoją podwładną i zamachała do niej. Jej ramię było pokryte krwią. Czyja to była krew? Nadal nie było śladu Matta i Ethana. Lathenia zniknęła pod wodą i pojawiła się na wysepce, gdzie jej podwładna zerwała się, żeby jej pomóc. Bogini krwawiła mocno z kilku ran. Wyglądała, jakby stoczyła walkę z... rekinem!

Nagle Lathenia i jej towarzyszką zniknęły, a przez długą chwilę ciszę przerywał jedynie szum fal rozbijających się o głazy. Czekałam, mając wrażenie, że to trwa całą wieczność, bezustannie wypatrując wśród szarej kipieli jakichkolwiek oznak życia, coraz bardziej niespokojna z każdą mijającą chwilą.

W końcu coś zobaczyłam. Znowu pojawiły się bańki powietrza, ale to był tylko delfin. Podpłynął prosto

do mojej wysepki, jakby chciał mi coś powiedzieć. W tym momencie zauważyłam Erhana, który leżał nieprzytomny na grzbiecie zwierzęcia. Delfin zmienił postać i zobaczyłam, że to Matt!

Pomogłam Mattowi wciągnąć Etliana na brzeg, przewróciłam go na plecy i sprawdziłam jego drogi oddechu. Były drożne, więc podjęłam sztuczne oddychanie, tak jak uczono mnie zeszłego roku w szkole. Mijały długie minuty, a ja zaczęłam wpadać w panikę.

Matt przywłókł się bliżej.

— Będę uciskać jego pierś.

Pod wpływem naszych wysiłków Ethan zakasłał. Szybko przewróciłam go, żeby wypłuł wodę z płuc - było jej mnóstwo. W końcu usiadł i cała nasza trójka wpatrywała się w otaczający nas obraz zniszczenia. Byliśmy zmordowani, nikt nie kwapił się do przerywania ciszy.

Uświadomiłam sobie, że nie widziałam sfery w rękach Lathenii, ale nie mieli jej także Matt ani Ethan.

- Przepadła - powiedział Matt. - Jest na dnie oceanu.

Jeszcze przez chwilę żadne z nas nie odzywało się ani słowem.

W końcu Matt zawołał Arkariana.

Rozdział 21

Matt

Mój ojciec jest wściekły. Słowa Arkariana zaskoczyły mnie. Siedzieliśmy w głównej komnacie jego siedziby. Sfera za nami była na szczęście spokojna. Przyszedłem tutaj, żeby porozmawiać o Atlantydzie i uzyskać odpowiedzi na kilka pytań, które nasunęła obfitująca w wydarzenia misja. Teraz Atlantyda całkiem wyleciała mi z głowy. Kiedy ostatnim razem Lorian się wściekł, zesłał deszcz ognia na Ziemię i spotęgował moce Wezwanych.

- Co tym razem tak go nakręciło?

-Wśród członków Trybunału narasta niepokój. I to go wytrąca z równowagi.

- Cóż, można to zrozumieć. Jedno z nich jest zdrajcą, więc denerwują się tym.

Arkarian lekko wzruszył ramionami.

- Nie mamy żadnych dowodów, Mart. Prychnąłem na tę uwagę, a moje własne wątpliwości sprawiły, że nie potrafiłem powstrzymać sarkazmu.

- No daj spokój! Lorian znalazł przecież klucz zakopany na dziedzińcu. W szkatule, którą mógł stworzyć tylko ktoś dysponujący mocą równą mocy członków Trybunału.

Arkarian uniósł głowę, a jego oczy spotkały się z moimi.

- Może tak być, ale są jeszcze inni obdarzeni taką mocą.

Od czasu uratowania Nerii z pałacu Lathenii doszedłem do własnych wniosków w kwestii tożsamości zdrajcy. A chociaż Arkarian siedział teraz przede mną, najwyraźniej jego myśli podążały innym torem. Zastanowiłem się, do czego on zmierza.

- Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że myślisz, że twój własny ojciec maczał w tym palce?

- Nie, nie to miałem na myśli - odparł bez namysłu.

- Czyli co, uważasz, że Trybunał został wrobiony? Przez kogo? Przez Marduka?

Znowu wzruszył ramionami i zapatrzył się na swoje stopy.

- Po prostu nie chcę wierzyć, że ktoś z członków Trybunału jest zdrajcą. Przez wieki zbliżyłem się do nich wszystkich...

- Ryszarda znasz tylko nieco ponad rok - przypomniałem mu.

- I poznałem go przez ten czas bardzo dobrze.

- Nie bądź naiwny, Arkarianie. Obaj wiemy, kto jest zdrajcą. - Użyłem myśli, aby przypomnieć mu widok, który oszołomił nas obu w pałacu Lathenii nie tak dawno temu. Widok króla Ryszarda idącego pod rękę z naszym wrogiem.

Arkarian odezwał się charakterystycznym dla siebie łagodnym głosem:

- Veridian od wieków czekał na tego króla. Nie wierzę, że mógłby zdradzić.

Taki spokój! Taka lojalność! Czy on nie widział, co ma przed oczami?

- Rzeczy, których byśmy sobie życzyli, potrafią być ulotne jak sen i równie odległe od rzeczywistości.

- Ale Matt, czym bylibyśmy, gdybyśmy się wyzbyli nadziei?

Wzruszyłem ramionami.

- Światy są tak pełne tajemnic! Gdybyśmy odcięli się od nadziei, marzeń i wiary w rzeczy, których nie widzimy, życie straciłoby barwy.

- To jak wyjaśnisz obecność Ryszarda w pałacu Lathenii?

- Mój ojciec wiedział o tej misji ratunkowej. Być może wysłał Ryszarda, żeby odwrócił uwagę Bogini i ułatwił nam zadanie.

Nie chciało mi się w to wierzyć.

- Jeśli tak było, nasz kochany król Ryszard bardzo poważnie potraktował swoje obowiązki! Czy oni przypadkiem nie poszli do sypialni?

Arkarian nie znalazł na to odpowiedzi.

- Wiem tylko, że na razie powinniśmy zachować tę informację dla siebie.

- Dlaczego? Jeśli król Ryszard jest zdrajcą, powinien zostać zdemaskowany. Jak najszybciej.

- Jeśli go niesłusznie oskarżymy, prawdziwy zdrajca pozostanie na wolności, a my zniszczymy naszego władcę.

Niechętnie się z nim zgodziłem, przynajmniej na razie.

- No dobra. Ale byli z nami Dillon i Neria. Oni także go widzieli.

- Nie martw się, porozmawiam z nimi. Pamiętaj tylko, żeby strzec klucza... przed wszystkimi. W tym momencie nie wiemy, komu możemy zaufać.

- Klucz jest bezpieczny, Arkarianie. Przynajmniej tak długo, jak długo starożytne miasto pozostaje niezdojane.

- Jimmy robi, co w jego mocy, ale jest tylko człowiekiem.

Z tą ponurą myślą zamilkliśmy. Arkarian pierwszy przerwał ciszę.

- Kwestia zdrajcy nie jest jedyną rzeczą, jaka niepokoi mojego ojca.

Znowu mnie zaskoczył.

- A co jeszcze?

- Uważa, że w tych trudnych czasach wszyscy, którzy mają zostać inicjowani, powinni już przejść ceremonię wtajemniczenia, tymczasem nadal pozostają dwie osoby.

- Neria? - zapytałem. - Tak, Neria i Dillon.

Przyszło mi na myśl, że tak właściwie ja także nie zostałem jeszcze inicjowany. Arkarian odpowiedział rai, zanim zdążyłem to wyrazić na głos.

- Matt, damy i lordowie z Trybunału nie mogą ci niczego dać, ponieważ zostałeś wyszkolony przez kogoś, kto jest ponad nimi. Czas spędzony w jego świecie był twoją inicjacją. Nikt nie będzie kwestionował twojego prawa do bycia Strażnikiem Czasu ani też twojej roli zapisanej w Proroctwie.

Wyjaśnienia Arkariana były trudne do przyjęcia. Ci ludzie nawet mnie nie znali, jak mogli mi wierzyć tak bezwarunkowo? Spróbowałem zmienić temat.

- Czy Neria i Dillon będą mieli wspólną ceremonię?

Arkarian zastanowił się nad odpowiedzią.

- Inicjacja Nerii będzie się odbywała podczas zamkniętej uroczystości. Poza Lorianem i członkami Trybunału jedynymi gośćmi będziemy ja i ty.

- To coś niezwykłego? Skinął głową.

- Ceremonia inicjacji to radosne wydarzenie, którym chcemy się dzielić ze wszystkimi.

- Więc dlaczego ceremonia Nerii będzie zamknięta?

- Neria jest... szczególną dziewczyną.

- Jasne, wiem o tym. Ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

- To nie ma znaczenia... teraz. Przycisnąłbym go o bardziej konkretną odpowiedź, ale nie byłem pewien, czy chcę ją usłyszeć.

- Ib kiedy wyruszamy?

- Dziś w nocy. Kiedy wrócisz do domu, powtórz to wszystko Nerii. Dillon będzie tutaj za kilka minut, porozmawiam z nim.

Wyszedłem, zanim zjawił się Dillon. Nie chodziło o to, że starałem się go unikać, ale po prostu tyle się działo, że potrzebowałem trochę spokoju.

Chłodne powietrze na zewnątrz pomogło mi się otrząsnąć ze stanu półsnu, w jakim się znajdowałem od zagłady Atlantydy. Narzuciłem na siebie kurtkę i wciągnąłem w płuca wczesnowieczorne powietrze.

Kiedy schodziłem na dół, zaczęło się robić ciemno. A chociaż nie byłem głodny - nie miałem apetytu od zakończonej zeszłej nocy misji - kuszący zapach maminych potraw przypląnął do mnie i sprawił, że zaburczało mi w brzuchu. Niemal we wszystkich pokojach w domu paliło się światło. Isabel była na piętrze, w pokoju, który dzieliła teraz z Nerią. Dziewczyny rozmawiały o czymś, słyszałem ich głosy, były pogrążone w dyskusji. Mama zawołała je na obiad. Zobaczyłem ich sylwetki, kiedy szły do drzwi.

Od kiedy dowiedziałem się, że ojciec Isabel nie był moim ojcem, i że mój ojciec tak naprawdę jest kimś... można powiedzieć, nie z tego świata, czułem dystans dzielący mnie od własnej rodziny. Isabel martwiła się, że zmienię się po powrocie z treningu. Myliła się, a jednocześnie miała rację. Byłem nadal tą samą osobą z krwi i kości, z tymi samymi lękami, wątpliwościami i brakiem doświadczenia, ale rzeczy, które mogłem teraz robić, sprawiały, że byłem inny. Sprawily też, że miałem opory przed używaniem moich mocy w obecności innych. Szczególnie zdolności zmiany postaci.

Jimmy wyszedł z domu, niosąc ciężką plastikową torbę. Zauważył mnie i zatrzymał się.

- Twoja matka martwi się o ciebie. Powiedziałem jej, że na pewno niedługo wrócisz. Zaczekaj, wyrzucę śmieci i wejdziemy razem.

Zdecydowanie nie przepadałem za Jimmym, ale od czasu pobytu u Dartemisa zacząłem go przynajmniej tolerować - mam na myśli jego obecność w naszym domu. Wrócił ze śmietnika i przyrzynał mi otwarte drzwi.

Wszedłem do środka dokładnie w momencie, kiedy Isabel i Neria znalazły się na dole schodów. Isabel przyjrzała mi się zmrużonymi oczami.

- Wszystko OK? Wyglądasz jak upiór. Jimmy wszedł za mną.

- Po prostu zmarzył jak pies, skarbie. Dobrze mu robi pyszne jedzonko twojej matki.

Jimmy i Isabel zamienili jeszcze kilka słów, a moje oczy pobiegły do Nerii. Jak zawsze, kiedy ją widziałem, moja pierś ścisnęła się tak, jakby ktoś owinał mi żebra stalowym pasem i zaciskał go o kolejne dziurki. Te trudności z oddychaniem potwierdzały, że podjąłem słuszną decyzję w jej sprawie.

Nasze spojrzenia spotkały się na chwilę. To, co zobaczyłem w jej oczach, na moment prawie mnie ogłuszyło. Tak wielkie poczucie krzywdy, zagubienie, złość - to była potężna mieszanka.

-Neria...?

Potrząsnęła głową, obróciła się bez słowa i skierowała prosto do kuchni.

W połowie krępującego obiadu przeprosiłem i z powrotem wyszedłem przed dom, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Siedziałem na dolnym schodku werandy, oddychając zimnym nocnym powietrzem, aż usłyszałem, że mama i Jimmy krzątają się w kuchni. Było już po obiedzie, a oni zaczynali zmywać. Postanowiłem wrócić do środka, kiedy tylne drzwi uchyliły się. Podniosłem głowę i zobaczyłem Nerię. Zamarłem na jej widok. Jej spojrzenie pobiegło przez dzielący nas lodowaty dystans. Poczułem nieodpartą chęć, żeby ją przytulić.

— Chciałam tylko powiedzieć, że dowiedziałam się o tym, że dałeś słowo Dillonowi. Dałeś słowo! Matt, to takie... nieodwracalne.

Teraz lepiej rozumiałem rzucone mi wcześniej spojrzenie i nieklejącą się rozmowę przy obiedzie.

- Pozwól mi wyjaśnić...

- Nie masz czego wyjaśniać, Matt. Kiedy Dillon mi o tym powiedział, byłam naprawdę wściekła. To znaczy nie potrafiłam zrozumieć. Widzisz, myślałam, że czujesz to samo, co ja, i tylko potrzebujesz czasu. - Potrząsnęła głową. - Ale teraz rozumiem, dlaczego nie chcesz mieć ze mną do czynienia.

- O czym ty mówisz?

- Nadal coś czujesz do Rochelle.

- Co?!

Wyciągnęła rękę, nie pozwalając mi podejść bliżej.

- Słuchaj, nie przyszłam robić ci wykładów. To, z kim chcesz być, to tylko i wyłącznie twój wybór.

- Mylisz się. Nie chcę być z Rochelle. Czuję się źle nawet kiedy przebywam z nią w jednym pokoju.

-Właśnie. Dlaczego czujesz się tak niedobrze, kiedy Rochelle jest w pobliżu? Minał ponad rok, odkąd dowiedziałeś się prawdy. Dlaczego nie machniesz na nią ręką i nie zostawisz tego za sobą?

Przez moment miałem pustkę w głowie.

- Cholera, nie wiem!

- Ból sprawia, że jesteś zaślepiiony i wystraszony, dlatego starasz się ukryć. Ale od początku próbowałam ci powiedzieć, że rozumiem to. I, no cóż, chciałam też powiedzieć, że ile czasu byś nie potrzebował, żeby się uleczyć, będę na ciebie czekała.

Z tymi słowami odwróciła się i wbiegła do domu. Poczulem gwałtowną potrzebę, żeby pobiec za nią,

złapać i przytulić tak mocno, jak tylko zdołam. Ale z całej siły walczyłem z tym uczuciem - nie mogłem pozwolić jej myśleć, że między nami kiedykolwiek może się coś wydarzyć. Musiałem jej powiedzieć o wyprawie do Aten, która miała się odbyć tej nocy. Powinna zostać przygotowana na to, co ją czekało. Ale to nie był dobry moment. Uznałem, że zostawię to Isabel.

Rozdział 22

Matt

Ma noc z każdą chwilą stawała się coraz bardziej dziwna. Odsunąłem na razie myśli o Nerii, wziąłem prysznic i położyłem się. Im szybciej zasnę i będę miał za sobą tę inicjację, tym lepiej.

Ale sen nie chciał przyjść. Przewracałem się z boku na bok, a w końcu skorzystałem z nabytych umiejętności medytacji, żeby uspokoić nerwy. Mój oddech zaczął zwalniać, a ciało się odprężyło. W tym momencie w moich myślach pojawił się obraz - ale nie należał do mnie i w ogóle nie powinno go być w mojej głowie. Potrzebowałem chwili, żeby zrozumieć, co się dzieje. Isabel śniła, a ja widziałem jej sen. Trwał nieprzerwanie - żywe obrazy migały tak szybko, jakby przez moje myśli przejeżdżał elektryczny pociąg. By-

łem ciekaw, jak Isabel to odbiera. A w następnej chwili zrozumiałem, czego doświadczam — to nie był sen, tylko jedna z jej wizji.

Wstałem i poszedłem do jej pokoju. Rzuciła się na łóżku, ściskając głowę obiema rękami. Neria siedziała przy niej w ciemności, a jej duże oczy były pełne niepokoju.

- Nic jej nie będzie — wyjaśniłem i usiadłem z drugiej strony Isabel. - To zaraz minie.

Mam nadzieję! - dodałem w myślach. Chociaż widziałem wcześniej moją siostrę pod wpływem wizji, nawet wiele razy, nie przypominałem sobie, żeby kiedykolwiek tak się męczyła.

Jeśli wszystkie talenty Wezwanych zostały wzmocnione, to jak muszą teraz wyglądać wizje Isabel? Starąłem się ją uspokoić, kładąc jej rękę na ramieniu. Zesztywniała, usiadła wyprostowana i wbiła palce w moje ramię.

- Matt!

- Jestem. - Starąłem się, żeby mój głos brzmiał spokojnie. Obrazy przestały migotać w mojej głowie. Miałem nadzieję, że to oznacza, iż wizja Isabel już się zakończyła. - Wszystko w porządku.

- Widziałam... Widziałam... - Przełknęła ślinę, w jej oczach tliło się szaleństwo.

Odgarnąłem włosy z jej twarzy.

- Spokojnie. Złap najpierw oddech. Potrząsnęła głową.

- Nie rozumiesz.

- Nie, nie rozumiem, ale jeśli się uspokoisz, będziesz mogła mi wyjaśnić.

Odetchnęła głęboko, skinęła głową Nerii i zaczęła tłumaczyć:

- Było tego tak wiele. Fragmenty. Okruchy. Dziwne istoty. Niektóre z nich widziałam w świecie podziemnym, ale były też inne, szare i cieniste - wzdrygnęła się.

- Co robiły te istoty? - zapytałem.

- Te ze skrzydłami latały nad szkołą. Było ich tak wiele, że rzucały cień, jakby było późne popołudnie. - Spojrzała mi w oczy. - Matt, one były uzbrojone w truciznę, narkotyki z ogrodów Marduka, i rozpylały je nad całym Angel Falls!

- Wiesz, kiedy to ma się zdarzyć, Isabel? Westchnęła i ścisnęła głowę rękami.

- Myślę, że niedługo.

- No dobrze. Dzisiaj w nocy muszę się wybrać do Aren, więc powiadomię Trybunał o twojej wizji. Nic więcej nie możemy teraz zrobić, więc spróbuj trochę odpocząć.

- Zostanę przy tobie, dopóki nie zaśniesz - dodała cicho Neria.

Nie! Jest coś jeszcze!- Myśli Isabel zabrzmiały echem w mojej głowie. Rzuciła szybkie spojrzenie na Nerię. Cokolwiek jeszcze zobaczyła, nie chciała, żeby Neria o tym wiedziała. Odwróciłem jej twarz do siebie i ponagliłem ją wzrokiem, żeby kontynuowała.

Widziałam Rochelle - oznajmiła.

Tylko dwa słowa, ale wypowiedziane z taką mocą, że przygotowałem się na najgorsze.

Próbowałam ją uzdrowić, ale strzała przebiła jej serce!

Czekaj! Nie mów nic więcej! — wrzasnąłem w myślach, ale Isabel nie była myślowidząca, więc nie usłyszała mnie.

Grot strzały był zatruty.

Odetchnąłem głęboko i zadałem to samo pytanie, co chwilę wcześniej.

Wiesz może, kiedy to się stanie? Po upadku Cytadeli.

Wpatrywałem się w nią, jakby była zrobiona ze szkła, a ja mogłem przejrzeć jej duszę na wylot. *Coś ty powiedziała?*

Nagle w mojej głowie zabrzmiał głos Arkariana.

Czy z Isabel wszystko w porządku?

On także musiał wyczuć wizję mojej siostry. Poinformowałem go, że nic jej nie jest, jest tylko wstrząśnięta. Przekazał mi, że Trybunał czeka na przybycie moje i Nerii i że powinniśmy się pośpieszyć.

Poproszę Jimmyego, żeby zajął się Isabel — dodał.

Chwilę później do pokoju wpadł zaspany Jimmy, przejmując dowodzenie.

— Co się dzieje?

— Isabel miała wizję — wyjaśniłem.

— Dobra, wypytam ją o wszystko. — Popatrzył na Nerię i na mnie. - Czy wy nie powinniście już spać?

Niechętnie skinąłem głową, a potem zabrałem ze sobą Nerię i wyszliśmy z pokoju. Było pewne, że teraz by tam nie zasnęła. Aby przenieść się do Cytadeli, powinniśmy się znaleźć w stanie głębokiego odprężenia, ale jak mieliśmy go osiągnąć po tym, co właśnie usłyszeliśmy? Po tym, co ja właśnie usłyszałem? *Po upadku Cytadeli!* Czy Isabel naprawdę to powiedziała? Co jeszcze zobaczyła?

Otworzyłem drzwi do mojego pokoju. Neria weszła do środka i rozejrzała się.

Podszedłem do twardego krzesła przy biurku i opadłem na nie.

- Ty kładź się do łóżka. Popatrzyła na łóżko i na krzesło.

- Nie dasz rady na tym zasnąć. Może jednak położysz się koło mnie, Matt? Obiecuję, że nie będę się do ciebie dobierała.

Było ciemno, ale przypuszczałem, że żartuje. Bardziej wyczułem niż zobaczyłem jej uśmiech. Ale to nie to, że ona dobierałaby się do mnie martwiło mnie w tym momencie. Nie marzyłbym o niczym innym, jak o tym, żeby wtulić się w jej ramiona i odsunąć od siebie przerażające obrazy z wizji Isabel.

- Dzięki, ale nauczyłem się medytować nawet na stojąco. To krzesło mi wystarczy.

Położyła się do łóżka i podkuliła kolana pod brodę. Wyglądała, jakby było jej zimno, a wszechogarniająca chęć rozgrzania jej sprawiła, że zadrzałem. Zrobiłem

trzy kroki, pokonując dzielącą nas odległość, i naciągnąłem na nią kołdrę. Zwinęła się pod przykryciem, a ja zmusiłem się do powrotu na krzesło. Zamknąłem oczy i w końcu zdołałem się uspokoić na tyle, żeby poczuć zbliżające się przeniesienie. Nagle zacząłem spadać. Przygotowałem się i wylądowałem w komnacie Cytadeli.

Czekał na mnie Arkarian, na którego twarzy malował się niepokój.

- Jak ona się czuje? Wiedziałem, że miał na myśli Isabel.

- W porządku - zapewniłem go. - Jest przy niej Jimmy. Ma z nią pogadać o tej wizji i spróbować ją jakoś poukładać. Dobrze byłoby mieć jakieś ramy czasowe.

Neria pojawiła się przed nami, jej ciało materializowało się stopniowo. Arkarian przywitał ją ciepło i wyjaśnił:

- Czekaliśmy tak długo, że wysłałem Dillona przodem. Nie jest dobrze przebywać bez potrzeby w tym miejscu. Czas znaczy tu tak wiele rzeczy i przybiera wiele kształtów.

Zaprowadził nas do garderoby, gdzie wszyscy zostaliśmy ubrani w długie tuniki i dopasowane do nich płaszcze. Szaty moje i Arkariana były srebrne, podczas gdy Neria była w bieli, ozdobionej pasem plecionym ze złotych nici.

Kiedy przybyliśmy na miejsce, na dziedzińcu czekali na nas sir Syford i królowa Brystianne.

- Spóźniliście się - odezwał się sir Syford. - Ale trudno, to było nieuniknione. Zostaliśmy już poinformowani o wizji Isabel. Jest niezwykle niepokojąca.

Królowa Brystianne wzięła Nerię pod ramię.

- Ale nie dlatego się tu znalazłaś, skarbie. To szczególna okazja i jesteś tu gorąco witana. Mam dla ciebie wspaniały dar i nie mogę się doczekać, aż będę mogła ci go wręczyć.

- Cóż, musisz się powstrzymać jeszcze trochę, milady - przypomniał sir Syford. - Dillon będzie pierwszy. Wszyscy są już gotowi i czekają na nas.

Arkarian skinął głową i poszliśmy za sir Syfordem i królową Brystianne przez chłodne korytarze. W końcu dotarliśmy na miejsce, gdzie czekał na nas Dillon, przyodziały w ciemnobłękitną tunikę, przytupując z niecierpliwością w marmurową posadzkę.

- Wreszcie jesteście! Zaczęli się tam już niecierpliwić. Lord Penbarin wyglądał ze dwa razy.

Arkarian wzięł go pod ramię i odprowadził na bok, żeby udzielić mu ostatnich wskazówek. Drzwi otworzyły się, a sir Syford i królowa Brystianne zajęli miejsca w Kręgu, obok pozostałych członków Trybunału.

Poprowadziłem Nerię w stronę krzeseł dla widzów z boku sali, ale po drodze spojrzałem na króla Ryszarda i coś się wydarzyło. Nasze oczy spotkały się i zatrzymały. Nagle powróciły wszystkie moje wątpliwości dotyczące tego mężczyzny. Ogarnął mnie trudny do opanowania przyływ gniewu. Oto człowiek, któ-

ry powinien być królem Veridianu, wyrwany z historii, aby wypełnić proroctwo napisane zanim wszyscy przyszedliśmy na świat. Na jego barkach spoczywała olbrzymia odpowiedzialność, ale czy mogliśmy liczyć na jego lojalność?

Arkarian pojawił się w drzwiach z Dillonem u boku. Pochwycił moje myśli i rzucił w mój umysł ostrzeżenie. *Ostoń swoje rmysii!*

Szybko przeszedłem dalej, ale kiedy mijałem Lorianą, zobaczyłem, że wpatruje się we mnie ze zmarszczonymi brwiami.

Arkarian poprowadził Dillona na środek kręgu, umyślnie jak najszybciej zwracając na niego uwagę wszystkich zebranych.

— Ojczy, lordowie i damy, pozwólcie, że przedstawię wam naszego najnowszego Strażnika. Nazywa się Dillon Sinclair, a chociaż jego obecność tutaj może być zaskakująca, witamy go serdecznie. — Wszyscy zaczęli bić brawo, a ja w ogólnym gwarze mogłem wreszcie odetchnąć z ulgą.

Dillon usiadł na stołku. Wyglądał na zdenerwowanego, ale podekscytowanego. Arkarian zajął miejsce obok mnie i Nerii. Nie powiedział ani nie pomyślał ani słowa na temat tego, co właśnie zaszło między mną a królem Ryszardem, ale jego sztywne zachowanie mówiło samo za siebie. W końcu zwrócił do mnie głowę i potrząsnął nią lekko. Chciał, żebym zapomniał o całym zajściu. Puścił mi to płazem, przynajmniej na razie.

Na środku kręgu Lorian poprosił Dillona, aby złożył przysięgę wierności Straży - chłopak zrobił to z entuzjazmem. Sądząc po wymienianych spojrzeniach, wszyscy uważali jego zachowanie za sympatyczne i naturalne.

Jeden po drugim członkowie Trybunału wręczali swoje dary. Lady Devine ofiarowała Dillonowi dar mądrości. Lord Meridian umiejętność dostrzeżenia prawdy poprzez fałsz. Królowa Brystianne podarowała mu pokorę, natomiast sir Syford - siłę, dodając:

- Ponieważ jednak wszyscy znamy niezwykłą siłę fizyczną Dillona, mój dar ma wzmocnić jego ducha.

Zgromadzeni w Kręgu członkowie Trybunału pokiwali głowami i wymienili pomruki aprobaty. To był dobry dar, podobnie jak wszystkie, które Dillon do tej pory otrzymał. Następna była lady Arabella. Prześlizgnęła się do niego i położyła delikatną, pokrytą błękitnymi żyłkami dłoń na jego głowie.

- Moim darem jest spełnienie spraw dotyczących serca. Ten dar pozwoli ci stwierdzić, kiedy miłość jest odwzajemniona... a kiedy nie.

Tym razem członkowie Trybunału zaczęli nerwowo szeptać, a napięcie w komnacie sięgnęło zenitu. Lady Arabella rozejrzała się, uciszając zgromadzonych spojrzeniem lodowato zimnych oczu. W końcu zwróciła się z powrotem do Dillona.

- Wszystkie dary, które dzisiaj otrzymałeś, potrzebują czasu na zakorzenienie się i wzmocnienie. Powinieneś pracować nad nimi, jakbyś był Uczniem pozna-

jącym dopiero tajniki naszej sztuki. Pamiętaj o tym, Dillonie.

Lord Penbarin podszedł bliżej i popatrzył na lady Arabelle, unosząc krzaczaste brwi do połowy czoła. Lady Arabella usiadła, a on spojrzał na Dillona.

- Wizja - powiedział po prostu. - Moim darem jest wydobycie twojego drugiego talentu, który najwyraźniej nie chce się sam ujawnić. Oczywiście nie miałeś odpowiedniego nauczyciela, w każdym razie tutaj, w Straży. Przypuszczam, że to dlatego twoja druga moc pozostaje uśpiona.

- Milordzie, co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał Dillon.

Lord Penbarin uniósł rękę w geście zaprzeczenia.

- To twoja moc, Dillonie. Czymkolwiek się okaże, pracuj nad nią, a możesz zostać zaskoczony.

W końcu zbliżył się król Ryszard. Dopilnowałem, żeby trzymać wszelkie myśli o zdradzie pod kontrolą.

- Moim darem dla ciebie jest zdolność dzielenia się wiedzą, abyś pewnego dnia mógł zostać Nauczycielem.

Na twarzy Dillona pojawił się zaskoczony uśmiech. Popatrzył na króla Ryszarda i skinął głową w podzięcie.

Kiedy król powrócił na swoje miejsce, oczy wszystkich zwróciły się na Lorianę. Przez długi moment nieśmiertelny siedział nieruchomo ze spuszczoną głową. W komnacie słychać było tylko nasze oddechy. W końcu wstał i podszedł do Dillona, kładąc dłonie na jego głowie.

- Twoja decyzja, aby przejść z Zakonu do Straży, wymagała odwagi, jakiej większość zebranych w tej komnacie nie potrafiłaby zgromadzić przez tysiąc lat.

Jeśli chciał zapewnić sobie oddanie Trybunału, drwiny z nich nie były najlepszym pomysłem. Siedzący obok mnie Arkarian zakasłał, a ja uświadomiłem sobie, że nie zdołałem osłonić tej myśli. Co ja dzisiaj wyprawiałem? Najpierw ta wpadka, kiedy dałem królowi Ryszardowi do zrozumienia, że coś do niego mam, a teraz to! Uświadomiłem sobie, że wszyscy członkowie Trybunału pochwycili moje myśli. Lorian zwrócił głowę w moją stronę. Jego oczy przeszły mnie, pytając, jak śmiem tutaj siedzieć i go osądzać? Ale nie zamierzałem przeproszać. Chociaż nie chciałem, żeby moje myśli zostały usłyszane, nie zamierzałem się ich wypierać.

Przez chwilę, dłużącą się w nieskończoność, mierzyliśmy się wzrokiem, aż wreszcie Lorian pierwszy odwrócił spojrzenie. Tuż obok mnie Arkarian wyraźnie odetchnął z ulgą.

Lorian przeniósł wzrok z powrotem na Dillona i odezwał się:

— Mimo że z urodzenia nie jesteś Wezwanym, zasłużyłeś na to, aby stać się jednym z nich. A zatem, abyś mógł czuć się im równy, moim darem jest wzmocnienie twojego talentu nadnaturalnej siły, a także tego drugiego, rozwijającego się talentu.

Z dłoni Lorianana spłynęło światło, otulając Dillona od czubka głowy aż po koniuszki stóp. Ze swojego

miejsca czułem potęgę nieśmiertelnego tak wyraźnie, jakby przepływała przez moje własne ciało. Zastanawiałem się, jak Dillon to wytrzymuje.

Kiedy Lorian skończył i światło płynące z jego otwartych dłoni przygasło, Dillon upadł do tyłu, a stołek wyturlał się spod niego. Arkarian zerwał się z miejsca i pomógł mu wstać, podczas gdy w komnacie rozbrzmiały oklaski i wiwaty.

Lorian wrócił na swoje miejsce.

- Idź teraz, Dillonie, gdyż przygotowano wystawną ucztę na twoją cześć. Zaraz po inicjacji Nerii dołączymy do was, aby świętować to wydarzenie.

Kiedy wiwaty powoli cichły, wszyscy, z wyjątkiem tych, których poproszono o pozostanie, opuścili komnatę. Kiedy ostatnia osoba wyszła, Lord Alexandon i Arkarian zamknęli drzwi. Neria zaczęła drżeć, więc wziąłem jej dłoń w swoje dłonie, starając się ją uspokoić.

- Będziesz cudowna. Już za tobą przepadają, czuję to. Uśmiechnęła się do mnie i spuściła głowę. Arkarian zawołał ją, więc wysunęła dłoń z mojego uścisku i zajęła miejsce na środku kręgu. Kiedy Arkarian zaczął ją przedstawiać, potarłem swoje ręce — palce mnie mrowiły.

Wiwaty były głośnie i oczekiwane. Nie kłamałem, kiedy powiedziałem Nerii, że członkowie Trybunału już za nią przepadają. Atmosfera w komnacie była ciepła i przepelniona podziwem.

Lorian dołączył do niej na środku kręgu.

- Nerio Gabriel, czy przysięgasz wierność Straży i wszystkim jej członkom?

- Tak, panie.

Cofnął się i skinął na lorda Penbarina, aby jako pierwszy wręczył swój dar. Lord podszedł i stanął przed nią.

- Witam cię, moja droga. Od Domu Samarii ofiarowuję ci dar męstwa i litości.

Następna była lady Arabella, a jej darem była zdolność widzenia prawdy poprzez wszelkie rodzaje oszustwa i podstępu. Sir Syford obdarował Nerię zdolnością wyczuwania obecności zła. Królowa Brystianne, kiedy nadeszła jej kolej, najpierw okrążyła Nerię, a jej luźna kremowa suknia powiewała dramatycznie.

- Moim darem jest wzmocnienie twojej więzi ze zwierzętami, tak abyś mogła porozumiewać się z nimi, a one mogły się porozumiewać z tobą.

Ten dar był szczególnie, zgodnie z wcześniejszymi słowami królowej Brystianne. Wraz z innymi biłem brawo, a Neria była przepelniona wdzięcznością. Podniosła głowę, żeby podziękować królowej Brystianne, a na jej twarzy malowała się radość.

Pozostałe dary były niemal tak samo ekscytujące: widać było, że Neria jest ich ulubienicą. Król Ryszard znowu był ostatni, a jego dar miał postać materialną. Wręczył Nerii pędzel - delikatny i zgrabny, idealnie pasujący do jej dłoni.

- Tym pędzlem będziesz mogła malować przejścia do innych światów. Opanowanie tego daru zabierze

ci wiele czasu, ale pewnego dnia nie będziesz do tego potrzebować nawet pędzla. To ogromna odpowiedzialność, Nerio. Musisz rozważnie korzystać z tej mocy. Ćwicz z tym pędzlem, ale nie przejmuj się, jeśli go stracisz. Nie będzie działać w żadnych innych rękach, a moc, o której mówię, jest już w tobie.

Usiadł, a ja zastanowiłem się nad jego darem — miał potencjał, by stać się potężny ponad wszelkie wyobrażenie. Byłem też ciekaw, kim jest ta dziewczyna - córka zdrajcy - która podbiła serca tylu szlachetnie urodzonych?

Lorian wstał i zbliżył się do Nerii ze swoim darem. Uniósł ręce ponad jej głową i powiedział po prostu:

- Obdarzam cię talentem myślowidzenia.

W komnacie rozległy się szepty, ale zgodzono się, że taki dar jest wprawdzie niezwykle szczodry, ale stosowny. Kiedy dar Loriana został przekazany Nerii, która stała się myślowidząca, członkowie Trybunału i Arkarian zaczęli bić brawo.

Kiedy ucichli, Neria chciała wstać, ale Lorian zatrzymał ją skinieniem ręki.

- Jest z nami dzisiaj jeszcze jedna osoba, która ma przekazać dar tej dziewczynie.

Członkowie Trybunału zaczęli szeptać między sobą. Lorian spojrzał na mnie.

- Matt, czy zechciałbyś przyjść do Kręgu? Sformułowana jako pytanie „prośba” Loriana była raczej rozkazem. Zrobiłem, czego chciałem.

- Tak, panie?

- Czy masz dar, który chciałbyś przekazać tej dziewczynie?

Jego pytanie całkowicie mnie zaskoczyło. Rzeczywiście miałem dla kogoś dar. Mój ojciec chciał w ten sposób upewnić się, że nie spędzę wieczności samotnie. Dobrze pamiętałem jego instrukcje. Miałem nosić w sobie ten dar, aż znajdę właściwą osobę. Powiedział mi, że ją poznam, patrząc w jej umysł. Spojrzałem na Nerię.

- Czy to o nią chodziło?

Lorian uśmiechnął się i przez moment niemal zaczął przypominać swojego brata.

- Ale...? - *Skoro tak, to dlaczego tego nie widziałem!*

- Też się nad tym zastanawialiśmy - odparł, nadal lekko rozbawiony.

Neria niepewnie rozejrzała się po komnacie i zaczęła się podnosić.

- Usiądź, Nerio - polecił Lorian i popatrzył na mnie wyczekująco.

Spojrzałem na nią jeszcze raz, ale Neria nagle zainteresowała się zawiłymi wzorami na posadzce. Odetchnąłem głęboko, żeby uspokoić gonitwę myśli, a potem wsunąłem palec pod podbródek Nerii i podniosłem jej głowę. Nasze oczy się spotkały i nagle zrozumiałem, jaka jest prawda. Neria była tą osobą, z którą miałem dzielić życie - na zawsze! Pewnego dnia miała stać się członkinią Trybunału. Wszyscy w tej komna-

cie wiedzieli o tym — dlatego tyle jej darów dotyczyło zdolności osądu, miłosierdzia i tak dalej. Dlatego też członkowie Trybunału traktowali ją z takim szacunkiem.

W tym momencie przypomniałem sobie przysięgę złożoną Dillonowi. Nagle wróciło do mnie ostrzeżenie profesora Cartera: „Uważaj, co obiecujesz”.

- No nie!

Neria szarpnęła głową, słysząc te słowa, a ja uświadomiłem sobie, że wypowiedziałem je na głos. Poruszyła się i widać było, że czuje się niezręcznie.

Nie potrafiłem się wytłumaczyć w obecności tylu ludzi.

- Matt, jesteś gotów? - zapytał Lorian. - Już czas, żebyś to zrobił.

Skinąłem głową jak we śnie, a Lorian wrócił na swoje miejsce.

Odetchnąłem głęboko dla uspokojenia i podniosłem dłonie, kładąc je na czole Nerii, tak jak pokazywał mi Dartemis. Wykorzystując umiejętności, wpojone mi przez ojca, wydobyłem dar, którego strzegłem w jego imieniu.

- Nerio Gabriel, obdarowuję cię... nieśmiertelnością.

Gdy tylko wypowiedziałem te słowa, komnata zaczęła drżeć. Niektórzy członkowie Trybunału westchnęli, inni złapali się za ręce. Lorian starał się ich uspokoić, a w tym czasie złociste światło popłynęło z moich rąk,

wnikając w ciało Nerii, której skóra zaczęła lśnić złościście od środka. Światło przeniknęło całe jej ciało, od czoła przez ramiona, klatkę piersiową i nogi aż do koniuszków palców. Było widoczne nawet poprzez białą tunikę. Nagle zadrżała od tej mocy, ale zaraz było po wszystkim, a jej skóra lśniła wprawdzie nadal, ale blask stał się łagodny.

Popatrzyła na swoje ręce, obracając je.

- To minie. Twoja skóra do rana odzyska zwykły wygląd.

Lorian podszedł i skinął na Nerię, aby wstała. Kiedy stanęła na lekko niepewnych nogach, Lorian oznajmił, że powinniśmy dołączyć do Dillona na uczenie. Komnatę wypełniły wiwaty, a członkowie Trybunału zbliżyli się, aby złożyć Nerii gratulacje.

Drzwi zostały otwarte i niebawem znaleźliśmy się w ogromnej sali pełnej stołów z jadłem i napojami. Dillon podszedł i powiedział coś na temat lśniącej skóry Nerii. Zbyła go szybko jakimś wyjaśnieniem, a ja zauważyłem, że nie powiedziała mu też, że jest teraz myślowidząca. Potrzebowała pewnie czasu, żeby się przyzwyczać.

Przez większą część wieczoru Neria pilnowała, żeby ani razu nie znaleźć się ze mną sam na sam. Jeśli widziała, że się zbliżam, szybko zaczynała z kimś rozmowę, a Dillon nie odstępował jej niemal na krok. Nie spuszczał jej z oka nawet wtedy, kiedy rozmawiał z nim Lorian.

Komnata wydała mi się duszna, więc wyszedłem na zewnątrz. Na dziedzińcu znalazłem parę niezwykle złotych ptaków, zamkniętych w klatce. Zauważyły mnie, zbliżyły się do prętów i zaczęły śpiewać. To była najbardziej melancholijna i pełna żalu pieśń, jaką słyszałem. Miałem wrażenie, że chcą mi coś powiedzieć. Wykorzystałem swoje moce, aby słuchać ich języka, ale myśli ptaków pozostały dla mnie zamknięte. Ich pieśń stała się szybsza, wchodząc w wysokie tony. Zaczęły tłuc się o klatkę, trzepocząc skrzydłami.

Lady Arabella pojawiła się obok mnie, a ptaki ucichły.

— Są zaniepokojone - zauważyłem.

Zaczęła manipulować przy pojemnikach z pokarmem na dole klatki.

— W całym rym dzisiejszym zamieszaniu zapomniałam nasypać im świeżego ziarna. Są po prostu głodne, to wszystko. - Wstawiła do klatki jedzenie, ale ptaki go nie tknęły. - No dalej, moje śliczne.

— Gdzie je znalazłaś?

— To one mnie znalazły — odparła.

— Nie należą do tego świata. Westchnęła.

— Zapewne dlatego ich pieśń jest taka smutna.

— Dlaczego trzymasz je zamknięte w klatce? Spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczami.

— Dla bezpieczeństwa. Są ranne, a do czasu, aż będą zdolne do lotu, grozi im niebezpieczeństwo ze strony wilków i innych drapieżników.

- Poproś Isabel, żeby je uleczyła. Wtedy będziesz mogła je wypuścić.

- Ona potrafi uzdrawiać istoty inne niż ludzie?

Z nieznanych powodów nie chciałem jej udzielać dalszych informacji o mojej siostrze. Pomyślałem o tym, jak zmienić temat, i przesunąłem dłonią po delikatnych zdobieniach klatki.

- To prawdziwe dzieło sztuki.

- Tak, Jimmy jest zadziwiający, prawda?

- Jimmy ją zbudował?

- Wydaje mi się, że nie ma niczego, czego nie potrafiłby zrobić lub do czego nie przyłożyłby tutaj ręki. Jest niezwykle utalentowany i ma niezawodne wyczucie czasu. Niezależnie od tego, czy się go potrzebuje, czy nie, zawsze jest w odpowiedniej chwili we właściwym miejscu.

- Wiem - mruknąłem, zgadzając się machinalnie. Jimmy był obrońcą. Miał dostęp do każdego najściślej strzeżonego miejsca i znał wszystkie sekretne drzwi i przejścia do miasta. To przecież on zaprojektował system obronny, który strzegł nas wszystkich. Ale popatrzcie tylko, co się stało z domem Nerii - Marduk zdołał złamać jego zabezpieczenia.

- Wszystko w porządku, Matt? - zapytała lady Arabella.

Moje myśli nadal krążyły wokół Jimmyego. Arkarian ufał mu dostatecznie, aby powierzyć mu swoje życie. Dartemis ufał mu dostatecznie, aby powierzyć

mu matkę swojego syna! Czy miałem prawo w niego wątpić? Czy to była po prostu paranoja? Przypomniałem sobie ostrzeżenie Arkariana, że bym strzegł klucza przed wszystkimi, ponieważ nie wiemy, komu możemy zaufać. Czy miał na myśli także Jimmy'ego? Poza Arkarianem Jimmy był jedyną osobą, która wiedziała, gdzie ukryłem klucz. Właściwie to on pomógł mi zabezpieczyć to miejsce.

Kątem oka zobaczyłem, że Neria wybiegła przez drzwi na przeciwległym krańcu dziedzińca. Lady Arabella także ją zauważyła.

— Nie popełniaj tego samego błędu, który popełnił Lorian.

Nie byłem pewien, o czym ona mówi, ale wyczułem, że uważa, iż powinienem pójść za Nerią i przeprosić ją. Uznałem, że to dobry pomysł i wyrzuciłem na razie z głowy myśli o zdrajcy. Nie mogłem przecież podejrzewać ludzi tylko dlatego, że dzięki swoim talentom mieli dostęp do ściśle strzeżonych miejsc! A chociaż nadal miałem różne pretensje do Jimmy'ego, nigdy nie dał mi cienia powodu, by w niego wątpić.

Zaniepokojone ptaki uspokoiły się tymczasem, więc rzuciłem ostatnie spojrzenie na klatkę i zacząłem się wycofywać. Moje ręce były zakurzone, więc wytarłem je o brzeg płaszcza.

- Na klatce jest kurz. Myślałem, że jest nowa. Lady Arabella popatrzyła na mnie nieobecny wzrokiem.

- Kurz? Ach tak, przynosi go wieczorny wiatr. Zaraz go sprzątnę. - Wskazała bramę, przez którą wyszła Neria. - Lepiej się pospiesz. Łatwo stracić kogoś z oczu w ciemnościach na tych wzgórzach.

Ruszyłem za Nerią i niedługo przeszukiwałem wzgórze rozciągające się wokół pałacowych murów. Zauważyłem ją, przedzierającą się przez jakieś krzaki i zarośla. Poszedłem za nią i znalazłem ją siedzącą na trawiastym pagórku, podziwiającą starożytne Ateny w blasku księżyca.

Zauważyła mnie i wstała, rozglądając się za drogą ucieczki.

- Czeka!

Zatrzymała się, a ja podszedłem bliżej.

- Czego chcesz? - zapytała.

- Porozmawiać. Wyjaśnić nieporozumienie.

- OK, to proste. Przepraszam, że będziesz musiał spędzić resztę życia ze mną.

Wpatrywałem się w nią z zachwytem. Jej skóra nadal lśniła, ale nawet bez tego była najśliczniejszą istotą, jaką kiedykolwiek widziałem.

- Wiedziałaś, że nasze losy są ze sobą splecione, od chwili, kiedy się spotkaliśmy po raz pierwszy.

Zastanowiła się nad tym przez moment i wybuchnęła śmiechem.

- Oczywiście.

Jej śmiech przepłynął przeze mnie jak fala.

- Mógłbym przez całe życie słuchać twojego głosu.

Zaśmiała się znowu i zawirowała w miejscu, a światło księżycy tańczyło razem z nią. Złapałem ją za ramiona i przytrzymałem.

— Przestań, zakręci ci się w głowie.

— Ale dzięki tobie jestem taka szczęśliwa — wyszeptała bez tchu.

— Nie sądziłem, że jeszcze kiedyś poczuję coś takiego. Nie chciałem tego.

— A teraz chcesz?

— Teraz, patrząc na ciebie, wiem, że to właściwe. Uśmiechnęła się.

— Pamiętasz, jak uratowałeś mnie z pałacu Lathenii, kiedy byłam zamknięta w tej zaklętej klatce?

— Tak. - Zastanawiałem się, do czego ona zmierza.

— Powiedziałaś mi, że zamknęła mnie, ponieważ obudziła się we mnie nowa moc, a Larhenia obawiała się, że mogę uciec.

— Tak. - Teraz już niczego nie rozumiałem.

Neria odsunęła się i zaczęła tańczyć i wirować. Zanim zrozumiałem, co się dzieje, jej wysmukła sylwetka zmieniła kształt. Ramiona stały się trzepoczącymi skrzydłami, nogi skróciły, a całe ciało przemieniło, aż przybrała postać gołębiczy! Podfrunęła przede mną i usłyszałem w głowie, że mówi: *Chodź ze mną!*

Serce zaczęło mi bić mocniej na tę propozycję. Przemieniłem się w gołębia, a kiedy razem wznieśliśmy się w niebo, poczułem się bardziej wolny niż kiedykolwiek wcześniej.

Lataliśmy nad Atenami, ciesząc się widokiem starożytnego miasta, ale jeszcze bardziej własnym towarzystwem. Czas mijał i łatwo było zapomnieć, że uczta w pałacu trwa bez nas. Neria zrozumiała mój niepokój i wróciliśmy na wzgórze, gdzie z powrotem przybraliśmy ludzką postać, kiedy tylko nasze stopy dotknęły ziemi. Staliśmy tak blisko siebie, że nasze ciała stykały się od kolan aż do ramion. Bez trudu mogliśmy się objąć i tak, jakby to była najbardziej naturalna rzecz we wszystkich światach, moje usta spotkały jej usta w pocałunku. Całowaliśmy się długo, a świat wokół nas przestał istnieć.

Szelest i trzask gałęzi sprawił, że wróciłem gwałtownie do rzeczywistości i przypomniałem sobie, gdzie jestem i jaka ciąży na mnie odpowiedzialność.

- Co to było? - wyszeptała Neria, przyciśnięta do mojej piersi.

Objąłem ją mocniej ramieniem, instynktownie czując potrzebę chronienia jej. Coś albo ktoś był w pobliżu. Dźwięk zdecydowanie za bardzo przypominał gałązkę celowo złamaną na pół.

- To nic takiego - starałem się uspokoić Nerię.

- Czy ktoś nas widział? - zapytała znowu.

Nie wyraziłem na głos swoich podejrzeń i osłoniłem myśli najlepiej jak mogłem.

- Chodź. Lepiej wracajmy, zanim zaczną nas szukać.

Ale podejrzewałem, że ktoś już nas szukał.

Rozdział 23

Matt

Wizyta w Atenach wytrąciła mnie z równowagi. Kiedy Arkarian odesłał mnie z powrotem do łóżka, obudziłem się gwałtownie i spojrzałem na elektroniczny zegarek stojący na szafce nocnej. Było po drugiej w nocy. Przewróciłem się na drugi bok i spróbowałem z powrotem zasnąć, ale myśli o przysiędze, jaką złożyłem Dillonowi, bezustannie krążyły mi po głowie. Tej obietnicy nie mogłem już dotrzymać. Musiałem z nim porozmawiać najszybciej, jak to możliwe.

Nagle poczułem, że coś w domu jest nie tak. Zamknąłem oczy, skupiając się. Zastanawiałem się, czy to uczucie nie jest spowodowane przez obecność Nerii i to, co między nami zaszło. Wróciliśmy w tym samym czasie, powinna teraz spać obok, w sypialni Isabel.

Postanowiłem najpierw sprawdzić, co u mamy. Wprawdzie cały czas była z Jimmym, a jego zadaniem było bronić jej choćby za cenę własnego życia, ale istniało wiele niebezpieczeństw. Poza nią wszyscy mieszkańcy tego domu byli członkami Straży, a to stanowiło dla niej zagrożenie.

Ale mama spała twardo, a Jimmy pochrapywał koło niej. Właśnie wtedy, kiedy zawróciłem z pokoju mamy do sypialni Isabel, to dziwne uczucie uderzyło mnie z całą mocą. Teraz rozumiałem dokładnie, skąd się wzięło i dlaczego. Gwałtownie otworzyłem drzwi, budząc zaskoczoną Nerię.

- Matt? Co się dzieje?

- Gdzie ona jest? Przetarła oczy. -Kto?

- Isabel! - Żeby udowodnić, o czym mówię, zapaliłem lampkę przy łóżku siostry i szarpnąłem kołdrę, odsłaniając dwie poduszki ułożone na środku materaca, które miały udawać kształt śpiącego ciała.

Neria podeszła, żeby się przyjrzeć. Spojrzała na mnie, marszcząc z zaskoczeniem brwi. Nie wiedziała, ale jej myśli powiedziały mi, że szybko zaczyna się domyślać. Zorientowała się, że jestem w jej głowie, osłoniła swoje myśli i spojrzała na mnie z najbardziej nierozumiejącym wyrazem twarzy, na jaki umiała się zdobyć.

Krew zaczęła się we mnie burzyć. Jimmy wszedł do pokoju, a w momencie, kiedy nasze oczy się spotkały,

zrozumiałem, że on wiedział. Ta myśl sprawiła, że moja krew wzburzyła się niemal do punktu eksplozji.

- Wiedziałeś o tym?

Podszedł do mnie, wyciągając rękę.

- Zaczekaj chwilę, Matt.

- Wiedziałeś i pozwoliłeś jej tam iść! Nie mów, że zostałeś wtajemniczony w ten mały podstępny plan. Co z ciebie za obrońca?

- Mów ciszej, obudzisz matkę.

Kiedy szykowałem się do użycia skrzydeł, Jimmy złapał mnie za ramiona.

- Nie idź tam, Matt. Arkarian nigdy nie skrzywdziłby Isabel. Oni nie mają nic do ukrycia.

Wyrwałem się z uścisku Jimmy'ego, który poleciał do tyłu.

- Skoro tak, to dlaczego spotykają się w tajemnicy w środku nocy?

Nie czekając na odpowiedź, użyłem skrzydeł i w następnej chwili stałem w ciemności przed tajnym wejściem do siedziby Arkariana. Sprowadził ją tutaj. Czułem ich obecność, nawet przez warstwę ziemi i skał. *Otwieraj drzwi, Arkarianie! Otwieraj natychmiast!*

Nic. Moje myśli jak pajęczyna oplotły korytarze w środku, poszukując Isabel. *Wiem, że masz tam moją siostrę, Arkarianie. Jeśli nie macie nic do ukrycia, to dlaczego przyprowadziłeś ją tutaj w tajemnicy?*

Wejście otwarło się, odsłaniając ciemny korytarz, oświetlony w środku zaledwie przez jedną czy dwie sła-

bo płonące świece. Wtargnąłem pomiędzy trzepoczące cienie i sprawdzałem kolejne drzwi, ale wszystkie były zamknięte. Zatrzymałem się na moment i spróbowałem uspokoić oddech. W ten sposób łąrowiej mi będzie stwierdzić, w której komnacie się znajdują.

W końcu w drzwiach po lewej stronie pojawił się Arkarian. Uniósł ręce do góry.

- Wiem, że jesteś wściekły, ale zanim zobaczysz się z Isabel, musisz mi pozwolić wszystko wyjaśnić.

Wyjaśnić!

- Co tu jest do wyjaśniania? Isabel jest z tobą czy nie?

Drzwi, których bronił Arkarian, otworzyły się i wyszła Isabel, naciągając rękawy długiego czarnego płaszcza. Obeszła Arkariana i stanęła między nami.

- Możesz się na moment opanować? Nie, żeby to była twoja sprawa, ale chcieliśmy po prostu mieć chwilę dla siebie.

- Możesz to wszystko wyjaśnić w domu.

- Matt, przesadzasz.

- Widziałem twoje łóżko, Isabel. Zaplanowałaś to. Dlatego jestem wściekły, o tę tajemnicę.

- Matt - powiedział łagodnie Arkarian. - Gdybyś się uspokoił, zrozumiałbyś, że jedyną przyczyną, dla której spotkaliśmy się w tajemnicy, było to, że spodziewaliśmy się takiej reakcji z twojej strony.

- Serio? Skąd mam wiedzieć, że nie kłamiesz, skoro właśnie pokazałeś, do jakich podstępów jesteś zdol-

ny? — Stałem przy drzwiach. — Isabel, chcę, żebyś natychmiast wróciła do domu.

— Nie będziesz mi mówić, co mam robić — wycedziła Isabel przez zaciśnięte zęby. - Matt, ja mam szesnaście lat, a ty nie jesteś moim ojcem!

- Cóż, jego z nami nie ma, prawda?

W jej oczach pojawiły się ból i cierpienie, a ja natychmiast pożałowałem swoich słów. Ale starałem się tylko ją przekonać. To przede mną jej ojciec zostawił nas tak dawno temu. Wiedział, że nie jestem jego dzieckiem, a chociaż próbował ułożyć sobie życie z mamą, ta wiedza nie dawała mu spokoju. Zaczął pić i w końcu uznał, że córce będzie lepiej bez niego. Dlatego to ja musiałem się opiekować Isabel. W dniu, kiedy jej ojciec odszedł, obiecałem mu, że będę to robił.

Isabel westchnęła i wyszła za mną na zewnątrz. Ukryte drzwi zmaterializowały się za nami. Wzdrygnąłem się, kiedy zimne powietrze owionęło moje gołe ręce. Nie zwracałem sobie głowy założeniem płaszcza czy nawet swetra na podkoszulkę. Ale myśli o pogodzie zniknęły, kiedy Isabel odwróciła się do mnie z błyszczącymi oczami.

- Jak mogłeś? -Co?

— Jak mogłeś mnie tak upokorzyć?

Nigdy wcześniej nie widziałem jej tak wścieklej. Wyciągnąłem rękę, żeby ją uspokoić i wyjaśnić mój punkt

widzenia, ale cofnęła się. Jej głos podniósł się do przeszywającego uszy pisku.

- Nie! Nie zbliżaj się do mnie! Nigdy więcej się do mnie nie odzywaj!

Ruszyła biegiem, zostawiając mnie stojącego w lodowatym nocnym powietrzu i patrzącego za nią. Gdybym teraz ją stracił, nie byłem pewien, czy potrafiłbym sobie z tym poradzić. Odchyliłem głowę do tyłu i spojrzałem na czyste, rozgwieżdżone niebo. Niedługo miało zacząć świtać. Czekał nas piekielnie ciężki dzień, a ja od początku zrobiłem z niego katastrofę.

Dźwięk czyjegoś oddechu za mną sprawił, że podskoczyłem. To był Arkarian, jego oczy były chłodne i odległe.

- Zostałem właśnie powiadomiony, że król Ryszard zwołał zebranie wszystkich Wezwanych o świcie. Spotkamy się w mojej siedzibie. Daj znać pozostałym.

Zniknął równie szybko i cicho, jak się pojawił. Nieprzyjemne uczucie usadowiło się na dobre w moim żołądku. Miał nas odwiedzić król Ryszard. Byłem ciekaw, czego chciał. Zazwyczaj mogłem liczyć na wsparcie Arkariana, ale właśnie całkowicie go do siebie zraziłem. Powiedział mi wcześniej, żebym mu zaufał, ale nie zdołałem tego zrobić. Naprawdę wszystko spieprzyłem i nie byłem pewien, czy uda mi się to chociaż częściowo odkręcić.

Kiedy skończyłem zawiadamiać pozostałych, świt przepędził już pozostałości nocy. Dotarłem na miej-

sce jako ostatni. Nawet Dillon już czekał, a chociaż formalnie nie był Wezwanym, podczas jego inicjacji Lorian jasno powiedział, że należy go uważać za jednego z nas. Wszyscy siedzieli wokół drewnianego stołu w jednej z komnat Arkariana. Shaun, Jimmy i profesor Carter zajęli miejsca obok siebie. Isabel siedziała obok Ethana, Dillon obok Nerii, a po jej drugiej stronie Rochelle. Arkarian stał przy drzwiach, które zamknął po moim wejściu. Pochwyciłem jego spojrzenie, ale odwrócił wzrok, a jego myśli były przede mną całkowicie osłonięte.

Kiedy wszedłem do komnaty, Jimmy podniósł głowę i westchnął ciężko. Jego także zraniłem, oskarżając, że nie jest dobrym Obrońcą. I musiałem jeszcze porozmawiać z Dillonem, który rozmarzonym wzrokiem wpatrywał się w Nerię. Kiedy zauważyli, że przyszedłem, jedno po drugim przerywali rozmowy i patrzyli na mnie. Nigdy nie czułem się tak odizolowany, tak samotny. Zupełnie jakby wszyscy nagle stali się dla mnie obcy. Neria zmrużyła oczy i zapytała w myślach, czy wszystko w porządku.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, zaczął się materializować król Ryszard. Zignorował zgromadzonych w komnacie, stuknął mnie tylko palcem w ramię.

— Musimy porozmawiać. Natychmiast. Zniknął, a ja mogłem się tylko zastanawiać, gdzie teraz jest. Pochwyciłem spojrzenie Arkariana.

— Pójdę z tobą - powiedział cicho.

To była ulga, ale nie mogłem dopatrywać się zbyt wiele w tym geście.

- Gdzie on jest? Arkarian wskazał sufit.

- Gdzieś na górze.

Za pomocą skrzydeł podążyłem za Arkarianem na grzbiet góry i rzeczywiście znaleźliśmy króla Ryszarda spacerującego nad jeziorem. Podeszliśmy do niego - przywitał Arkariana krótkim, ale życzliwym skinieniem głowy. Ale to do mnie zwrócił się z pytaniem.

- Powiedz mi, Matt, czy uważasz mnie za zdrajcę?

Po raz pierwszy, od kiedy zobaczyłem go wchodzącego do sypialni Lathenii, nabrałem wątpliwości co do moich podejrzeń. Kiedy patrzył na mnie, jego oczy były tak czyste i szczere, że z trudem mogłem uwierzyć, iż byłby zdolny do czegoś takiego. Wyjaśniłem, dlaczego go podejrzewam.

-Widzieliśmy was w pałacu Lathenii. Dobrze się razem bawiliście. Skinął głową.

-Wiesz, Matt, nie spędzamy całego dnia na siedzeniu w kręgu. Członkowie Trybunału mają swoje zadania.

- Czy wasza wysokość chce powiedzieć, że był w pałacu Lathenii, żeby odwrócić jej uwagę?

- Och, zrobiłem znacznie więcej niż tylko odwracanie jej uwagi - odparł z rozbawieniem. - Zostałem wychowany w rodzinie królewskiej i jestem dobrze zaznajomiony z niedyskrecjami wysoko urodzonych.

Teraz zacząłem rozumieć.

- Jest eś, panie, szpiegiem Loriana. Roześmiał się cicho.

- Wolę na to patrzeć jak na... ochronę Veridianu. Zrobiłbym wszystko, żeby moi podwładni byli bezpieczni. Nie jestem zdrajcą, Matt, ale najwyraźniej jest nim ktoś spośród członków Trybunału. Lorian wydaje się tego pewny, a ja mu wierzę. To, co zrobiłeś na tamtym spotkaniu, było niemal niewybaczalne. Rzucając na mnie podejrzenia, mogłeś sprawić, że musiałbym ujawnić swoją misję.

Jęknąłem, kiedy zaczęło do mnie docierać, co zrobiłem.

- Przepraszam, milordzie.

-Tak jak powiedziałem: „niemal niewybaczalne”.

Był wyrozumiały. Spojrzałem na Arkariana, który tym razem nie odwrócił głowy, a ja zobaczyłem ból w jego pociemniałych oczach. *Spieprzyłem wszystko* -wysłałem do niego myśl. *Wiedziałem, że nie jestem jeszcze gotowy.*

Ale to król Ryszard mi odpowiedział.

- Bzdury. Będiesz doskonałym przywódcą. Mam wiele do zrobienia w Atenach i w innych miejscach, nie mogę zawsze tutaj być, Matt. To twoje zadanie. Ale jest jeszcze coś, co chciałbym z wami omówić. Chodzi mi o wizję Isabel, a dokładniej o Rochelle.

- Widziała jej śmierć - wyszeptał ochryple Arkarian. Król Ryszard skinął głową.

— Uważam, że lepiej będzie nie mówić jej o tym. -Milczeliśmy, a on rozwinął myśl: — Uważam także, że ktoś powinien jej pilnować. Ktoś, komu możecie zaufać.

— Coś jak ochroniarz? - zapytałem.

— Właśnie.

To był doskonały pomysł, więc zacząłem się zastanawiać, kto by to mógł być. Odpowiedzialność była ogromna: pilnować Rochelle i bronić jej życia.

— Ja to zrobię.

Król Ryszard potrząsnął głową.

— Ty będziesz zbyt zajęty innymi sprawami. To musi być ktoś inny.

— To nie powinien być Ethan. On... czuje coś do niej. A wiadomość o tym, co może się z nią stać, mogłaby... mieć na niego zły wpływ.

Zastanowiłem się nad Dillonem, ale szybko porzuciłem ten pomysł. Jego emocje potrafiły być niestabilne. Spojrzałem na Arkariana.

— Jak myślisz, kto to powinien być? Odwzajemnił spojrzenie i przez chwilę myślałem, że mi nie odpowie. W końcu się odezwał:

— To powinna być Isabel. Tego nie brałem pod uwagę.

— Dlaczego?

— Przede wszystkim ona już wie. Widziała na własne oczy, co może się wydarzyć. Najszybciej rozpozna tę scenę, kiedy zacznie się dziać naprawdę.

Miał oczywiście rację.

- Ponadto — ciągnął Arkarian — jej umiejętności obronne są doskonałe i... - Urwał na dłuższą chwilę. - Ethan jest jej najlepszym przyjacielem. Bardzo jej na nim zależy. Wie o tym, co Ethan czuje do Rochelle, i zrobiłaby wszystko, co w jej mocy, żeby nie zawieść któregokolwiek z nich. Jest także wierna Straży, traktuje swojej obowiązki z niezwykłym oddaniem. A chociaż nie będzie mogła pilnować Rochelle dwadzieścia cztery godziny na dobę, powinna okazać się skuteczna. Wreszcie, jest uzdrowicielką. Gdyby doszło do najgorszego i Rochelle została ranna, Isabel będzie przy niej.

Podczas gdy ja nieudolnie się miotalem, wyjaśnienie Arkariana było doskonałe.

- W takim razie postanowione - powiedział król Ryszard. — A teraz, zanim wrócimy do tej dusznej nory na dole, jest jeszcze jedna sprawa, o której należy pomówić.

Popatrzył prosto na mnie.

- Twój rozkwitający związek z Nerią powinien pozostać tajemnicą dopóty, dopóki nie porozmawiasz z Dillonem.

Stojący obok Arkarian uniósł brwi.

- Wiedzieliście o nas? - zapytałem.

Król Ryszard podniósł ręce, stykając kciuki, i zamachał nimi jak ptak skrzydłami.

- Widziałem was zeszłej nocy, kiedy razem lataliście nad Atenami.

- To byłeś ty, panie? Myślałem... że to był Dillon
-dokończyłem w myśli.

-To mógł być Dillon. Poszedł szukać Nerii, a kiedy nie mógł jej znaleźć, zaczął szukać ciebie. Zauważyłem to, Matt, ponieważ przez cały czas obserwuję moich ludzi. Powiedziałem mu, że jesteś w piwnicy i podziwiasz kolekcję win, a Neria poszła przećwiczyć nowe moce na ptakach lady Arabelli na dziedzińcu i że nie może jej przeszkadzać. Wtedy właśnie poszedłem was szukać.

Znowu zrobił dłońmi gest lotu.

- Musicie naprawdę uważać na to, gdzie się potajemnie spotykacie, przynajmniej dopóki Dillon nie pogodzi się z tym, że złamałeś dane mu słowo. A teraz powinniśmy wracać. Chcę porozmawiać z Wezwanymi. Musimy ufać sobie nawzajem, znajdujemy się o krok od bitwy, która może zniszczyć całą ludzkość. Nie możemy stanąć na polu walki podzieleni, ponieważ wówczas przegramy. Musimy...

Król Ryszard ciągnął swoją przemowę, a Arkarian wpatrywał się we mnie oskarżycielsko. Uświadomiłem sobie, że nie mogę odtąd liczyć na siłę, jaką czerpałem z jego przyjaźni.

Rozdział 24

Rochelle

Zaczęłam sobie radzić ze strachem przed śmiercią. To znaczy, kiedy po raz pierwszy przeczytałam Proroctwo, naprawdę mną wstrząsnęło, ale w sumie znaczenie tego konkretnego wersu trudno było uznać za oczywiste. Matt uważał, że nikt nie zna przyszłości - to miało sens. W dodatku Proroctwo nie musiało koniecznie wypełnić się słowo w słowo, ponieważ samo zmieniało się zależnie od balansu mocy. Najprawdopodobniej zmieniało się nawet teraz i ten wers mógł już w ogóle nie istnieć.

Nie powinnam się zamartwiać, wyobrażając sobie rzeczy, które pewnie nigdy się nie wydarzą. Nie musiałam też dodatkowo zagęszczać atmosfery panującej w komnacie.

Isabel nie patrzyła na Matta, nawet kiedy się do niej zwracał. Neria powiadomiła mnie, że jest teraz myślowidzącą - taki dar otrzymała od nieśmiertelnego. Słyszała myśli Dillona i zaczęła się naprawdę martwić.

Muszę z nim porozmawiać! - rozpacziała w myślach. — *Muszę mu wyjaśnić, że nie jestem nim zainteresowana w taki sposób, w jaki on by chciał.*

Dobry pomysł. Im szybciej, tym lepiej. Popatrz na niego.

Wiem! Nie mogę uwierzyć, że do tego stopnia opacznie zrozumiał naszą przyjaźń.

Z tą ostatnią myślą Neria spojrzała na Malta, przypominając mu, że także powinien jak najszybciej porozmawiać z Dillone. Ich oczy spotkały się i zatrzymały, a nagle więź między nimi prawie mnie przewróciła. Rany! Co się zdarzyło pomiędzy tą dwójką? Nic dziwnego, że Neria martwiła się o Dillona. Dobrze chociaż, że nie jest myślowidzącym i nie potrafi odbierać myśli innych ludzi. Arkarian posłał mi dziwne spojrzenie. Tym razem pochwyciłam poczucie porażki. Co do diabła działa się dzisiaj z nimi wszystkimi?

Jeśli chodziło o Ethana, wyglądał, jakby mnie unikał. Chyba nie uwierzył w ten obraz, który Lathenia pokazała mu na Atlantydzie?

Po kolejnej długiej i podtrzymującej na duchu mowie król Ryszard ogłosił zakończenie zebrania, więc zaczęliśmy wychodzić z komnaty. Każdy miał jakieś miejsce, w którym powinien być pięć minut temu. Jimmy zszedł na dół, do starożytnego miasta. Ostatnio

prawie zamieszkał tam na stałe, fortyfikując je, na czymkolwiek by to nie polegało. Profesor Carter oznajmił, że jest spóźniony na zebranie rady pedagogicznej i prawie przewrócił Dillona, spiesząc się do wyjścia.

Kiedy Isabel chciała się podnieść z miejsca, Arkarian przykucnął koło niej.

- Mogłabyś zostać? Chciałbym z tobą porozmawiać. - Rzucił na mnie spojrzenie, kiedy przechodziłam obok, ale jego myśli jak zwykle były kompletnie nieczytelne.

Powietrze na zewnątrz było rześkie i wyglądało na to, że mógł niebawem zacząć padać śnieg. Naciągnęłam na siebie połę płaszcza. Zobaczyłam sylwetkę człowieka pospiesznie idącego do parku narodowego. Przypominał profesora Cartera, ale to nie mógł być on. Spieszył się przecież na zebranie rady.

Nie odeszłam daleko, kiedy dogoniła mnie Isabel.

- Hej, zaczekaj.

- Myślałam, że Arkarian chciał z tobą porozmawiać.

- No tak, ale już skończył. To był drobiazg.

Naszą rozmowę przerwała niezręczna cisza. Nie byłam pewna, o co jej chodziło. Zwykle nie rozmawiałyśmy, jeśli nie miałyśmy powodu, takiego jak misja czy coś w tym rodzaju. Nie chodziło o to, że nie lubiłam Isabel - była jedną z najbardziej szczerych osób, jakie znałam. Kiedy chodziłam z jej bratem, wiele razy próbowała się ze mną zaprzyjaźnić. To ja zawsze

się wycofywałam — tak właśnie działa poczucie winy, przeszkadzając w każdym aspekcie życia.

Zastanowiłam się nad czymś, co mogłoby przełamać lody między nami.

— Ty i Arkarian jesteście ostatnio bardzo blisko. To był błąd. Zamknęła się natychmiast, jakby jej twarz była okładką gwałtownie zatrzęsniętej książki. Westchnęła.

— Bylibyśmy, gdybyśmy mogli znaleźć trochę czasu dla siebie i nie mieć z tego powodu poczucia winy.

Natychmiast zrozumiałam - Matt znowu był nadopiekuńczy. Ale wyczułam, że tym razem przeholował. Przeciągnął strunę. Wzruszyłam ramionami, próbując trochę poprawić atmosferę.

— Cóż, nie ma powodu się spieszyć. Będziecie razem przez resztę życia.

Spojrzała na mnie dziwnie, ale starałam się nad tym nie zastanawiać. Nadal kręciło mi się w głowie po tej ostatniej misji na Atlantydzie. Wiązało się z nią tak wiele pytań. Nieoczekiwanie Matt pojawił się przed nami, blokując przejście. Skierował wzrok na siostrę i zapytał:

— Możemy pogadać? Spojrzała w las z boku drogi.

— Nie masz do powiedzenia nic, co mogłoby zmienić cokolwiek między nami. Z tego, co powiedział mi Arkarian, wnioskuję, że powinieneś raczej porozmawiać z Dillonem.

Jej słowa mocno mnie zaintrygowały. Matt usłyszał moje myśli i miał dość przyzwoitości, żeby wyglądać na zakłopotanego.

- No wiem, zamierzam z nim teraz pomówić.

- No to lepiej się pospiesz — skinęłam głową w stronę, gdzie poszedł Dillon. Był już w połowie drogi do podnóża góry, pilnując się Nerii jak jeden z jej zaginionych psów. - On ją doprowadza do szału.

Zaalarmowany Matt podniósł głowę. Operacja „Dillon” była trudniejsza niż przypuszczałam, ale w tym momencie co innego było dla niego priorytetem.

- Isabel, musisz na chwilę udać się do Aten.

- Nie wydaje mi się. Jestem potrzebna tutaj. Matt zignorował jej szorstki ton.

- Lady Arabella ma dwa niezwykle ptaki.

- Widziałam je.

- Są ranne i chciałbym, żebyś je wyleczyła.

- Już to proponowałam. Matt zmarszczył brwi.

- Kiedy wysłałeś nas, żebyśmy szukali klucza! - wyjaśniła ze zniecierpliwieniem Isabel.

Na chwilę zapatrzył się w las.

- To dziwne - mruknął. — Arabella niczego nie mówiła.

Dobrze pamiętałam tę scenę.

- Isabel zaproponowała, że może spróbować je uzdrowić, a lady Arabella powiedziała, że sama się nimi zaopiekuje.

- Co jest, Matt? Podejrzewasz może jednego z tych ptaków o bycie zdrajcą? - Głos Isabel ociekał sarkazmem.

Jakimś cudem nie stracił cierpliwości.

- Nie wydaje mi się, żeby to naprawdę były ptaki.

- Tak? To czym według ciebie są?

Matt przeniósł spojrzenie na mnie, a potem opuścił je na moje ukryte w rękawiczkach dłonie. Mogłam być pewna, że w tym momencie przyszło mu do głowy, żebym dotknęła tych ptaków. Uważał, że moje ręce potwierdzą jego podejrzenia, że te stworzenia nie są tak naprawdę ptakami.

- Nie ma mowy, Matt. Mój dotyk mógłby zabić zwierzę, wiesz o tym! One i tak wyglądają na delikatne.

Nagły podmuch wiatru sprawił, że spojrzeliśmy na północ.

- Co to ma być? - Dobiegł nas okrzyk Shauna. Wszyscy patrzyliśmy w tę samą stronę. Na szczycie góry pojawiła się dziwna mgła, która zaczęła spływać do doliny poniżej. Ta mgła, czy cokolwiek to było, nie przypominała niczego, co widziałam w tych stronach. Była ciemna jak wdowia woalka.

Kiedy wpatrywaliśmy się w to upiorne zjawisko, Shaun zbliżył się do nas.

- Czy powinniśmy się kryć? - zapytał, a potem spojrzął na Isabel. - Czy to właśnie widziałaś?

Byłam ciekawa, o czym mówi Shaun. Isabel przygryzła dolną wargę. Coś wiedziała, to pewne. Nagle

zaczęła sprawiać wrażenie zakłopotanej - to nie było do niej podobne. W końcu powiedziała:

- Myślę, że tak. Myślę, że to jest wiatr.

- Wiatr, mówisz? - upewnił się Shaun. — Ale przecież możemy to zobaczyć, Isabel.

- Razem z wiatrem przyjdzie mrok - wyjaśniła Isabel.

Zaschło mi w ustach, ale musiałam zapytać.

- Masz na myśli mrok taki jak w świecie podziemnym?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, ten dziwny wiatr dotarł już do nas. Zaskoczeni jego siłą zrobiliśmy kilka kroków w dół zbocza, otulając się płaszczami i kurtkami. Wicher zniknął, pozostawiając mroczną skazę w powietrzu wokół nas. Neria i Dillon wrócili do nas biegiem.

- Co tu się dzieje? - zapytał Dillon. — Ten wiatr był upiorny, przypominał mi świat podziemny. — Urwał i spojrzał na Matta. — No więc co to było?

Matt uniósł otwarte dłonie.

- Nie wiem. Isabel mówi...

- Jak to nie wiesz? Arkarian by wiedział.

- Zamknij się, Dillon — warknęłam mimo woli. Ostatnio miałam wrażenie, że Dillon stara się czepiać Matta o każdy drobiazg i działało mi to na nerwy.

Wiatr wzmógł się, zaczął świstać między drzewami. To był przerażający widok: nieproszona fala ciemności płynęła w powietrzu, zamieniając poranne światło w przedziwny zmierzch.

Zapadła pełna niepewności cisza, ale nasze myśli szybko zostały zajęte przez coś nowego. Niebo na północy pociemniało jeszcze bardziej.

- A to co znowu? Tam, nad horyzontem - powiedział Shaun.

W pierwszej chwili wyglądało to jak cień na niebie, ale kiedy zaczęło rosnać i wyciągać się w naszą stronę, zdaliśmy sobie sprawę z ogromnych rozmiarów tego zjawiska.

Ethan wyjrzał przez tajemne wejście i zmarszczył brwi, rozglądając się. Zauważył w powietrzu coś dziwnego, ale nie potrafił tego nazwać. Wyczuł zwiększony chłód, narzucił kurtkę i podszedł bliżej. Zobaczył, że wpatrujemy się w północną część nieba.

- Co tam jest? Jakież ptaki?

Isabel gwałtownie wciągnęła powietrze.

- O nie! To są ptaki z mojej wizji!

- Chyba nie ptaki Marduka? - zapytał Shaun. - Tak szybko?

Moje myśli krążyły wokół słowa „wizja”. Najwyraźniej Isabel jej doświadczyła - i dowiedziała się z niej naprawdę dużo! Przynajmniej teraz rozumiałam, co stanowiło źródło jej informacji.

- O jakiej wizji mówisz, Isabel? Co jeszcze w niej było? Zapytałam z niepokojem

Nie odpowiedziała, spojrzała tylko niepewnie na swojego brata, a potem odwróciła wzrok. Odniosłam wrażenie, że wszyscy oprócz mnie wiedzieli o tej wizji.

- Czy to te ptaki, które widziałaś niosące truciznę? — zapytał ją Matt.

Zmarszczyłam brwi i poczułam się odsunięta na bok. Dlaczego mieliby ukrywać przede mną tak ważne informacje? Odpowiedź była oczywista: nadal mi nie ufali. Ciekawe, czy sobie wyobrażali, że pobiegnę do Marduka poinformować go, co zamierza zrobić z własnymi ptakami?

Ethan zauważył, jak bardzo jestem poirytowana, i zaczął tłumaczyć.

— Marduk ma w świecie podziemnym ogród, w którym hoduje tysiące kwiatów, samych czarnych irysów. One zawierają rodzaj narkotyku. - Ale w tym momencie dodał: — Po co właściwie ja ci to mówię? To ty powinnaś nam powiedzieć, co się dzieje.

- Marduk nigdy nie zabierał mnie do świata podziemnego - wyjaśniłam, dotknięta jego słowami. - To nie było tak, że uwzględniał mnie w absolutnie każdym aspekcie swojego życia. Przykro mi, że cię rozczaruję, ale nie wiem niczego o tym narkotyku.

Znowu spojrzałam w niebo. Teraz widać było wyraźnie, że ten cień to chmara ptaków lecących w szyku. Nadlatywały wciąż nowe i nowe, zupełnie jakby stado nie miało końca. Chociaż było mi lodowato zimno, moja skóra nagle zwilgotniała.

— To są chyba sępony — Dillon zmrużył oczy. — Tak, znam te ptaki. Mają na brzuchach takie torby jak kangury.

- Czy można je zabić? - zapytał Shaun.

- Są już martwe. Jeśli spróbujemy, będą się po prostu podnosić. A nie chcemy ich wkurzyć. Marduk szkolił je do zabijania.

- Skoro już są martwe, to jak mamy je powstrzymać? - zapytał Ethan. - Powiedz nam wszystko, co o nich wiesz.

- Cóż, mają szpony ostre jak u orła, ale nie są szczególnie mądre. Będą się ściśle trzymać instrukcji, a po wykonaniu zadania, do jakiego zostały wysłane, powrócą do swojej bazy, gdziekolwiek by się ona nie znajdowała.

Popatrzyłam na Isabel.

- Czy w tej wizji, o której najwyraźniej wszyscy wiedzą, widziałas, gdzie te... sępony zamierzają zrzucić truciznę?

- Nad Angel Falls - mruknęła z poczuciem winy.

- Cóż za cudowny pomysł!

- Zamierzają zatruć wodę i sprawić, że każdy, kto wejdzie w kontakt z tym narkotykiem, znajdzie się pod działaniem zaklęcia. Otepiającego zaklęcia, które będzie działało przez co najmniej kilka dni, zależnie od stopnia nasycenia wody. Zatrute osoby nie będą wiedziały, kim są ani co robią. A potem...

- A potem co?

- Lathenia dostanie się do ich umysłów i zawładnie nimi. A kiedy ustanie działanie narkotyku, będzie miała całą nową armię na swoje rozkazy.

Armię ludzi? Naszych przyjaciół, rodziny, znajomych. No świetnie! — Spojrzałam na zegarek.

- Zaraz zacznie się pierwsza lekcja. W szkole musi być już tłok.

Wszyscy patrzyli na Matta, który odwrócił spojrzenie, jakby chciał uciec do pobliskiego lasu i ukryć się tam na jakiś czas. Zaczął pocierać ręką kark. Co się z nim działo? Nigdy jeszcze nie widziałam go tak... niezdolnego do podjęcia decyzji.

Neria przesłała mi zaniepokojoną myśl, ale nie miałam dla niej żadnej odpowiedzi. Dotknęła jego ramienia.

— A jeśli nakłonimy sępony, żeby zrzuciły truciznę w jakimś innym, niezamieszkanym miejscu?

Skinął głową z ulgą. Słusznie. To był dobry pomysł.

- Czy jeśli skłonimy je do zmiany trasy, te sępony wrócą potem tam, skąd przybyły? — Neria skierowała to pytanie do nas wszystkich.

Dillon odpowiedział pierwszy.

— Ich pan będzie wściekły, ale tak, to powinno podziałać. Tyle że nie będzie łatwo, Marduk dobrze kontroluje ich umysły. Kiedy dobierze się do czyjejś głowy, wyzwolenie się spod jego wpływu jest niemal niemożliwe.

Kątem oka zauważyłam, że Ethan spojrzał w moją stronę i powoli opuścił wzrok. Na zewnątrz zignorowałam tę insynuację, ale w środku zabolowało mnie i rozzłościło, że nawet po takim czasie nadal we mnie

wątpi. Co musiałabym zrobić, żeby ci ludzie zaczęli mi wierzyć? Postarałam wziąć się w garść, zanim ktokolwiek zauważy, że jestem wytrącona z równowagi.

W końcu Matt wpadł na pomysł, ale jego głos był pełen wahania.

-Ja... chyba mam plan. Ale, no, potrzebowałbym pomocy.

- Zabierz mnie!

Trzeba było przyznać Dillonowi, że zawsze jako pierwszy zgłaszał się na ochotnika. -Widziałem te ptaki już wcześniej. Znam je. Neria popatrzyła prosto na Dillona.

- Matt będzie potrzebował kogoś, kto potrafi latać.

- Wiem. A ja mam skrzydła.

- Neria miała chyba na myśli prawdziwy lot - odezwał się Matt.

Dillon popatrzył na niego zaskoczony.

- O czym ty mówisz? Może to przywództwo to jednak trochę za dużo dla ciebie, żeby...

- Potrzebujesz też kogoś, kto będzie w stanie porozumieć się z tymi ptakami - przerwała Neria, zwracając uwagę obecnych z powrotem na to, o czym powinniśmy myśleć. - Dzięki darowi królowej Brystianne mogę ci pomóc także i w tym.

Matt wyglądał, jakby mu ulżyło, a Neria uśmiechnęła się do niego. Ten uśmiech mógłby stopić serce Dillona, gdyby tylko był do niego skierowany. Dillon to zauważył i po raz pierwszy w życiu nie znalazł odpowiedzi.

Skrzeczenie ptaków sprawiło, że z powrotem spojrzeliśmy w niebo. Były blisko, ale jeszcze nie nad naszymi głowami. Shaun dotknął ramienia Matta.

- Cokolwiek zamierzacie zrobić, lepiej się pospieszcie. Neria i Matt cofnęli się od nas o krok. Patrzyliśmy na nich z oczekiwaniem, którego nie zawiedli. Na naszych oczach ich ciała zaczęły się zmieniać, kończyny skracać i przekształcać. W ciągu kilku sekund oboje przybrali postać jastrzębi. Unieśli potężne skrzydła i zatrzepotali nimi. Wszyscy patrzyli na nich z podziwem.

- Wiedziałeś, że to potrafią? - zapytała Isabel Ethana. Potrząsnął głową. Spojrzała na mnie i uniosła brwi.

- A ty?

- Widziałam raz, jak Matt zamienił się w rekina, a potem w delfina, ale nigdy nie powiedział mi o tym.

Nagle większy z ptaków, Matt, zatrzepotał gwałtownie skrzydłami. Piórko z jego piersi pofrunęło w stronę Isabel, która wyciągnęła rękę i pozwoliła, żeby miękko opadło na jej otwartą dłoń. Podniosła wzrok, a ptak będący Mattem patrzył na nią jeszcze przez chwilę.

Kiedy cień sęponów Marduka rozpostarł się na połowę nieba, para jastrzębi wyleciała im na spotkanie. Przez moment poczułam ukłucie tak intensywnej zazdrości, że zastanowiłam się, skąd się ona wzięła. Uświadomiłam sobie, że wywołał ją widok Matta i Nerii w ptasich postaciach unoszących się w powietrzu. Jak bardzo wolni musieli się czuć z każdym pełnym wdzięku uderzeniem skrzydeł, unoszeni wiatrem!

Kiedy w końcu oderwałam od nich wzrok, zobaczyłam, że Dillon także jest zauroczony, chociaż jego spojrzenie nie odrywało się od mniejszego ptaka - Nerii. Jego myśli powiedziały mi, że chciałby być tym, który leci u jej boku, dzieląc jej talent i moce. Biedny Dillon. Zakochał się w niewłaściwej dziewczynie.

- Muszą działać szybko - odezwała się Isabel. - Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, jak trudno będzie nakłonić tak wielkie stado do zmiany kierunku.

Ja także nie potrafiłam. Ptaków było zbyt wiele.

- Matt sobie poradzi - powiedział Shaun.

W mojej głowie nagle rozległ się głos - w pierwszej chwili odległy, ale ponaglenie w nim było doskonale wyczuwalne. To był Arkarian. Uniosłam rękę, żeby uciszyć pozostałych. Znajdował się we wnętrzu siedziby, a jego myśli wzywały nas.
Gdzie jest Matt?

Zajęty stadem ptaków Marduka - odparłam. - *Może mu to zabrać kilka godzin.*

Zapadła cisza, w której praktycznie mogłam poczuć jego rozczarowanie i frustrację. *Co się dzieje, Arkaria-nie?*

Isabel i pozostali popatrzyli na mnie, rozumiejąc, że coś się dzieje.

Marduk jest w Veridianie! Ma ze sobą żołnierzy i szykuje się do wprowadzenia armii ivrenów. Przyślij kogo tylko możesz!

Przez moment byłam zbyt oszołomiona, żeby mówić. Otwarłam usta, ale nie wyszły z nich żadne słowa.

- Co się dzieje? - zapytała Isabel. - Co się stało, Rochelle?
- Złapała mnie za ramiona i potrząsnęła. — Czy to coś z Arkarianem?

Strach w jej głosie przełamał mój szok.

- Nic mu nie jest — zapewniłam ją szybko. - Przesłał mi wiadomość.

- No więc? - zapytał Dillon. - O co chodzi?

- Starożytne miasto zostało zaatakowane przez Marduka, jego żołnierzy i armię wrenów!

Wróciliśmy biegiem do siedziby Arkariana. Tajemne drzwi otworzyły się w momencie, kiedy przed nimi stanęliśmy. Arkarian gestem ponaglił nas, żebyśmy weszli do środka.

- Musimy się spieszyć. Mamy bardzo wiele do zrobienia. Isabel zmusiła go, żeby się zatrzymał.

- Jak bardzo jest źle?

Arkarian popatrzył na nas pociemniałymi z niepokoju oczami.

- Po tylu latach Lathenia w końcu odnalazła Veridian i z pomocą Marduka wykopała tunel pod miastem. Uniknęli wykrycia, drążąc go tak głęboko, że nie zauważyliśmy żadnego dźwięku ani drgań. Teraz przedostało się nim dwudziestu żołnierzy Marduka, prowadząc setki wrenów. Zaczęli już niszczyć miasto.

Wszyscy umilkli. Nie byli przyzwyczajeni do widoku tak zdenerwowanego Arkariana. Ich myśli pogrążyły się w chaosie i gwałtownie wpadły do mojej głowy.

- Uspokójcie się wszyscy!

Isabel dotknęła ramienia Arkariana.

- Dlaczego burzą miasto? Czego oni tam, na litość boską, szukają?

- Chcą zdobyć technologię Atlantydów, uchodźców ze świata podziemnego.

- O czym ty mówisz? - spytała Isabel.

- To dzięki technologii Atlantydów Straż może pełnić swoją funkcję. Jest tutaj, w mojej siedzibie - szerokim gestem wskazał wokół siebie. - To slera i wszystko, co widzicie. Bez tego nie zdołamy ochronić Ziemi przed Lathenią. Zorientowała się, jak może podróżować w przeszłość i zbudowała oryginalną Cytadelę, bo technologia uchodźców z Atlantydy pozwala Straży powstrzymać jej knowania.

Wszyscy mieli pytania, więc Arkarian uniósł ręce.

- Nie mamy czasu na obszernie wyjaśnienia. - Widział jednak, że musimy się dowiedzieć więcej. - Kiedy rozpoczął się upadek Atlantydy, część jej mieszkańców zdołała uciec i zaczęła szukać innego niezamieszkanego lądu. Po wielu latach znaleźli Angel Falls i zabezpieczyli tutaj swoje maszyny. Zbudowali starożytne miasto i trzymali jego istnienie w tajemnicy. Ta technologia nie może wpaść w ręce Lathenii. Wykorzystałaby ją do stworzenia sfery spoglądającej w przyszłość, a na to nie możemy pozwolić.

- Co takiego? - wykrzyknął Dillon. - Mogłaby to zrobić? Stworzyć sferę do oglądania przyszłości?

Wszyscy spojrzeliśmy na Arkariana, oczekując odpowiedzi.

- Tak - odpowiedział po prostu. Shaun wysunął się do przodu.

- Arkarianie, czy nie byłoby teraz dobrze, żebyśmy mieli do dyspozycji broń ze skarbcza? jak inaczej mamy sobie poradzić z tymi istotami?

Mistrz przeczesał dłonią włosy, które zaśniły w świetle błękitem.

- Przyczyną mojego... niepokoju jest to, że klucz do skarbcza znajduje się tam na dole. - wskazał drzwi do szybu prowadzącego do miasta.

- Co?! W mieście, które wreny właśnie rozbierają na kawałki? - krzyknął Dillon. — Kto wpadł na ten genialny pomysł, żeby zostawić tam klucz? Założę się, że Matt.

Isabel spojrzała na niego ostro.

-To był dobry pomysł, Dillonie - odparł Arkarian. - To miasto było bezpiecznym miejscem przez ostatnie jedenaście tysięcy lat.

- No ale teraz już chyba nie jest, co?

- Niestety nie.

- Myślisz, że Marduk wie, że klucz tam jest? - zapytał Ethan.

- To możliwe. Mam wrażenie, jakby ostatnio jego szpiedzy byli wszędzie.

Oczy wszystkich poza Arkarianem pobiegły do mnie, a potem szybko uciekły na bok. Teraz sprawiali wraże-

nie zakłopotanych. Całkiem słusznie! Właśnie ich złapałam na ujawnieniu, co naprawdę o mnie myślą. Nie żebym wcześniej nie zdawała sobie sprawy z ich podejrzeń. Po prostu nie potrafili pogodzić się z tym, że kiedyś pracowałam dla Marduka. Ale Straż opierała się na zaufaniu, dokładnie o tym mówił król Ryszard. Czy oni w ogóle go nie słuchali? Czy też to tylko mnie nie potrafili znieść? Najwyraźniej nie mieli problemów z zaufaniem Dillonowi.

Arkarian dotknął mojego ramienia i nappełniło mnie ciepłe poczucie spokoju. Podziękowałam mu w myślach, a on zwrócił się z powrotem do reszty.

- Aby odzyskać klucz, potrzebujemy Matta.

- Ale jego tu nie ma - Dillon jak zwykle był najszybszy. - Może go długo nie być. Pozwól mi iść, Arkarianie, przyniosę ten klucz. Gdzie on dokładnie jest?

- Jimmy umieścił skrytkę w podłodze skarbcza wewnątrz labiryntu - wyjaśnił Arkarian.

- To brzmi całkiem prosto.

Dillon mógł tak myśleć, ale nic nigdy nie było tak proste, jak się wydawało. Arkarian usłyszał moje myśli i zgodził się z nimi.

- Matt rzucił zaklęcie na ten klucz, sprawiając, że stał się niewidzialny. Tylko on może zdjąć zaklęcie albo zobaczyć go poprzez niewidzialność.

- Co?! - krzyknął Dillon.

- I pamiętaj, że klucz ma śmiertcionośną moc - nie może go dotknąć nikt niepowołany.

- No po prostu świetnie, nie? To jak mamy przynieść niewidzialny klucz?

- Ja go mogę dotknąć - Przerwałam ciszę, która zapadła po ponurym komentarzu Dillona. Machnęłam rękami w powietrzu. — O ile będę mieć na sobie te rękawiczki.

Arkarian zwrócił się do mnie, trzymając w ręku złote pudełko.

- Kiedy klucz znajdzie się w tym pudełku, każdy będzie mógł go zabrać. Ale nie możesz tam iść, Rochelle, ponieważ nie masz jeszcze skrzydeł.

-No i?

- Bez naszych broni jedyną metodą zabicia wrenów jest zatopienie ich. Kiedy tylko klucz zostanie zabrany ze skrytki, mechanizm otworzy bramy zapory wodnej. Nie możesz być wtedy na dole miasta.

Zastanowiłam się nad jego słowami.

- Ile czasu potrwa, zanim miasto zostanie zalane?

- Dokładnie dziewięć minut.

- Umiem szybko biegać, Arkarianie. Poradzę sobie.

- To pod górę! - krzyknął Ethan. Zignorowałam go. Czasem naprawdę brzmiał, jakby go to obchodziło.

- Pozwól mi spróbować.

Arkarian spojrzał na mnie i potrząsnął głową.

- Nie bez skrzydeł, Rochelle. Nie zdążysz.

Więc może takie było moje przeznaczenie. Może Proroctwa nie dało się jednak zmienić. A jaki właści-

wie sens miało moje życie bez Ethana będącego jego częścią? Nie chciałam nikogo innego. Teraz to wiedziałam i potrafiłam przyznać. A jeśli tam pójde, czy nie udowodnię raz na zawsze mojej wierności wobec Straży? Wystarczy, że wyjmę klucz ze skrytki w podłodze skarbcza i umieszczę go bezpiecznie w pudełku, a moje zadanie będzie zakończone. Jeśli ktoś mający skrzydła będzie ze mną, mogę dać mu pudełko, które zabierze w bezpieczne miejsce. -To proste, Arkarianie. Pójde tam.

- Musi być inny sposób - wtrącił się Ethan. Arkarian spojrzał na moje złożone dłonie.

- Rochelle, zdejmij rękawiczki.

Ostrożnie zsunęłam je kolejno, a pozostali zagapili się na moje odsłonięte dłonie. Od kiedy Lorian wzmocnił mój dar, wyładowania elektryczne stawały się coraz silniejsze. Strzelały z nich kolorowe iskry. Potrząsnęłam dłońmi. Dobrze było pozwolić im odetchnąć powietrzem. Ale potrząśnięcie sprawiło, że iskry rozprysły się po komnacie. Shaun i Dillon musieli zrobić unik i zasłonić twarze, ponieważ znaleźli się na ich trasie.

Arkarian spojrzał mi w oczy i zabrał moje rękawiczki.

- Dlaczego nic nie mówiłaś? Ból musi być nieznośny.

To głupie, ale jego życzliwe słowa i pełne współczucia spojrzenie sprawiły, że łzy napłynęły mi do oczu. Zamrugałam gwałtownie, zanim zdążyły popłynąć po policzkach i zawstydzić mnie na śmierć.

- To nie boli aż tak bardzo — spróbowałam go przekonać.
— Naprawdę.

Nie wierzył mi, a chociaż kontrolował swoje myśli, jego oczy mówiły znacznie więcej. Spróbował założyć rękawiczki, ale miał zbyt długie palce. Podał je Shaunowi, ale na niego także nie pasowały. Ethan wziął je jako następny, ale miał dłonie szersze niż dłonie jego ojca. Dillon sięgnął po rękawiczki.

- Daj, na mnie będą pasować! — Szarpnął je mocno, wpychając na palce, ale sprawa była beznadziejna.

Zabrałam rękawiczki z powrotem.

- No i po kłopotcie. Ja pójdę. - Wzięłam złote pudełko z ręki Arkariana i schowałam je do kieszeni płaszcza.

- Pójdę z tobą — powiedział Arkarian. — Będiesz się wspinać tak szybko, jak zdołasz. Jesteś też dobrą pływaczką, prawda, Rochelie?

Skinęłam głową, ale Ethan miał inny pomysł.

- Ty jesteś potrzebny tutaj, Arkarianie.

Shaun stanowczym ruchem dotknął ramienia syna. -Jesteś pewien? Dopiero od niedawna panujesz nad skrzydłami. A jeśli cię zawiodą? Ethan strząsnął dłoń ojca.

- Nie zawiodą.

Isabel, wyraźnie nieszczęśliwa, wodziła wzrokiem od Ethana do Arkariana i z powrotem. Widać było, że obu ich kocha i o obydwu się boi, ale w przypadku Ethana miała jeden konkretny powód. Podeszła do niego.

- Użyjesz skrzydeł i wrócisz. Prawda, Ethanie?

Ethan spojrzał na mnie, a ja nie potrafiłam odwrócić wzroku. Na chwilę wypełniło mnie ciepło bijące z ognia płonącego w głębi jego duszy.

- Zrobię, co w mojej mocy - powiedział. - Ale nie chcę niczego obiecywać.

Rozdział 25

Matt

Ptaki leciały wyżej niż początkowo oszacowałem. Im bardziej się zbliżaliśmy, tym większe się wydawały. Ich głowy przypominały głowy kondorów, a tułowia pelikany, ale na tym kończyły się ziemskie podobieństwa. Miały nieduże okrągłe oczy osadzone na kostnym grzbiecie. Te oczy nie miały źrenic - to były po prostu lśniące czarne kulki.

Powinniśmy przybrać postać sęponów - zaproponowała Neria.

Chociaż nie miałem ochoty zmieniać się w ptaka z innego świata, prawdopodobnie miała rację. To był najlepszy sposób, żeby się z nimi porozumieć.

Zgodnie z jej radą zmieniłem postać, a ona poszła w moje ślady. Oboje zaczęliśmy gwałtownie opadać

potrzebowaliśmy chwili, żeby przyzwycząić się do większego ciała o niezwykłym kształcie, z ciężką torbą na piersi. Kiedy odzyskaliśmy wysokość, zastanowiłem się, jak latałoby się z pełną torbą. Byłem wdzięczny, że moja jest pusta.

Co się z tobą dzieje? Dlaczego twoja torba jest pusta? Myśli jednego z sęponów wdarły się do mojej głowy. Dlaczego nie nappełniłeś jej zgodnie z rozkazem naszego pana? Co za marnotrawstwo, lecieć taki kawał na darmo!

Neria lekko odwróciła głowę, dając znać, że także usłyszała myśli sępona. Szybko odezwał się inny ptak.

Jak daleko jeszcze, Lydio? Skrzydła mi się męczą przez ten ciężar.

Pierwszy ptak, o bardzo ludzkim imieniu Lydia, odparł: *Cóż, Justinie, gdybyś uważniej słuchał słów naszego pana podczas szkolenia, wiedziałbyś, że jesteśmy już prawie na miejscu!*

Justin! Kolejne ludzkie imię. Kiedy wędrowaliśmy po świecie podziemnym, spotkaliśmy wrena imieniem John i zaprzyjaźniliśmy się z nim. To imię było jedynym jego wspomnieniem z poprzedniego życia.

Ale ostatnie słowa Lydii stanowiły dla mnie wskazówkę. Skierowałem do niej myśli. *Mylisz się, Lydio, jesteśmy jeszcze daleko od celu.*

Kim jesteś? Przedstaw się!

Nasz pan wysłał mnie, żeby się upewnić, że trzymacie się właściwej trasy. Z której, tak przy okazji, zoczyliście.

Nasz pan będzie wściekły, że poprowadziłaś wszystkich w złym kierunku.

Skoro już wiedzieliśmy, kto jest ich przywódczynią, podfruneliśmy z Nerią bliżej, zajmując miejsce po obu jej bokach.

O czym wy mówicie? — zażądała odpowiedzi Lydia, przekrzywiając głowę, żeby patrzeć raz na mnie, raz na Nerię. — Ściśle trzymam się wskazówek naszego pana. Spójrzcie w dół. Tam jest jezioro, a kawałek dalej szkoła.

Neria spojrzała na mnie ostro i przejęła inicjatywę.

Ależ Lydio, nasz pan wysłał nas, ponieważ w ostatniej chwili zmienił plany. Mamy nowe wskazówki, zgodnie z którymi musisz poprowadzić stado.

Lydia umilkła, wyczuwałem, że jest zagubiona. Chciała się ze mną kłócić, ale głos Nerii brzmiał niezwykle przekonująco.

Neria także wyczuła jej wahanie i ciągnęła dalej. *To nie tak daleko. Właściwie to tylko kawałek na północ, a potem na zachód.*

Ale przylecieliśmy z północy! O czym ty mówisz?

Nie tylko Lydia nie rozumiała, o czym mówi Neria. Ale Neria umiała się wytłumaczyć. *Nasz pan zdobył nowe informacje o sekretnym spotkaniu Straży, które odbywa się właśnie teraz, w głębi lasów wokół Angel Falls. Chce, żebyście rzucili ładunek dokładnie w miejsce, gdzie w tym momencie spotykają się elitarni żołnierze Straży.*

Trzymałem swoje myśli dla siebie. Neria wspaniale sobie radziła. Lydia praktycznie jadła jej z... pazurów.

Szkoła pod nami zaczęła się zbliżać. Musieliśmy szybko nakłonić sępony do zmiany kursu albo będzie za późno. Kiedy już znajdą się nad szkołą i miastem, nic, co powiemy, nie powstrzyma ich raczej przed zrzućeniem narkotyku.

Lydia zaskrzeczała. *Chyba się mylicie.*

Nie myślę się - Neria wyfrunęła przed nią, a ja podążyłem jej śladem. To było ryzyko, ponieważ mogliśmy w ten sposób oddzielić się od stada. Ptaki były zmęczone, a pomyśl, żeby podążyć nową trasą za dwójką nieznajomych w chwili, kiedy już prawie dotarły na wskazane oryginalnie miejsce, mógł się okazać zbyt trudny do przeforsowania.

Myślę, że kłamiesz - Lydia przechylała głowę na prawo i lewo. - *Tam na dole jest nasz cel. Przygotować się do zrzucenia ładunku!*- rozkazała swoim podwładnym.

To ty się mylisz - odparła Neria spokojnie, ale stanowczo. - *Przemawia przeze mnie nasz pan. Rozkazuje, aby udać się do lasu! Dzięki temu zdoła wyeliminować najpotężniejszych żołnierzy Straży!*

Lydia milczała przez chwilę, przechylając lekko głowę, jakby nie mogła uwierzyć w to, co słyszy. *Jak śmiesz twierdzić, że nasz pan przemawia przez ciebie! Ja jestem jego ulubienicą! To mnie sobie wybrał! Żądam, żebyś się przedstawiła. Powiedz natychmiast, kim jesteś!*

Neria z gracją uniosła skrzydła i zatoczyła koło, tak że leciała w tym momencie tyłem. Zbliżyła się tak, że znalazła się dziób w dziób z Lydią. *Powiem ci, kim*

jestem, a ty nigdy więcej nie ośmielisz się mnie o to pytać, ponieważ jestem córką naszego pana!

Oszołomiona Lydia zamilkła. W słowach Nerii dźwięczała prawda. To była prawda! Lydia mogła ją dostrzec w czarnych oczach Nerii. Samica sępona nie wiedziała, co powiedzieć. Sprzeciwienie się rozkazom władcy było dla niej niewyobrażalne. Ale przecież przed nią była córka jej pana, krew z jego krwi. *Mówisz, że mamy się udać do lasu?*

Neria westchnęła i lekko się odprężyła, wiedząc, że wygrała. *Podążaj za mną, a ja wskażę ci drogę.*

Neria ponownie zatoczyła koło i z wdziękiem skręciła na północ. Zrobiłem to samo, trzymając się tuż za nią. Na szczęście Lydia podążyła za nami, a jej rozkaz został szybko przekazany tysiącom sęponów.

Zawróciliśmy, zataczając ogromny łuk i przez cały czas widząc pod nami szkołę. W końcu skierowaliśmy się nową trasą. Jezioro było coraz bliżej nas, góry stanowiły jego majestatyczne tło. Z tej wysokości widok był niesamowity. Neria łagodnie skręciła ku zachodowi i poprowadziła stado nad najgęstsza część lasu.

Kiedy przelatywaliśmy w górze, ludzie podnosili głowy i patrzyli na nas ze zdumieniem. Niektórzy kulili się na widok tak ogromnego i przytłaczającego stada, ale większość po prostu się gapiła. Nigdy wcześniej nie widzieli tak gigantycznej chmary ptaków.

Znaleźliśmy się nad najgęstszym lasem, a Neria sięgnęła do umysłów zwierząt w dole i nakazała im jak

najszybciej uciekać. Spojrzała na mnie, a potem powiedziała Lydii, że jesteśmy na miejscu.

Kiedy ptaki zrzuciły ładunek, widok był dziwacznie piękny. Trucizna wyglądała jak pył, a ja przypomniałem sobie, że została zrobiona z tysięcy pokruszonych płatków kwiatów. Szary pył opadał na drzewa, znikając, gdy tylko dotknął wilgotnych zielonych liści.

Kiedy ostatnie resztki zawirowały w powietrzu, uniesione podmuchem wiatru, odrobina pyłu otarła się o moje szpony. Zatrzepotałem skrzydłami, żeby pozbyć się go jak najszybciej, ale uczucie dotyku na mojej skórze było dziwnie znajome. Nie dawało mi to spokoju - dotykałem już wcześniej czegoś takiego. Wtedy sobie przypomniałem: na dziedzińcu pałacowym w Atenach. Na klatce z parą złotych ptaków! Ale co to znaczyło? Czy ptaki były pod wpływem narkotyku?

Lady Arabella powiedziała, że kurz jest przynoszony wraz z nocnym wiatrem. Kto go wysyłał?

Spojrzałem na Nerię, zastanawiając się, czy powinienem jej powiedzieć o moich podejrzeniach. Ale była zajęta seponami, szczególnie Lydią, która sprawiała wrażenie znużonej i dziwnie zagubionej.

Przez chwilę pożałowałem Lydii, tak samo jak Neria. Kiedy wróci do świata podziemnego, będzie miała do czynienia z Mardukiem. Spędził tyle lat, pielęgnując swój ogród właśnie w tym celu. Będzie wściekły. Ale jak można ukarać istotę, która już jest martwa? Byłem pewien, że Marduk znajdzie na to sposób.

Neria usłyszała moje myśli i zaczęła się martwić. Wiedziała, że wprawdzie sępony miały przynieść chaos i zniszczenie Angel Falls, ale były też prostymi istotami, które wykonywały polecenia kogoś, w kogo wierzyły, oddane swojej sprawie.

Zdezorientowana Lydia krążyła w powietrzu, poskrzekując. Zaczynała panikować. Ale minęło dużo czasu, odkąd zostawiliśmy pozostałych, a ja miałem coraz silniejsze poczucie, że coś jest okropnie nie tak.

Nie możemy ich tak zostawić!

Neria miała racje. Musieliśmy pokazać ptakom drogę powrotną. Ale przeczucie, że moje moce są potrzebne gdzie indziej, stawało się silniejsze z każdym uderzeniem skrzydeł. *Coś się stało w Veridianie!*

Wiem. Też to wyczuwam. Matt, musisz tam lecieć. Sępony mi ufają, poprowadzę je z powrotem i dopilnuję, żeby wróciły do swojego świata przez szczelinę.

Ostatnią rzeczą, jakiej bym chciał, było zostawienie Nerii samej na niebie z tysiącami zagubionych ptaków z innego świata. A jeśli się zorientują, że je oszukaliśmy? A jeśli zwrócą się przeciwko niej?

Nic mi nie będzie - nalegała. - Niedługo do ciebie dołączę.

Nie miałem innego wyboru — przybrałem postać jastrzębia i skierowałem się do Yeridianu.

Rozdział 26

Rochelle

Wreny były wszędzie. Z bliska wyglądały naprawdę odrażająco, z okrągłymi czerwonymi oczami, które świeciły nawet w półmroku korytarzy podziemnego miasta. Przypominały świnie, ale miały dziwaczne i niezgrabne skrzydła, a także ludzkie stopy i wydłużone dłonie. To właśnie te dłonie były najbardziej użyteczne w ich przypadku - wreny przyniosły ze sobą broń: topory, dłuta i młoty, których używały do rozwalania ścian. Początkowo nie były nami zainteresowane i pozwalały nam przejść, całkowicie pochłonięte odgarnianiem warstw starożytnego drewna, mułu i cegieł.

Zatrzymaliśmy się, kiedy drogę zagroziła nam ogromna szczelina. Jej krawędzie spadały tak głęboko w mrok, że nie dało się oszacować głębokości. Byłam

tu raz z Arkarianem - jedyną drogą na drugą stronę był niewidzialny most, który musiał się gdzieś tutaj znajdować. O ile dobrze pamiętałam, zaczynał się dokładnie przy wybrukowanej ceglami ścieżce, którą szliśmy.

Zignorowałam potężną treść, upewniłam się co do szerokości ścieżki i wyszłam na lewą stronę niewidzialnego mostu. Moje stopy natrafiły na solidne podłoże, a ja odetchnęłam z ulgą. Czując się teraz pewniej, przebiegłam na drugą stronę.

Ethan podążył w moje ślady. Po drugiej stronie spojrzął na mnie.

- Nawet się nie zawałaś.

Nie musiałam mu mówić, że denerwowałam się tak, że przy pierwszym kroku miałam wrażenie, iż moje nogi nie są częścią mojego ciała.

- Kiedy Isabel przechodziła tędy po raz pierwszy, musiałem stworzyć dla niej most.

- Ja nie jestem tu po raz pierwszy — wyjaśniłam. — I tak przy okazji, nie jestem Isabel.

- Nie — odparł, patrząc prosto na mnie. - Z całą pewnością nie jesteś.

Gdybym tylko wiedziała, co chciał przez to powiedzieć. Odwzajemniłam jego spojrzenie i spróbowałam odczytać myśli, ale zablokował mnie perfekcyjnie. Zaskoczył mnie, bo zwykle nie był aż tak dobry.

- Pozwolisz? — zapytał z lekko złośliwym uśmiechem. - Byłbym wdzięczny, gdybyś odtąd trzymała się z dala od mojej głowy.

Jego żartobliwy ton sprawił, że się uśmiechnęłam.

- Rany - mruknął. - Chyba po raz pierwszy widzę twój uśmiech.

Takie proste słowa, a całkowicie odebrały mi pewność siebie.

- Powinnaś to robić częściej - dodał.

Ruszył naprzód, zostawiając mnie stojącą i wpatrującą się w jego plecy, z kompletnym mętlikiem w głowie.

- No chodź! - zawołał.

Chciałam pójść za nim, kiedy coś ciężkiego spadło na mnie, przyciskając mnie do ziemi. Zwinęłam się i napięłam plecy, próbując strącić ten ciężar. Wokół mnie zatrzepotały skrzydła, nie dając mi się poruszyć.

- Ethan! - zdołałam krzyknąć, ale on już był przy mnie.

Ściągnął ze mnie wrena, ciągnąc go za skrzydła, a potem kopnął go w brzuch. Wren poleciał w głąb szczeliny, ale pojawił się następny, częściowo biegnąc, częściowo podfruwając nad niewidzialnym mostem.

Ethan pomógł mi wstać.

- Szybko, chodźmy!

Pobiegliśmy wąską ceglana ścieżką, ale ścigający nas wren szybko nas dogonił. Spojrzałam przez ramię i zobaczyłam, że nie jest sam.

Źle skręciliśmy i wylądowaliśmy w ślepych zaułku. Za nami było pięć wrenów - przysięgłabym, że wyglądały na rozbawione, a może nawet podekscytowane

perspektywą możliwej zdobyczy. Zbliżały się, śliniąc się i pomrukując.

Ethan bronił się pięściami i stopami, wymierzając ciosy i kopniaki. Zdjęłam rękawiczki i wepchnęłam je szybko do kieszeni. Wokół posypały się iskry, zaskakując na moment wreny.

— No chodź! — sprowokowałam najbliższego. Skoczył na mnie, przewracając mnie swoim ciężarem, ale jego szyja pozostała odsłonięta. Położyłam na niej ręce i nie musiałam nawet ścisnąć — wren osunął się bezwładnie z wysokim wrzaskiem.

Chwilę później wszystkie pięć wrenów leżało na stosie, z poparzonymi i zniekształconymi szyjami.

Wsunęłam rękawiczki, zanim zdążyłam się zapomnieć i niechcący dotknąć Ethana. Teraz, kiedy moje dłonie stały się potężniejsze, były także bardziej niebezpieczne. Nie chciałam o tym myśleć.

— Musimy się spieszyć.

Ruszyliśmy dalej, szybko odnajdując właściwą drogę. Znaleźliśmy się w miejscu, z którego rozpościerał się szeroki widok na niższe poziomy miasta. To, co zobaczyliśmy, zatrzymało nas na chwilę. Przechyliliśmy się przez żelazną barierkę, patrząc na masę wrenów, pracowicie rozbierających mury miasta i odsłaniających maszynę przypominającą to, co znajdowało się w siedzibie Arkariana. W świetle trzymany przez żołnierzy pochodni lśniła srebrem i jasną czerwienią miedzi. Część urządzeń została już rozebrana i zała-

dowana na wózki, gotowa do zabrania. Nadzorujący wreny żołnierze byli ubrani na czarno i odpowiednio zamaskowani. Byłam ciekawa, kim są i czy znam ich ze zwykłego świata.

Ethan klepnął mnie w ramię.

-Jesteśmy już prawie przy labiryncie. Lepiej się pospieszmy, te wózki są chyba gotowe do zabrania.

W ciągu kilku minut znaleźliśmy się we wnętrzu labiryntu. Po kilku złych zakrętach dotarliśmy do środka i nagle stwierdziłam, że stoję przed Proroctwem zapisanym na długim murze. Spojrzałam tam, gdzie znajdowały się wersy mówiące o mnie. Byłam ciekawa, czy się zmieniły. Ethan zorientował się, na co patrzę.

- Nie rób tego - powiedział.

Miał rację. Czy naprawdę chciałam to wiedzieć? Arkarian pokazał mi Proroctwo tylko dlatego, że się przy tym uparłam. Myślałam, że to zdoła mnie przekonać, że jestem naprawdę Wezwaną, że rozwieje moje wątpliwości.

Ethan świdrował mnie wzrokiem.

- Idziesz?

Skinęłam głową, a Ethan zajął się z powrotem drzwiami skarbcza. Zażądał, żeby się otwarły i zrobiły to, znikając bezgłośnie. Weszliśmy do środka, z ulgą stwierdzając, że jest tam pusto. Nie tracąc więcej czasu, zaczęłam szukać skrytki pod podłogą. Zdjęłam jedną rękawiczkę i położyłam dłoń na srebrnej płytce na środku pomieszczenia. Znalazłam pustą przestrzeń niemal dokładnie

pod moją ręką. Wsunęłam z powrotem rękawiczkę i nacisnęłam ukryty panel. Odsłonił się pusty schowek, niewiele większy od złotego pudełka w mojej kieszeni. Ale tak naprawdę schowek nie był pusty. Zawierał klucz, który był czasowo niewidzialny dla ludzkiego oka.

- Jest tam? - zapytał Ethan.

Wyjęłam złote pudełko z kieszeni, otworzyłam je i postawiłam na podłodze.

- Ostrożnie - ostrzegł mnie Ethan. - Sprawdź, czy masz dobrze założone rękawiczki.

- Są dobrze założone - uspokoiłam go i wsunęłam rękę do schowka.

- Czekaj!

Podniosłam głowę.

- Sprawdź, czy rękawiczki nie są dziurawe. Mogły się podrzeć w czasie tej walki z wrenami wcześniej - powiedział.

- Są niezniszczalne. Jak inaczej mogłabym dotknąć klucza?

W końcu umilkł, usatysfakcjonowany. Włożyłam rękę do schowka i wymacałam klucz palcami. Wypełniał prawie cały schowek, ale po chwili zdołałam go złapać. Szarpnęłam i klucz uwolnił się z uchwytu. Przez chwilę panowała cisza, potem rozległa się seria kliknięć. System zabezpieczeń Jimmy'ego został uruchomiony, a zaporą wodną zaraz miała się podnieść. Za kilka minut całe miasto zostanie zatopione, a wreny ulegną zagładzie.

- Jest już w pudełku? - krzyknął Ethan. Ostrożnie włożyłam klucz do pudełka i zamknęłam je. Sprawdziłam, czy zamek trzyma i podałam je Etha-nowi.

- Gotowe.

Jego usta drgnęły, prawie układając się w uśmiech. Pierwsza część naszej misji była zakończona. Wystarczyło teraz zwać stąd, gdzie pieprz rośnie, co było znacznie prostsze

dla Ethana niż dla mnie. Niedaleko woda zaczęła się wlewać do miasta, ale nie doszła jeszcze do nas. Jeśli się pospieszę, może — ale tylko może — także zdołam ocalić skórę.

Ethan włożył pudełko do kieszeni kurtki.

- A teraz biegiem.

Ale cień w drzwiach pociemniał. Nie byliśmy już sami, a nasze szanse na szybką ucieczkę zniknęły. Wiedziałam, kto to jest, zanim jeszcze spojrzałam na tego potwora. Potrafiłabym zawsze i wszędzie wyczuć towarzyszący mu zapach zła, nawet we śnie. Czy nigdy się od niego nie uwolnię?

Marduk uniósł ręce i zaryczał triumfalnie. W tym momencie zrozumiałam. Wiedział, że klucz jest ukryty gdzieś w mieście i wiedział, że będziemy musieli po niego przyjść. Wpadliśmy prosto w jego pułapkę.

- Ethan, idź! - syknęłam.

Ale Ethan tylko patrzył na mnie.

- Nie bez ciebie.

Nie mogłam uwierzyć w jego upór.

- Co się z tobą dzieje? Idź już! - Nie.

Marduk roześmiał się.

- W takiej chwili myślisz o honorze?

— Mam więcej honoru w małym palcu niż ty zdołałbyś zgromadzić przez tysiąc lat.

— Być może, ale honor nie ocali ci życia. — Marduk przeniósł spojrzenie pojedynczego oka na mnie. - Jesteś zakałą mojego istnienia! Zabiję cię z największą przyjemnością.

Nigdy nie widziałam Marduka tak wściekłego. Tak szalonego.

- Ethan, idź już! Użyj skrzydeł i zabierz klucz w bezpieczne miejsce!

Upiorny szumiący dźwięk odwrócił na chwilę naszą uwagę. Marduk przekrzywił głowę, kiedy nasłuchiwał. Próbował zrozumieć, co oznacza ten nasilający się grzmot. Oczywiście Ethan i ja wiedzieliśmy, co to jest — woda z jeziora. Sądząc po odgłosach odbijających się echem na tym najniższym poziomie, była już niedaleko.

A potem wlała się do skarbcza, rzucając nami wszystkimi o ścianę.

— Co to? — zagrzemiał Marduk. - Miasto tonie! Moje wreny!

Popatrzył na nas, kiedy pierwsza fala uspokoiła się, a woda sięgała nam do piersi. Jego oko rozbłysło czerwienią, w przypiływie siły chwycił mnie w pasie i przytrzymał mi obie ręce za plecami.

- Oddaj mi klucz, albo nie puszczę jej, dopóki nie będzie za późno!

Spojrzałam na Ethana, ponaglając go, żeby uciekał, zanim także utonie. Ale Ethan miał inny pomysł.

- Nie możesz jej zabić, chyba że sam chcesz umrzeć, nim dzisiaj zajdzie słońce.

Marduk wzmocnił tylko żelazny chwyt. Spróbowałam ściągnąć rękawiczki, ale trzymał mnie za mocno.

- Nie jestem głupcem, chłopcze. Wiem o klątwie. Ale ja nie zamierzam jej zabijać. Była stracona, od kiedy wkroczyła do tego miasta. - Przeniósł spojrzenie na mnie. - Zawsze wiedziałem, że nieobdarzanie cię skrzydłami było roztropną decyzją.

Ethan rąbnął Marduka w ramię.

- Puść ją!

Nie zdołał go nawet poruszyć, ale wtedy następna fala wody zagrziała w korytarzach. Słyszając to, Marduk ryknął, tym razem z niepokojem. Każda nadchodząca fala zabijała kolejne wreny. Słyszeliśmy już ich wrzaski.

Marduk trzymał mnie mocno, chociaż Ethan po raz kolejny spróbował mnie uwolnić. Kolejna fala zalała skarbiec całkowicie. Marduk przetrzymywał mnie jeszcze przez minutę, całkowicie zanurzoną. Ethan pływał wokół nas i próbował rozluźnić chwyt Marduka. Ale ten potwór chciał mieć pewność, że nie mam szans na przeżycie. Celowo zwiotczałam, a on, usatysfakcjonowany, że przytrzymał mnie dostatecznie długo, użył skrzydeł i zniknął.

W końcu byłam wolna. Ethan wziął mnie za rękę i razem wypłynęliśmy z zalanego skarbcza.

Miałam wrażenie, że trwało całą wieczność, zanim wynurzyliśmy się na powierzchnię. Gwałtownie wciągnęłam powietrze, odpychając kolejne ciała wrenów. Ich wrzaski wytrącały mnie z równowagi, stwory przepychały się jeden przez drugiego, próbując w panice dostać się na wyższe poziomy.

Ethan znalazł schody i mogliśmy się wydostać z zalanej części miasta. Ale zbliżała się kolejna fala. Przemoknięci do suchej nitki biegliśmy tak szybko, jak pozwalało nam ciężkie ubranie. Zrzuciłam płaszcz, żeby ułatwić sobie ruchy. Uderzyła w nas kolejna fala -staraliśmy się wykorzystać ją, żeby popchnęła nas w górę, walcząc o utrzymanie głów nad powierzchnią. Ale siła przybierającej wody była zbyt wielka, miotała nami o ściany, wreny, a nawet o tonących żołnierzy. Jeden z nich, wielki i ciężki, chwycił Ethana, wciągając go pod wodę, kiedy starał się znaleźć jakieś oparcie dla stóp. Złapałam żołnierza za włosy i trzasnęłam go zaciśniętą pięścią w twarz. Puścił Ethana, który wypłynął na powierzchnię.

W końcu wydostaliśmy się na kolejne schody, ale nie byłam pewna, ile czasu jeszcze uda nam się utrzymać takie tempo. Nadal byliśmy bardzo daleko od powierzchni ziemi!

— Uda ci się! - uspokajał mnie Ethan. — Musi ci się udać, rozumiesz?

Ale szybko dosięgła nas następna fala, fundując nam wyboistą jazdę w górę i w dół, obijając o ściany szybko zalewanego przejścia. W końcu opadła, a my stwierdziliśmy, że znajdujemy się w ślepo zakończonym korytarzu, w którym woda sięga już prawie do sufitu. Podnieśliśmy głowy nad wodę, łapiąc powietrze. Ethan obrócił się, ciągnąc mnie za ramię.

- Szybko, musimy się stąd wydostać! To śmiertelna pułapka!

Spróbowaliśmy zawrócić, ale nagła eksplozja cisnęła nami o ścianę. Woda stała się mulista, a pozostałe powietrze wypełniło się dymem i kurzem. Najgorsze było jednak to, że ściany, pozbawione wspierającej je maszynierii, zawały się, odcinając nam drogę ucieczki.

Podpłynęliśmy do nich i spróbowaliśmy się przecisnąć na zewnątrz, odgarniając cegły. Ale kiedy zrzuciliśmy kilka pierwszych, stało się jasne, że reszty nie da się ruszyć z miejsca. Były całkowicie zaklinowane. W tym momencie usłyszeliśmy szum zbliżającej się fali. Za kilka sekund ta przestrzeń, z której nie było ucieczki, miała zostać kompletnie zalana.

Rzuciliśmy się do sufitu, chwytając ostatnie hausty powietrza.

- Musisz użyć skrzydeł, Ethanie. Nie masz już wyboru.

- Zawsze jest jakiś wybór - odpowiedział. - A ja wybrałem nieużywanie ich.

- Ethan, na litość boską! A co będzie z kluczem?

- Znajdą go - odparł cicho.

Zajęło mi chwilę, zanim dotarło do mnie, co on powiedział.

- Nie! Nie możesz tego zrobić! Ethan, posłuchaj, nie marnuj swojego życia. Jaki to ma sens?

Szum wzrósł do poziomu ogłuszającego grzmotu, kiedy fala nieuchronnie zbliżała się do nas.

- Nigdzie nie idę - powiedział Ethan. - Nie pozwolę, żebyś umarła tutaj sama.

Patrzyłam na niego z niedowierzaniem. Nie mówił chyba serio! Ale pełen opanowania spokój w jego oczach przekonał mnie, że jest całkowicie poważny.

Rozdział 27

Matt

Zanim dotarłem do siedziby Arkariana, przecucie nieszczęścia stało się tak silne, że moje ręce zaczęły drżeć. Arkarian pojawił się przede mną w poszarpanym ubraniu, z zadrapaniami i czerwonymi pręgami na policzku. Złapałem go za ramiona.

- Co się dzieje?!

- Wreny są wszędzie! Burzą mury! Skrzypnięcie sprawiło, że popatrzyłem na drzwi, za

którymi znajdowało się przejście do miasta. Otworzyły się gwałtownie i zobaczyłem Isabel, Dillona i Shauna w równie opłakanym stanie, co Arkarian. Shaun ścisnął swoje ramię, a krew ściekała mu między palcami.

- Nie możemy tam wrócić - Isabel prawie krzyczała, jednocześnie odrywając rękę Shauna od rany i uzdra-

wiając go. - Woda jest zbyt wysoko i przybiera za szybko. Wreny giną setkami.

- Miasto zostało zatopione? - zapytałem zaskoczony. To miała być ostatnia deska ratunku.

Arkarian trochę uspokoił oddech.

- Nie było innego sposobu.

- A co z kluczem?

Wszyscy zaczęli się rozglądać po komnacie. Ale to nie klucza szukali.

- Kogo brakuje?

— Jimmy powinien niedługo wyjść. Nie udało mi się skontaktować z Marcusem, więc musi nadal być w szkole - odparł Arkarian.

- A gdzie są Ethan i Rochelle? Arkarian popatrzył mi prosto w oczy.

- Poszli po klucz.

Nie czekałem już na dalsze wyjaśnienia. Sytuacja była oczywista: należało tam zejść i ich znaleźć. Ale miasto było rozległe, musiałem najpierw ich namierzyć. Zamknąłem oczy i zacząłem szukać. Było ciemno, tylko na najwyższych poziomach, gdzie nie dotarła jeszcze woda, paliło się kilka pochodni. Wypuściłem moje myśli wzdłuż przejść, zagładając do pustych korytarzy i zaułków. Ale było ich zbyt wiele! Spróbowałem jeszcze raz, tym razem szukając głębiej, na zalanych obszarach. Wszędzie unosiły się ciała wrenów, a nawet żołnierzy. Sięgnąłem głębiej. Gdzie oni się podziali? Natrafiłem na zwalony mur w mętnej wodzie - wyglą-

dał, jakby niedawno został zburzony. To przyciągnęło moją uwagę. Rozejrzałem się, znalazłem niewielki otwór i sięgnąłem przez niego. Wtedy ich zobaczyłem, odgarniających cegły z drugiej strony. Widać było, że nie uda im się szybko wydostać, a z każdą odrzuconą cegłą tracą siły.

- Cholera!

- Co zobaczyłeś? - zapytał Arkarian. - Mów!

Nie miałem jednak czasu na wyjaśnienia. Nie mogłem czekać ani sekundy. Zaczerpnąłem jak najgłębszy oddech i zniknąłem, pojawiając się bezpośrednio przed zwałonym murem, który uwięził Ethana i Rochelle. Lodowata woda sprawiła, że zadrzałem. Szybko dostosowałem temperaturę ciała, uspokoiłem myśli i przywołałem dar siły fizycznej. Zająłem się cegłami, odrzucając je na boki jak piłeczki pingpongowe. W kilka sekund oczyściłem przejście, odsłaniając kompletnie ciemne i całkowicie zalane pomieszczenie. Dostosowałem wzrok do ciemności i zobaczyłem ich sylwetki - oboje jeszcze żyli, ale zaczęli przegrywać walkę o zachowanie przytomności. Znajdowaliśmy się tak głęboko, że nie było mowy, żeby wydostali się stąd bez pomocy.

Uświadomili sobie, że jestem koło nich, i popatrzyli na mnie. W ich rozszerzonych źrenicach było widać, że ledwie się trzymają. Obróciłem się, wypuszczając trochę powietrza, żeby zmniejszyć ciśnienie w płucach. Musiałem szybko coś wymyślić. Zacząłem macać ścia-

nę, ale wyczułem tylko cegły. Co Arkarian mówił mi o tym miejscu? Jest pełne przejść i tajemnych schowków. Zacisnąłem pięści i uderzyłem o sufit. Fragmenty gruzu i muł zawirowały wokół nas. Uderzyłem jeszcze raz i jeszcze raz. Przegniłe drewno ustąpiło i w końcu otworzyła się niewielka przestrzeń wypełniona powietrzem, które dostarczyło nam potrzebnego tlenu.

Wynurzyliśmy twarze nad wodę, a Ethan i Rochelle wdychali ogromne hausty zatęchłego, ale życiodajnego powietrza.

- Niewiele brakowało - wysapał Ethan między oddechami.

- Masz klucz. - To było stwierdzenie, z tak bliska mogłem go wyczuć.

- Tak, i to nie dzięki Mardukowi. Wiedział, że klucz jest w mieście. To co teraz robimy?

- Teraz użyjesz skrzydeł i wydostaniesz się stąd — powiedziałem.

-Ale...

- Znikaj! Dopilnuję, żeby Rochelle wyszła z tego cało.

Zawahał się. Wyglądał, jakby chciał się kłócić.

- No już, zabieraj się! Skinął głową i zniknął. Rochelle odetchnęła z ulgą.

- Ty też możesz już iść.

Potrząsnąłem tylko głową. Oboje wiedzieliśmy, że ta niewielka kieszeń z powietrzem nie przetrwa dłużej

niż do następnej fali, ale czy ona sobie wyobrażała, że zostawię ją tutaj na śmierć?

- Za chwilę się odwrócę - wyjaśniłem. - Kiedy cię zawołam, weź głęboki oddech i złap się mnie. Jasne?

Przyjrzała mi się, marszcząc brwi i mrużąc oczy, ale skinęła głową.

Grzmiący dźwięk ostrzegł nas, że szybko zbliżała się kolejna fala wody.

- Dobra, zaczynamy.

Znowu skinęła głową. Odwróciłem się i skoncentrowałem.

- Teraz!

Odetchnęła głęboko i objęła moje ramiona. Kiedy fala wody wdarła się przez otwarte przeze mnie wcześniej przejście, szybko przemieniłem swoje ciało w delfina i ruszyłem przed siebie.

Płynąłem jak najprędzej, przemykając się wokół tonących szczątków i martwych wrenów. Kiedy dotarliśmy na górę miasta, znowu przybrałem ludzką postać i pomogłem Rochelle wydostać się na suchy podest. Czekał tam Ethan, który poprowadził nas do windy. Kiedy tylko jej drzwi się zamknęły, a kabina ruszyła w górę, oboje osunęli się po ścianie na podłogę. Trzęśli się z zimna.

- Dajcie koce! - krzyknęła Isabel na nasz widok.

Arkarian sprawił, że pojawiły się trzy i rzucił mi jeden. Użyłem go do wytarcia twarzy. Tymczasem przez boczne drzwi wpadł Jimmy.

— Miasto zostało kompletnie zalane.

Nagle pojawienie się Jimmyego przypomniało mi o pytaniu, skąd Marduk dowiedział się, gdzie jest ukryty klucz. Poza Arkarianem tylko Jimmy wiedział o tajemnej skrytce.

Arkarian usłyszał moje myśli i mocno ścisnął mnie za ramię.

— Co ty wyprawiasz? *Podajrzewam, że Jimmy może być... Nie! Mylisz się!*

Skąd możesz mieć pewność, Arkarianie! To Jimmy nadzoruje systemy obronne. Był jedyną osobą, która wiedziała, gdzie jest klucz.

To nie takie proste. Może Marduk obserwował Ethana i Rochelle od chwili, w której weszli do miasta. Mógł założyć, że jeśli klucz jest ukryty w mieście, oni go do niego doprowadzą.

Arkarian miał wprawdzie rację, ale nie potrafiłem pozbyć się pytań drążących mój umysł.

Ale skąd Marduk wiedział, że da się wejść do miasta pod jeziorem?

Prowadził tam jeden z tuneli z domu Nerii. Zablokowaliśmy go po tym, jak dom został zaatakowany, ale Marduk mógł się już zorientować, do czego służył.

— Co się dzieje? - zapytał Jimmy.

— Próbujemy zrozumieć, jak Marduk przedostał się przez twoje zabezpieczenia.

Wzruszył ramionami z zakłopotaniem.

- Sam chciałbym to wiedzieć, Matt.

- Może wiesz, ale nie chcesz się tym z nami podzielić. Przyjrzał mi się z bliska.

- O czym ty mówisz? - Westchnął ze smutkiem. - Matt, nie mów, że podejrzewasz mnie o bycie zdrajcą. Na litość boską, nie możesz...

Nagle przypomniałem sobie zaufanie i podziw malujące się na twarzy mojego ojca na samą wzmiankę o Jimmym. Zrozumiałem, że się myliłem.

- Nie - spróbowałem go uspokoić. - Nie podejrzewam cię o nic.

-Widzę to w twoich oczach. Matt, mieszkam w twoim domu. Chronię twoją matkę i siostrę. Teraz chronię nawet Nerię. Musisz mi zaufać.

Miał rację. Jimmy był ostatnią osobą, w którą powinienem wątpić. Jak w ogóle mogłem wpaść na pomysł, że jest zdrajcą?

W komnacie zapadła cisza, a wzrok Jimmy'ego pobiegł do Rochelle. Podeszedł do niej i pociągnął ją za ramię.

- Rochelle, połóż na mnie rękę. Powiedz im, że nie jestem zdrajcą. No dalej, dziewczyno.

Rochelle, która nadal siedziała na podłodze owinięta kocem, popatrzyła na niego pustym wzrokiem. - Co?

Jimmy upadł przy niej na kolana.

- Daj mi swoją rękę! Nie zniosę, żeby ktoś mnie podejrzewał. Nie zniosę tego!

Złapałem Jimmy'ego za ramię i pociągnąłem do góry, zmuszając, żeby na mnie spojrzał.

- Nie podejrzewam cię, Jimmy. — Próbowałem przypomnieć sobie, jak w ogóle wpadłem na ten absurdalny pomysł, że Jimmy może być zdrajcą. W tym momencie powróciły do mnie słowa lady Arabelli. „Wydaje mi się, że nie ma niczego, czego nie potrafiłby zrobić lub do czego nie przyłożyłby tutaj ręki. Jest niezwykle utalentowany i ma niezawodne wyczucie czasu. Niezależnie od tego, czy się go potrzebuje, czy nie, zawsze jest w odpowiedniej chwili we właściwym miejscu”.

Z pomocą Arkariana, który lekko położył mu rękę na plecach, Jimmy uspokoił się.

- Mieliście ciężki dzień. Wracajcie do domów — zaproponował Arkarian.

Jimmy skinął głową i westchnął ciężko, a potem spojrzał z powrotem na Ethana i Rochelle, którzy dalej siedzieli owinięci kocami.

— Nic wam nie jest?

Rochelle uniosła głowę, a jej oczy zaczęły tracić ten nieobecny wyraz.

— Nie, chyba nie. Omal... - Urwała i odwróciła głowę, patrząc najpierw na Ethana, a potem na mnie. -Nie umarłam - powiedziała powoli.

Pozostali pokiwali z uśmiechem głowami. W jej głosie brzmiała taka ulga, że trudno się było nie uśmiechnąć, a po nieprzyjemnej scenie z Jimmym słowa Rochelle pomogły rozładować napięcie w komnacie.

Ethan sięgnął za pazuchę i wyjął złote pudełko. Ten widok sprawił, że w komnacie rozległy się brawa i gratulacje.

Ale uwaga wszystkich skupiła się zaraz z powrotem na Rochelle, z której zaczęło opadać napięcie po ostatnich przejściach.

- Nie umarłam! - Wstała chwiejnie i rozejrzała się, jakby widziała nas po raz pierwszy. Chodziła po komnacie, dotykając przedmiotów, a okrywający ją koc spadł na podłogę. Zawirowała, kropelki wody prysnęły z jej włosów. - Nie utopiłam się tam!

Nikt nie był przyzwyczajony do tego, żeby Rochelle okazywała takie emocje. To był rzadki widok. Ethan wstał i wpatrywał się w nią, całkowicie urzeczony. Nieświadoma tego Rochelle prawie tańczyła.

- Patrzcie, jeszcze żyję! - Odrzuciła głowę do tyłu i zaczęła boksować powietrze. - Tak! Udało mi się! Udało mi się! Proroctwo się myliło! - dodała.

Jimmy i Shaun zmusili się do uśmiechu, Dillon poklepał ją po plecach, a Isabel uściskała. Ale co mogliśmy powiedzieć? Poza Ethanem i oczywiście Rochelle wszyscy tutaj znali prawdę. Rochelle nagle spojrzała na mnie, szukając jakiegoś potwierdzenia. Z najwyższym trudem zapanowałem nad myślami. Nie chciałem, żeby teraz je usłyszała.

Wyciągnąłem ręce i przytuliłem ją.

- Dobra robota. Wyrwała mi się.

- Mart, miałeś rację. Powiedziałeś mi, że nie umrę.

Zwróciła się do Arkariana, w którego emocjach panował całkowity chaos. A chociaż był mistrzem osłaniania myśli, w tym momencie walczył ze sobą i zdołał tylko zamienić je w nieczytelną sieczkę. Przytulił ją, a korzystając z tego, że odwróciła się plecami do reszty, popatrzył na mnie. Nie musiał niczego mówić. Jak zwykle oczy Arkariana były bardziej wymowne niż jego słowa. Cokolwiek wydarzyło się dzisiaj, nie było tym, co zobaczyła Isabel. Tamta wizja nie przepowiadała śmierci Rochelle poprzez utonięcie.

Rozdział 28

Matt

Arkarian odesłał wszystkich do domów, z wyjątkiem mnie. Isabel wyszła jako ostatnia, obdarzając Arkariana pocałunkiem. Odwróciłem spojrzenie, nie chciałem wracać do tematu ich związku. Wiedziałem, że jeśli w grę wchodzi Isabel, potrafię przesadzać. Musiałem zrozumieć, że jest dostatecznie dorosła, żeby podejmować samodzielne decyzje.

Ukryte drzwi zamknęły się i na dłuższą chwilę zapadła cisza.

— Rozmawiałem z Isabel - odezwał się Arkarian. -Będzie się trzymała w pobliżu Rochelle, o ile tylko będzie to możliwe.

— To dobrze. - Nagle poczułem się zmęczony i rozejrzałem się za którymś z zabytkowych taboretów Ar-

kariana. Sprawił, że pojawiły się dwa, więc usiadłem.

- Nie wiesz, czy Neria wróciła bezpiecznie? Skinął głową i usiadł na drugim taborecie, przytrzymując go oburącz.

- Jest zmęczona, ale cała i zdrowa. — Nie odrywał ode mnie wzroku, wiedział, że coś jeszcze chodzi mi po głowie.

- Muszę się wybrać do Aten — wyjaśniłem. — Wiem, kto jest zdrajcą.

Pochylił się do przodu i popatrzył na mnie z niedowierzaniem.

- A któż to jest tym razem, Matt? W zeszłym tygodniu to był nasz król. Pięć minut temu uważałeś, że to Jimmy. Nie możesz rzucać oskarżeń, nie mając dowodów. To nie jest gra, w którą się bawimy.

- Przenieś nas zaraz do pałacu w Atenach, a pokażę ci dowód, którego się domagasz.

Zmrużył oczy, spoglądając na mnie.

- No dobrze, ale nie mogę zostać tam długo.

- To nie potrwa długo, uwierz mi.

W jednej sekundzie siedziałem na taborecie w komnacie Arkariana, a w następnej potykałem się, próbując złapać równowagę na dziedzińcu pałacu w Atenach. Kiedy tylko mi się to udało, świszczący dźwięk sprawił, że odwróciłem się na pięcie, już wiedzieli, że tu jesteśmy!

- Ojczy — Arkarian powitał Lorianą skinieniem głowy.

- Milordzie — powiedziałem.

- Arkarianie, Matt, co was tutaj sprowadza bez zapowiedzi? Obawiam się, że wieści mogą być tragiczne.

- Ojczy, mam ci wiele do powiedzenia, ale najpierw Matt musi się zająć pewną sprawą.

Arkarian popatrzył na mnie, a ja nagle nabrałem wątpliwości. Ale żalosny dźwięk gorzko-słodkiego śpiewu, który rozległ się za mną, sprawił, że poczułem przyływ wewnętrznej siły. Odwróciłem się i podszedłem do klatki. Ptaki omal nie oszalały. Zaczęły gwałtownie wyśpiewywać arytmiczne melodie, trzepocząc skrzydłami i tłukąc się o klatkę. Ale szybko się zmęczyły, a ja zauważyłem, że ich złote pióra już nie lśnią, a diamentowe oczy straciły blask.

Pojawiła się lady Arabella, która natychmiast zaczęła je uspokajać kojącymi słowami. Zauważyła mnie i zatrzymała się, zwracając do mnie głowę.

- Czy coś jest nie w porządku, Matt? Wskazałem klatkę.

-To jest nie w porządku, milady. Te ptaki i ta klatka stanowią dowód twojej zdrady. -Wyjaśnij to! - zażądał Lorian groźnym tonem. Zacerpnałem głęboki oddech.

- Wypuść ptaki, a wszystko się wyjaśni.

- Ale one nie są jeszcze na to gotowe! - zaprotestowała lady Arabella.

Przesunąłem palcem po wierzchu klatki. Kurz osypał się w powietrzu, a ptaki zamilkły. Lady Arabella westchnęła.

- Próbowałam się go pozbyć, Mart, ale przylatuje w nocy z północnym wiatrem.

Rozejrzałam się po nieskazitelnie czystym dziedzińcu.

- Dziwne, że ławki i alejki pozostają czyste, podczas gdy klatka jest zawsze pokryta kurzem. - Pociągnąłem za gałąź pobliskiej oliwki, której ciemnozielone liście były gładkie i czyste. Żeby pokazać, o czym mówię, przesunąłem dłonią po klatce. - Taki sam pył sępony próbowały dzisiaj zrzucić na Angel Falls. Pochodzi z ogrodów Marduka i jest zatruty. A ten nocny wiatr przylatuje wprost ze świata podziemnego.

- Czy to prawda? - Lorian zażądał odpowiedzi od lady Arabelle. - Czy pracujesz dla Marduka?

- Oczywiście że nie pracuję dla Marduka! Jeśli ten pył jest zatruty, nie wiedziałam o tym.

Wokół nas zaczęli się zbierać pozostali. Zbliżył się lord Penbarin.

- Potrzebujemy więcej dowodów, Matt. To poważne oskarżenie.

- Trochę wcześniej omal nie oskarżyłem Jimmy'ego o bycie zdrajcą.

Kilkoro zgromadzonych członków Trybunału niemal zachłysnęło się, słysząc te słowa. Słusznie.

- Potem jednak przypomniałem sobie, kto zasiał we mnie te podejrzenia. — Odwróciłem się, żeby spojrzeć na lady Arabelle.

- Trudno to uznać za dowód — nie zgodził się lord Penbarin.

Lorian przyznał mu rację.

- Co jeszcze możesz powiedzieć? Spojrzałem na klatkę.

- Wypuść ptaki, a pokażę wam. Lorian uniósł dłoń.

- Otwórz klatkę.

- Zrobiłabym to, mój panie - odparła cicho lady Arabella. -

Ale ptaki nie są jeszcze w stanie latać.

Lorian westchnął, a ta oznaka znużenia potężnego nieśmiertelnego była niepokojąca. Jeśli jest zmęczony i wyczerpany tym, co się zdarzyło ostatnio, to co można powiedzieć o nas wszystkich?

- Wyjaśnimy tę sprawę teraz, milady. Otwórz klatkę.

- Ale Lorianie - błagała lady Arabella, opierając dłonie na klatce. - Popatrz na nie. Są tak słabe...

- Są osłabione, ponieważ znajdują się za daleko od domu - wyjaśniłem.

- Są słabe z powodu ich wzajemnej miłości.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Arabello? - zapytał lord Penbarin.

- To są nierozłączki. One muszą być razem. Są silniejsze, kiedy przebywają ze sobą. Tak właśnie żyją kochankowie, wspierając się wzajemnie...

Członkowie Trybunału popatrzyli na siebie z zakłopotaniem. Nikt nie był pewien, o czym mówi lady Arabella.

- Otworzysz tę klatkę - odezwał się Lorian. - Albo ja zrobię to za ciebie!

Ze łzami w oczach lady Arabella odwróciła się ze smutkiem do klatki.

- Nie zmuszaj mnie do tego. Te ptaki przyszły do mnie, ponieważ mi ufają. Wiedziały, że jestem kimś, kto będzie je pielęgnować, dopóki nie odzyskają zdrowia. Wiedziały, że się nimi zaopiekuję.

Lorian nie odpowiedział, ale jego spojrzenie było dostatecznie wymowne. Lady Arabella uniosła dłoń do klatki i pomiędzy prętami pojawił się otwór. Ptaki wyleciały na zewnątrz, rozpościerając i wyciągając skrzydła. Pióra posypały się na nas jak deszcz, ponieważ ptaki przekształcały się i zmieniały. Zanim dotknęły ziemi, przemieniły się do końca w dwa oszałamiającej urody lamparty śnieżne.

- Aysher! Silos! — zawołał Arkarian i lamparty przybiegły do niego, zmieniając się u jego stóp w znajome nam psy.

Dziedziniec wypełnił się zdumionymi szeptami i westchnieniami oburzenia. Lord Penbarin z niedowierzaniem przenosił wzrok z psów na lady Arabellę i z powrotem.

- Dlaczego, milady?

Trzeba było przyznać, że lady Arabella wyglądała na tak samo zaskoczoną, jak pozostali.

Wydawało się, że Lorian urósł w oczach i nagle na dziedzińcu zapadła cisza, wypełniona bijącą od niego lodowatą wściekłością. Lady Arabella niemal się przed nim skuliła.

- Mój panie, to nie jest tak, jak się wydaje. Nie wiedziałam o tym. Przysięgam, nie wiedziałam, że te ptaki są psami, których szukamy.

- Zachowaj wymówki na proces. - Lorian nakazał dwóm strażnikom, aby pochwycili lady Arabellę. - Zamknijcie ją w celi, z której nie zdoła uciec.

- Panie! - krzyknęła lady Arabella. - Nie! Nie rób mi tego! Panie, nie możesz wątpić w moją wierność! Pamiętaj, że Rochelle już mnie sprawdziła. Nie jestem zdrajczynią. Przysięgam!

- Kiedy byłaś sprawdzana, moce Rochelle dopiero się rozwijały. Przypuszczam, że oszukałaś ją, ukrywając swą nielojalność pod maską fałszywych emocji.

- Nie! Nie zrobiłam tego. Musisz mi uwierzyć! Opiekowałam się tylko parą ptaków, które przyszły do mnie, szukając pomocy. Były takie piękne, takie niewinne i ufne. Nie zastanawiałam się, skąd się wzięły, chciałam tylko je zatrzymać. Proszę, Lorianie, nie zamykaj mnie. Nie zniosę tego.

Nikt nie odezwał się ani słowem, wszyscy byli jak ogłuszeni.

- Nigdy ci tego nie wybaczę! - Lady Arabella krzyczała i błagała, kiedy strażnicy na pół wlekli, a na pół nieśli ją do pałacu, żeby zabrać ją w podziemia. Ten okropny głos miał na zawsze pozostać w mojej pamięci. Znalezienie zdrajcy nie przyniosło nam ulgi. Uwięzienie lady Arabelli, cieszącej się powszechnym zaufaniem i miłością, było prawdziwą tragedią.

Lorian położył mi rękę na ramieniu i na ułamek sekundy zostałem przytłoczony falą jego emocji, która sprawiła, że z trudem oddychałem. Kochał ją. A jej zdrada złamała mu serce.

Rozdział 29

Rochelle

Lady Arabella znajdowała się w celi więziennej w pałacu w Atenach, oskarżona o zdradę! Nie mogłam w to uwierzyć.

Dillon szedł ze mną w kierunku sali historycznej.

- Słyszałaś o lady Arabelli? - wyszeptał, także wyraźnie zdumiony.

- Owszem. Nic dziwnego, że nie chciała pozwolić Isabel zbliżyć się do tych jej bezcennych ptaków.

- Podobno trucizna utrzymywała psy uwięzione w ptasiej postaci, żeby nie mogły się z nikim porozumieć - potrząsnął głową.

Doszliśmy do klasy i zajęliśmy miejsca osobno. Był to ostatni dzień szkoły przed feriami zimowymi. Semestr był naprawdę ciężki, zdarzyło się wiele dziw-

nych rzeczy, więc w klasie panował niepokój. Profesor Carter wszedł i oznajmił, że na dzisiejszej lekcji będzie zabawa w quiz. Klasa ucieszyła się, a ja rozejrzałam się dokoła. Erhan siedział w rzędzie za mną. Szybko się odwróciłam. Od czasu, kiedy omal nie zginęliśmy pod wodą, praktycznie się do siebie nie odzywaliśmy, a ja nie chciałam poruszać tego tematu. Nadal cierpiałam na wspomnienie mojego wybuchu entuzjazmu, kiedy uświadomiłam sobie, że naprawdę przeżyłam. Nie mogę uwierzyć, że tańczyłam po komnacie! Poczułam, że moja twarz znowu staje się gorąca. Ethan siedział obok Chloe Campbell, całkowicie blokując swoje myśli. Powinnam być zadowolona, że w końcu nauczył się je kontrolować, ale jakaś część mnie naprawdę chciałaby dostać się jeszcze raz do jego głowy.

Spojrzałam w stronę okna i kątem oka zauważyłam, że położył ramię na oparciu krzesła Chloe. Zachichotała i rzuciła mu jeden ze swoich najbardziej zachęcających uśmiechów. Nagle pożałowałam, że nie dysponuję mocą Ethana, polegająca na manipulacji przedmiotami. W tym momencie marzyłam o tym, żeby wyciągnąć spod niego to krzesło!

Dillon dostrzegł, na czym koncentruje się moja uwaga i prychnął. Posłałam mu najbardziej morderczy uśmiech, na jaki było mnie stać. Znudzony Dillon pstryknął kawałkiem gumki przez salę, ale nieświadomie użył zbyt dużej siły. Gumka śmignęła koło profesora Cartera jak kula, wbijając się głęboko w ścianę

za nim. Profesor Carter rzucił Dillonowi ostrzegawcze spojrzenie, ale on tylko uniósł ramiona i mruknął jakieś przeprosiny, starając się nie roześmiać. Przynajmniej nie myślał teraz o Nerii. Miałam już dość jego obsesji tą dziewczyną. Od tygodnia powtarzała mu codziennie, że chce, żeby byli po prostu przyjaciółmi, ale najwyraźniej ogłuchł kompletnie i słyszał z jej ust tylko to, co sam chciał usłyszeć. Matt od kilku dni był nieobecny, ta sprawa z lady Arabellą nie dawała nam wszystkim spokoju. Trwały niekończące się spotkania i gromadzenie dowodów. Ale wrócił dziś rano, więc istniała szansa, że w końcu powie Dillonowi prawdę. Jedno było pewne: nie chciałabym być przy tym.

Profesor Carter rozdał quizy. To miała być zabawa, a osoba, która uzyska najwięcej punktów, miała dostać nagrodę. Ale idea „zabawy” była w jego przypadku trochę dziwna - wszystkie pytania były enigmatyczne. A może po prostu dzisiaj nie miałam do nich głowy.

Wracając do biurka profesor Carter zatrzymał się, żeby wyrzucić przez okno. Nie było w tym nic nadzwyczajnego, ale jego nagle zeszywniała sylwetka sprawiła, że dostałam gęsiej skórki. Przechylił głowę, jakby próbował coś usłyszeć.

Nagle odwrócił się i popatrzył prosto na mnie. Tego spojrzenia długo miałam nie zapomnieć - jego oczy były skoncentrowane i pełne strachu. Nie był myślowidzącym, ale wiedział, że ja mam ten dar. Jego my-

śli zagrzmiały w mojej głowie. *Zamknijcie drzwi! Zamknijcie wszystkie okna! Powiedz Mattowi i Nerii, żeby zrobili to samo. Zbliżają się, i to szybko.*

O czym on mówił? Kto się zbliżał?

Już, Rochelle! Pospiesz się!

Zrobiłam to, czego chciał, wysyłając własne myśli z taką siłą, żeby Matt i Neria odebrali moją wiadomość. Okazało się, że Matt jest w pobliżu, ale Neria znajduje się na dole, w jednej z sal laboratoryjnych, a ja nie byłam pewna, czy zdołam tam do niej sięgnąć. Powiedziałam Mattowi, żeby dopilnował przekazania jej wiadomości.

Co się dzieje? - zapytał w myślach Matt.

Pomagając profesorowi Carterowi zabezpieczyć klasę, odparłam Mattowi, że nie wiem. *Zrób to, czego on chce, i przypilnuj, żeby nikt nie wychodził.*

Ethan podszedł i stanął przy oknie. Nie powiedział niczego, ale zauważył, że coś jest nie tak, podobnie jak inni uczniowie w klasie. Profesor Carter podniósł rękę, uciszając pytania.

— Zamknij za mną drzwi i nie wypuszczaj nikogo — powiedział cicho do Ethana. - Pod żadnym pozorem ich nie otwieraj. Rozumiesz?

Ethan skinął głową, a profesor Carter wyszedł. Patrzyłam przez szybę w drzwiach, jak biega od klasy do klasy, wskazuje na okna, a potem na drzwi. Nauczycielka po drugiej stronie korytarza, profesor Burgess, po prostu się w niego wpatrywała. Krzyknął na nią

tak, że aż podskoczyła. Kiedy przeszedł do następnej sali, wzruszyła ramionami, ale poleciła kilku uczniom, żeby wypełnili dokładnie jego zalecenia. Ktoś zaczął się dopytywać, co się dzieje.

- Nie mam pojęcia - Ethan lekko wzruszył ramionami. - Carterowi w końcu naprawdę odbiło.

Dillon podszedł do okna, a kilkoro uczniów poszło za jego przykładem.

Kiedy w ten szary zimowy dzień patrzyliśmy na boisko, czekanie było praktycznie nie do zniesienia. Ale pierwszy sygnał pojawił się dosłownie pod naszymi stopami. Podłoga zaczęła wibrować. Uczniowie natychmiast to zauważyli.

- Trzęsienie ziemi! - krzyknął Bryce Wilson i podbiegł do drzwi. Stwierdził, że są zamknięte i zaczął panikować. - Wypuście nas stąd!

Ethan wymienił ze mną spojrzenia i podbiegł do drzwi. Odciągnął od nich Bryce'a i zaczął go uspokajać.

- Wszystko w porządku. Uspokój się, wszystko będzie...

Zanim zdążył dokończyć zdanie, pojawiła się prawdziwa przyczyna wibracji. Wszyscy podbiegli do okien, wyglądając przez szyby. W pierwszej chwili cała klasa zaniemówiła, oszołomiona.

Ethan spojrzał ponad moim ramieniem.

- Już tu są - mruknął. A potem dodał: - Odsunąć się natychmiast od okna!

Fala złożona z tysięcy czarnych szcurów pędziła przez boisko, kierując się w naszą stronę. Wszyscy zaczęli krzyczeć. Dotarcie do nas nie zajęło im wiele czasu — wielkie i tłuste, zaciemniły całkowicie klasę, wspinając się na dach. Chloe i kilka innych dziewcząt praktycznie wyszło z siebie, wrzeszcząc i kuląc się pod ławką. Ale nie tylko dziewczyny były przerażone - część chłopaków także wyglądała, jakby oczy miały im zaraz wyskoczyć z orbit. Kiedy gryzonie przebiegały po dachu, wszyscy rzucili się na drugą stronę, tratując po drodze ławki i krzesła.

Brzęk rozbijanego szkła w korytarzu sprawił, że poczułam ukłucie grozy. Miałam nadzieję, że profesor Carrer zdołał powiadomić wszystkie klasy. Ale myśl o nauczycielu sprawiła, że zaczęłam się zastanawiać, czy sam znalazł bezpieczne schronienie. Ogarnęło mnie nagle okropne przeczucie.

- Gdzie jest profesor Carter? — wyszeptałam.

— Nic mu nie będzie — Ethan podszedł do mnie.

Prawie go nie słyszałam, ponieważ hałas, jaki robiły biegnące po dachu szcury, zagłuszał praktycznie wszystko inne, łącznie z krzykami. Cały budynek wibrował, a ja miałam tylko nadzieję, że dach wytrzyma ten ciężar. W tym momencie zobaczyłam profesora Cartera, uciekającego korytarzem przed setkami gryzoni. Zdołał zatrzaskać drzwi ewakuacyjne sekundę przed tym, nim go dopadły. Ethan trzymał rękę na zamku w drzwiach naszej klasy, gotowy, żeby je otwo-

rzyć, ale kiedy profesor Carter był już o kilka metrów od nas, szczury znalazły przejście przez jakieś szczeliny w suficie i zaczęły się wlewać na korytarz. Profesor Carter zauważył je i potrząsnął głową.

- Nie - zawołał i zaczął się wycofywać.

- Niech pan wraca!

Nauczyciel odwrócił się i ruszył biegiem.

Patrzyliśmy ze zgrozą, jak szczury go doganiają. Wszystko działo się błyskawicznie: w ciągu kilku sekund zaczęły wlać się po jego nogach i plecach. Upadł na twarz, a zwierzęta oblały go od stóp do głów.

Wszyscy patrzyli na to z przerażeniem i obrzydzeniem, przyciskając twarze do szyb w drzwiach.

Podobnie jak kilkoro innych uczniów krzyknęłam:

- Musimy coś zrobić!

Ethan i Dillon popatrzyli na siebie, a ja usłyszałam ich niezamaskowane myśli w swojej głowie. Otwarcie drzwi oznaczało narażenie życia wszystkich uczniów w środku.

- Nie możemy go tam zostawić na śmierć!

Dillon połamał krzesło, oderwał od niego dwie nogi i rzucił jedną Ethanowi. Ale światło zaczęło wracać do wnętrza klasy i stało się jasne, że fala szczurów przechodzi dalej. Po chwili zaczęły się ześlizgiwać z drugiej strony budynku, kierując się do dalszych zabudowań szkoły. Ethan i Dillon wypadli z klasy z krzykiem, tłukąc atakujące profesora Cartera szczury nogami od krzesła.

Zostałam odepchnięta na bok, a Bryce i kilku innych chłopaków pobiegło za nimi. Niedługo wszyscy uczniowie ze wszystkich klas wysypali się na korytarz. W końcu przepchnęłam się do profesora Cartera. Było z nim naprawdę źle — całe jego ciało krwawiło, a ubranie było w strzępach, poszarpane przez pazury i zęby.

- Gdzie jest Isabel? - syknął do mnie Ethan.

Spróbowałam namierzyć jej myśli, cokolwiek, co pozwoliłoby mi stwierdzić, w której jest klasie. Ale nie znalazłam niczego. Jeśli się nad tym zastanowić, w ogóle jej dziś rano nie widziałam.

- Chyba nie przyszła dzisiaj do szkoły.

- Chyba rzeczywiście nie — Ethan podniósł profesora Cartera. — Jest pewnie z...

Profesor Burgess odsunęła z drogi uczniów, żeby przedostać się do nas.

- Co się stało Marcusowi?

Ethan przepchnął się obok niej, ignorując jej pytanie.

- Co ty wyprawiasz, Ethan? - krzyknęła. - Sekretariat wezwie karetkę. Połóż go. — Nie zatrzymał się. - Młody człowieku, natychmiast przynieś tu profesora Cartera!

Ethan szedł w stronę drzwi, a krzyki profesor Burgess dobiegały z coraz większej odległości. Kiedy znalazł się na zewnątrz, ruszył biegiem. Dillon zaproponował pomoc, ale Ethan tylko potrząsnął głową. Zamierzał sam zająć się profesorem Carterem. Ale szybko zaczął

ciężko dyszeć, wysiłek okazał się zbyt duży. Tym razem Dillon nie przyjął do wiadomości odmowy - przejął rannego z rąk Ethana i pobiegł prosto w góry, do siedziby Arkariana. Dzięki jego nadludzkiej sile szybko znaleźliśmy się przed ukrytymi drzwiami.

Pojawiło się wejście, a Isabel przywitała nas w środku.

- Szybko. Tutaj. - Wskazała drzwi, które Arkarian przytrzymał otwarte. Dillon położył profesora Cartera na łóżku, a ja zauważyłam skłębioną pościel. Arkarian naciągnął na nie kapę i rzucił mi wiele mówiące spojrzenie. Mimo woli pomyślałam, że Arkarian i Isabel mają mnóstwo szczęścia, że nie ma tutaj Matta.

Dillon szybko przypomniał mi o chaosie panującym w szkole.

-Wrócę tam i zobaczę, czy nie potrzebują mojej pomocy.

To był dobry pomysł, ja także powinnam była z nim pójść. Spojrzałam na profesora Cartera - ślady ukąszeń jątrzyły się jak rany wypalone kwasem. Ale nie mogłam tu w niczym pomóc. Wszystko było w rękach Isabel.

Rozdział 30

Matt

W szkole panował chaos. Szczury spowodowały ogromne zniszczenia, a kilkoro uczniów, którzy nie zdążyli schować się w klasach, zostało rannych. Ciężko. W miejscach, gdzie pogryzły ich szczury, skóra pokrywała się pęcherzami jak po oparzeniach kwasem. Z ulgą usłyszałem zbliżające się syreny - było ich mnóstwo. Najbardziej jednak ucierpiały sale laboratoryjne. Były całkowitej ruinie.

Chciałem znaleźć pozostałych, ale nie widziałem ich nigdzie w pobliżu. Mogłem ich poszukać myślą, ale do tego potrzebowalibyśmy chwili spokoju, a na to nie zanosilo się jeszcze przez dłuższy czas.

Najgorsza fala minęła, ale szczury nadal były wszędzie, zmierzając Bóg jeden wie dokąd.

Sale laboratoryjne były zrujnowane, część uczniów wciąż jeszcze znajdowała się w stanie hysterii. Wtedy zobaczyłem Nerię - chodziła od jednej osoby do drugiej, starając się wszystkich uspokoić. Przyjechały karetki i poproszono, żeby ci z nas, którym nic nie jest, wyszli.

Neria zobaczyła mnie i wpadła mi prosto w ramiona. Wyszliśmy na zewnątrz, na tyły budynku, a ja przytuliłem ją mocno.

- Powiedz mi, co się stało.

Zamknęła oczy i pokazała mi wszystko, przesyłając obrazy wprost do mojego umysłu. Profesor Carter biegał od sali do sali, krzycząc na wszystkich, żeby zamykali okna i zaryglowali drzwi. Ale szczury zbliżały się cały czas, wbiegały już do budynku i wiele zdołało się prześlizgnąć, zanim uczniowie zdążyli pozamykać ostatnie przejścia. Najwyraźniej kierowało nimi jedno: chęć znalezienia ludzkiego mięsa, jakby z jakichś obłąkanych przyczyn to mogło je uczynić z powrotem śmiertelnikami. Zobaczyłem, jak Neria patrzy na nie z szeroko otwartymi z przerażenia oczami, kiedy ogarnął ją ten sam strach, co resztę klasy. Krzyki rozdzierały powietrze, krzesła uderzały o ławki, uczniowie przepychali się jeden przez drugiego, żeby wejść na ławki i uciec od szczurów. Niektórzy skakali w górę i zwisali jak małpy z paneli sufitowych. Profesor Walker starał się uspokoić klasę, jednocześnie strząsając żarłoczne szczury z siebie i najbliższych uczniów.

Neria odsunęła się na bok i zamknęła oczy. W pierwszej chwili w klasie panował chaos. Szukała umysłów szczurów, starając się znaleźć jakiś sposób na porozumienie się z nimi. Początkowo nic się nie zmieniało, ale potem szczury zatrzymały się i podniosły łby. To był zadziwiający widok - zbliżały się do niej jak zahipnotyzowane. Otworzyła okno, a one wysypały się na zewnątrz. Na szczęście w ogólnej hysterii nikt nie zauważył jej wyczynu.

- Dobra robota - wyszeptalem nad jej głową. Podniosła na mnie oczy, w których zobaczyłem coś, czego nie widziałem nigdy wcześniej: rozpacz.

- Matt, widziałam coś.

- Co takiego?

- Zajrzałam w ich umysły.

- Szczurów?

Skinęła głową i przełknęła ślinę.

- I co zobaczyłaś?

- Zarazę - syknęła. Odgarnąłem zbłąkane pasmo jej włosów. - Jak mamy z tym walczyć? - zapytała. - Od czego zacząć?

Koło nas przemknął jakiś cień, ale nie zwróciłem na to uwagi. Moje myśli zajmowała plaga szczurów, które przyniosły do naszego świata epidemię, i sposoby na walkę z nimi. Ale ten cień miał głos, przepelniony wściekłością i wyrzutem.

- A może na przykład zaczniecie tutaj? Tutaj, ode mnie?

Na moment zamarliśmy, podczas gdy Dillon zaczął nas okrążyć jak wilk wietrzący zdobycz.

- Więc od jak dawna to trwa? Zasłoniłem sobą Nerię.

- Daj mi wyjaśnić.

- Tyją obejmujesz, ona obejmuje ciebie. Powiedziałbym, że to wszystko wyjaśnia.

- Chciałem ci powiedzieć - spróbowałem się tłumaczyć, chociaż było już za późno. Dlaczego wcześniej nie znalazłem czasu? Powinienem być z nim szczery od momentu, kiedy uświadomiłem sobie swoje uczucia do Nerii. Gdyby przyszło co do czego, nie było mowy, żebym użył przeciwko niemu swoich mocy. To nie byłoby w porządku.

Neria wyszła przede mnie.

- Dillon, próbowałam ci powiedzieć, że możemy być tylko przyjaciółmi.

- Przyjaciółmi? Myślisz, że teraz możemy być przyjaciółmi? - Podszedł tuż do mnie. - jeśli idzie o ciebie, byliśmy przyjaciółmi przez prawie całe nasze życie. Czy tak właśnie zachowują się przyjaciele? Wiedziałeś, że zależy mi na Nerii. Wiedziałeś o rym, a mimo to się do niej zbliżyłeś. Zrobiłeś to, kiedy byłem zamknięty na szkoleniu, a kiedy wróciłem, byłeś za dużym tchórzem, żeby to przyznać!

- To nie było tak.

- Teraz już łapię, dlaczego członkowie Trybunału dali mi te wszystkie dary. Wiedzieli, co zamierzasz mi

zrobić. Lady Arabella wyraźnie podkreśliła, że muszę nad nimi pracować. - Potrząsnął głową. - Powinienem być jej posłuchać. Wszystkie znaki na to wskazywały!

- Gdybyś zwrócił uwagę na to, co próbowałam ci powiedzieć, nie byłbyś teraz taki wściekły — odezwała się Neria.

Syknął przez zaciśnięte zęby.

- Myślałem raczej, że będę musiał dojść, o co w tym wszystkim chodzi! - Spojrzał na mnie. — To o co szło z tą obietnicą, którą mi dałeś? Chciałeś sobie ze mnie zakpić, Matt?

- Nie! Przysięgam!

Popchnął mnie mocno. Uderzyłem plecami o ceglana ścianę, która zaczęła pękać.

Neria próbowała wepchnąć się pomiędzy nas.

Nie! Trzymaj się z dala! - ostrzegłem ją w myślach.

Dillon rzucił się na mnie znowu i cisnął mną o ziemię. Podniosłem się, próbując się osłonić przed jego siłą. Rzucił mną o ścianę i trafił mnie pięścią w głowę. Odepchnąłem go i odsunąłem się od ściany, która zaczęła się rozpadać.

- Przestań, Dillon - krzyknęła Neria, kiedy wokół nas posypały się cegły.

Zignorował ją i zaatakował znowu, łapiąc mnie za ramiona. Wsunąłem między nie ręce, i spróbowałem wyrwać się z chwytu, ale był niewiarygodnie silny, a ja bez moich mocy nie miałem szans. Należało mieć

nadzieję, że wycofa się po kolejnym ciosie i ta głupia walka będzie skończona.

Ale nie wycofał się, atakował i atakował. W końcu wylądowałem na czworakach na ziemi, posiniaczony i pobity.

Neria podbiegła do mnie. *Musisz użyć mocy! Nie! On zaraz przestanie.*

Nie bądź głupi! Nie przestanie, dopóki cię nie zabije, albo przynajmniej nie stłucze na miazgę.

Miała rację, ale nie chciałem używać mocy przeciwko niemu. Wstałem chwiejnie, ocierając rękawem krew z twarzy.

- Czekaaj, Dillon! Posłuchaj mnie. -Teraz już nie mam zamiaru cię słuchać!

Kiedy rzucił się na mnie znowu, ktoś przytrzymał go od tyłu. To był Shaun.

- Zawsze należy wysłuchać drugiej strony.

Dillon bez trudu wyrwał mu się, ale to wystarczyło, żeby się trochę opanował i nie próbował mnie już atakować.

Shaun popatrzył na zastaną scenę i potrząsnął głową.

- Nie wiem, co tu się dzieje, ale jakikolwiek macie powód, przestańcie natychmiast.

- Co się stało? - zapytałem, powoli odzyskując siły. Shaun popatrzył na nas.

- Szczelina między światami została otwarta.

- O szlag! - Dillon wybił pięścią dziurę w ceglanym murze za nim. — No nie!

Obawy o to, że Lathenia otworzy szczelinę, były jednym z głównych powodów, dla których zostałem wezwany do Aten. Trybunał miał mocne podejrzenia, że to będzie jej następny krok.

- Jak duża jest w tym momencie szczelina?
-Wystarczająco duża, żeby mroczne istoty wszelkiego rodzaju mogły przedostać się do naszego świata.

- Wszystkie istoty? - krzyknął Dillon. - Chyba żartujesz. Nie otwariaby przejścia dla wszystkich istot, które tam żyją.

- Co teraz będzie? - zapytała Neria.

- Teraz? — przedrzeźniał ją złośliwie Dillon. — Teraz nasz przywódca obejmie dowodzenie. Nasz pan, jeśli tak chcemy nazwać tego zakłamanego, tchórzliwego mięczaka! Zobaczmy, jak sobie poradzi w takiej sytuacji.

Shaun posłał Dillonowi ostre spojrzenie.

- Dillon, to, co zaszło między wami, musi zostać odsunięte na bok. Musi! Rozumiesz?

Dillon wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby i dalej wpatrywał się we mnie z wściekłością. W końcu jednak wycofał się i skinął głową w kierunku Shauna.

- Dobra. Ale paru rzeczy nie rozumiecie. Nie wiecie, jak niebezpieczne potwory Lathenia ukryła w świecie podziemnym, zamknięte za żelazną bramą. A my mamy z nią walczyć pod przywództwem tego mięczaka!

Shaun postarał się zignorować sarkazm Dillona. Odwrócił się i spojrzał na mnie.

- Matt, już czas. Potrzebujemy broni. Broni stworzonej specjalnie dla Wezwanych.

Dillon skoczył naprzód.

- I lepiej, żeby znalazła się jakaś dla mnie! Shaun rzucił mi spojrzenie, ale w tym momencie

zza rogu wyszła Rochelle, więc nie musiałem odpowiadać.

- Co tu się do diabła dzieje? - Zobaczyła moją zakrwawioną twarz. - Co ci się stało?

Nikt nie zamierzał jej oświecić, więc odśloniłem myśli, żeby mogła się szybko zorientować w szczegółach operacji „Dillon”. Spojrzała na Dillona z otwartymi ustami.

- Ty to zrobiłeś?

- Zasłużył sobie.

Dalej wpatrywała się w niego.

- Ty też o nich wiedziałaś? - zapytał. Podniosła rękę z szeroko rozczapierzonymi palcami.

- Nie wściekaj się na mnie, Dillon, ale będę szczerą: byłeś chyba ślepy, żeby nie zauważyć, że łączy ich bardzo silne uczucie. Może na tym polega problem z facetami. Matt też tego początkowo nie widział, chociaż wszyscy dokoła już wiedzieli. A kiedy sobie to uświadomił, zdążył wcześniej złożyć ci tę idiotyczną obietnicę. Popęłił kolejny błąd, nie mówiąc ci tego od razu, ale nie chciał cię celowo skrzywdzić.

To były bardzo wielkoduszne słowa i może, ale tylko może, Dillon zechciałby posłuchać innej osoby. Wzru-

szył ramionami i odwrócił wzrok, a Rochelle przekazała mi wiadomość.

— Lorian przysłał nam skrzynię z bronią, która znajdowała się w jego posiadaniu. Ma ją teraz Arkarian. Chce, żebyśmy się spotkali na przełęczy nad wodospadem i żebyś przyniósł klucz.

Shaun skinął stanowczo głową.

— W takim razie chodźmy.

- Gdzie są pozostali? - zapytałem Rochelle.

- Ethan i Isabel są już w drodze na przełęcz.

— A co z profesorem Carterem? — spytał Dillon. — Już wszystko dobrze?

— O czym ty mówisz, Dillon? Coś się stało z Marcusem?

- zdziwił się Shaun.

Z drugiej strony budynku wyszła kobieta.

- Też chciałabym to wiedzieć!

To była profesor Burgess, a jej słowa sprawiły, że Rochelle podskoczyła.

— Przepraszam, pani profesor, nie zauważyłam pani. Proszę się nie martwić, profesorowi Carterowi nic nie jest.

- Trudno mi w to uwierzyć, młoda damo, biorąc pod uwagę, w jakim był stanie. Chciałabym zamienić słowo z Ethanem Robertsem. Gdzie on jest? I dokąd zabrał Marcusa?

- Przysięgam, że profesorowi Carterowi nic się nie stało. Widziałam... widziałam się z nim kilka minut temu.

Na twarzy profesor Burgess pojawił się grymas niedowierzania. Podeszła wprost do Rochelle i pokiwała palcem tuż przed jej twarzą.

- Posłuchaj, jeśli Marcus Carter nie pojawi się w szkole w przeciągu kilku minut, zamierzam wezwać policję i policzę się z wami. Czy wyrażam się jasno, Thallimar?

- O co chodzi, Emily? Słysząc cię po drugiej stronie boiska.

W końcu coś poszło tak, jak należy. Profesor Carter pojawił się w samą porę. Profesor Burgess zachłysnęła się na jego widok.

- Marcusie, nic ci nie jest? Gdzie ten chłopak cię zabrał?

Profesor Carter podszedł do niej i szarpnął kołnierz swojej marynarki.

- Zapewniam cię, Emily, że absolutnie nic mi się nie stało. Ta marynarka jest z naprawdę solidnego materiału, te przekłete szczury nie dały rady jej przegryźć, ale napędziły mi niezłego stracha. Zemdlałem, więc Ethan zabrał mnie w spokojne miejsce i pobiegł po jakieś sole trzeźwiące, a potem zmyłem z siebie krew.

Nauczycielka zmarszczyła brwi, ale w tym momencie profesor Carter uśmiechnął się do niej i prawie się rozplynęła. Nie do wiary! Czyli profesor Burgess pod-kochiwała się w profesorze Carterze!

- Jak rozumiem, lekcje zostały dzisiaj odwołane? -zapytał, kontynuując rozmowę, jakby wszystko było w porządku.

— A, rak - odparła profesor Burgess, kiedy skierowali się razem w stronę pokoju nauczycielskiego. — Skontaktowaliśmy się z większością rodziców i zaczęli już odbierać dzieci. Zorganizowaliśmy także autobusy, które rozwiozą po domach pozostałych. Czy ktoś by uwierzył w coś takiego? Już drugi raz w tym semestrze lekcje zostają odwołane. Co tu się dzieje, Mar-cusie?

— Nie wiem, Emily, ale byłoby dobrze, gdyby wszyscy pozostali w środku, na wypadek gdyby te gryzonie zechciały powrócić. Zaraz nadam komunikat.

Kiedy tylko znaleźli się poza zasięgiem słuchu, ruszyliśmy w swoją stronę, ale moje myśli wróciły do Dillona i wyraz okropnego strachu w jego oczach kilka minut wcześniej. Ten sam wyraz powrócił teraz w jego oszołomionym spojrzeniu.

— Co dokładnie Lathenia trzyma w zamknięciu za tą żelazną bramą, o której wspominałeś wcześniej, Dillon?

Chciał coś powiedzieć, ale nie zdołał wykrztusić ani słowa.

— Lepiej nam powiedz — nalegał Shaun. Dillon odetchnął głęboko.

— Dobra. Ale ty też je widziałeś, Matt. Przebiegł po mnie dreszcz, kiedy przypomniałem sobie okrutne bestie, zamknięte w lochach Lathenii.

— Chodzą na dwóch nogach jak ludzie, mają także potężne ręce i są naszego wzrostu — wyjaśnił Dillon. —

Mają ogromne łby z długimi, zakrzywionymi rogami i... nie wiem, jak to wyjaśnić, ale ich oczy przewiercają cię na wylot, czarne i szkliste, jak okna do ciemnej studni nicości. Na plecach mają szpiczaste kości wystające wzdłuż linii kręgosłupa. Są wielkie i silne. A, i czy już mówiłem, że przyciąga je zapach żywego ciała?

- Widziałem te srwory uwięzione w lochach Lathenii. Wyglądały dokładnie tak, jak je opisujesz. Ale nie widziałem żadnego z nich w świecie podziemnym - odparłem.

- Nie, nie mogłeś ich zobaczyć. Bogini trzyma je zamknięte w podziemnych jaskiniach i tunelach. Żyją tam wśród swoich pobratymców, we własnym brudzie, podczas gdy Lathenia szuka sposobu, żeby je kontrolować.

- Skąd wiesz to wszystko? - zapytał Shaun. Dillon spojrział na niego.

- Raz mnie z nimi zamknęła, ale nie zablokowała moich skrzydeł, więc uciekłem.

Rochelle wzdrygnęła się.

- Jak się nazywają te potwory?

- To demony - odpowiedział. - Najmi oczniejsze istoty we wszechświecie.

Rozdział 31

Rochelle

Kiedy zgromadziliśmy się wszyscy na przełęczy, było już południe. Teren został wcześniej sprawdzony, a z czwórką myślowidzących, słuchem profesora Cartera i psami Nerii powinniśmy być zabezpieczeni przed ciekawskimi lub niepożądanymi świadkami.

Arkarian postawił na ziemi szkatułę, a następnie zajął miejsce w kręgu, który odruchowo uformowaliśmy. Wpatrywałam się w skarbiec z bronią - był znacznie mniejszy niż sobie wyobrażałam, wielkości szafki nocnej. Został zrobiony z jakiegoś metalu przypominającego złoto lub brąz i bogato ozdobiony srebrem i klejnotami. Na pokrywie był wyraźnie widoczny znajomy ośmiokątny kształt.

W środku byłam rozedrganym kłębkim nerwów.

Nie przypomiinałam sobie, żebym kiedykolwiek czuła się tak podekscytowana, nawet wtedy, kiedy jako dziecko dostawałam prezent urodzinowy. Inna sprawa, że moje urodziny nie były szczególnie ekscytujące — ich świętowanie stanowiło zawsze wymówkę dla mojego ojca, żeby się upić. Moja matka i ja często w ogóle mu o nich nie przypomiinałyśmy.

Matt podniósł klucz, który okazał się idealnie dopasowany do ośmiokątnego kształtu. Rozległo się kliknięcie, a potem skrzypnięcie, kiedy starożytny mechanizm został wprowadzony w ruch. Kiedy Matt podniósł wieko, wypuściłam powietrze z płuc, chociaż w ogóle nie zauważyłam, że wstrzymywałam oddech. Nie byłam pewna, czego się spodziewać. Fajerwerków? Eksplozji? Grzmiącego głosu? Ale nie zdarzyło się nic nadzwyczajnego.

— Podczas mojego treningu pokazano mi broń znajdującą się w tej szkatule i nauczono mnie, jak należy się nią posługiwać. - Matt wyjął ze środka podłużny przedmiot i podszedł z nim do Ethana. Byłam po przeciwnej stronie kręgu, ale wydawało mi się, że jest to złoty łuk i strzały.

Ethan zmarszczył brwi, kiedy łuk i pojedyncza strzała znalazły się w jego rękach.

- Raczej kiepski ze mnie łucznik. Może lepiej będzie dać to Isabel?

W kręgu rozległy się ciche śmiechy. Matt zwrócił się do nas wszystkich:

— Tę broń stworzono specjalnie, aby rozszerzyć lub wzmocnić wasze naturalne moce. To może nie być oczywiste od razu, ale kiedy nauczycie się nią posługiwać i zdobędziecie doświadczenie, na pewno zrozumiecie.

— Więc co ten łuk i strzały mają wspólnego ze mną?

- zapytał Ethan.

— To wzmocnienie twojego daru animacji i powiązania z tym, co nierzeczywiste. Proszę — Matt założył strzałę na cięciwę łuku. - Użyj siły woli, aby ta strzała trafiła... - rzekł obracając się i wskazując odległy punkt pomiędzy mną a Jimmym - ...w to drzewo ze zwisającą złamaną gałęzią. Celuj w strąk, który wisi na jej końcu. Ale... - Zawahał się z namysłem, a potem wskazał odległe drzewo w przeciwnym kierunku.

— Wyceluj strzałę w tamtą stronę.

— No dobra - odparł Ethan. Wycelowwał w lewo i wypuścił strzałę.

Nie zobaczyłam niczego, strzała poruszała się zbyt szybko. Ale usłyszałam ostry świst, kiedy strzała przecięła powietrze pomiędzy mną a Nerią, a niemal zaraz po nim suchy trzask i błysk, w którym wybuchł wskazany przez Matta strąk.

Rozległy się pomruki podziwu. Ethan wyszczerzył zęby i sprawiał wrażenie zadowolonego.

— Czy to zadziała w ten sposób za każdym razem?

— Za każdym razem. Od teraz nigdy nie zabraknie ci strzał i nigdy nie chybisz celu.

Podczas gdy Ethan oglądał swój łuk i próbował go ułożyć na ramieniu, Matt przeszedł do Isabel. Włożył w jej dłoń coś w rodzaju sztabki, a kiedy przechyliłam się, żeby zobaczyć dokładniej, stwierdziłam, że jest to raczej rękojeść. Coś, co powinno być częścią miecza.

Isabel podniosła spojrzenie na brata.

- Co to jest?

-To broń światła, która czerpie moc z twojego wnętrza. Dla istoty ze świata mroku byłaby bezużyteczna. W mrocznych miejscach będzie stanowić rozszerzenie twojego daru widzenia. - Wziął rękojeść w dłoń. Pojawił się promień światła długości miecza, lśniący tak, że prawie mnie oślepił. Matt wykonał pchnięcie w kierunku pobliskich gładów. Promień wbił się w sam środek najwyższego gładu, który rozjaśnił się światłem, na moment zachował swój kształt, a potem zniknął.

Wszyscy patrzyli na to ze zdumieniem.

-Teraz ty spróbuj.

Isabel zważyła rękojeść w dłoni.

- Jak to się włącza?

- Odpręż się i nie próbuj zbyt gwałtownie. Pozwól, aby rozbłysło twoje wewnętrzne światło. Niedługo złapiesz, o co w tym chodzi.

Nagle pojawił się promień światła, a Isabel uśmiechnęła się i uderzyła mieczem gład, który rozsypał się na drobne kawałki. Nie byliśmy przygotowani na to, że posypie się na nas skalny gruz - musieliśmy zrobić uniki albo odskoczyć.

— Przepraszam!

Matt tylko się do niej uśmiechnął, a potem podszedł do profesora Cartera i wręczył mu dwie metalowe opaski z otworami w środku.

— Proszę to wsunąć na palce.

Pasowały na dłonie profesora Cartera jak rękawiczki bez palców.

— Nieźle! - zawołał, wyraźnie pod wrażeniem. Kiedy zginał i prostował palce, z obręczy wokół kostek wysunęły się ostre metalowe strzałki, które bez wątplenia wyglądały na śmiertelne.

Matt poklepał go po ramieniu i zwrócił się do Shauna, któremu dał dwa przepięknej roboty miecze ze srebrnymi rękojeściami — jeden długi, drugi krótki.

— Dla naszego mistrza szermierki dwa miecze, które mają moc zabijania od jednego ciosu.

Shaun był zachwycony. Podniósł oba i sprawdził ich wyważenie.

— Wyśmienite.

Kiedy Matt posuwał się wzdłuż kręgu, nie mogłam opanować uczucia tremy. Byłam ciekawa, jaka broń została przygotowana dla mnie. Który z moich darów zostanie wzmocniony dzięki tym niezwykłym narzędziom? Matt podszedł do Jimmy'ego, a ja prawie wyskoczyłam ze skóry z niecierpliwości. Po raz pierwszy w życiu miałam wszechogarniające poczucie przynależności. To właśnie powinnam robić. Stać ramie w ramie z tymi ludźmi, gotowa do walki w słusznej sprawie.

Matt podał Jimmy'emu woreczek.

- Worek z niespodzianką? - zapytał Jimmy, sprawdzając palcami jego zawartość. - Czy worek żwiru?

Matt roześmiał się.

- Coś w tym rodzaju, tylko ten „żwir” ma siłę granatu, a ten zapas, chociaż zmieści się swobodnie w kieszeni, nigdy się nie skończy. Te środki wybuchowe są skuteczne nie tylko przeciwko stworom ciemności, mogą także zburzyć dowolną przeszkodę, niezależnie od tego, jak mocno byłaby ufortyfikowana.

Jimmy uśmiechnął się i zważył woreczek w ręku, zadowolony z lekkości swojej broni.

Następna była Neria. Matt wziął ją za rękę i mogłabym przysiąc, że wszyscy zgromadzeni poczuli moc, jaka nagle przepłynęła między nimi w tym momencie. Zupełnie jakby dotyk sprawiał, że stawali się przedłużeniem siebie nawzajem. Matt cofnął się, a Neria otworzyła dłoń. Leżało na niej coś, co mogłabym opisać tylko jako fragment błyskawicy. Wszyscy ze zdziwieniem zaczęli wyciągać szyje, żeby się temu przyjrzeć. Nawet Aysher i Silos usiadły i zaczęły węszyć.

- Co można z tym zrobić? - zapytała, podczas gdy błyskawica lśniła i migotała w jej ręku.

Matt rozejrzał się.

- Wyceluj ją w tamten krzak i za pomocą myśli wyślij w niego energię.

Neria wycelowała broń - w jednej chwili błyskawica wystrzeliła z jej ręki, podpalając krzak i w sekundę

czy dwie zmieniając go w kupkę popiołu. Wszyscy przyjęli ten pokaz z podziwem.

Teraz zostało nas tylko troje. Ja, Dillon i Arkarian. Kiedy Matt do mnie podszedł, nie potrafiłam się powstrzymać przed wyciągnięciem rąk. Drżały, ale nie obchodziło mnie to. Matt stał przede mną dłuższą chwilę, a kiedy nic się nie zdarzyło, nic nie zostało włożone w moją dłoń, podniosłam wzrok.

- Nie mam dla ciebie broni — powiedział.

Nagle w kręgu zapadła śmiertelna cisza. Schowałam drżące dłonie za plecami.

- Nie rozumiem - zdołałam powiedzieć.

- Nie mam dla ciebie broni, ponieważ jej nie potrzebujesz.

Nie mogłam uwierzyć w to, co powiedział.

- Nie rozumiem?

- Broń, która była początkowo przeznaczona dla ciebie, zamierzam dać Dillonowi.

- Co?!

Pociągnął mnie za ramiona, żebym wysunęła ręce do przodu.

- Udowodniłaś już, że twoje dłonie potrafią zabijać. Nie potrzebujesz narzędzia, które będzie ci w tym pomagało. A ponieważ jest nas teraz dziesięcioro, mamy o jedną sztukę broni za mało.

- Dlatego dajesz moją broń Dillonowi?

- Właśnie - skinął głową.

Przeszedł dalej, odwracając się do szkatuły. Nie mo-

głam uwierzyć w to, co się wydarzyło. Poczulałam, że łzy napływają mi do oczu, zamrużałam szybko i cofnęłam się o krok, gotowa do ucieczki. Co ja tutaj robiłam z tymi ludźmi? Nie powinnam być częścią tej... tej tajemnej grupy wybrańców. Nie chcieli mnie. Niezależnie od tego, jak bardzo się starałam, nie zamierzali mnie wpuścić.

Matt usłyszał moje niekontrolowane myśli, które wyrwały się na zewnątrz, i odwrócił się zdziwiony. Spróbowałam go oświecić.

- Czy ja nie zasługuję na broń?

- Rochelle, to nie tak.

Potrząsnęłam głową nad nim, nad nimi wszystkimi i zaczęłam się wycofywać. Podszedł do mnie i pociągnął mnie za rękę.

- Posłuchaj mnie: nie zostałam wykluczona, twoje dłonie są twoją bronią. Popatrz na nie - zerwał mi rękawiczki, a iskry posypały się na wszystkie strony. Pozostali rozproszyli się lub robili przed nimi uniki. - Masz. - Matt włożył mi w rękę kamień, który rozsypał się na pył. Wiedział, że tak się stanie, w tym momencie zdominowały mnie emocje. Wokół mnie rozległy się westchnienia i okrzyki zdumienia. - Zostań. Tu jest twoje miejsce.

Matt powiedział „zostań”, ale moje serce krzyczało, żebym stąd uciekała. Nigdy nie czułam się tak upokorzona. Arkarian uspokajająco dotknął mojego ramienia. Bez słowa sięgnęłam i wyrwałam rękawiczki z dło-

ni Matta. Kiedy miałam je na sobie, a moje potworne ręce zostały ukryte, powróciłam na swoje miejsce w kręgu i nie odzywałam się. Bardzo długo wparrywałam się w swoje stopy. Nie chciałam widzieć, jaką broń dostał Dillon. Słuchałam, kiedy Arkarian otrzymywał swoją, cos' w rodzaju bicz, który miał zdolność wpływania na ruch i materię, na przykład rozpalania ognia, przemieszczania mas wody, tworzenia burzy piaskowej czy po prostu niszczenia isrot, z którymi przyjdzie nam walczyć. To była dobra broń dla niego, z nas wszystkich to on zasługiwał na najpotężniejszą.

Ostatnia broń należała do Matta i okazała się toporem. Wsunął go sobie za pas i wyjaśnił, że topór - mocny, trwały i przyziemny — zapewnia mu równowagę.

Wreszcie spotkanie było zakończone, a ja odważyłam się podnieść wzrok. Wszystko było zamazane, z całej siły próbowałam się pozbyć ostatnich kilku łez, które uparcie mi się wymykały. Stojący po przeciwnej stronie kręgu Ethan wpatrywał się we mnie i nie odwrócił spojrzenia, kiedy w końcu odzyskałam osrość widzenia.

Nie byłam pewna, jak powinnam interpretować wyraz jego twarzy. Przyszło mi do głowy słowo „litość”, ale odepchnęłam je od siebie. Nie mogłabym ścierpieć, gdyby Ethan się nade mną litował. Na moment ogarnęła mnie potrzeba sięgnięcia do niego i sprawdzenia, czy mogę usłyszeć jego myśli. O dziwo, były przede mną otwarte, ale nie zrobiłam tego. Poczucie, że jestem tu intruzem, nadal pozostawało głęboko zakorzenione.

Ale nagle wszystkie te myśli zniknęły, kiedy przed nami pojawił się król Ryszard. Błysk wysoko na niebie nad naszymi głowami oświetlił fragment budowli. Coś spadło i uderzyło o ziemię - Jimmy podbiegł tam i znalazł kilka cegieł. Podniósł je, tak żeby wszyscy zobaczyli.

-To Cytadela - wyjaśnił król Ryszard. - Została zaatakowana. Zabierzcie broń i pospieszcie się!

Rozdział 32

Matt

Może i Cytadela została zaatakowana, ale Ethan postanowił przypuścić atak na mnie. Klepnął mnie po ramieniu, odciągając od pozostałych, którzy skierowali się do siedziby Arkariana.

- Jak mogłeś jej to zrobić?

- Rozumiem, że masz na myśli Rochelle?

- Jasne, że mam na myśli Rochelle! A kogo innego przed chwilą upokorzyłeś?

- Nie zamierzałem nikogo upokarzać i wiem, co robię. To był właściwy wybór.

Chciałem go wyminąć, ale położył rękę na mojej piersi.

-To był błąd.

- Znam ją lepiej od ciebie, Ethan. Rochelle jest silna.

— Kretyn! Nie widzisz, jak zawsze trzyma się na dystans, nigdy nie zdejmuje rękawiczek i chowa się za tą... tą cyniczną maską, którą nosi na zewnątrz?

Arkarian usłyszał nas i podszedł bliżej.

— Arkarianie, czy uważasz, że popełniłem błąd, nie dając Rochelle broni, chociaż nie potrzebowała jej, a nam brakowało jednej?

Potrzebował chwili na odpowiedź.

— Jeśli został popełniony błąd, to polegał on na tym, że nie porozmawiałeś wcześniej z Rochelle na osobności.

Jasne! Arkarian jak zwykle miał rację, podczas kiedy ja myliłem się i potrafiłem tylko wszystko schrzanić.

— Nie mam zdolności, żeby wam przewodzić. Ethan jęknął, a Arkarian odparł:

— Matt, wszyscy popełniamy błędy. To, że ty także je popełniasz, dowodzi tylko twojego człowieczeństwa.

— Ale ty nigdy się nie mylisz! - mówiłem szybko, bez trudu przekonując sam siebie, że to właściwa rzecz do zrobienia. — To ty powinieneś zająć moje miejsce. Ty powinieneś poprowadzić Wezwanych. Byłbym dumny, mogąc wypełniać twoje rozkazy.

— Nie mów takich rzeczy.

— Mówię serio. Chciałbym przekazać ci dowodzenie.

— Matt, zastanów się, jak to by się odbiło na naszym morale. Rozejrzyj się i powiedz, co widzisz.

Popatrzyłem na pozostałych, wspinających się powoli pod górę, jakby zmierzali na śmierć. Nagle zrozumia-

łem, że wszyscy byliśmy od siebie nawzajem zależni. Każde z nas miało rolę do odegrania, a moją było przewodzenie Wezwanym. Niezależnie od moich wad czy niepewności, byłem tym, kim byłem: synem nieśmiertelnego, potężniejszym od wszystkich Wezwanych razem wziętych. A chociaż byłem daleki od doskonałości z powodu moich zahamowań, wątpliwości i braku doświadczenia, nikt z nich także nie był doskonały.

Podszedłem do tajemnego wejścia i otworzyłem je bez pomocy Arkariana - to była jedna z rzeczy, które potrafiłem zrobić. Nagle poczułem się znużony ukrywaniem moich mocy, ukrywaniem się we własnym wnętrzu. Dlatego zanim wszedłem do środka, odwróciłem się i popatrzyłem na zgromadzonych.

- Posłuchajcie mnie wszyscy! - Ustawiłem głos tak, aby rozbrzmiał na całej górze. - Za chwilę staniemy do walki, aby ocalić Ziemię przed najgorszym złem, jakie istnieje we wszechświecie, a ja was do tej walki poprowadzę. Chciałbym przeprosić za moje dotychczasowe słabości, ale od tej chwili nie będę już słaby!

- Uniosłem ręce w powietrze i przywołałem pojedynczą myśl: *Moc*. Chciałem, żeby pozostali ją poczuli.

Kiedy wchodzili za mną do wnętrza góry, wyczułem w nich jakąś zmianę. Nie zwróciłem na to szczególnej uwagi ani nie starałem się tego przeanalizować

- po prostu nie było na to czasu. Arkarian szedł na końcu. Pozostali przepuścili go, tak że minął ich i stanął koło mnie.

- Powiedz, co mamy robić. Położyłem mu rękę na ramieniu.

- Przenieś nas wszystkich do Cytadeli, aby ta bitwa mogła się w końcu rozstrzygnąć.

Rozdział 33

Rochelle

Kiedy dotarliśmy do Cytadeli, czekał na nas lord Penbarin w otoczeniu swoich żołnierzy, pilnujących wszystkich wejść. Byli uzbrojeni w miecze, noże i inne rodzaje broni, ale wyglądali okropnie. Najwyraźniej toczyła się tu już bitwa. Ubranie lorda Penbarina było w nieładzie, a z jego miecza ściekała krew.

- Marduk z batalionem wrenów zajął niższe poziomy, natomiast stwory z międzyświata opanowały labirynt.

-Jak się tu dostali? - zapytał Matt. Lord Penbarin uniósł wzrok do wysokiego sklepienia zrobionego z ośmiu paneli.

- Wzięli nas przez zaskoczenie. Było ich tak wielu, że przytłoczyli nas przewagą liczebną. Lathenia chce wy-

korzysrać Cyradełę jako drogę pozwalającą na przeprowadzenie ogromnej armii umarłych do naszego świata. Nie możemy do tego dopuścić. Te istoty, które się przedostały, muszą zostać zniszczone. W tym celu przyda się broń ze skarbcza. - Ścisnął ramię Marta. - Lorian jest skłonny zniszczyć Cytadela, jeśli to powstrzyma kolejne stwory przed przedostaniem się do nas.

- Zniszczyć Cytadela!

-Jesteśmy u kresu sił, ten napór to już za wiele, a Lathenia wciąż przysyła nowe stwory. Lorian zniszczy to miejsce, łącznie z komnatami przejścia i całą maszynerią, żeby ją powstrzymać. W tym momencie pracuje nad strategią z waszym królem.

- Miejmy nadzieję, że nie dojdzie do tego, milordzie.

- Lathenia wezwała istoty wszelkiego rodzaju. Ale jeśli zamierza też wezwać najgorsze stwory ze świata podziemnego

...

- Czyli demony! — krzyknął Dillon.

Lord Penbarin wzdrygnął się na sam dźwięk tego słowa.

- Tak, właśnie je mam na myśli. Cytadela zostanie zniszczona, zanim do tego dojdzie. Ryzyko dla Ziemi, dla samego życia, byłoby zbyt wielkie.

- Niech będzie - powiedział Matt. - Rozdzielimy się i pójdziemy tam, gdzie będziemy najbardziej potrzebni. - Obrócił się i spojrzał na Ethana, Shauna i Nerię. - Wy pójdziecie do głównej sterowni, żeby pomóc w ochronie maszynerii.

— Bez tych maszyn podróże w czasie byłyby niemożliwe — wyjaśnił lord Penbarin. — Nie pozwólcie, żeby wpadły w ręce wroga. Nie chcemy, żeby Zakon mógł uruchomić je w przyszłości w innym miejscu. Ale to nie będzie łatwe, sterownia została już zajęta.

— Ekstra — rzucił sucho Ethan.

Neria przykucnęła między Aysherem a Silosem, klepiąc je po głowach i gładząc ich futro.

— Chyba czeka na nas robota - odezwała się. Oba psy usiadły prosto i popatrzyły jej w oczy. - Trzymajcie się mnie.

Lord Penbarin skinął głową w geście odruchowej zgody. Nikt nie chciałby widzieć Nerii znowu rozdzielonej z jej psami.

— Sir Syford, królowa Brystianne i ich żołnierze starają się odbić sterownię, ale będą potrzebowali waszej mocy i broni. Pospieszcie się.

Matt dalej tłumaczył, gdzie które z nas powinno się udać.

— Dillon, chciałbym, żebyś poszedł ze mną.

— Nie ma mowy! — sprzeciwił się Dillon. - Nie zamierzam pracować z tobą. Zapomnij.

Matt spojrzał ostro na Dillona, a jego oczy na moment zmieniły kolor ze zwykłego brązu na migoczące złoto. Ten widok sprawił, że Dillon odskoczył do tyłu.

— Będziemy bronić Cytadeli ramię w ramię. Rozumiesz mnie, Dillon?

Dillon skinął głową.

- Marcusie, zostań tutaj z Isabel i Rochelle. Chcę, żebyście pomogli lordowi Penbarinowi w odparciu kolejnej fali. - Wskazał ośmiopanelowe sklepienie, w tym momencie na szczęście nieruchome.

Odgłos grzmotu z niższych poziomów przypomniawszy nam, że musimy się spieszyć. Matt skierował Arkariana i Jimmiego do labiryntu, zajętego przez stwory z międzyświata.

- Widziałeś już wcześniej te istoty - powiedział do Arkariana. - Wiesz, jak działają, ale nie możesz nie doceniać ich mocy ani ich słabości.

- Czym one właściwie są? - zapytał Jimmy.

- Część z nich to zagubione dusze - wyjaśnił Arkarian. - Teraz, kiedy most został zniszczony, będą się błąkać bez celu. Ale są też inne, będące ucieleśnieniem twoich wielokrotnionych lęków, wprost z koszmarów sennych.

- No dzięki, Matt - zażartował Jimmy. - Po prostu nie mogę się doczekać.

- Dlatego wysyłam właśnie was - odparł Matt. - Wy dwaj lepiej panujecie nad swoimi lękami niż pozostali.

Wszyscy ruszyli w swoją stronę, ale Matt przed odejściem zauważył nóż, który wyjęłam zza cholewy buta.

- Co zamierzasz z tym zrobić?

- Szykuję się. Możemy zostać zaatakowani w każdej chwili, chcę być na to przygotowana.

Matt popatrzył na moje ręce.

- Zdejmij rękawiczki. Potrząsnęłam głową. -Nie.

- Zdejmij je, Rochelle.

- Ale jeśli zdejmę rękawiczki, nie będę mogła trzymać noża. - To była wymówka. Nie chciałam zdejmować rękawiczek, ponieważ moje dłonie wyglądały odrażająco.

- To twoje ręce są twoją bronią, nie ten żaloszny nożyk. On tylko sprawi, że zginiesz. - Wyjął mi nóż spomiędzy palców. Nie powiedział nic więcej, ale jego spojrzenie było rak przesywające, że mogłam tylko ściągnąć rękawiczki i schować je do kieszeni. Iskry zalśniły i poleciały we wszystkie strony, uderzając w przeciwległą ścianę i wypalając w niej dziury.

Lord Penbarin uniósł brwi.

- Kiedy ich moc przestanie rosnać? - zapytał Matta. Matt poruszył głową w lewo i w prawo w geście niepewności.

- Za każdym razem, kiedy je widzę, są potężniejsze. Moja twarz stała się na moment gorętsza od dłoni.

Chciałabym, żeby przestali na mnie patrzeć! Nawet profesor Carter sprawiał wrażenie oszołomionego.

- Czy ktoś cię uczy, jak je kontrolować? — spytał lord Penbarin.

- Zajmowała się tym lady Arabella, milordzie.

- Hmm, znajdziemy ci kogoś innego. Czy to boli?

Ostatnio ból był nie do zniesienia, ale dokładnie osłoniłam tę myśl.

- Nie, milordzie.

- Hmm - mruknął.

Kolejna eksplozja na niższych poziomach zatrzęsała posadzką, powodując, że wielki panel szkła roztrzaskał się za nami. Siła wstrząsu odrzuciła nas, zasypując odłamkami szkła.

Kiedy się uspokoiło, Matt zawołał, żeby sprawdzić, czy wszyscy są cali.

Lord Penbarin podniósł się z podłogi.

- Lord Alexandon ma kłopoty. Matt skinął głową.

-Już idę. Chodź, Dillon, jesteśmy potrzebni na niższych poziomach. - Na odchodnym Matt odwrócił się do nas. - Gdybyście natrafili na coś, z czym nie możecie dać sobie rady, po prostu mnie zawołajcie. Usłyszę was i przyjdę. OK?

Skinęłam głową, a oni zniknęli. Żołnierze lorda Penbarina wrócili od potłuczonego okna.

- Wreny są na dziedzińcu. Część dostała się na wewnętrzne schody, milordzie - zameldował jeden z nich.

Nieoczekiwanie ośmiopanelowe sklepienie nad naszymi głowami zaczęło się poruszać, nabierając coraz większej prędkości. W kilka sekund zmieniło się w rozmazany wir kolorów.

Lord Penbarin popatrzył na profesora Cartera, Isabel i na mnie.

- Szykujcie się. Zaraz tu będą.

Gdy tylko to powiedział, boczne drzwi stanęły otworem i do komnaty wpadły wreny, chrząkając i trzępiąc skrzydłami. Były uzbrojone w topory, łańcuchy, miecze i noże. Sięgnęłam po swój nóż, ale oczywiście miał go teraz Matt. No świetnie!

Lord Penbarin i jego żołnierze zaatakowali wreny, starając się zepchnąć je z powrotem na schody, zanim nowe stwory wnikną tu przez przejście na sklepieniu. Ale chociaż byli doskonałymi szermierzami, powalone wreny szybko wstawały z powrotem. Lord i jego podwładni nie mieli broni pozwalającej je zabić, mogli je tylko spowolnić.

Isabel popatrzyła na otrzymany niedawno miecz świetlny, który teraz był całkowicie nieaktywny. Spoglądała na niego, jakby się zastanawiała, co robić.

- Użyj go tak, jak pokazywał Matt! — wrzasnęłam. Moje słowa popchnęły ją do działania. W pierwszej

chwili niepewnie wykonała pchnięcie, kiedy skoczył na nią wren. Długi promień migotliwego światła przeszył jego skrzydło. Obie zostałyśmy rzucone do tyłu, kiedy wren eksplodował w kuli żaru, który osmalił nasze twarze.

Podniosłyśmy się chwiejnie, Isabel spojrzała na mnie przepraszająco.

- Nie przejmuj się. Spróbuj jeszcze raz.

Tym razem promień celnie trafił wrena w środek klatki piersiowej. Stwór zadrżał, a potem zniknął bez śladu.

Tymczasem profesor Carter zdążył już rozprawić się z kilkoma wrenami. Dobrze wymierzał ciosy, a jego broń była bezpośrednia, potężna i skuteczna.

To jednak nie przerwało szurmu. Kiedy tylko liczba wrenów zaczęła się zmniejszać, wirujące panele zmieniły się w buczącą rozmazaną smugę, a komnata wypełniła się niesamowitym światłem, które na moment wszystkich oślepiło. Obecni w środku szybko poderwali się do działania, kiedy nowe istoty zaczęły opadać z sufitu. Całe setki potworów wylewały się na nas, skrzecząc dziko. Były chude jak szkielety pokryte tylko szarą skórą, z wymizerowanymi twarzami, a kiedy na nas spadały, w dotyku wydawały się wilgotne i lepkie. Na szczęście znikwały z głośnym skowytom, kiedy tylko dotykały ich moje ręce.

W tym pandemonium lord Penbarin i jego żołnierze walczyli z nacierającymi przeciwnikami. Podbiegłam tam i zaczęłam zdzierać z nich kościste stwory, łapiąc je za gardła.

Isabel pomagała któremuś z żołnierzy, podczas gdy profesor Carter szybko likwidował jednego przeciwnika za drugim dzięki śmiertcionośnym pięściom. Ale gdy coraz więcej istot wylewało się ze sklepienia, stało się jasne, że nie damy sobie rady z nimi wszystkimi. Walczyliśmy dalej, a kiedy znalazłam chwilę, żeby się rozejrzeć, okazało się, że lord Penbarin miał prawdziwe kłopoty. Profesor Carter zauważył moje spojrzenie i podbiegł, żeby mu pomóc. Ale ja nie mogłam się

ruszyć tak szybko. Jedna z istot chwyciła mnie od tyłu i najwyraźniej zamierzała mnie staranować. W końcu zdołałam ją złapać za długą kończynę i przerzucić przez ramię. Zawisała rak na moment i znikła, a jej lepkość przesiąknęła moje ubranie.

Pobiegłam do lorda Penbarina, z którego profesor Carter zdołał strząsnąć wszystkie te okropne istoty z wyjątkiem jednej. W oczach lorda malowała się głęboka ulga, ponieważ widział, że zaraz będzie wolny. Ale kiedy sięgnęłam, żeby złapać stwora za szyję, profesor Carter wymierzył mi cios pięścią. Nasze dłonie zderzyły się i zastygły na dłuższą chwilę, tak że skóra dotykała skóry. Poczułam, jak ostre kolce jego broni przebijają mi rękę, podczas gdy on oberwał całą siłą moicli iskrzących, elektrycznych dłoni.

W następnej chwili, jakby ten kontakt wytworzył między nami zbyt wiele energii, zostaliśmy odrzuceni w przeciwnie strony. Profesor Carter popatrzył na swoje poparzone ręce. Na mnie zetknięcie z nim wywarło całkowicie inny efekt. Jasne, moje dłonie krwawiły w miejscach, gdzie przebiły je metalowe kolce, ale nie to było przyczyną, dla której siedziałam całkowicie ogłuszona. Kiedy moja dłoń dotknęła jego dłoni, coś poczułam. Coś silnego, a jednocześnie bardzo znajomego. Wrażenie, którego nigdy nie będę w stanie pozbyć się z pamięci. Czuję je kilka tygodni temu, kiedy odwiedziłam Nerię, a jej dłoń musnęła moją.

Oszołomiona, nie mogłam się ruszyć

Profesor Carter zauważył, że się nie ruszam. Podniósł się i ruszył w moją stronę, wpatrując się we mnie szeroko otwartymi oczami.

- Wszystko w porządku? - zapytał mnie powoli.

Natychmiast zrozumiałam, że podejrzewa, iż wyczułam coś dotykami. Tak było i to właśnie wstrząsnęło mną do głębi. Profesor Carter i Neria byli powiązani, a ta więź była mocna i bliska, jak krew. Jednak ram, gdzie dotyk Nerii odsłaniał w jej duszy tylko światło, dotyk profesora Cartera odsłaniał jedynie ciemność.

- Tak... hmm... nic mi nie jesr.

- Dlaczego tak na mnie patrzysz?

- Ja... marrwię się, że mogłam pana zranić. Znowu pojawił się ten znajomy wyraz jego oczu, jaki

miał zawsze na mój widok - wyraz tłumionej i podskórnej nienawiści. Stanowiłam dla niego nieustanne zagrożenie, szczególnie od momentu, kiedy Lorian spotęgował moc moich dłoni, abym mogła sprawdzać lojalność. Jeden dotyk wystarczył, aby odkryć prawdę.

- Co się dzieje, Rochelle? - w jego głosie była drwina. Rzuciłam spojrzenie na Isabel i pozostałych, ale nadal byli atakowani przez te bezimienne istoty i nie zauważali tego, co się z nami działo. Nawet lord Penbarin gdzieś odszedł. - Wyglądasz jak królik. Królik z jedną łapką w sidłach, który właśnie zrozumiał, że czeka go śmierć.

Podniosłam się, ale on także się poruszył. Cofnęłam się w kierunku Isabel, ale odciął mi drogę. Spróbowałam odwrócić jego uwagę rozmową.

- Ethan od zawsze miał rację co do pana. Miał przeczucie, że jest pan zły.

- Cóż za szkoda, że nikt nie brał poważnie jego podejrzeń - zakpił. - Naprawdę powinni. Instykt jest jednym z najsilniejszych talentów Ethana.

- Dlaczego uratował pan szkołę?

- Ponieważ, moja miła, bohaterowie są zawsze ostatni na liście podejrzanych.

- Lady Arabella nie jest zdrajczynią. Uśmiechnął się powoli.

- Ten maleńki sekret na zawsze pozostanie między nami.

Na chwilę zamilkliśmy. Rozważałam jego słowa i zastanawiałam się, co zamierza ze mną zrobić.

- W pana żyłach płynie krew Marduka.

- Hmm - mruknął, podchodząc bliżej. — No cóż, pewnie, czemu nie? Ostatecznie jest moim bratem.

Jego słowa miały mnie zaszokować, sprawić, że zastygnę w miejscu. W tym właśnie momencie uświadomiłam sobie, że wmanewrował mnie na środek komnaty. Spojrzałam pod nogi i zobaczyłam, że stoję wewnątrz ośmioboku, dokładnie tam, gdzie sobie tego życzył. Podniosłam głowę i zawołałam w myślach Matta. *Chodź tu szybko! Mam coś, z czym sobie nie poradzę! Pospiesz się, Matt! Szybko!* Ale już wysyłając te myśli zrozumiałam, że jest za późno.

Panele nad naszymi głowami znowu zawirowały, szybko pojawiło się światło oznaczające zbliżające się prze-

niesienie. Profesor Carter manipulował przy maszynierii. Jeśli ktokolwiek wiedziałby, jak to zrobić, to właśnie on. Był koordynatorem w Cytadeli przez ostatnie dwadzieścia lat. Miał dostęp do każdej komnaty, każdego poziomu, każdego otwartego przejścia, łącznie z portalami do innych światów.

- Od jak dawna pracuje pan dla Zakonu?

- Od dnia, kiedy dowiedziałem się, że Marduk jest moim bratem. Tego dnia, kiedy jego twarz została przecięta na pół, a on zapragnął umrzeć. Opiekowałem się nim. Pomogłem mu dostrzec, że jego życie nie musi się jeszcze kończyć. Marzył o zemście, a ja mu w niej pomogłem.

- To dlaczego został pan w Straży?

- Dzięki temu byłem znacznie bardziej użyteczny. Miałem dostęp do wewnętrznych informacji i najściślej strzeżonych obszarów.

Popatrzyłam ponad jego ramieniem i pochwyciłam spojrzenie lorda Penbarina. Usłyszał moje myśli, ale zmagał się z kolejnym atakiem. Isabel także podniosła wzrok, a w jej oczach pojawiło się zdziwienie, ale światło stawało się nieznacznie jasne.

- Wrobił pan lady Arabelle.

- To było proste. Była taka naiwna, zaślepiała ją miłość do Loriany. Nie potrafiła się oprzeć opiece nad rymy „ptakami”.

- Wykorzystał pan truciznę z ogrodów Marduka, żeby ukryć prawdziwą postać psów.

Nonszalancko uniósł jedno ramię.

- Z pomocą mojego brata mogłem dostać praktycznie wszystko, czego chciałem.

- Nawet klucz. Skinął głową.

- Szczególnie klucz. Do chwili, kiedy Matt dostał go w swoje ręce i ukrył w skarbcu w mieście.

Nagle światło rozbłysło i oślepiło nas oboje na moment. Spróbowałam się rzucić do ucieczki, ale profesor Carter chwycił mnie w pasie i szarpnął z powrotem. Kiedy walczyłam, żeby znowu stanąć na nogi, ogarnęło mnie wrażenie ruchu i zostałam wystrzelona do innego świata.

Rozdział 34

Matt

Nigdy wcześniej nie byłem w tej części Cytadeli. Przypominała miasto i była zamieszкана przez ocalonych, którzy opiekowali się Ziemią. Co się z nimi stanie, jeśli to miejsce zostanie zniszczone? Były możliwe także inne konsekwencje zburzenia Cytadeli. Czy to oznaczało kres znanych nam podróży w czasie?

Schody były długie, a im niżej schodziliśmy, tym wyraźniej dobiegały nas odgłosy walki. Miałem nadzieję, że pozostali radzą sobie dobrze. Dopiero co otrzymali broń, ale byli mistrzami w swoim fachu, więc nic nie powinno im grozić. Ta myśl przypominała mi o Dillonie. Broń, oryginalnie przeznaczona dla Rochelle, mogła wydawać się obca w jego rękach.

Wskazałem jego nadgarstki.

- Myślisz, że sobie z nimi poradzisz? Spojrzał w dół.

- Jasne. — Wyprostował ramiona, odsłaniając złote, szpiczasto zakończone opaski na nadgarstkach, z których wysuwały się miniaturowe kusze. — To dziwne uczucie, ale w dobrym znaczeniu tego słowa. Próbowałem sięgnąć do nich tak, jak mi mówiłeś, w myślach.

- To bardzo potężna broń. Twoja wola jest jej wolą. Z namysłem popatrzył na małe kusze.

- Zastanawiałem się, dlaczego to zrobiłeś. No wiesz, czemu dałeś je mnie. Byłem po prostu zaskoczony, że ufasz mi do tego stopnia.

- W Zakonie byłeś jednym z najwyższych rangą żołnierzy Lathenii, prawda?

-Tak.

- Widać, że jesteś przeszkolony do radzenia sobie z odpowiedzialnością towarzyszącą potędze i władzy. Lathenia wiedziała o tym. Arkarian w ciebie wierzył, więc ja robię to samo.

- Ale wiesz, jak bardzo jestem na ciebie wściekły w tej chwili. Jak mimo to możesz mi ufać? Nie boisz się, że dam się ponieść tej wściekłości i ucieknę do Lathenii?

- Czy właśnie tego byś chciał?

Zamilkł na chwilę, a boczne drzwi otworzyły się gwałtownie. Jakiś tuzin dziwnie wyglądających istot wybiegł na ścieżki, mijając nas w pośpiechu.

- Widziałeś to?

- To ocaleni - poinformowałem Dillona, który gapił się na ich dziwne sylwetki. A potem zobaczyłem, co sprawiło, że uciekali tak szybko: zbliżały się do nas setki stworów. Większość stanowiły wreny, ale widziałem też ptaki, a także inne bestie, biegające na czterech łapach jak psy. Te, które miały ręce, były uzbrojone w miecze, sztylety, młoty i topory.

Lord Alexandon wraz z ruzinem żołnierzy wypadł na schody tuż przed stworami.

- Wycofać się! - krzyknął. - Jest ich zbyt wiele! Musimy się wycofać i opracować strategię.

Jako pierwsze zaatakowało nas stado ptaków o ludzkich twarzach z ostrymi dziobami. Dillon uniósł ręce, a z jego nadgarstków wystrzeliły bełty przypominające świerliste pyłki. Sześć ptaków zbliżających się do nas eksplodowało, niestety dokładnie nad nami, co sprawiło, że zostaliśmy wykąpani w ich krwi, strzępach mięsa i piórach.

Lord Alexandon i stojący najbliżej żołnierze popatrzyli na niego ze złością.

-Ups!

Wytarłem krew z twarzy brzegiem rękawa i mruknąłem do Dillona:

- Postaraj się wyobrazić sobie całkowitą anihilację, razem z mięsem i krwią.

-Jasne - odparł, chowając broń. Tymczasem wreny, ptaki i czworonogie stwory znalazły się tuż obok nas.

- Wycofać się! — krzyknął lord Alexandon.

- Zaczekajcie! - odkrzyknąłem, instynktownie kładąc dłoń na toporze u pasa. — Cofnijcie się wszyscy za mnie.

Gdy to zrobili, posranowiłem nie wyciągać mojej broni i przywołałem jedną myśl: *Wiatr*. Wywołany przez nią wicher okazał się naprawdę poręczny. Cisnąłem nim w armię Zakonu. Wreny i inne bezimienne stworzy, łącznie z ptakami, zostały pochwycone jego siłą, a kiedy dmuchnąłem lekko, wirujące stworzy poleciały z powrotem do wnętrza niższych poziomów.

Dillon wraz z żołnierzami szybko zabarykadowali drzwi.

- Jest jeszcze jedno wyjście. — Lord Alexandon wskazał korytarz po prawej. — Lady Devine próbuje ich powstrzymać, ale ma trudności. Powiedziałem jej, że dotrzesz tam tak szybko, jak będziesz mógł. Ale uważaj, Matt. Tam jest Marduk.

- Chodźmy, Dillon.

W połowie drogi w korytarzu spotkał nas jeden z żołnierzy lady Devine.

- Wysłała mnie moja pani. Powiedziała, żebyście się pospieszyli. Zdoła powstrzymać ciemne moce tylko przez krótki czas.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, drzwi stanęły otworem. Podbiegła do nas lady Devine.

- To beznadziejne.

- Czy w środku są twoi podwładni? - zapytałem.

- Nie wydaje mi się.

- Dobrze, w takim razie niech wszyscy się cofną. Kiedy żołnierze wycofali się na klatkę schodową lub stanęli za mną, przywołałem inną potężną myśl: *Burza*. Nie. *Ognista burza*.

Drzwi orwały się gwałtownie, a ja cisnąłem burzą wprost w atakujące stwory. Przetoczyła się jak ognista kula, kładąc pokotem przeciwników i wypełniając korytarze na niższym poziomie. Powietrze wypełniły wrzaski.

Dillon stał koło mnie, wpatrując się w falę ognia ogarniającą korytarze.

- Imponujące - powiedział spokojnie. - Nauczyłeś się tego w „Szkole Nieśmiertelnych”?

Sprawił, że się roześmiałem, ale to był krótki śmiech, ponieważ fala żaru przypląnęła z powrotem do nas. Dillon także ją poczuł.

- Co to?

Lady Devine podeszła do mnie w samą porę, żebym zdążył ją ostrzec.

- Powiedz żołnierzom, żeby się schowali. Szybko, w górę schodów!

Kiedy pobiegła z powrotem, złapałem Dillona i cisnąłem go na ziemię, przykrywając sobą. Fala ognia przemknęła nad nami. Część żołnierzy lady Devine i ona sama nie zdołali uciec dostatecznie szybko, a ich krzyki agonii przeszyły moje uszy. Kiedy płomień zniknął, pomogłem Dillonowi wstać i obejrzałem się, że

by sprawdzić, co z rannymi. Ale Dillon złapał mnie za ramię, uniemożliwiając poruszenie się. Spojrzałem, żeby zobaczyć, co go tak zaniepokoiło, i stwierdziłem, że patrzy prosro w twarz Marduka.

W tym momencie zrozumiałem, dlaczego ogień do nas wrócił. Marduk stanął w drzwiach, podniósł poparzone ręce ponad osmaloną głowę i wydał z siebie potężny ryk. Wokół niego pojawiła się fala wrenów i innych istot, którym dźwięk głosu ich pana dodał sił.

- Użyj swojej broni. - Wskazałem wreny. — Ja zajmę się Mardukiem.

Dillon wycelował kusze w stado wrenów przepychających się przez drzwi i kierujących na schody. Tym razem, kiedy strzały trafiły w cel, stwory zniknęły bez śladu.

Marduk był pod wrażeniem. Jego jedyne oko, czerwone i nabrzmiałe, spoglądało drwiąco. Sprawił, że w jego ręce pojawił się miecz.

- Niezwykle interesujące. Ale walczmy jak śmiertelnicy.

Zamierzał mnie zatrzymać, żeby jego armia zdążyła przeniknąć na wyższe poziomy i dokonać tam zniszczeń. Przeciwnicy wysypali się wokół nas. Dillon pobiegł za nimi razem z lady Devine i jej żołnierzami. Marduk skoczył na mnie, więc wyciągnąłem topór z za pasa. Wiedziałem, że mój przeciwnik do perfekcji opanował walkę wręcz, podczas gdy moje zdolności, no cóż, pozostawiały wiele do życzenia. Ale trzymany

przeze mnie topór miał dostateczną moc, żeby zabić nawet tego potwora. Wystarczyło, że zadam odpowiedni cios.

Chodź tu szybko! Mam coś, z czym sobie nie poradzę! Pospiesz się, Matt! Szybko!

Myśli Rochelle zagrzmiały w mojej głowie tak głośno, że na moment straciłem koncentrację, a Marduk zyskał przewagę. Przycisnął mnie do barierki, szybkim ruchem celując mieczem w moje gardło. Jego oddech cuchnął - właściwie całe jego ciało śmierdziało. Popchnąłem go mocno, tak że poleciał do tyłu. Spróbowałem odpowiedzieć Rochelle, ale Marduk był teraz rozwścieczony. Zaatakował mnie, a ja byłem w stanie tylko parować ciosy. Miecz uderzał w topór aż do chwili, kiedy moje ramiona się zmęczyły i przez moment wydawało mi się, że trafi mnie mieczem pod żebra. Siłą woli wzmocniłem ramiona i na szczęście to podziałało w wystarczającym stopniu, żebym mógł dalej walczyć. Ale kontynuowanie nie wystarczało. Musiałem go przynajmniej rozbroić, żeby móc jak najszybciej przyjść z pomocą Rochelle.

Zawołałem ją w myślach, ale nie dostałem odpowiedzi. Nic. Zupełnie jakby nagle przestała istnieć. Jej milczenie i wrażenie pustki, jakie odbierałem, zmroziły mnie. To wystarczyło, żebym mógł wysłać ładunek mocy do moich ramion. Tym razem wymiana ciosów była gwałtowna i szybka. Marduk musiał powoli zacząć się męczyć, ale nie był już człowiekiem - chociaż

trudno powiedzieć, jaką besrią się stał. Zaatakował, próbując trafić mnie w pierś. Prześlizgnąłem się z toporem pod jego ramieniem, powstrzymując go. Miecz wyleciał mu z ręki i upadł po przeciwnej stronie korytarza. Wreszcie!

Przez moment obaj staliśmy w milczeniu, łapiąc oddech i mierząc się wzrokiem. Jego jedyne oko przesunęło się na porzucony miecz. Chciał go odzyskać. To była dla mnie szansa, żeby dostać się do Rochelle. Potrzebowała mnie, a ja martwiłem się, że już raz ją zawiodłem. Musiałem ruszać natychmiast!

Rozprawa z Mardukiem musiała poczekać.

Rozdział 35

Rochelle

Wylądowałam w świecie kompletnej i wszechogarniającej ciemności. Moje dłonie, lśniące elektrycznymi wylądowaniami, stanowiły jedyne źródło światła. Ale to nie wystarczało. Okręciłam się w miejscu na oślep, zaczynając wpadać w panikę, kiedy czyjeś ręce chwyciły mnie za łokcie. Poczułam kolce i próbowałam się wyrwać, ale profesor Carter rzywał mnie mocno. Nagle zaczęłam się obracać, a ciężki łańcuch owinał się ciasno wokół mnie, przyciskając mi ramiona do boków i unieruchamiając ręce.

Profesor Carter jęknął i cofnął się. Nagle pojawiło się światło - wolną ręką trzymał kryształ. To wystarczyło, żeby oświetlić przestrzeń wokół nas, a ja zobaczyłam, że krępujące mnie łańcuchy są połączone

z tym, który trzymał w ręku. Spróbowałam poruszyć ramionami i zrobić użytek z dłoni, ale łańcuchy były zbyt ciasne. Profesor Carter wpatrywał się we mnie i przez moment wydawało mi się, że dostrzegam żal, ale to przelotne uczucie zostało zastąpione przez zimną irytację.

— Wie pan, że jeśli mnie pan zabije, podpisze pan wyrok śmierci na siebie.

— Nie zamierzam cię zabijać — odparł tonem pełnym zadowolenia.

— Więc co chce pan ze mną zrobić?

Rozejrzał się po otaczającej nas ciemności i pociągnął łańcuch. Poleciałam do przodu, potykając się. Szarpnął mnie za włosy i pociągnął mocniej.

— Jest tu sieć podziemnych tuneli, do których prowadzi tylko jedno wejście - albo wyjście.

Nie mogłam w to uwierzyć.

— Chce mnie pan zamknąć w podziemnych tunelach? W tej ciemności? Całkiem samą?

— No cóż, nie będziesz sama.

Sposób, w jaki to powiedział, sprawił, że moje serce przeszył chłód, a nogi ogarnął bezwład. Ale nie zamierzał mówić nic więcej, niezależnie od tego, jak bardzo starałam się wydobyć z niego informacje. Miałam wrażenie, że szliśmy całe godziny, a ja zaczęłam czuć znużenie, fizyczne i psychiczne. Panicznie bałam się ciemności. Za bardzo przypominała mi o czasach, kiedy chowałam się przed ojcem.

Zatrzymał się nieoczekiwanie, a ja, zatopiona w myślach, prawie na niego wpadłam. Odepchnął mnie do tyłu, tak że poleciałam na ziemię. Spróbowałam poluzować łańcuchy, ale nie byłam w stanie znaleźć żadnego punktu zaczepienia.

W tym momencie zobaczyłam wyraz jego twarzy, kiedy zaglądał przez żelazną kratownicę w głąb ziemi.

- O co chodzi? Co się stało? Zwrócił głowę w moją stronę.

- Zniknęły!

Wyciągnęłam szyję, żeby zajrzeć przez kratę. Daleko w dole znajdowała się jaskinia, która najwyraźniej była pusta. Poczulałam ulgę, ale szybko zaświtało mi w głowie, że to może mieć poważniejsze konsekwencje.

- Co to znaczy?

Dysząc z wysiłku odciągnął żelazną kratę na bok.

- To znaczy, że dzisiaj jest twój szczęśliwy dzień.

- Szarpnął łańcuch, ciągnąc mnie do otwartej dziury w ziemi.

- Nie, proszę poczekać! Nie może pan tego zrobić! Zginę tam, a pan będzie przyczyną mojej śmierci.

- Nie zginiesz z moich rąk. Jestem pewien, że niedługo powrócą.

- Kto powróci?

Nie przypuszczałam, że mi odpowie, ale odezwał się:

- Demony.

- Co?! Zamierza mnie pan zamknąć w dziurze z demonami?

-Jeśli będziesz miała szczęście, oszalejesz, zanim powrócą do domu. Wypowiadając te słowa, chwycił mnie od tyłu.

— Nie ruszaj się, muszę zdjąć ten łańcuch.

To zabrzmiało obiecująco, ale profesor Carter miał wszystko przemyślane. Jego ręce trzymały mnie jak imadło, a broń wbijała się w moje ramiona. Kiedy zamek otworzył się ze szczękiem, popchnął mnie do dziury. Ale nie mogłam pozwolić, aby uszło mu to na sucho. Musiałam coś zrobić, żeby powstrzymać go przed powrotem na Ziemię i wyjaśnieniem mojej nieobecności jakąś przekonującą wymówką. Łańcuch rozwijał się, kiedy turlałam się w stronę dziury, ale w ostatecznej chwili złapałam go obiema rękami i szarpnęłam z całej siły.

Trzymający drugi koniec łańcucha profesor Carter został całkowicie zaskoczony. Wrzasnął dziko, tracąc równowagę i zleciał za mną do jaskini. Wylądował na boku i szybko skoczył na równe nogi.

— Coś ty zrobiła?! - Podskoczył, ale to absolutnie nie wystarczyło do pokonania dystansu dzielącego nas od otworu.

Zaatakował mnie bezpośrednio, podnosząc łańcuch z groźbą, jakby marzył tylko o owinięciu go wokół mojej szyi.

Wbrew woli uśmiechnęłam się triumfalnie. Ten tchórz nie mógł mnie zabić własnymi rękami, ponieważ bał się śmierci. Cóż, zobaczymy, jak dzielnie stawia jej teraz czoła!

Nagle spojrział w bok, a jego oczy otworzyły się tak szeroko, jakby miały zaraz wyskoczyć z orbit.

- Co to?! Co pan słyszy?

- Kroki.

- Kroki demonów?

Nasłuchiwał dalej, a potem westchnął z frustracją i irytacją.

- Kobięce kroki.

- Kobięce demony?

Nie odpowiedział, ale zrobił to za niego głos dobiegający z góry.

- Pożaluje pan, że nie jesteśmy demonami, zanim z panem skończymy, profesorze Carter.

To była Isabel z Nerią i jej dwoma psami. Obie dziewczyny niosły światło, które z mojego punktu widzenia nadawało ich twarzom wygląd aniołów. Moich aniołów.

-Ależ się cieszę, że was widzę! - krzyknęłam. - Skąd wiedziałyście, że tu jestem?

- Neria usłyszała twoje myśli w sterowni, rzuciła wszystko i przybiegła. A zanim zacznie się pan wszystkiego wypierać, profesorze, Neria słyszała także dostatecznie wiele z pańskich myśli, aby świadczyć na procesie. Był pan za bardzo zajęty porwaniem Rochelle, żeby je odpowiednio osłaniać.

- Isabel zobaczyła wyraz twojej twarzy, tuż zanim zniknąłś - przejęła pałeczkę Neria.

- No, to wystarczyło, żebym wiedziała, że masz kłopoty - dodała Isabel. - Lord Penbarin pomógł nam

przedostać się za wami. Reszta była już naprawdę prosta. Aysher i Silos wytropiły wasz zapach i doprowadziły nas tutaj. - Isabel popatrzyła z góry na profesora Cartera. - Ma pan mnóstwo rzeczy do wyjaśnienia, ale to może poczekać do procesu.

— Tego samego, na którym lady Arabella może się teraz stawić jedynie w charakterze świadka pana zdrady — dorzuciła Neria, spuszczając na dół długą linę.

Profesor Carter rzucił się do liny, ale odepchnęłam go. Próbował mnie staranować, ale zagroziłam mu iskrzącymi dłońmi.

- Nie są w tym momencie związane i mogą pana zabić. Gwarantuję to. A teraz proszę się cofnąć, profesorze, zamierzam pierwsza wydostać się z tej cuchnącej dziury, w którą nas pan wpakował.

Obejrzał się nerwowo przez ramię, a ja zaczęłam się zastanawiać, czy usłyszał coś jeszcze. Nie widziałam niczego, reszta sieci tuneli tonęła w mroku. Profesor Carter szarpnął głową, a jego oczy znowu się rozszerzyły. W tunelach coś było, a sądząc po jego nagłym przerażeniu, nie było to nic przyjemnego.

- Pospiesz się!

Musiałam jednak włożyć rękawiczki, inaczej przepaliłabym linę, która stałaby się bezużyteczna dla nas obojga.

— Szybko! - wrzasnął profesor Carter. — Nie słyszysz? W tym momencie usłyszałam dudnienie. Zbliżało się bardzo szybko w naszą stronę.

Z jedną założoną rękawiczką złapałam linę i szarpnęłam ją. Dziewczyny na górze zaczęły mnie wciągać. Byłam mniej więcej w połowie drogi, kiedy pojawił się demon, dysząc i pomrukując. Zobaczył profesora Cartera i zaczął się ślinić. Profesor spojrział na mnie i uświadomił sobie, że nie ma szans. Wyciągnęłam do niego rękę, ale nie miałam na niej jeszcze rękawiczki, a drugą całą czas trzymałam linę.

Demon zaczął grzebać nogą, wyraźnie szykując się do ataku. Neria i Isabel wciągnęły mnie na górę jak najszybciej, szarpnięciem wyciągając na krawędź. Odwróciłam się, a dziewczyny znowu zrzuciły linę, ponaglając profesora Cartera, żeby ją złapał. Ale demon był w tym momencie pomiędzy nim a liną. Sięgnął jedną łapą i chwycił linę, wyrywając ją z rąk Isabel i Nerii. Wrzasnęły i spróbowały ją utrzymać, ale stwór okazał się zbyt silny, więc musiały puścić.

Profesor Carter posłał nam długie, pełne rozpaczyspojrzenie, a potem odwrócił się i rzucił do ucieczki.

Rozdział 36

Matt

Spotkaliśmy się w bezpiecznej komnacie. Lorian, któremu towarzyszył król Ryszard, pokazał mi holograficzne plany Cytadeli. Kiedy się im przyglądaliśmy, zbliżyło się dwóch strażników.

- Przekażcie do centrum dowodzenia, żeby utrzymali pozycję nad Angel Falls, ale sprowadzili nas jak najniżej nad ziemię — rozkazał Lorian. Strażnicy potwierdzili przyjęcie rozkazu i natychmiast wyszli.

Lorian odwrócił się i przyjrzał mi się, podczas gdy studiowałem plany Cytadeli.

- Skoncentruj się, Matt. Musisz zapamiętać punkty strategiczne. — Wiedział, że trudno mi się skupić na tym zadaniu. Dziewczyny były nieobecne już tak długo!

Pojawił się lord Penbarin, a ja prawie skoczyłem do niego.

- Masz jakieś wieści o dziewczynach? Starał się mnie uspokoić.

- Nie martw się, Matt. Potrafią sobie radzić lepiej niż przypuszczasz.

- Ale są same w świecie podziemnym! Król Ryszard zaśmiał się.

- Są tam we trójkę, w rowarzystwie dwóch psów. Trudno to uznać za samotność. Poza tym dwie z nich były tam już wcześniej. A teraz uspokój się, Matt. Nie możemy sobie pozwolić, abyś ty także się tam udał.

Miał rację. Odetchnąłem głęboko, ale nie mogłem się pozbyć uczucia, że zawiodłem Rochelle. Słyszałem jej wezwanie...

- I przyszedłeś tak szybko, jak to było możliwe -zapewnił mnie Lorian. - Nadal musimy rozprawić się z Mardukiem. Nie wspominając o mojej siostrze.

Wszedł żołnierz.

- Jakie wieści przynosisz? - zapytał król Ryszard. -Wszystkie damy, pani Neria, Isabel i Rochelle powróciły bezpiecznie i...

- Gdzie teraz są? - Nie mogłem się powstrzymać przed wtrąceniem pytania.

Weszły do komnary, więc uściskałem je wszystkie. Był z nimi Dillon, w którego oczach także malowała się ulga. Król Ryszard również przywitał ich z zadowoleniem.

- Co zrobiłyście ze zdrajcą?

— Profesor Carter nie zdołał się wydostać z jaskini, panie - wyjaśniła Isabel, a ja wyczułem, że kryje się za tym dłuższa opowieść. — Z jaskini demonów.

Stojący za nimi żołnierz gwałtownie odchrząknął. Lord Penbarin zorientował się, że nie dokończył jeszcze raportu.

— Co się dzieje?

— Chodzi o demony, milordzie. Pierwszy już się przedostał.

Lorian zastygł, a jego wielkie fioletowe oczy stały się niemal okrągłe.

— Czy moja siostra oszalała? Nie chce chyba władać Ziemią opanowaną przez zło większe niż jej własne?

Nikt nie miał dla niego odpowiedzi, ale w tym momencie przyszła mi do głowy pewna myśl.

— Panie, czy to możliwe, że Lathenia znalazła sposób, aby je kontrolować?

-Jeśli tak, jest potężniejsza niż przypuszczałem, a my jesteśmy w bardziej rozpaczliwym położeniu niż kiedykolwiek nam się wydawało! — Popatrzył na holograficzne plany. — Będę potrzebował twojej pomocy, Matt. Obaj razem mamy moc zdolną zniszczyć Cytadelę. To smutny dzień, w którym Straż zawiodła tak sromotnie. Ale nie mamy w tym momencie innego wyjścia. — Popatrzył na lorda Penbarina i króla Ryszarda. — Wyprowadźcie wszystkich naszych ludzi jak najszybciej! Cytadela niebawem runie, a wszystko i wszyscy w środku zostaną zniszczeni.

Członkowie Trybunału wymienili zaniepokojone spójrzenia.

- Ile mamy czasu, panie? - zapytał król Ryszard.

- Poczekajcie, zaraz wam powiem. - Lorian spojrział mi prosto w oczy, a ja wyczułem jego myśli dotyczące moich, oceniające moją siłę. Niebawem wiedział już, ile czasu potrzeba naszym połączonym mocom do zniszczenia Cytadeli.

- Siedem minut - odparł.

- Tylko siedem minut! - wykrzyknął król Ryszard.

- O siedem minut za długo! - warknął Lorian. - Czy wiecie, ile demonów moja siostra zdąży przeprowadzić przez Cytadelę przez ten czas?

Prawdopodobnie setki, ale członków Trybunału niepokoiło coś jeszcze.

- Panie - odezwał się lord Penbarin. - Arkarian i Jimmy są w labiryncie.

- Mój syn jest myślowidzącym. Ostrzeż go.

Lord Penbarin przechylił głowę, sprawiał wrażenie zakłopotanego.

- Oczywiście, panie, ale od pewnego czasu nie mieliśmy od niego żadnych wieści. Nie jest wykluczone, że nasze myśli nie mogą przeniknąć ścian labiryntu.

Rochelle zrobiła krok naprzód, ściągając rękawiczki.

- Pozwólcie, że tam pójde i ich sprowadzę. Isabel poszła za jej przykładem.

- Ja też idę!

Lorian spojrział na dziewczęta, a na jego ustach pojawił się cień uśmiechu. W końcu skinął głową.

- Niech tak będzie, ale zabierzcie to. — Podał im kryształ.
— Wydostańcie się na zewnątrz, zanim zegar dojdzie do zera.
— Spojrzał na Nerię, która właśnie otwierała usta, żeby także się zgłosić. — Ty wracaj do sterowni, Ethan tam został. Dopilnuj, żeby się ewakuował, a razem z nim wszyscy, którzy jeszcze tam są. Wy dwaj — zwrócił się do Dillona i lorda Penbarina — przekazcie reszcie wiadomość. Niezależnie od wszystkiego muszą natychmiast opuścić Cytadelę.

Kiedy wszyscy wyszli, Eorian usiadł przy srole, aby przygorować się do wezwania mocy potrzebnej do zniszczenia tej niezwykłej budowli. Nagle westchnął.

— To był ciężki dzień, mój bratanku, a ja jestem znużony, ale znając moją siostrę, to jeszcze nie koniec.

Rozdział 37

Rochelle

W labiryncie panowała cisza. To dziwne. Gdzie się podziały istoty z międzyświata? Czy będą realne, czy też okażą się ucieleśnieniem naszych koszmarów? Gdyby tak miało być, zastanawiałam się, jaki kształt przybiorą moje złe sny. Miałam ich tak wiele!

Isabel wrzasnęła. Przeraziła mnie tak, że też krzyknęłam, choć nie wiedziałam czemu, u diabła, się drze.

- Tam! - Pokazała na ziemię obok naszych stóp.
-Gigantyczny, włochaty, ohydny...

Odepchnęłam ją od siebie, żeby złapać oddech. To było tak do niej niepodobne, że aż musiałam spojrzeć.

- O czym ty mówisz?

- Pająk! Ślepa jesteś? Jest chyba rozmiaru piłki futbolowej!

Spojrzałam znowu, ale nadal nie zobaczyłam nic oprócz cienia.

- Uspokój się, Isabel. Chyba wiem, jak możemy wydostać się stąd całe i zdrowe.

- Tak? - Prawie jęknęła. - Możesz się pospieszyć i mi powiedzieć? Ten pająk wygląda na głodnego.

- Dobra, to na początek: nie ma żadnego pająka. To wytwór twojej wyobraźni. - Machnęłam ręką w dół, w poprzek cienia.

- Nie! Nie rób tego!

- Jest tak samo prawdziwy jak iluzje Ethana. To twoja wyobraźnia, nic więcej.

- On potrafi sprawiać, że iluzje stają się rzeczywiste, Rochelle.

- I potrafi bez trudu rozwiązać tę rzeczywistość jedną myślą. Dokładnie to musimy zrobić. Jasne?

Przykucnęła, trzymając się mojej nogi, zamknęła oczy i odetchnęła głęboko. Kiedy orworzyła oczy i popatrzyła w dół, na jej twarzy pojawił się uśmiech ulgi.

- Zniknął? - spytałam, by się upewnić.

Skinęła głową. Teraz, kiedy lęk minął, jej twarz zaczęła zmieniać kolor z bieli na ciemny róż. Podniosła rękę i odgarnęła za ucho zablakany kosmyk włosów.

- Nie mów nikomu, OK? Zwłaszcza Mattowi i Ethanowi. Nie daliby mi żyć.

- Tego tylko brakuje, żebym im dawała okazję do popisywania się swoją męskością. Twoja tajemnica jest bezpieczna.

- Świetnie. Pospieszmy się. - Popatrzyła na zegar, który dał jej Lorian. - Zostało nam tylko pięć minut.

Ruszyłyśmy biegiem, przeskakując po dwa stopnie pierwsze znikające schody, jakie napotkałyśmy. Na wyższym poziomie biegałyśmy od komnaty do komnaty.

- Arkarian! Jimmy! - wołała Isabel, podczas gdy ja używałam myśli. Ale nikt nie odpowiedział. Weszłyśmy kolejnymi schodami, prowadzącymi do szeregu pustych komnat. Drzwi otwierały się i zamykały, kiedy wchodziłyśmy i wychodziłyśmy. Miałam wrażenie, że Cyradela pomaga nam w poszukiwaniach, jakby ona także była zaniepokojona.

Wyszłyśmy na platformę, która zaraz zaczęła znikać. Zbiegając po schodach, zaczęłam się zastanawiać nad całkowitymi rozmiarami tego miejsca. Chociaż większość budowli pozostawała ukryta przed naszym wzrokiem, było jasne, że jest olbrzymia. O ile dobrze rozumiałam, nie można było tu mierzyć czasu, więc mogłyśmy nie zdążyć wyjść, nie zdając sobie sprawy, ile czasu minęło w świecie śmiertelnym. Najprawdopodobniej dlatego Lorian dał nam zegar.

- Musi istnieć szybsza metoda niż przeszukiwanie wszystkich komnat jedna po drugiej.

- Na przykład jaka? - zapytała Isabel. Zaczęłam ściągać rękawiczki.

- Zasłoń twarz, wypróbuję moje ręce.

Posypały się iskry, a ja położyłam dłoń na poręczy koło mnie. Pojawił się obraz drzewa liczącego tysiące

lat — eukaliptusa kamaldulskiego, doskonale zakonserwowanego przez ciemne wody powodzi, która pochłonęła brzeg, na którym wyrósł. Postarałam się skoncentrować na obrazach Arkariana i Jimmy'ego.

— Pomóż nam ich znaleźć.

— Masz coś? - zapytała Isabel, spoglądając na zegar. - Zostały nam tylko trzy minuty, a musimy się stąd jeszcze same wydostać!

Schody zmieniły kierunek. Uznałam to za dobry znak i na moment się odprężyłam. Ale Isabel koło mnie nagle zeszywniała.

— Co to jest?

Spojrzałam na cień tworzący się na szczycie schodów. Kiedy zbliżyliśmy się do podestu, cień przybrał kształt człowieka. Przeszedł mnie zimny dreszcz, w tym mężczyźnie było coś upiornie znajomego. Moje oczy pobiegły do jego ręki. W spracowanych palcach zaciśnięty był czarny skórzany pas.

— Isabel, powiedz mi, co widzisz. Wzdrygnęła się.

-Tylko cień, ale wydaje się wyjątkowo zły. Przeraza mnie.

— Zwróciła do mnie głowę. — Dlaczego? Co ty widzisz?

Schody zaprowadziły nas wprost do podestu, na którym stał mężczyzna.

— Mojego ojca — odparłam cicho.

— Czy on nie żyje?

— Nie, jest w więzieniu.

- W takim razie nie jest prawdziwy.
- Wygląda jakby był prawdziwy.
- No, tak samo jak mój pajak. Pamiętasz?

Dotarliśmy do podestu, a bardzo realistyczny obraz mojego ojca strzelił pasem o barierkę, sprawiając, że odskoczyłam do tyłu. Isabel skuliła się - a ona widziała tylko cień zła mojego ojca, podczas kiedy ja patrzyłam na nie w całej okazałości!

- Arkarian! Jimmy! - zawołała Isabel, próbując przeciągnąć mnie za sobą przez podest.

Ale mój ojciec miał na ten temat inne zdanie i złapał mnie za drugą rękę.

- No proszę, skarbie, czy tak się wita starego ojca po tylu latach?

- Nie dotykaj mnie! - wrzasnęłam i spróbowałam wyrwać rękę z jego uścisku, ale tylko zacieśnił uchwyt.

Isabel znowu zawołała Arkariana i Jimmyego i spróbowała wyciągnąć mnie na korytarz. -Tak naprawdę tu go nie ma. Nie jest prawdziwy!

- Isabel, kiedy trzyma mnie za rękę, sprawia naprawdę realne wrażenie!

- Isabel ma rację.

Podniosłam głowę i zobaczyłam Arkariana, krórego łagodne fiołkowe oczy były zaokrąglone i pełne niepokoju. Jimmy przybiegł zaraz za nim.

- Co się dzieje? Co wy tu robicie? Już prawie skończyliśmy. Kurczę, skąd to się tutaj wzięło? Myślałem, że oczyściliśmy ten poziom.

Arkarian uciszył go jednym spojrzeniem.

- Rochelle, pamiętaj, że to twoje myśli go tutaj sprowadziły. Masz moc, żeby go przegnać.

Isabel spojrzała na zegar.

- Szybko! Jeszcze dwie minuty i wylecimy w powietrze!

- Co?! — krzyknął Jimmy.

- Możesz go powstrzymać raz na zawsze - zapewnił Arkarian, a do mnie w końcu dotarło znaczenie jego słów. Oro miałam szansę zrobić coś, co powinnam była zrobić już dawno temu, a na co moja matka nie mogła się zdobyć.

- Minuta! — syknęła koło mnie Isabel.

Cień mojego ojca podniósł ramię, a ja patrzyłam, jak pasek zaczyna opadać. Ale tym razem zamiast się skulić, chwyciłam pas i szarpnęłam go do siebie, a potem złapałam ojca za rękę i mocno ścisnęłam. Wrzasnął, kiedy moja dłoń go sparzyła. Poczulałam, jak zwiotczał, a potem rozpadł się i zniknął na moich oczach.

- Dziesięć sekund! — krzyknęła Isabel.

Jimmy i Arkarian złapali mnie i Isabel za ręce i pociągnęli. Razem skoczyliśmy na poruszający się podest. Isabel spojrzała na zegar.

- Teraz!

Kiedy Isabel wrzasnęła to słowo, cała komnata i wszystko, co się w niej znajdowało, zaczęło świecić bielą, potem żółcią, aż wreszcie rozbłysło jasną czer-

wienią. Arkarian, Jimmy i Isabel zaczęli nagle wyglądać jak szkielety.

- No nie! - jęknął Jimmy.

- Szybko! - Arkarian przyciągnął nas bliżej do siebie.

Ale ja się bałam, że jest już za późno. Schody pod nami zniknęły i wszyscy zaczęliśmy spadać.

Rozdział 38

Matt

Cegła za cegłą, szkło, marmur i kryształ: Cytadela waliła się w gruzy. Ocaleni uciekli do mojego ojca, który powitał ich z otwartymi ramionami. Ich zadanie tutaj było zakończone. Zasłużyli na odpoczynek. Rozejrzałem się po przełęcz, kiedy szczątki Cytadeli zaczęły opadać w dół. Kolejna eksplozja wstrząsnęła atmosferą, a na wzgórzu posypało się jeszcze więcej fragmentów murów.

Rozglądałem się wokół, szukając znajomych twarzy. Brakowało części członków Trybunału, ale wiedziałem, że król Ryszard udał się do Aten, żeby uwolnić lady Arabellę. Jak bardzo się pomyliłem, oskarżając ją! Lorian przyznał, że on także potraktował ją niesprawiedliwie.

- Zamierzam się rym zająć, kiedy tylko ponownie się spotkamy - powiedział wcześniej.

Jeśli chodziło o pozostałych członków Trybunału, lady Devine i jej podwładni także zostali zabrani do Aten, żeby odzyskać zdrowie w tamtejszych komnatach leczniczych. Wokół mnie królowa Brystianne, lord Alexandon i lord Penbarin przeliczali ocalałych żołnierzy. Dołączyli do nich Shaun i Dillon. Nie licząc profesora Cartera, brakowało sześciorga z nas. Gdzie się podziali Ethan i Neria? Ostatnie wieści mówiły, że uciekli ze sterowni razem z innymi członkami Trybunału i żołnierzami. Najwyraźniej nikt ich nie widział od tamtego czasu.

W powietrzu rozległ się jeszcze jeden wybuch, a ostatnia część Cytadeli rozpadła się na kawałki. To był labirynt, część Cytadeli, którą Lorian i ja staraliśmy się wysadzić jako ostatnią. Ale nadal nie było śladu po mojej siostrze, Rochelle, Arkarianie i Jimmym, którzy byli tam przez cały czas. Pozostawało nam tylko czekać i mieć nadzieję, że udało im się uciec. Ale z każdą mijającą sekundą, kiedy kurz zaczął osiadać, a z nieba spadły ostatnie cegły, wszystkich nas zaczął ogarniać coraz większy niepokój. Shaun złamał się jako pierwszy. - Musi być coś, co możemy zrobić! Jakiś sposób, żeby ich namierzyć!

Poszukałem śladów ich myśli, wysyłając własne zarówno w gruzowisko na ziemi, jak i w niebo. Nic.

Dillon zmarszczył brwi i podbiegł do dziwnego obiektu, który spadł z nieba.

- Co to? — Podniósł to i przyniósł do nas.

To był skórzany czarny pas. Dillon podał go nam, żebyśmy go rozpoznali. Shaun potrząsnął głową.

- Nie poznaję tego. Nie wydaje mi się, żeby należał do Jimmy'ego czy do Arkariana.

Wziąłem pasek w dłoń i do mojego umysłu wlała się potężna fala myśli Rochelle, powiadamiając mnie, gdzie ich szukać. Ruszyłem biegiem w kierunku południowym.

- Gdzie się wybierasz? - krzyknął Dillon, doganiając mnie pośpiesznie.

- Zaraz tu będą. I naprawdę mocno rąbną o ziemię.

Cała czwórka wylądowała tuż obok siebie. Kiedy zaczęli wstawać, Rochelle szybko schowała ręce, zakładając rękawiczki.

- Wszystko w porządku? - zapytałem ją. Skinęła głową.

- Chyba tak.

Następna była Isabel. Podczołgała się do Arkariana, szukając obrażeń. Zapewnił ją, że nic mu nie jest, więc zajęła się Jimmym.

- Jakieś złamania?

- Chyba noga.

- Nie ruszaj się. - Położyła ręce na jego kostce i natychmiast zajęła się uzdrawianiem.

Lorian przemówił do mnie w myślach. Powiadomił mnie, że jest na szczycie przełęczy i że powinniśmy się pospieszyć i dołączyć do niego.

- Wszyscy są cali i zdrowi? - zapytała mnie Isabel.

- Niestety jeszcze nie wszyscy wrócili - powiedział Shaun z drżeniem w głosie.

Rochelle miała pytania, ale zorientowała się, że jeszcze nie skończyłem rozmowy z Lorianem. Jego myśli były pełne zmartwienia, co sprawiło, że mocno zmarszczyłem brwi i nie potrafiłem ukryć niepokoju w spojrzeniu. Dotknęła mojego ramienia.

- Co się dzieje?

- Lathenia czeka na przełęczy ze swoją armią.

- Co?! - krzyknął Dillon. - Ale przecież właśnie zniszczyliśmy jej armię! Co ona jeszcze ma w zanadrzu?

Z tą ponurą myślą wspięliśmy się na przełęcz, gdzie sylwetka Loriany była widoczna jak melancholijny cień w popołudniowym słońcu. Kiedy się zbliżyliśmy, odwrócił się do nas. W jego oczach płonął gniew. Spojrzenie nieśmiertelnego na moment zmiękło na widok Arkariana, ale zaraz znowu stwardniało. Moje serce zaczęło uderzać mocno i powoli. Co nas czekało na górze? W tym momencie zrozumiałem uczucia Loriany. Ethan i Neria zostali pochwyceni przez wroga! Lathenia musiała ich dopaść w chaosie, jaki zapanował podczas upadku Cytadeli. Teraz byli jej więźniami, zamkniętymi w zawieszonych wysoko nad ziemią złotych klatkach,

po których przebiegały z trzaskiem zielone wyładowania elektryczne.

Ale Ethan i Neria nie byli jedyną bronią, jaką Lathenia przygotowała na tę decydującą bitwę. Za kłatkami w nierównych szeregach, ciągnących się tak daleko, jak wzrok sięgał, srała armia demonów. Niespokojnych stworów, które chrząkały, parskaly i przytupywały. Były ich serki, może nawet ponad tysiąc. Jeden z nich, na przedzie, przykuł mój wzrok. To był ich przywódca. Ten, krórego powinienem obserwować i z którym musiałem się zmierzyć.

Obok siebie słyszałem stłumione oddechy i jęki zgrozy. Lord Penbarin potrząsał z niedowierzaniem głową. Królowa Brystianne ścisnęła szatę przy szyi. Oboje byli zaszokowani.

Shaun nie mógł oderwać wzroku od swojego syna.

— Jak to się mogło stać? Rochelle starała się go uspokoić.

— Odbijemy ich.

Poczułem, że wszystko we mnie zaczyna płonąć. Chciałem wyminąć Lorianą, ale zatrzymał mnie, kładąc mi dłoń na piersi.

- Zachowaj spokój. Nie przysłużysz się żadnemu z nich, jeśli stracisz nad sobą panowanie. Teraz bardziej niż kiedykolwiek wcześniej postaraj się przypomnieć sobie wszystkie rzeczy, których nauczył cię ojciec.

- Zabiję Boginię razem z całą jej armią!

- Ja zabiję ją pierwszy - wyszeptał cicho. - Ponieważ dzisiaj jej uczynki kosztowały mnie zbyt wiele. Wzięcie tych dwojga jako zakładników stanie się jej zgubą. Posunęła się za daleko.

Isabel podeszła do mnie, przenosząc wzrok z Ethana na Nerię i z powrotem.

- Zostali pobici. Ethan ma połamane żebra i ledwie oddycha. Neria także została ranna, ale jej obrażenia goją się same.

Popatrzyłem na Nerię i nasze spojrzenia się spotkały. Przeszył mnie jej ból, kiedy przesyłała mi swoje myśli. *Klatki są pod napięciem, nic nie zdoła się przez nie prześlizgnąć. Lathenia planuje pociągnąć nas za sobą. Musisz najpierw ratować Ethana. Znasz go całe życie, jego matka nie może stracić kolejnego dziecka, a ja... ja będę z tobą, niezależnie od tego, w jakim świecie będę zmuszona zamieszkać.*

Nie! Posłuchaj mnie...

Lorian odwrócił się do mnie.

- Uważaj na swoje myśli - powiedział. - Moja siostra je słyszy. Popatrz na jej uśmiech.

Miał rację. Uśmiech Lathenii był przebiegły, a nawet... triumfalny. Chciała, żebym popełnił błąd, pozwolił emocjom zapanować nad sobą. A po jej prawej stronie stał Marduk i obserwował nas. Chwilami jego wzrok biegł do klatki, w której była zawieszona Neria, a ja musiałem zadać sobie pytanie, jaki ojciec postąpiłby tak ze swoją córką? W tym momencie prych-

nał, a ślina prysnęła z przypominającego świński ryj pyska. Dostałem swoją odpowiedź.

Przeniosłem spojrzenie na stojącego za nim demona, który w jednej dłoni trzymał łańcuch, a w drugiej topór. Popatrzył na mnie ze złością, nie odwracając wzroku, uniósł obie bronie w powietrze i warknął. Było jasne, co chce mi powiedzieć. Z całej siły starałem się uspokoić oddech.

Shaun dotknął mojego ramienia, co sprawiło, że podskoczyłem.

- Dlaczego mój syn nie użyje skrzydeł, żeby uciec z klatki?

- Może nie jest w stanie? - odezwał się Dillon. - Źle wygląda.

- Nie zostawiłby Nerii samej na śmierć — stwierdziła Rochelle.

Mówiła prawdę. Kiedyś myślałem, że Ethan jest godny pogardy - jakże się myliłem. Isabel nagle westchnęła.

- Udało mi się ich uzdrowić, więc przynajmniej teraz będzie im łatwiej oddychać. Patrz, Matt, Ethan zamyka oczy. Myślę, że coś szykuje.

Poszukałem jego myśli. Był zajęty. Bardzo zajęty. Wycofałem się, żeby nie przeszkadzać w czymkolwiek, co planował. Nie odrywając oczu od Ethana, odwróciłem się dyskretnie do moich towarzyszy.

- Przygotujcie broń. Czekać na sygnał. Jimmy, celuj w tylne szeregi. Isabel, ty się zajmij środkowy-

mi. Arkarianie, postaraj się być tam, gdzie będziesz potrzebny.

Isabel szturchnęła mnie.

- Pamiętaj, żeby ustawić mnie obok Rochelle.

- Dlaczego? - Rochelle usłyszała ją i od razu się zdenerwowała.

Niemal niedostrzegalnie potrząsnąłem głową, dając Isabel do zrozumienia, że będę miał na oku Rochelle i może nie drażnić tematu.

- Po prostu myślałam, że dobrze nam się razem pracuje - dokończyła nieprzekonująco, nie chcąc niepokoić Rochelle. Wystarczająco wiele przeszła przez ostatnie kilka godzin, nie potrzebowała dodatkowych zmartwień.

Szybko skończyłem wydawać instrukcje:

- Shaun, ty i Dillon zniszczycie przednie szeregi.

- Pamiętaj - przypomniał mi Lorian. - Lathenia jest moja.

Marzyłem o tym, żeby własnoręcznie rozprawić się z nieśmiertelną, ale w głosie wuja była taka wściekłość, że nie odważyłem się z nim spierać.

- A co ze mną? - zapytała Rochelle.

- Raz już uwolniłaś mnie z rąk Marduka, a teraz chciałbym, żebyś zrobiła to samo dla Ethana i Nerii. Kiedy ich uwolnisz, wróc na pierwszą linię i stań koło mnie.

- Mogę dostać z powrotem mój nóż?

- Twój nóż nie przetrnie tych klatek pod napięciem.

- Potrzebuję go do walki z demonami.

Przez chwilę wpatrywałem się w nią. Czy musimy znowu wracać do tego tematu?

- Nóż będzie bezużyteczny przeciwko tym stworom. Musisz użyć dłoni.

Spojrzała na bestie i wzdrygnęła się.

- Ale ro znaczy, że będę musiała się do nich zbliżyć. Matt, nie masz pojęcia, jakie są brutalne. Profesor Carter był nimi przerażony.

- Będę walczyć obok ciebie, OK?

Lorian dał mi znać, że coś się dzieje. Na naszych oczach Ethan i Neria zaczęli rozwiewać się w powietrzu. W ciągu kilku sekund zniknęli całkowicie.

-Jak to się stało? - krzyknęła Lathenia. Kilkakrotnie dźgnęła mieczem pustkę między prętami klatki Ethana. Poleciały iskry i zasyczały wyładowania elektryczne, cała klatka wibrowała od uderzeń. Lathenia zrobiła to jeszcze raz, tym razem celując ostrzem w klatkę Nerii. Także bez efektu. - Marduku! Gdzie oni zniknęli? Czy zrobiłeś coś, żeby ich uwolnić?

Sprzeciwił się, że jest niewinny, a chwilowe odwrócenie ich uwagi było dla mnie sygnałem. Musieliśmy działać szybko, żeby zdobyć przewagę. Kto wie, jak długo miała potrwać niesamowita iluzja Ethana? Podniosłem rękę do góry i opuściłem ją.

- Teraz!

Jimmy cisnął granaty w tylne szeregi, wywołując w nich chaos. Marduk rozkazał demonom zaatako-

wać. Parskały, warczały i tupwały z całej siły, a potem uzbrojone w topory, miecze i łańcuchy ruszyły na nas.

Miałem nadzieję, że nie zlekceważyłem tych potworów. W niczym nie przypominały wrenów ani żadnych innych istot, z jakimi do tej pory mieliśmy do czynienia. Sam ich smród był nie do wytrzymania.

Shaun walczył z dwoma demonami jednocześnie. Nieoczekiwanie pojawił się król Ryszard w towarzystwie lady Arabelli. Powinienem ją przeprosić, ale teraz nie było na to czasu. Lady Arabella rozejrzała się, szukając kogoś, więc wskazałem w dół przełęczy.

- Tam jest, milady, osłania północną flankę.

Skinęła głową i ruszyła w tamtą stronę, podczas gdy król Ryszard dobył miecza i pospieszył na pomoc Shaunowi.

Stałem twarzą w twarz z demonem, który uważał się za ich przywódcę. Z niezwykłą biegłością posługując się łańcuchem, zaatakował mnie i przechwycił mój topór. Przywołałem myśl o mocy do swoich palców i w tym samym ułamku sekundy cisnąłem w niego tą mocą. Błękitne światło załśniło w niewielkiej przestrzeni pomiędzy nami, odrzucając go do tyłu. Jęknął, leżąc na ziemi, ale chociaż miał teraz otwartą ranę w brzuchu, zdołał wstać. Ku mojemu zdumieniu zaatakował znowu, waląc mnie głową w pierś i biorąc mnie przez zaskoczenie. Cofnął się i natarł znowu, z niesamowitą siłą uderzając łańcuchem i moim toporem. Złapałem go za rękę i zaczęliśmy walczyć o topór. Drugą ręką

sieknął mnie łańcuchem przez plecy. Ból przeszywał mnie raz po raz. Tym razem to ja jęknąłem. Spróbowałem złapać go za drugą rękę, ale był dostatecznie sprytny, żeby uniknąć mojego chwytu. Wykorzystując swoją masę, pchnął mnie na plecy. Poczuł, że znajduje się o krok od zwycięstwa, i przycisnął mi kolano do gardła, odcinając dopływ powietrza. Wykorzystałbym moc, żeby go zrzucić, ale miałem problemy z oddychaniem. W następnej chwili uniósł topór w powietrze, celując prosto w moją czaszkę. Nadal próbując zaczerpnąć tchu, patrzyłem, jak ostrze zaczyna opadać.

Nagle demon wrzasnął i wygiął się w łuk, po czym nagle jego ciężar został ze mnie zdjęty, a on sam odciągnięty biczem, który owinał się wokół jego pasa. Zamiast niego mój stopniowo łapiący ostrość wzrok napotkał Arkariana z burzą szafirowych włosów. Wyciągnął do mnie rękę, którą pochwyciłem.

- Jakim cudem ten potwór cię pokonał? Wzruszyłem ramionami, wydając topór ze szponów martwego demona.

- Przydusił mnie.

Arkariana moja odpowiedź rozbawiła.

-I to wystarczyło, tak? Tak czy inaczej, tracisz czas na to straszycie, a jesteś potrzebny gdzie indziej. Lathenia oszalała z wściekłości i Lorian ledwie sobie z nią radzi.

- A co z Ethanem i Nerią?

Popatrzyłem w stronę, którą wskazał palcem. Rochelle ściągnęła na dół klatkę Nerii i była zajęta nisz-

czeniu krat za pomocą dłoni. Neria była z powrotem widoczna i prawie wolna, ale działanie Rochelle zwróciło uwagę Marduka. Potrzebowała więcej czasu. Musiałem coś wymyślić

Zamknąłem oczy i odnalazłem wewnętrzną koncentrację. Na mój rozkaz nad naszymi głowami zgromadziły się czarne chmury, przynosząc ze sobą gwałtowną wicherę. Marduk spojrział na źródło wiatru, kiedy ugodziła go błyskawica. Nie pochodziła ona jednak z nieba — wyszła z dłoni jego własnej córki. Wydał zawodzący jęk, a kiedy Neria stanęła przed nim, zachrząkał i zniknął.

Rozejrzałem się dokoła. Pole bitwy było pokryte ciałami martwych demonów. Bronie były skuteczne i ucieszyło mnie, że Neria zdołała ukryć swoją nawet wtedy, gdy została schwytana przez Lathenię. Miałem nadzieję, że Ethanowi także się to udało, ale jednak w to wątpiłem. Jego broń była trudniejsza do ukrycia.

Kolejne demony rzuciły się na nas i przez następne kilka minut Arkarian i ja byliśmy zajęci odpieraniem ich ataków. Nagle koło mnie pojawiła się Neria i użyła swojej broni na nowej fali wrogów. Uśmiechnęła się, a moje serce podskoczyło.

Wrzask nieprzypominający niczego, co dzisiaj słyszałem, rozdarł nagle powietrze. Sprawił, że wszyscy ludzie i wszystkie potwory znieruchomieli, patrząc na nieśmiertelnych. Uciekli się do walki wręcz, a każde z nich uzbrojone było w miecz i sztylet.

- A więc do tego doszło, moja siostrze. Powinienem być cię zabić, kiedy miałem po temu sposobność w łonie naszej matki.

Lathenia z płonącymi oczami zaskrzeczała i zaatakowała mieczem.

— Nareszcie przyznałeś, że ograbiłeś mnie z mojego pierworództwa!

— Nie! — Lorian odparł jej atak. — Nie ograbiłem cię, ponieważ nigdy nie miałaś się narodzić jako pierwsza.

— O czym ty mówisz?

— To miał być Dartemis.

— Kłamiesz! On był najmłodszy.

— Zawsze był przebiegły. Pozwolił, abyśmy się kłócili między sobą.

— Chcesz powiedzieć, że nie pożył tronu, pomimo że to jemu się należało?

— On jest bogiem pokoju. Wystarczyło mu czekanie, aż władza sama do niego przyjdzie.

— Mówisz to tak, jakby nadal żył.

— Jedno jest pewne, siostrze, ty nigdy się tego nie dowiesz. - Z tymi słowami Lorian wytrącił broń Lathenii. Jej miecz poszybował w powietrze, a kiedy na ułamek sekundy popatrzyła za nim, Lorian wbił swój miecz głęboko w jej pierś.

Na moment zastygła, a potem jej wytrzeszczone oczy spoczęły na ostrzu utkwionym pomiędzy żebrami.

— Mógłbyś mnie zabić?

— Muszę. Śmierć jest jedynym rozwiązaniem.

Z wyrazem niedowierzania Lathenia zamknęła oczy.

Lorian westchnął i odwrócił spojrzenie. To był błąd. Oczy Lathenii otwarły się gwałtownie, a ona uniosła się. W dłoni wciąż trzymała sztylet i wykorzystując resztki nieśmiertelnej siły, cisnęła nim z niezrównaną mocą w kierunku Lorianana.

Lorian odwrócił się na ten dźwięk. To był kolejny błąd.

- Ojczy! - krzyknął Arkarian.

Sztylet zagłębił się w gardle nieśmiertelnego. Lorian zamknął na nim dłoń, ale spojrzenie jego oczu mówiło, że zna już swój los. Wiedział, że podobnie jak jego siostra zaraz umrze.

Upadł na ziemię. Lady Arabella, Arkarian i Isabel podbiegli do niego, ale było już za późno. Brat i siostra nie żyli.

Rozdział 39

Rochelle

Nieśmiertelni nie żyli! Trudno było w to uwierzyć, ale naprawdę pozabijali siebie nawzajem. Wszyscy byli ogłuszeni i chodzili jak we śnie. Isabel pocieszała Arkariana, lady Arabella szlochała histerycznie, a lord Penbarin starał się ją uspokoić. Wtedy usłyszałam głos Matta.

- Wybudujemy im świątynię. Wykorzystamy cegły z Cytadeli, aby pozostała ukryta przed ludzkim wzrokiem, i podobnie jak Cytadela będzie się unosić wysoko w atmosferze. Lordzie Penbarinie, królowo Brystianne, czy możecie przygotować ich ciała do pogrzebu?

— Tak, panie — odparł lord Penbarin. *Tak, panie!* — powtórzyłam w myślach.

Królowa Brystianne zbliżyła się, ocierając łzy z oczu.

- Musimy najpierw przenieść ich do Aten. Całe szczęście, że udało nam się ocalić część maszyn.

- Zabierzcie ich, a kiedy będziecie gotowi, odbędzie się ceremonia na ich cześć. Po śmierci Lathenii mój ojciec, Dartemis, może powrócić do tego świata, jeśli taka będzie jego wola. Po raz pierwszy w swoim długim życiu zostanie oswobodzony z niebiańskiego więzienia. Nie potrafię powiedzieć, co zdecyduje. -Spojrzał na Arkariana. - Arkarianie, czy jeśli Dartemis postanowi pozostać w swoim świecie, wygłosisz mowę pogrzebową?

Arkarian skinął głową. Matt ścisnął jego ramię, a potem łagodniejszym tonem zwrócił się do reszty zgromadzonych.

- Niech wszyscy, którzy są w stanie pomagać, oczyszczą to wzgórze i zaczną przygotowania do budowy świątyni. Kiedy świątynia zostanie ukończona, a ciała nieśmiertelnych złożone na wieczny spoczynek, utworzymy oddział, którego zadaniem będzie wytopienie pozbawionych duszy istot wędrujących teraz po Ziemi. Musimy zwalczyć zarazę, którą ze sobą przyniosły, i zamknąć szczeliny między światami. - Uniósł ręce, jakby chciał wskazać powietrze, którym oddychaliśmy. -A kiedy w całej naturze powróci równowaga, ten mroczny wiatr sam zniknie, a na Ziemi zapanuje pokój.

Matt przejął dowodzenie, a kiedy rozglądałam się wokół, widziałam, że właśnie tego wszyscy potrzebo-

wali. Oczywiście było, że ta rola przypadnie właśnie jemu. Ostatecznie był synem nieśmiertelnego i także nieśmiertelnym.

Podczas gdy lord Penbarin i królowa Brystianne zaczęli przygotowania, aby zabrać ciała Loriany i Lathenii do Aten, pozostali zajęli się sprzątaniami szczątków Cytadeli, składając na stosy wszystko, co mogło się jeszcze przydać. Shaun i Jimmy wzięli na siebie niewdzięczne zadanie uprzątnięcia ciał demonów, które, miejmy nadzieję, zostały wybite do nogi.

W całym tym zamieszaniu zapomniałam założyć z powrotem rękawiczki. Pomagając zbierać gruzy niechcący dotknęłam ręki Dillona. Szarpnął się do tyłu i wrzasnął:

- Ej no, uważaj! Co ty wyprawiasz? Na litość boską, Roh, gdzie masz rękawiczki?!

Najbliżej stojący obejrzeli się i popatrzyli na mnie. Rzuciłam okiem na rękę Dillona, gotowa przeproszać, ale nie zobaczyłam żadnego śladu. Zastanowiłam się, czy jego reakcja nie była raczej spowodowana strachem przed możliwościami moich dłoni niż faktycznymi obrażeniami.

— Trzymaj te ręce z dala ode mnie, rozumiesz?

Po tym wszystkim, przez co dzisiaj przeszłam, przesadzona reakcja Dillona sprawiła, że eksplodowałam.

Odwróciłam się i popatrzyłam na resztę. Czy myśli Dillona były odbiciem ich myśli? Czy nadal we mnie wątpili, nawet po tym, jak zdemaskowałam prawdzi-

wego zdrajcę i walczyłam z nimi ramię w ramię? Czy obawiali się, że zwrócę się przeciwko nim i użyję moich rąk jako broni?

- Czy tak właśnie myślicie? - Popatrzyli na siebie, a ja zostałam zalana ich myślami pełnymi zażenowania. Zażenowania! Poczułam, że w gardle rośnie mi gęła. Przełknęłam gwałtownie ślinę, żeby się jej pozbyć. Czy żadne z nich nie weźmie mnie w obronę przed ostrymi słowami Dillona? - Naprawdę myślicie, że jeśli tylko będę miała okazję, celowo was skrzywdzę? Czy to dlatego nikt się do mnie nie zbliża? A może po prostu uważacie mnie za dziwadło?

Gwałtownie wyrwałam rękawiczki z kieszeni i teatralnym gesrem założyłam je.

- Proszę! Nigdy więcej ich nie zdejmę, obiecuję! Czy teraz czujecie się bezpieczniej?

Ethan zrobił krok w moją stronę, jego oczy i myśli były pełne współczucia. Podniosłam rękę, żeby powstrzymać go przed podejściem do mnie.

- Nie zbliżaj się. Nie potrzebuję twojej litości, Ethanie. Nigdy jej nie potrzebowałam.

Nagle poczułam, że muszę zostać sama. Muszę znaleźć się w dowolnym miejscu, byle z dala od tych ludzi. Od tych... obcych, bo takimi właśnie mi się teraz wydawali.

Odwróciłam się i pobiegłam do pobliskiego lasu. Za sobą słyszałam, jak kłócą się, który z nich miałby pójść za mną.

- Daruj sobie, Isabel! - krzyknął Ethan. Szybko się wyłączyłam, nie chciałam słyszeć niczego więcej. Chciałam tylko być sama.

Potrafiłam szybko biegać. Gałęzie i pnącza zagradzały mi drogę, ale nie zwracałam na nie uwagi. Drapały moje ramiona i twarz, ale ja po prostu biegłam dalej. Jedna gałązka zaczepiła się o mój rękaw. Szarpnęłam ją mocno, aż wyrwała mi dziurę w bluzce.

W końcu dotarłam na krawędź przełęczy i zatrzymałam się. U moich stóp urwisko opadało setki metrów do doliny Angel Falls. W oddali widziałam nawet ocean. Widok zapierał dech w piersiach. Odetchnęłam kilka razy głęboko rześkim górskim powietrzem i spróbowałam się uspokoić.

Szelest liści i gałęzi oraz dudniące kroki za mną dały mi znać, że Ethan jest blisko. Zatrzymał się gwałtownie na krawędzi urwiska, a potem odwrócił się i zauważył mnie. Nie musiałam czytać jego myśli, żeby wiedzieć, że poczuł ulgę. Na jego twarzy zabłysnął uśmiech. Stał i patrzył na mnie, łapiąc oddech. Nagle ogarnęło mnie zdenerwowanie. Co on tu robił? Dlaczego się uparł, żeby iść za mną? A wtedy Ethan podszedł do mnie i zatrzymał się, dopiero kiedy znalazł się tuż obok, tak blisko, że czułam na czole jego ciepły oddech. Wziął mnie za rękę i podniósł je, a potem powoli zaczął ściągać jedną rękawiczkę. Instynktownie wyszarpnęłam mu rękę. - Co ty wyprawiasz?

Złapał ją znowu, rym razem trzymając mocniej. Bez słowa ściągnął rękawiczkę do końca. Poleciały iskry, które musiał poczuć na twarzy, ale nawet nie drgnął. Wziął zamach i cisnął rękawiczkę w przepaść.

- Ethan!

Ale on robił właśnie to samo z drugą rękawiczką. Spróbowałam ją złapać, zanim nią rzucił, ale miał dłuższe ręce. Poszybowała w dół urwiska.

— Ethan, dlaczego? Nie mogę bez nich wracać. I co będzie ze szkołą?

Wziął moje migoczące dłonie w swoje i obrócił je.

- To są twoje ręce. Są częścią ciebie, więc są tym samym, co i ty. Wiem, że nie zraniłabyś nikogo celowo i nikt, kto cię zna, tak nie myśli. Od tej chwili, przynajmniej do czasu, kiedy zaczniesz się szkoła, nie będziesz nosić rękawiczek. Im częściej będziesz bez nich, tym lepiej nauczysz się kontrolować moc w twoich dłoniach.

-Ale Dillon...

— Dillonowi zdarza się napyskować bez sensu. Bywa grubiański i bezmyślny, po prostu taki jest. Nie bronię go, ale zareagował tak gwałtownie, bo go onieśmielasz. Wiesz, onieśmielasz większość z nas.

Prychnęłam drwiąco.

-Jesteś uzdolniona, piękna i, no... - Zaczerpnął głęboki oddech. - Dzięki tym dłoniom jesteś bardzo potężna. Możesz zajrzeć w nasze dusze.

Kiedy trawiłam te słowa, Ethan uniósł moje dłonie do swoich policzków. Ten gest był tak wzruszający, że

do oczu zaczęły mi napływać łzy. Spróbowałam zamrunąć, żeby się ich pozbyć, ale były uparte. Musiałam zapytać.

- Dlaczego to robisz?

- Ponieważ mi na tobie zależy — powiedział i zmarszczył brwi. - Nie.

- Nie? Nie zależy ci?

- Chciałem powiedzieć, że robię to, ponieważ cię kocham. Nie mogłam uwierzyć własnym uszom.

- Coś ty powiedział?

Uśmiechnął się do mnie, a ja nie mogłam oderwać od niego spojrzenia.

- Kochałem cię od chwili, w której cię po raz pierwszy zobaczyłem - powiedział. — Pragnąłem cię wtedy, a kiedy pomyślałam, że mnie nie chcesz, zamieniłem swoją miłość w nienawiść. To był największy błąd, jaki kiedykolwiek popełniłem.

- Ethan...

Zanim zdążyłam powiedzieć cokolwiek więcej, jego usta zbliżyły się do moich i pocałował mnie. Przez długą chwilę nie istniało nic więcej na świecie, a wszystko było tak, jak być powinno. Pocałowaliśmy się znowu i przytuliliśmy do siebie. Po raz pierwszy w życiu byłam szczęśliwa.

Usłyszałam w głowie myśl, która wydała mi się znajoma. Odwróciłam się w stronę lesistego obszaru na północy, szukając jej źródła.

Ethan zauważył, że coś jest nie tak.

- Co się dzieje?

- Coś usłyszałam. Czy ktoś poszedł za tobą? Objął mnie mocniej.

- Nic o tym nie wiem. Powiedziałem jasno, że chcę zostać z tobą sam na sam. Może powinniśmy już wracać?

Miał rację, więc skinęłam głową. W tym momencie znowu usłyszałam czyjeś myśli i spróbowałam je przyporządkować, ale szybko się zorientowałam, do kogo należą. Byłam jego szpiegiem dostatecznie długi czas. To był Marduk, skryty pomiędzy drzewami. Gdzieś bardzo blisko.

Zmrużyłam oczy, próbując go wypatrzeć, ale potrafił się dobrze maskować. Jego myśli znowu mnie uderzyły, a wtedy zrozumiałam, co on tu robi. Tak długo chował w sobie gorycz, że cała jego nienawiść skoncentrowała się na jednej osobie, jednym człowieku, który krzyżował mu plany za każdym razem, kiedy chciał dokonać zemsty. Na Ethanie. To Ethan przywołał obraz Marduka w swoich snach. To Ethan z nim walczył i zabił go, sprawiając, że Marduk powrócił z międzyświata w postaci potwora. To była wina Ethana, że stracił Lathenię na rzecz innego mężczyzny, ponieważ nie był już człowiekiem. I to właśnie Ethana Marduk pragnął teraz zabić, raz na zawsze.

Serce zaczęło mi walić w piersiach. Marduk miał łuk i strzałę Ethana! Usłyszałam jego myśli, kiedy napinał

ciężciwą i mierzył do celu. Obróciłam się, poszukując go — skąd dochodziły te myśli?

— Rochelle, co się dzieje?

Świst! Nie! Leci wprost na Ethana! Chcąc za wszelką cenę powstrzymać zatrutą strzałę przed dosięgnięciem celu, przecięłam jej drogę. Trafiła. Poczułam, jak grot przeszywa moje żebra i wbija się prosto w serce. Niebo stało się niewyraźne, a ja upadłam.

Ethan zauważył to i chwycił mnie, zanim uderzyłam o ziemię.

— Rochelle!

Zobaczył strzałę, a jego oczy stały się wielkie z przerażenia.

— Rochelle!!!

Podniosłam rękę i dotknęłam jego twarzy.

— Bezpieczny. Jesteś bezpieczny.

Potrząsnął głową, jego oczy załśniły i napełniły się łzami. Chciałam je otrzeć, ale moja ręka opadła bezsilnie z boku. Umierałam, ale to nie miało znaczenia. Straż doceni moją ofiarę. A co najważniejsze, w moim sercu zamknięta była miłość Ethana. Pewnego dnia znowu będziemy razem.

— Nieceeee!!! - wrzasnął.

Rozdział 40

Matt

Nigdy nie zapomnę twarzy Ethana, kiedy wybiegł z lasu, trzymając w ramionach bezwładne ciało Rochelle. Z jej piersi wystawała złota strzała. Nie zapomnę też jego rozpaczliwej prośby, kiedy złożył ją u stóp Isabel.

- Pospiesz się, Isabel! Uzdrów ją, szybko!

Isabel i Arkarian opadli na kolana. Isabel położyła dłonie na twarzy, szyi i piersi Rochelle, wymieniła pełne bólu spojrzenie z Arkarianem i podniosła na Ethana oczy pełne łez.

- Nie mogę nic dla niej zrobić.

- Oczywiście że możesz. Na miłość boską, Isabel, możesz wyleczyć każdego! Czy nie uzdrowiłaś mnie, kiedy miałem te koszmarne obrażenia wewnętrzne?

Arkarian wstał i położył rękę na ramieniu Ethana.

- Ethanie, ty jeszcze oddychałeś. Rochelle już nie żyje.

Ethan gwałtownym ruchem ramienia odtrącił kojący dotyk Arkariana.

- Nie! Ona... my... - Nagle jego oczy zalśniły. - Możemy ją sprowadzić z powrotem, Arkarianie. Ty i ja. Możemy to zrobić. Zrobiliśmy to z Isabel. Pamiętasz? Przeszliśmy do międzyświata i ocaliliśmy jej duszę.

Isabel zmarszczyła brwi, a z jej myśli wynikało, że zastanawia się, o czym Ethan mówi. Ale to nie był właściwy czas na takie pytania, więc nic nie powiedziała.

Arkarian popatrzył Ethanowi w oczy, łagodnie przechylając głowę na bok.

- Ethanie, Rochelle umarła w teraźniejszości. Jej dusza nie błąka się po międzyświecie. Ciało Rochelle leży tutaj, przed nami. Ona nie oddycha. Jej dusza jest już w drodze do miejsca ostatecznego przeznaczenia. Nie możemy nic więcej zrobić.

Ethan opadł na ziemię, oddychając głęboko. W przyływie rozpaczycy chwycił oburącz strzałę i wyrwał ją z piersi Rochelle. Wszyscy wstrzymali oddech i odwrócili wzrok.

- Nie ma już zatrutej strzały! - krzyknął z szaleństwem w oczach. - Teraz będzie można ją uzdrowić!

Shaun pochylił się nad Ethanem i położył mu rękę na ramieniu.

- Spokojnie, synu.

Ale Ethan nie potrzebował pocieszenia ze strony ojca. Gwałtownie szarpnął się do tyłu.

- Nie dotykaj mnie! Nie zbliżaj się do mnie, jeśli nie możesz jej sprowadzić z powrotem.

W tym momencie w jego głowie pojawiła się myśl, którą usłyszałem jasno i wyraźnie. Podniósł na mnie spojrzenie, z prośbą lśniąca w mrocznych wirach, w jakie zamieniły się jego oczy.

- Możesz to zrobić? Potrząsnąłem odmownie głową.

- Nie, nie mogę. Podniósł się.

- Ale jesteś nieśmiertelnym! Masz moce przewyższające nasze.

Zwrócił się do Arkariana:

- Czy on może to zrobić, Arkarianie?

Zanim Arkarian zdążył odpowiedzieć, Ethan odwrócił się do pozostałych członków Trybunału. Sir Syford uniósł ręce w geście niepewności, a Ethan wrzasnął:

- Niech mi ktoś odpowie!

Odwrócił się i chwycił mnie za ramiona.

- Matt, musisz spróbować!

- To niemożliwe, Ethanie.

- Dlaczego? Czym są nieśmiertelni, skoro nie mogą przywracać ludzi do życia?

- Czerpiemy nasze moce z życia. Możemy je przedłużyć, tak jak zrobił to Lorian dla Arkariana i Isabel. W rzadkich przypadkach możemy nawet obdarzyć

kogoś nieśmiertelnością, tak jak zrobił to mój ojciec dla Nerii, ale śmierć... śmierć jest naszym przeznaczeniem. Nie można tego zmienić.

Isabel objęła Ethana od tyłu. Jej oczy były czerwone, a łzy spływały po twarzy strumieniami.

— Zawiodłam cię. Tak mi przykro!

Ethan przyciągnął ją do siebie i przytulił, kryjąc twarz w jej ramionach. Stał tak przez długą chwilę, zbierając siły, a potem podniósł głowę i spojrzał jej w oczy.

— To nie jest twoja wina. — Popatrzył na resztę z nas. - To nie jest niczyja wina. - Jego spojrzenie zatrzymało się na Nerii. — Z wyjątkiem...

Ethan odetchnął głęboko i odsunął się od Isabel. Całe jego ciało drżało od nierównego oddechu.

— Jest jeszcze coś, co muszę zrobić.

Dłoń Nerii zacisnęła się na moim ramieniu. Podobnie jak wszyscy obecni tutaj dzisiaj, wiedziała doskonale, o czym mówił Ethan.

— Ethanie, Marduk i tak niebawem umrze — przypomniał łagodnie Arkarian. Spojrzał na zachód, gdzie słońce zaczęło się już zniżać. - Klątwa zaczęła działać.

Ethan potrząsnął głową.

— Nie obchodzi mnie klątwa! Muszę to zrobić! — Jednym płynnym ruchem podniósł strzałę i pobiegł przed siebie.

Napotkałem wzrok Arkariana i skinąłem głową. Nie mogliśmy pozwolić, żeby Ethan poszedł sam. Pobiegliśmy za nim, szybko go doganiając.

Usłyszał nas i odwrócił się.

- Nie próbujcie mnie zatrzymywać.

W milczeniu ustawiliśmy się po obu jego stronach. Słowa były teraz bezużyteczne. Nie trwało długo, nim znaleźliśmy Marduka - jego ślady widać było wszędzie. Uciekał jak ranny byk, obijając się o drzewa i krzaki.

- On już umiera.

Ethan spojrział na odległe słońce, szybko zniżające się ponad pokrytym śniegiem zachodnim pasmem gór.

- Więc lepiej się pospieszmy.

Znaleźliśmy Marduka siedzącego na głazie, pochylonego do przodu i próbującego złapać oddech. U jego stóp leżał łuk Ethana. Wyczuł nas i podniósł głowę. Z jego jedyne go oka zniknął blask, cały sprawiał wrażenie, jakby się skurczył.

- Macie moją córkę. Należy teraz do światła. Co zrobiliście z moim bratem?

- Jest głęboko w świecie podziemnym, tam gdzie jego miejsce - wycodził Ethan przez zaciśnięte zęby.

- Czy zdoła uciec? -Nie.

- A Bogini?

- Zginęła z ręki brata.

- Co z Keziahem?

- Zniknął, ale bez Lathenii, podtrzymującej jego długie życie, niebawem zgaśnie i umrze.

- A zatem nic mi nie pozostało. Czyń, co musisz uczynić. Potrafię uszanować zemstę.

Przed długą chwilę Ethan po prostu wpatrywał się w Marduka. Przed nim znajdował się potwór z jego koszmarów: morderca jego siostry, bestia, która ograbiła go z jego największej miłości. Jak łatwe, jak satysfakcjonujące byłoby zabicie teraz Marduka?

Ale strzała wyślizgnęła się z palców Ethana na ziemię.

- Nie. Nawet zemsta będzie dla ciebie zbyt wielkim zaszczytem.

Kiedy zapadła noc, kładąc kres ciężkiemu dniu pełnemu mroku, Marduk po raz ostatni odetchnął chrapliwie, po czym jego ciało przemieniło się w kamień.

Podziękowania pierwsze

Cykl *Strażnicy Veridianu* został stworzony z pomocą wielu ludzi. Wymienieni poniżej zasłużyli na specjalną wzmiankę.

Po pierwsze, moje dzieci. Podziękowania należą się Amandzie za jej opinie i te „po prostu świetne” pomysły. Danielle za wspaniałe uwagi krytyczne do niemal gotowego rękopisu. A także mojemu synowi Chrisowi za niezwykle mi potrzebny punkt widzenia siedemnastoletniego chłopaka oraz za porady techniczne dotyczące broni.

Chciałabym również podziękować mojemu mężowi Johnowi za nieustające wsparcie i zachętę, a także nieskończoną liczbę kojących kubków herbaty.

Szczególne podziękowania chcę złożyć mojemu agentowi, Geoffreyowi Radfordowi, za jego oddanie, upór i determinację, żeby wszystko zostało zrobione jak należy.

Na koniec chciałabym podziękować wszystkim pracownikom Bloomsbury Publishing, którzy pracowali nad tym cyklem. Przede wszystkim jestem wdzięcz-

na redaktorze Ele Fountain za skrupulatną redakcję wszystkich trzech książek, zadziwiającą zdolność przewidywania, co dobrze zagra w tekście, a także za jej entuzjazm wobec rozwijającej się historii.

Marianne Curley

Podziękowania drugie

W roku 2004 walczyłam z ciężką chorobą nazywaną mielofibrozą. Mogła ona doprowadzić do śmierci, ponieważ sprawiała, że szpik w moich kościach zaczął źle działać i uległ zwłóknieniu. Niestety w moim przypadku mielofibrozą miała bardzo ostry przebieg. Jedynym lekarstwem był przeszczep komórek macierzystych szpiku kostnego, co oznaczało wiele transfuzji krwi i osocza. Przeszczep został wykonany w Westmead Hospital w Sydney w Australii, w maju 2004 roku, i zakończył się całkowitym powodzeniem.

Jednym z powodów, dla których pisze to podziękowanie, jest poproszenie Was, abyście zastanowili się nad dołączeniem do międzynarodowego rejestru transplantacji szpiku, a także rozważyli zostanie regularnym dawcą krwi. Bez wspaniałomyślnych dawców krwi, którą otrzymałam podczas mojej choroby, nie byłoby mnie tutaj i nie mogłabym pisać ani przebywać z moimi bliskimi. Od czasu mojej choroby uświadomiłam sobie, jak ważne i szlachetne jest zapisanie się do rejestru dawców szpiku i regularne oddawanie krwi. Macie możli-

wość uratowania życia wielu ludzi, a być może pewnego dnia to wasze życie zostanie dzięki temu ocalone.

Chciałabym przy tej okazji podziękować cudownemu i zaangażowanemu zespołowi lekarzy zajmujących się przeszczepami szpiku, a także personelowi Westmead Hospital. Chciałabym wspomnieć zwłaszcza profesora Iana Kerridgea, doskonałego i pełnego współczucia lekarza, któremu jestem wdzięczna z głębi serca i który do dzisiaj monitoruje moje zdrowie po przeszczepie.

Z najlepszymi życzeniami *Marianne Curley* 2005